

## **JIM HOUGAN**

Piszący także pod pseudonimem John Case Hougan jest współautorem tak znakomitych thrillerów, jak *Kod Genesis* i *Artysta zbrodni*. Sławny pisarz Norman Mailer uznał *Kod Genesis* za „mistrzowsko skonstruowany thriller”, jeden z najlepszych, jakie czytał. Powieść w błyskotliwy sposób łączy śmiało i kontrowersyjne teorie z dziedziny medycyny i religii z globalną intrygą w stylu Roberta Ludluma. Podobną mieszankę faktów i fikcji na tematy związane z Kościołem katolickim można odnaleźć w słynnym, powstałym kilka lat później *Kodzie Leonarda da Vinci*.

Ofiarą wyjątkowo brutalnego zabójstwa pada w Londynie wybitny specjalista od teorii archetypów Junga, profesor Schidlof, znajdujący się „pod opieką” agenta CIA Jacka Dunphy'ego. Odwołany do centrali w Langley Dunphy zostaje zdegradowany i odstawiony na boczny tor. Ma zachować milczenie, o nic nie pytać, ale sprawa nie daje mu spokoju. Poszukuje informacji w archiwach. Kiedy zdaje sobie sprawę, że grozi mu niebezpieczeństwo, ucieka do Londynu. Jego tropem podążają zabójcy z Agencji. Wraz z ukochaną Clementine Jack wpada na trop niewiarygodnego spisku, najpilniej strzeżonej tajemnicy CIA, w który zamieszane są tak potężne siły i osoby, że agencja wydaje się tylko przykrywką. Łączą się z nim nazwiska Carla Junga, Ezry Pounda, Johna i Allena Dullesów. Czy mieli coś wspólnego z tajnym Zakonem Magdaleny, od wieków czuwającym nad dopełnieniem się prorocत्व zawartych w *Apokryfie Magdaleny*?

**JIM HOUGAN**

**SZYFR MARII MAGDALENY**

**Z angielskiego przełożyła ELŻBIETA PIOTROWSKA**

**Tytuł oryginału: THE MAGDALENE CIPHER**

*Zdarzenia wydają się następować po sobie ze złowróżbną logiką.*  
Thomas Pynchon, *V*

*Nie ustają w walce do końca,*

*i to ich uszlachetnia.*

*Takim ludziom tą książkę poświęcam.*

*Jeff Bale*

*Kevin Coogan*

*Gary Horne*

*Pallo Jordan*

*Normal Mailer*

*Ron McRea*

*Robin Ramsay*

*Ben Sidran*

*Judy Sidran*

*Scott Spencer*

*Joe Uehlein*

*Carolyn, Daisy i Matt*

## Prolog

2 maja 1945

Północne Włochy

Major Angleton płynął przez bezkłęskowe niebo nad Sant' Ambrogio, zawieszony w przestworzach nocy na nylonowych linkach pod baldachimem z czarnego jedwabiu. Przed sobą widział linię ognia płonącego wzdłuż zalesionego pasma wzgórz nad miastem i zastanawiał się, czy wzniciły go pioruny, czy bombowce. Niewiele więcej widział, jeszcze mniej słyszał, jedynie czuł wiatr.

Zbudować miasto dla Dioce

o terasach koloru gwiazd [*Ezra Pound. Canto LXXIV (Dioce bywa odczytywane jako Duce).*]

Gdy opadał niżej, doleciały go dymne wyziewy palącego się drewna, woń hiacyntów i zapach sosen alpejskich. Sosny jawiły się jak cienie wybrzuszone się z ciemnego wzgórza, potem nagle znalazł się tuż nad nimi, by za chwilę zostawić je za sobą gdy spłynął niżej w poprzek stoku. A potem wstrząsnęło nim przy zetknięciu z ziemią i zapierając się na piętach, walczył z wyrwywającym do przodu spadochronem, póki go nie zwinął. Powietrze było chłodne.

Celem majora była popadająca w ruiną duża willa usytuowana pośród zrytych terasów na stoku powyżej miejsca, w którym wylądował. Żółte światło sączyło się z okien, rzucając złoty blask na zaniedbane winnice rozciągające się we wszystkie strony. Major Angleton wyjął czterdziestkępiątkę i szedł pod górę, aż poczuł pod nogami chrzęst żwiru, co znaczyło, że jest na podwórze. Przeciął je na skos, podszedł do okna i zerknął przez szpary w okiennicy. Człowiek, którego miał znaleźć, napiętnowany w ojczyźnie, znieawidzony w Europie, poeta o niezmiernych talentach i zaciekły prześladowca Żydów, siedział w bibliotece przy zniszczonym przez komiki stole, otoczony książkami. Przy świetle lampy naftowej pisał coś w oprawnym w skórę wielkim notesie wyglądającym jak pamiętnik. Za nim, na ścianie z popękany tynkiem, wisiał przekrzywiony obraz Poussina, piękny mały olej w taniej drewnianej ramie.

Delikatny powiew przyniósł zapach wisterii i major Angleton uświadomił sobie nagle, że wstrzymywał oddech, choć nie mógłby powiedzieć jak długo. Dłoń trzymająca broń była lepka od potu.

Odszedł od okna, podszedł do wejścia, wciągnął do płuc zimne nocne powietrze, pchnął drzwi i wkroczył do środka. Poeta podniósł wzrok zaskoczony nagłym widokiem uzbrojonego mężczyzny. Ale gdy przyjrzał się twarzy żołnierza, zaskoczenie ustąpiło miejsca niedowierzaniu.

— Jim? — zapytał.

Angleton skinął głową.

— Cóż... jesteś tu po to, by mnie aresztować?

Angleton potrząsnął głową. W ustach miał sucho.

— Sterniku — powiedział, klękając na jedno kolano i opuszczając wzrok. — *Maestro di*

*color che samo... . [Mistrz[u] tych, którzy wiedzą... (Dante. Boska Komedia, Piekło. 4, 131) — o Arystotelesie.]*

8 maja 1945

OD: 15. Grupa Armii

92. Dywizja

OSS, X-2

DO: Głównodowodzący

śródziemnomorskiego teatru działań

PODPISANO: mjr James J. Angleton.

Amerykański pisarz w cywilu EZRA LOOMIS POUND, wspomniany w depeszy FBI nr 1723, oskarżony o zdradę stanu przez wielką ławą przysięgłych, został schwytyany przez włoskich partyzantów 6 maja w Sant' Ambrogio. Przetrzymany jest w Dyscyplinarnym Ośrodku Szkoleniowym MTOUSA [*Mediterranean Theatre of Operations United States Army — śródziemnomorski teatr działań podczas II wojny światowej.*] do czasu otrzymania dalszych dyspozycji. Podjęto wszelkie środki bezpieczeństwa, by nie dopuścić do ucieczki lub samobójstwa. Żadnej prasy. Żadnych przywilejów. I żadnych przesłuchań.

1.

13 grudnia 1998

Londyn

Dunphy, na wpół obudzony, odwrócony plecami do Clementine, skulił się w ciepłej pościeli. Wyczuwał chłód pokoju, witało go szare londyńskie światło przesączające się przez okna niczym chmura. Trudno zgadnąć, jaka to pora. Wczesny ranek. A może późny. Albo popołudnie. W każdym razie sobota.

Wymamrotał coś, że czas wstać (a może jeszcze nie), i słuchał, czy Clementine mu odpowie.

— Mmm — zamruczała, po czym wygięła plecy w łuk i odturlała się od niego. — Śni mi się...

Usiadł, wydając cichy jęk skargi i mrugając powiekami, żeby się rozbudzić. Opuścił nogi na podłogę, przetarł oczy i wstał. Clementine kwiliła i pomrukiwała z tyłu za nim, gdy trzęsąc się, maszerował po zimnej podłodze do łazienki, gdzie umył zęby i pospluwał. Nabrał w skulone dłonie lodowatej wody z kranu i zanurzył w niej twarz.

— Jezu! — wyrwało mu się z krtani. Powtórzył zabieg.

— Chryste! — wyszeptał i biorąc głęboki oddech, potrząsnął głową jak pies.

Mężczyzna w lustrze miał trzydzieści dwa lata i szerokie kwadratowe bary. Sześć stóp wzrostu, zielone oczy i proste czarne włosy. Oczy połyskiwały do niego z odbicia w lustrze, gdy ociekając, ścigał z suszarki ręcznik. A potem przycisnął twarz do puszystej wypukłości białych liter.

*Dolder Grand.*

W tym momencie przypomniał sobie: obiecał Luksemburgowi, że wyśle faks do Credit Suisse z zapytaniem o przelew zagraniczny, z którym coś się stało.

Nie ma sensu się golić, pomyślał. Był weekend. Pobiegnie do pracy, wyśle faks, odwali trochę papierkowej roboty i wróci metrem do domu akurat na lunch. Przeszedł z powrotem do sypialni, wyjął z komody znoszoną bluzę i wciągnął ją przez głowę.

Clementine leżała w pozycji embrionalnej, pozwijana pościel nie okrywała jej zbyt dokładnie. Jej twarz miała zagadkowy wyraz, usta były lekko rozchylone. Dunphy stał przez chwilę w chłodzie cichego pokoju, podziwiając jej nieskazitelną karnację — papierową biel skóry, lekko muśniętą zaróżowieniem, w obramowaniu kaskady ciemnych loków.

Przemknęło mu przez głowę, że chętnie kochałby się z nią teraz, ale chłód zrobił swoje. Dygocząc, wciągnął dresowe spodnie i białe skarpety, po czym wsunął stopy w buty do joggingu. Zawiażując sznurowadła, nie spuszczał wzroku z miękkiego łuku bioder pod nakryciem.

Clementine zmieniła pozycję, przewróciła się na plecy. Dunphy wyprostował się. Może później — chyba że, co było prawdopodobne, ona pójdzie do swojego mieszkania.

Westchnął głęboko, gdy zamykał za sobą drzwi.

Bieganie było dla niego ważne. Choć dobrze mu się żyło w Londynie, towarzyszyło mu stale napięcie nerwowe i niepokój nigdy go nie odstępował. Ciągły lekki stres i nieco podwyższony poziom adrenaliny były konsekwencją — wiedział to — funkcjonowania dzień po dniu w tandetnym przebraniu narzuconym przez fałszywą tożsamość.

Więc biegał.

Pięć razy w tygodniu, około sześciu mil dziennie, tym samym szlakiem ze swojego

mieszkania w Chelsea, obok barek mieszkalnych przy Cheyene Walk, wzdłuż Embankment i przez Albert Bridge. To był niemiły odcinek trasy. Nawet w sobotni poranek powietrze było ciężkie od spalin, jezdnie zatarasowane przez *trucks* — brytyjska nazwa ciężarówek to *lorries*, poprawił sam siebie — i przez taksówki. Do pokonania miał tuzin przecznic, zanim docierał do Embankment, i biorąc to wszystko pod uwagę, wybrał sobie dość niebezpieczny sposób dbania o kondycję. Mimo że od roku był w Anglii Dunphy instynktownie spoglądał w lewo, by sprawdzić, czy coś nie jedzie, a auta nacierały na niego z rykiem klaksonów z prawej strony, rzecz jasna.

Za to środkowa część trasy była urocza. Wiodła przez Battersea Park, wzdłuż południowego brzegu Tamizy, obok niezwyklej pagody. Dalej wśród drzew mieścił się naturalny wybieg dla zwierząt, zbyt uroczy, by nazywać go zoo. Trzymano tam jelenia azjatyckiego, dzikie owce i stado walabii wyglądających zupełnie jak prehistoryczne króliki.

W ciszy i mroku wczesnego poranka walabie przywiodły mu na myśl posągi z Wyspy Wielkanocnej, podobnie jak one nieruchome na tle stoku, patrzące na niego z góry z kamienną obojętnością. Dunphy uśmiechał się, mijając zwierzęta, biegł lekko z uczuciem samozadowolenia narastającym z każdą przebytą milą.

To był półmetek jego biegu, gdzie zwykle zawracał i tą samą drogą ruszał na powrót do domu. Dzisiaj jednak miał biec dalej przez park do Chelsea Bridge, na drugą stronę Tamizy aż do Millbank i w kierunku swojego biura w Gun House.

Pokonywanie codziennie tej samej trasy było niezgodne z zasadami sztuki szpiegowskiej, ale w końcu to Londyn, a nie Bejrut. Biegąc przez park, był całkiem spokojny, nie tylko jako on sam, Dunphy, ale też jako ten, w którego się wcielił.

Lekka mgielka, która wprawdzie nie przechodziła w deszcz, wystarczyła, by nasączyć mu wilgocią bluzę. Słuchał swojego oddechu i krążył myślami wokół Clementine.

Pierwszy raz zobaczył ją trzy miesiące temu, za kasą w księgarni na Sicilian Avenue. W antykwariacie o śmiesznej nazwie — Skoob.

I choć Dunphy nie należał do tych, którzy zaczepiają kasjerki w księgarniach, od pierwszego wejrzenia wiedział, że jeśli z nią nie porozmawia (albo nie poderwie jej, jakby rzekł wprost Merry Kerry<sup>1</sup>, [*Wesoły Kerry.*] czyli jego irlandzkie wcielenie), nigdy sobie tego nie wybaczy.

Nie chodziło o to, że była piękna lub miała najdłuższą szyję, jaką kiedykolwiek widział. To nie tylko to, powiedział sobie. Było coś jeszcze, ta słodka naiwność, która wzbudziła w nim poczucie winy, bo musiał wystąpić pod przykrywką, więc gdy wyszeptła jego imię, to nie było jego prawdziwe imię, lecz przybrane. Wynagrodzi jej to jakoś, mówił sobie, choć nie bardzo wiedział, w jaki sposób. Już przy Grosvenor Road, z myślami w rajskim ogrodzie między pępkiem a kolanami Clementine, Dunphy spojrzął w lewo i... wtargnął na jezdnię, uruchamiając orkiestrę klaksonów i piszczących hamulców, co poderwało go do odruchowego sprintu. Kolumna samochodów, taksówek, autobusów i ciężarówek nadjeżdżających z prawej gwałtownie się zatrzymała i rozległy się przekleństwa.

Dunphy pomachał kierowcom, grożąc czy przepraszając, i biegł dalej zły na siebie za nieuwagę. Musisz być ostrożny, pomyślał. W twoim zawodzie niezwykle łatwo o niemiłe niespodzianki.

## 2.

Dunphy dokładnie wiedział, co i kiedy przyprawia go o dreszcz niepokoju.

Siedział przy swoim biurku przed monitorem komputera i pisał list do Credit Suisse, gdy rozdzwonił się telefon: krótkie, urywane, wściekłe impulsy, które przypomniały mu, że jest w Anglii, a nie w Stanach. Podnosząc słuchawkę do ucha, Dunphy usłyszał drżący głos Tommy'ego Davisa na tle lotniskowych komunikatów o odlotach.

*British Airways, lot 2102...*

— Ja...ack? — pytał Tommy.

To wtedy, dokładnie wtedy, Dunphy poczuł przechodzące po ciele ciarki. Początkowo delikatne.

*...do Madrytu.*

— Ja...aa...ack?

Chryste, pomyślał Dunphy. Trzy sylaby ze wznoszącą się intonacją. No to mamy pasztet.

*Syrian Arab Airlines...*

Nawet gdyby Tommy mówił normalnie, nie było powodu, żadnego dobrego powodu, żeby dzwonił. Skończyli robotę i Tommy dostał zapłatę. Na tym powinien być koniec.

— Jack! Na miłość boską! Odezwij się do mnie! Jesteś tam, stary?

— Jestem. Co się stało?

— Mamy drobny problem — powiedział Tommy, powściągliwie, bezbarwnie, z wyraźnym irlandzkim akcentem. — Sam dopiero o tym usłyszałem. Przed godziną.

— Rozumiem — odparł Dunphy, wstrzymując oddech. — A co to za mały problem, który poniósł cię aż na lotnisko?

— Sam możesz posłuchać. Mówią o tym w BBQ — To już nie były ciarki, bo nagle Dunphy poczuł się tak, jakby obdzierano go ze skóry i siedział niczym zewłok na obrotowym krześle od Harrodsa.

Głęboki wdech. Dwa razy zamrugał powiekami, poprawił się na krześle i przysunął usta do mikrofonu słuchawki. Już siedział nienagannie wyprostowany, głos miał cichy, chłodny.

— Tak się składa, że nie mam w biurze radia. O czym mówimy? O co chodzi?

— O naszego profesora.

— Co z nim?

— Biedny człowiek... Obawiam się, że został ranny.

— Został ranny.

— To znaczy... nie żyje.

— Czy to był wypadek, Tommy?

— Wypadek? Nie, raczej nie. Nie w takich okolicznościach. Nie, skoro ma odcięte jaja... nie sądzę.

— Jaja...

— Muszę zdążyć na samolot. Gdybyś mnie potrzebował, będę pił w barze Frankiego Boylana. Tam możesz mnie złapać.

Potem zapadła cisza, a Dunphy nie poczuł się najlepiej.

Francis M.S. Boylan był twardym facetem, który odsiedział w Maze za serię napadów na bank zorganizowanych z Tommym. Nie wiadomo, czy te napady miały podłoże polityczne, czy nie (policja określiła je jako zbieranie funduszy dla IRA), ale Boylan zdołał odłożyć z tego dość



na kupienie małego biznesu. Baru z widokiem na plażę nudystów, w Playa de las Americas, na południowym wybrzeżu Teneryfy. Tommy i jego kumple zaszywali się u niego, gdy nie byli w stanie poradzić sobie z problemami — to znaczy, gdy nie dało się ich rozwiązać przy pomocy prawników albo za pomocą broni czy pieniędzy (lub kombinacji tych trzech metod). Krótko mówiąc, Broken Tiller był schronieniem na Atlantyku, dwieście mil od wybrzeża Afryki i prawie tysiąc na południe od Skały Gibraltarskiej, czarna dziura w dwudziestym wieku.

Diabli nadali, pomyślał Dunphy. Kanary. Teneryfa. Jego jaja.

Ścisnęło go w żołądku, skręciło, ścisnęło raz jeszcze. BBC o tym mówi.

Bezwiednie ogarnął wzrokiem pokój. Trzecie piętro bez windy, obskurna reduta wśród brudów Millbank. Ale ją lubił. Widok za oknem skropionym deszczem był ponury i przygnębiający: ceglana ściana, skrawek szarego nieba, łuszczący się, wyblakły billboard. Napis: ROTHMANS CIGARETTE.

Dunphy rzucił palenie prawie rok temu, ale w górnej szufladzie biurka miał, zapamiętał to, paczkę zwietrzałych silk cuts. Bez zastanowienia wyciągnął z niej papierosa. Zapalił i zaciągnął się. Przez moment nic się nie działo, a po chwili miał wrażenie, że zacznie lewitować. Potem zakasłał.

Nie ma powodu do paniki tylko dlatego, że Tommy tak uważa. Patrząc na sprawę obiektywnie, było jednak faktem, iż Dunphy zapłacił Tommy'emu za zainstalowanie nadajnika firmy Infinity w telefonie profesora. Zostało to wykonane i urządzenie działało przeszło miesiąc. Rzeczywiście profesor został zamordowany, a przynajmniej na to wyglądało, ale nie było powodu uważać, że jego śmierć ma jakikolwiek związek z akcją podsłuchową. Najwyraźniej, powiedział sobie Dunphy, to jakiś straszny zbieg okoliczności.

Kłopotliwy, prawda, ale...

Takie.

Rzeczy.

Zdarzają się.

Tyle tylko, Dunphy dobrze to wiedział, nie zdarzają się w Anglii, a jeśli już, to nie w ten sposób. Gdyby profesor został załatwiony przez profesjonalistów, antyterrorystów z SAS [*Special Air Service — tajna jednostka specjalna armii brytyjskiej używana do akcji antyterrorystycznych.*] czy innej jednostki tego typu, byłyby dwa strzały w czapę i jeden w pierś — i po sprawie. Tymczasem, jeśli Tommy się nie mylił, ten biedak został wykastrowany — a to sugerowało morderstwo na tle seksualnym lub coś podobnego.

Dunphy wpatrywał się w spływające po szybie smugi sadzy, gdy telefon zadzwonił po raz drugi, stawiając go na baczność. Nie chciał odbierać. Jego żołądek kamieniał się w balon powoli wypełniający się powietrzem i podchodzący do gardła. Dzwonek telefonu wwiercał mu się w uszy raz po raz. Wreszcie Dunphy podniósł słuchawkę i trzymał ją przed sobą jak węża.

— Halo? — pip... pip... pip... pip telefonu publicznego, dźwięk spadających monet, a potem: — Wymiataj.

To Curry, pomyślał Dunphy, choć z trudem rozpoznawał głos, który dochodził do niego jako kontinuum zdławionych, urywanych impulsów transmitowanych w czasie rzeczywistym.

— Jedź-do-domu! /I-to-już !/Czy-mnie-rozumiesz?

Jezu, pomyślał Dunphy, dzwoni z automatu i zakrywa mikrofon chusteczką.

— Chyba musimy porozmawiać — powiedział Dunphy.

— Wracaj do domu.

— Którego domu?

— Gdzie twoje miejsce, za ocean.

— Co?!

— Zbieraj się. Natychmiast. Nie zawracaj sobie głowy pakowaniem i nie idź do swojego mieszkania. Posłałem ekipę sprzątającą, będą tam za pół godziny. Za kilka dni wyślą ci rzeczy.

Dunphy był oszołomiony.

— Jest sobota — zauważył. — Mam na sobie dres. Nie mam nawet paszportu. Niby jak...

— Słuchałeś wiadomości? Chodzi mi o to, czy słuchałeś wiadomości o dziesiątej?

— Tak... no, niezupełnie. Zadzwoił mój znajomy Irlandczyk i... ale słuchaj, Jesse, ja mam tu swoje życie! Miejże litość! Nie mogą tak po prostu...

— Mielicie posprzątać!

— Posprzątałismy. To znaczy on to zrobił, mój człowiek. Kazałem mu tam pójść... kiedy to było? Przedwczoraj.

— Znaleźli urządzenie.

— Co takiego?!

— Powiedziałem, że policja znalazła urządzenie. — Nastąpiła chwila ciszy i Dunphy mógł usłyszeć, że Jesse Curry miał przyspieszony oddech. — Posłuchaj mnie, stary. Są tam ludzie... policjanci... którzy nawet teraz, w trakcie naszej rozmowy... próbują dojść, czyje to urządzenie. Robią do-cho--dzenie i wydaje mi się, że mają nazwisko. Rozumiesz, co do ciebie mówią?

— Jasne.

— A więc ile czasu według ciebie potrzebuje MI-pięć, [*Brytyjska agenda rządowa do spraw kontrwywiadu.*] żeby znaleźć tego twojego irlandzkiego sukinsyna i od niego dotrzeć do ciebie? Dzień? Dwa?

— Nie znajdą go. Już go nie ma w kraju.

— Dobrze. Tego samego oczekują od ciebie. Nie wracaj do mieszkania. Odlatuj pierwszym rejsem.

— Ale jak, do cholery? Mówiłem ci, że w biurze nie mam nawet paszportu.

— Wyślą kuriera do hali przylotów. Terminal numer trzy, tuż przy przejściu „Nic do oclenia”. Bądźcie trzymał karton z nazwiskiem... — Curry przerwał i Dunphy prawie słyszał, jak trybiki pracują tamtemu w mózgu. — ...Mister. Torbitt. Rozglądaj się za nim.

— A potem co?

— Bądźcie miał wszystko, czego ci trzeba: paszport...

— Gotówkę...

— ...bilet do Stanów i walizkę pełną czyichś ciuchów. Pewnie jego.

— A po co mi cudze ciuchy?

— Kiedy ostatnio widziałeś kogoś, kto leci przez Atlantyk bez bagażu?

— Posłuchaj, Jesse...

Pip... pip... pip. Automat żądał kolejnej monety.

— Wracaj do domu!

— Słuchaj, według mnie to nie najświetniejszy pomysł!

Pip... pip.

— To właśnie masz zrobić.

— Ale...

Pip... pip.

— Nie mam więcej monet.

Po drugiej stronie dał się słyszeć jakiś stukot, zduszone przekleństwo, odległe buczenie i na tym koniec. Jesse Curry był poza zasięgiem.

Dunphy rozparł się na krześle, otepiał. Nabrał pełne płuca dymu, przetrzymał go chwilę i wypuścił. Pochyliwszy się do przodu, zdusił papierosa w popielniczce i wgapił się w ścianę.

Nie idź do swojego mieszkania. Posłałem ekipę sprzątającą...

Ekipa sprzątająca. A co z Clementine? Czy jeszcze śpi? Czy wywiozą ją na wózku razem z praniem? Złapał za telefon, wybrał swój własny numer i czekał. Sygnały były przeciągłe, przenikliwe, rozdzielane długimi przerywnikami martwych trzasków. Po minucie, która wydawała się godziną, odłożył słuchawkę, dochodząc do wniosku, że Clem poszła do siebie. Czy powinien tam do niej zadzwonić?

Potrząsnął głową, mamrocząc pod nosem, że Clementine jest zbyt ważna, aby sprawy z nią załatwiać w biegu. Poza tym cała operacja się zawaliła i były istotne rzeczy do zrobienia — przez niego samego. W końcu po sprząta po sobie osobiście. Swoimi „śmieciami” zajmie się własnoręcznie.

Wzdychając, przysunął manipulator kulkowy bliżej klawiatury i kliknął *Start*. Następnie kliknął *Zamknij*, a za trzecim razem *Ponownie uruchom komputer w trybie MS-DOS*. Potem pochylił się nad klawiaturą i rozpoczął operacją cybernetycznego ekwiwalentu lobotomii.

### **CD/DOS**

Przeszył go dreszczyk emocji niczym spadochroniarza, który po raz pierwszy robi krok w przestrzeni. Co ma być, to bądzie... nic:

### **DEBUG**

### **G=C800:5**

Komputer zaczął zadawać serią pytań, na które Dunphy odpowiadał rutynowo, z klawiatury. Po chwili twardy dysk zaczął zgrzytać. Dunphy czekał, paląc papierosa, i wiek chyba minął, gdy wreszcie zgrzytanie ustało i pojawił się komunikat:

### **FORMATOWANIE SKOŃCZONE**

Maszyna była w stanie śmierci mózgowej, kursor mrugał smątnie. Dunphy się spocił. Roczna praca rozplynęła się w niebycie.

A potem, żeby mieć pewność, że w niebycie pozostanie, uruchomił program *Disk Wipe*, nadpisując każdy bajt na twardym dysku cyfrą 1.

Komputer był głównym problemem, z którym musiał się uporać, ale pozostało jeszcze parą drobiazgow, w tym kilka listów czekających na wysłanie. Większość tej korespondencji nie miała istotnego znaczenia, ale jeden list był ważny. Zaadresowany do klienta o nazwisku Roger Blémont, zawierał szczegóły dotyczące dopiero co otwartego konta bankowego na Jersey, największej z Wysp Normandzkich. Bez tego listu Blémont nie będzie mógł podjąć pieniędzy, a tak się składało, że było ich dużo.

Dunphy zamyślił się. A gdyby tak Blémont poczekał sobie na te pieniądze? Nic złego by się nie stało, nawet wręcz przeciwnie. To przecież nieuczciwie zdobyte fundusze i przeznaczone na nieczne cele. Niemniej, rozważał dalej, choć to nieuczciwie zdobyte pieniądze, ale są Blémonta i...

Nie, nie miał czasu myśleć o tym gównie. Nie teraz. Świat się wokół niego rozpadał. Wrzucił więc listy do aktówki z mglistym zamiarem wysłania ich z lotniska. Wyciągnął z górnej szuflady biurka wysłużony organizator firmy Filofax, wsunął go do aktówki i podniósł się z krzesła. Przeszedł na drugą stronę pokoju do odrapanej szafy z aktami, w której trzymał dokumenty związane z działalnością pod przykrywką — korespondencję biznesową i segregatory spółek. W większości były to papiery, które spokojnie mógł zostawić.

Ale było też kilka teczek, które uważał za poufne. Jedna zawierała kartki z zeszłorocznego terminarza spotkań. Inna rachunki Tommy'ego Davisa za „usługi śledcze”. W kolejnej przechowywał rachunki za wydatki „na cele reprezentacyjne”, w tym na regularne spotkania z

Currym, jakieś lunche z legatem FBI i koordynatorem misji DEA [*Drug Enforcement Administration — Amerykańska Rządowa Agencja do Walki z Narkotykami.*]

na Zjednoczone Królestwo. Te i inne poufne teczki, choć rozproszone w czterech szufladach szafy z dokumentami, można było łatwo i szybko znaleźć, bo tylko one miały niebieskie nalepki.

Wyjmował jedną po drugiej oznaczone teczki, tak że powstał stosik o wysokości pięciu, może sześciu cali. Gdy skończył, zgarnął go i ruszył do starego wysłużonego kominka, kucnął przy nim i rozłożył teczki na podłodze. Gdy rozsuwał na boki imitacje płonących polan, przyszło mu do głowy, że nikt nie rozpalał tu ognia od ponad trzydziestu lat, od kiedy to dzięki ogłoszeniu ustawy o czystym powietrzu nastąpił kres produkowania w Londynie mgielnej zawiesiny, zwanej tu grochówką.

Ale do diabła z tym. Istniało realne zagrożenie, że zostanie oskarżony o zakładanie podsłuchu i być może uznany za współwinnego morderstwa. Była też sprawa szpiegostwa — nie mówiąc o praniu brudnych pieniędzy. Więc jeśli zostanie przyłapany na zanieczyszczeniu środowiska, to co?

Dunphy sięgnął do kominka, gmerał tam po omacku, aż trafił na uchwyt, za który szarpnął i z niemałym wysiłkiem otworzył przewód kominowy. Zebrał papiery, na kracie kominkowej poustawiał tekturowe teczki na sztorc, jedna oparta o drugą, tak że utworzyły coś na kształt indiańskiego tipi, po czym podpalił tę konstrukcję w rogach. Pokój się rozjaśnił. Ogień, pomyślał Dunphy, to naturalny sposób niszczenia dowodów.

Przez chwilę grzał ręce, potem wstał. Wrócił do biurka, wyjął górną szufladę i położył ją na podłodze. Pogrzebał w zawartości i wydobył kopertę z grubego szarego papieru. Rozpieczętował ją i wyjął mikrokasetę z nagraniem.

Tommy dał mu ją poprzedniego dnia. Była to ostatnia z jedenastu kaset audio, plonu pięcioletniej inwigilacji. Dunphy miał oddać tę kasetę Curry'emu podczas ich następnego spotkania, ale teraz... co robić? Mógł ją stopić w ogniu, wysłać Curry'emu pocztą albo zabrać do Langley i pozostawić decyzję Agencji. [*Centralna Agencja Wywiadowcza.*]

Decyzja była trudna, bo tej inwigilacji nie rejestrowano; była to cicha operacja szefa stacji. Dunphy nie odsłuchiwał tych taśm, więc nie miał pojęcia, co na nich jest ani jakie ryzyko może się z nimi wiązać. I nie chciał wiedzieć. W swoim przekonaniu był tylko pośrednikiem i nikim więcej: wynajął Tommy'ego do założenia podsłuchu w domu profesora i dwa razy w tygodniu dostarczał produkt Curry'emu. Wyświadczył przysługę szefowi stacji, to wszystko.

Jednakże... Jesse Curry nie robił na Dunphym wrażenia mocnego faceta. Niezupełnie. A właściwie w ogóle nie. W gruncie rzeczy, pomyślał Dunphy z rosnącą podejrzliwością, Curry robi wrażenie kutasa, który najlepiej czuje się w towarzystwie jeleni.

A przecież nie na kozła ofiarnego wychowywała swojego syna matka Dunphy'ego.

Zapakował więc taśmę z nagraniem do koperty Jet-Pak, zamknął zszywkami i zaadresował do siebie:

K. Thornley  
c/o F. Boylan  
The Broken Tiller  
Playa de las Americas  
Tenerife, Islas Canarias  
España

Przylepił na kopercie znaczek za dwa funty, rzucając ostatnie spojrzenie na pokój.  
Im mniej Curry wie, tym mniej go zboli.  
A przynajmniej takie założenie przyjął Dunphy.

### 3.

Aby dostać się metrem na lotnisko, Dunphy potrzebował dokładnie półtora funta. Znalazł je w dolnej szufladzie biurka, gdzie od miesięcy wrzucał jedno-, pięcio- i dziesięciopensówki. W szufladzie uzbierało się, jak sądził, około dwudziestu funtów drobnymi, ale cokolwiek ponad niezbędną sumę było bezużyteczne, bo jego spodnie od dresu nie miały kieszeni. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrzucić monet do aktówki, ale... nie. Ten pomysł był niedorzeczny.

Wziął tyle, ile potrzebował, a potem poszedł szybko do stacji metra na Liverpool Street. Mając na sobie obszarpany dres i zniszczone buty Nike, nie wątpił, że rzuca się w oczy jako Amerykanin. A na dodatek, biorąc pod uwagę okoliczności, bardzo zdenerwowany.

Pociąg toczył się pod ziemią przez miasto piętnaście minut, a potem ze stukotem wynurzył się na pępeknych zachodnich przedmieściach. Dunphy, więzień własnej rozterki, nie rejestrował niczego podczas tej jazdy, do momentu gdy z przyczyn, których nikt nie pofatygował się wyjaśnić, pociąg stanął nie-planowo niedaleko Hounslow — gdzie utknął na torach na osiem minut i pozgrzytując, czekał znieruchomiały w łagodnym deszczu.

Dunphy czuł się jak diabeł w pudełku, skulony w sobie, gotowy wyskoczyć przez dach. Gapiąc się przez zapyziałe okna na rozmokłe boisko do piłki nożnej, był na pół przeświadczony, że policja idzie od wagonu do wagonu i go szuka. Ale pociąg szarpnął i ruszył dalej. Kilka minut później Dunphy wmieszał się w tłum w hali przylotów terminalu numer trzy.

Kuriera dostrzegł z odległości dwudziestu jardów. Był to wysoki, muskularny młody mężczyzna w tanim czarnym ubraniu i motocyklowych butach — punk z Camaby Street, z dziobatą cerą i kruczoczarnymi włosami, przystrzyżonymi tak krótko, że zaledwie cieniem pokrywały czaszkę. Czekał bez ruchu w tłumie osób witających i kręcących się szoferów, dokładnie tam, gdzie powiedział Curry. Stał jak wrośnięty w ziemię i tylko oczy wędrowały mu na boki, co przywiodło Dunphy'emu na myśl wiersz Wallace'a Stevensa, *Thirteen Ways of Looking at a Blackbird*, [Trzynaście sposobów widzenia czarnego ptaka (ang. *blackbird* to nazwa obejmująca wszystkie krukowate).] w którym

Jedyną rzeczą, jaka się poruszała,  
Było oko czarnego ptaka.

Dunphy podszedł bliżej. Kurier trzymał na wysokości piersi znak rozpoznawczy z liter wyciętych z szablonu: MR TORBITT. Na odsłoniętych przegubach rąk, na jednym i drugim, Dunphy zauważył wykropkowaną, nierówną niebieską linię — dzieło tatuażysty amatora (prawdopodobnie samego chłopaka). Wiedział, że gdyby przyjrzał się dokładniej, zauważyłby słowa *Cut Here*<sup>2</sup> [Tnij tutaj — tytuł kultowej piosenki angielskiego zespołu *The Cure*.] nakłute na skórze nadgarstków.

A to znaczy, że kurier był idealny: chłopak z londyńskiej ulicy.

Dunphy aż się uśmiechnął. Skąd, na Boga, Curry ich bierze, zastanawiał się. Skąd ma takie dzieciaki jak ten tutaj. Tak zwyczajnie wyglądający, że prawie niewidzialny.

— Jessie mówił, że będziesz miał coś dla mnie.

Młody człowiek odwrócił się ku niemu z uśmiechem, odsłaniając krzywiznę szarawych

zębów. Wizytówka państwowej służby zdrowia.

— Ach! Szef we własnej osobie — powiedział. — Tu jest pana wyprawka i jeszcze do tego to. — Wręczył mu dużą szarą kopertę, która, jak Dunphy wiedział, zawierała pieniądze, bilety i paszport.

— Dzięki.

Młodzieniec uniósł się na palcach nóg i zakołysał, wyszczerzając w uśmiechu szare uzębienie.

— Cholernie miłego dnia—rzekł. I już go nie było, tylko jego głowa podskakiwała w tłumie jak czarna niepodkręcona bila.

Po otwarciu koperty Dunphy sprawdził na bilecie numer lotu, a potem zerknął na tablicę odlotów. Mając godzinę oczekiwania, dla zabicia czasu poszedł poszukać gazety i teraz trzymał ją w ręku. MASAKRA W CHELSEA! ZAMORDOWANO PROFESORA KING'S COLLEGE!

Czuł, jak żołądek leniwie podpływa mu w górę do klatki piersiowej. Artykuł zajmował pierwszą stronę i udramatyzowana była szerokim na cztery kolumny zdjęciem policji oraz przechodniów gapiących się na nosze wsuwane do karetki. A na noszach wyjątkowo mały ciężar, na oko wielkości dużego psa, przykryty białym, poplamionym krwią prześcieradłem.

Zgodnie z relacją profesor Leo Schidlof został znaleziony w obrębie Inns of Court około czwartej nad ranem przez pijanego studenta prawa. Tułów ofiary — na tych słowach Dunphy zatrzymał się — leżał na trawniku w pobliżu Inner Temple Church.

Dunphy podniósł wzrok znad gazety. Znał ten kościół. Co więcej, znał ten skwer przed nim. Okrągły kościółek w sercu prawniczej dzielnicy Londynu, niedaleko Fleet Street. Prawnik Dunphy'ego miał biura tuż w pobliżu, na Middle Temple Lane. Idąc na spotkanie z nim, Dunphy raz lub dwa razy w miesiącu przechodził obok tego kościoła.

Budowla trochę straszyla, jak większość anachronizmów.

To powinno mu wystarczyć, żeby ustalić scenerię, ale Dunphy nie powstrzymywał biegu myśli. Włączył mechanizm zaprzeczania — im bardziej skupiał się na Inner Temple, tym dłużej mógł nie wracać do artykułu w gazecie.

Świątynia pochodzi z trzynastego wieku albo coś koło tego. Była zbudowana dla templariuszy. A oni, oczywiście, mieli coś wspólnego z wyprawami krzyżowymi. (A może nie?).

Dunphy zastanowił się nad tym. Tak, tak było. Więcej jednak nie wiedział. Wrócił do artykułu, mając nadzieję, że kolejny zabytek odwróci jego uwagę od treści. Zamiast tego dotarł do fragmentu o policyjnych źródłach, „niezidentyfikowanych źródłach policyjnych”, które donosiły, że profesor King's College został poćwiartowany, prawdopodobnie żywcem. Kawałek skóry szerokości około trzech cali był zdarty wzdłuż kręgosłupa od odcinka lędźwiowego po kark. Genitalia zostały odcięte, a odbytnica „chirurgicznie usunięta”.

Oczy Dunphy'ego odwróciły się od tej strony. Jezus Maria i Józefie, pomyślał. Co to ma być, do cholery? Zamroczyła go ta historia. A gdzie są ręce i nogi tego nieszczęśnika? Ale niewiele więcej wyczytał. Policja nie umiała wyjaśnić, w jaki sposób kadłub został podłożony tam, gdzie go znaleziono, na trawniku otoczonym kutym żelaznym ogrodzeniem, niedaleko nabrzeża Tamizy.

I to wszystko. Artykuł kończył się informacją, że Schidlof był popularnym wykładowcą na wydziale psychologii King's College i że w chwili śmierci pisał biografię Carla Junga.

Dunphy wyrzucił gazetę do kosza i poszedł stanąć w kolejce do stanowiska TWA. Nie chciał myśleć o Leo Schidlofie. Nie teraz — a może już nigdy. Nie był winny śmierci Schidlofa i gdyby miał coś na ten temat powiedzieć, to tyle tylko, że to w ogóle nie jego interes. W każdym razie miał swoje własne problemy. Popychając walizkę nogami, otworzył szarą kopertę i wyjął paszport z intencją zapamiętania danych.

Spotkało go jednak bardzo niemiłe zaskoczenie, gdyż żadne zapamiętywanie nie było potrzebne. Paszport był na jego nazwisko — jego prawdziwe nazwisko — co znaczyło, że konspiracja została złamana, a operacja — jego operacja — zakończona. Na pierwszej stronie paszportu był tylko jeden stempel dokumentujący, że niejaki John Edwards Dunphy — nie do wiary, ale jednak Dunphy! — przekracza granicę Anglii z zezwoleniem na pobyt nie dłuższy niż sześć miesięcy. Stempel był oczywiście fałszywy i wynikało z niego, że właściciel paszportu przebywa w tym kraju zaledwie od siedmiu dni.

Odkrycie, że jego przykrywka została tak beztrąsko zdjęta, odebrało mu dech. Przez trochę ponad rok żył w Londynie jako Irlandczyk, Kerry Thornley. Oprócz Jessego Curry'ego jedyną osobą znającą jego prawdziwe imię był Tommy Davis. Ten miał w sobie za dużo irlandzkiej krwi, by dać się nabrać na bajeczkę o Irlandii. Po tygodniu współpracy połapał się, że jego nowy przyjaciel, i od czasu do czasu pracodawca, Merry Kerry, był faktycznie amerykańskim biznesmenem podejrzanego autoramentu, a na imię miał Jack.

Tymczasem wizytówka Dunphy'ego określała Thornleya jako prezesa firmy:

Angloirlandzkie Doradztwo Biznesowe,

Publiczna Spółka Akcyjna

Gun House

Millbank

London SW1

Ta fałszywa tożsamość stała się drugą skórą Dunphy'ego, czyniąc go nietykalnym w ryzykownej sytuacji. Ponieważ Thornley był zmyślony, był fikcją wygenerowaną przez komputer w podziemiach centrali w Langley, Dunphy nie mógł ponosić konsekwencji czynów Thornleya — co znaczyło, że Dunphy jako Thornley miał taką swobodę działania, jaką nigdy nie mógłby się cieszyć Dunphy jako Dunphy.

Tracąc tak nagle swój immunitet, został pozbawiony osłony w momencie, kiedy czuł się najbardziej zagrożony. Nieświadomie zaczynał zapadać się znowu w swoje prawdziwe ja, to znaczy dowcipkujący Irlandczyk — Merry Kerry — ustępował miejsca bardziej powściągliwemu, zafrasowanemu Amerykaninowi Jackowi Dunphy'emu.

Minęło jeszcze dwadzieścia minut, zanim znalazł się na początku kolejki, a wtedy już bolały go nogi i pękała z bólu głowa. Zaczynało powoli do niego docierać, że w ciągu jednego poranka stracił prawie wszystko, na czym mu zależało, w tym Clementine!

Clementine! Jezus Maria, pomyślał, a co z Clem?



#### 4.

Dziewięć godzin później Dunphy wpisał się do księgi w Ambassadors Club na drugim piętrze hali B międzynarodowego lotniska im. Johna F. Kennedy'ego. Klub był prawie pusty. Postawiwszy niedbale walizkę obok wysłużonej skórzanej kanapy, złapał garść precli i zamówił whisky Bushmills u przechodzącej kelnerki, po czym poszedł do kabiny telefonicznej, żeby zadzwonić na telefon kontaktowy do dyżurnego w Langley.

Telefon zadzwonił dwa razy, tak jak zawsze, a potem odezwał się głos młodego mężczyzny.

— Halo!

Niezmienna rutyna.

— Tu... — Zawahał się jak zawsze, kiedy reguły wymagały użycia kryptonimu. To było żenujące. Dorośli mężczyźni bawiący się w przewiska. — Obój — dokończył. — Jest coś dla mnie?

Po drugiej stronie była cisza, a potem:

— Tak, sir. Mam pana zapisanego na ósmą rano w centrali.

— To znaczy... w poniedziałek.

— Nie, sir. Jutro.

Dunphy jęknął.

— Rozumiem, że ktoś chce pana pilnie zobaczyć.

— Dopiero przyleciałem — poskarżył się Dunphy. — Nie mam ubrań. Nie przestawiłem się na tutejszy czas, jestem skonany. Nie mam nawet gdzie się zatrzymać.

— Mogę polecić kilka...

— Jutro jest niedziela, na miłość boską. Nikogo nie będzie w biurze. Wszyscy będą... — Dunphy szukał odpowiedniego określenia — uczestniczyć w modlitwie. Ja będę w kościele. Będę się modlił cały dzień.

— Tu napisano niedziela, sir. Ósma rano. Może pójdzie pan na późniejszą mszę.

— Nie wkurzaj mnie, dzieciaku.

— Ja tylko przekazuję wiadomości, sir.

Dunphy się rozłączył i wybrał numer 800 Marriotta. Wziął pokój na weekend w hotelu w Tysons Comer, a potem zadzwonił do Hertza. Gdy to załatwił, połączył się z operatorką i podał jej numer do mieszkania Clementine w Bolton Gardens.

— Kerry?

Nie mógł wykrztusić słowa.

— Kerry? Gdzie jesteś?

— Cześć, Clem. Jestem...

— Gdzie jesteś?

— W podróży. Coś nagle wypadło. W ostatniej chwili.

— O, no dobrze... w takim razie gdzie jesteś?

Ta dziewczyna była bardzo konkretna.

— Jestem w Stanach. W Nowym Jorku. Na lotnisku Kennedyego. W Ambassadors Club. W kabinie drugiej.

— Poirytowany, jak słyszę?

— Może... tak... to był długi dzień.

— No więc... kiedy wracasz?

— W tym właśnie problem. Nie wiem. To może potrwać... chwilę.

— O nieee!

— Hej... słuchaj, nie mogę przeciągać rozmowy... chcę jeszcze gdzieś zadzwonić. Ale jedno muszę wiedzieć... Czy ktoś był rano w mieszkaniu?

— Nie, póki tam siedziałam. Dobrze się czujesz?

— Tak, oczywiście. Bo co?

— Mówisz jakoś nie tak.

— Dlaczego?

— Po pierwsze — zaśmiała się — złapałeś amerykański akcent.

Dunphy wywrócił oczami i zaczął mówić z irlandzkim, dobrze wyćwiczonym.

— Nic na to nie poradzę, kochanie. Jestem urodzonym komediantem. Ale teraz chcę ci powiedzieć coś ważnego. Musisz zrobić to, o co poproszę. Wszystko ci później wyjaśnię.

— Pieprzę to!

Dunphy był zaskoczony.

— Dlaczego? Jeszcze nic nie powiedziałem.

— Bo „wszystko ci później wyjaśnię” zawsze wróży kłopoty.

— No dobrze, ale chciałbym, żebyś... proszę cię... trzymaj się z dala od mojego mieszkania.

— Co?

— Trzymaj się z dala od mojego mieszkania, dopóki się nie zobaczymy.

— Dlaczego?!

— Po prostu trzymaj się z dala. To ważne.

— Ale tam są moje rzeczy. Czemu nie mogę tam pójść? Zostawiłam swoje kosmetyki.

Czyżby był ktoś inny?

— Nie bądź głupia.

— Więc dlaczego mam omijać to mieszkanie?

— Po pierwsze dlatego, że mnie tam nie będzie. A po drugie...

— Tak? Co takiego?

— Jest niebezpieczne.

— „Niebezpieczne”?

— Clem... zaufaj mi.

Kiedy się rozłączył, wszedł z powrotem do klubu, znalazł krzesło i usiadł, żeby podsumować straty i pomyśleć. Przyglądał się startującym samolotom. I tym lądującym. A kiedy przechodziła kelnerka, zamówił drugą ze zbyt wielu, jak się potem okazało, irlandzkich whisky.

Nikt nigdy przedtem nie porzucił Clementine. Był tego pewien. Musiałby być rąbnięty.

## 5.

Przy Chain Bridge Dunphy wziął ostry skręt w prawo i ślimakiem zjechał z G.W. Parkway w Dolley Madison Boulevard. Skierował t-birda na zachód i jechał około mili, po czym skręcił w prawo w długą, wysadzaną drzewami aleję prowadzącą do kompleksu budynków CIA. Potężnego wzrostu czarnoskóry strażnik wyszedł z wartowni z uśmiechem i podkładką w rękę.

— Brrydzień — powiedział — jest pan umówiony?

— Jack Dunphy. Już się trochę spóźniam.

Strażnik zerknął w podkładkę, przeszedł na tył samochodu, zanotował numer rejestracyjny i wrócił do okna kierowcy.

— Muszę obejrzyć dokumenty z wypożyczalni — powiedział, wskazując wzrokiem znaczek Hertza na przedniej szybie. Dunphy podał mu papiery i przyglądał się, jak ten skrupulatnie i z niezwykłą starannością przepisuje informacje na swoje kartki. Tak jakby rysował litery, zamiast pisać.

Nie żeby Dunphy'emu się spieszyło. Powietrze było czyste, chłodne, orzeźwiająca — dokładnie tego mu było trzeba. Ogólnie rzecz biorąc, lubił bywać w centrali. To miejsce miało posmak jakiegoś małego college'u na północy stanu Nowy Jork. Zespół architektonicznie obojętnych dla oka budynków, mniej czy bardziej nowoczesnych, niewidoczny z drogi, usytuowany na stu akrach zieleni trawników i drzew, terenie naszpikowanym ukrytymi kamerami i antenami dipolowymi.

— Dzięki — rzekł strażnik, oddając dokumenty. — Wie pan, gdzie podjechać?

— Bez problemu.

— Dziś można zaparkować prawie wszędzie.

— Świetnie — powiedział Dunphy, wrzucając bieg.

— Prawie nikogo nie ma tu w niedzielę.

Dunphy skinął głową, udając zainteresowanie.

— Aż człowiekowi dziwnie — dodał strażnik.

Potem szlaban się podniósł i Dunphy pozwolił t-birdowi potoczyć się naprzód.

Jadąc przez parking, zdumiewał się, nie po raz pierwszy, dominacji chevroletow corvett i zaskakującej mieszance nalepek na zderzakach.

REAGAN w '84 GREENPEACE FREE OJ.!

BUSH w '85 SAVE THE BALES!

Przejechał obok statui Nathana Hale'a, zaparkował na miejscu oznaczonym DYREKTOR i wysiadł przed budynkiem dowództwa.

W atrium oczekiwała go drobna blondynka, która stała w rozkroku dokładnie nad orłem w ogromnej pieczęci CIA, wytłoczonej w marmurowej posadzce.

— Pan Dunphy?

Skrzywił się, czym sprowokował cień wątpliwości na jej twarzy.

— Jack Dunphy?

— Tak — odpowiedział. — Czasami.

— Proszę przypiąć to do klapy — wręczyła mu laminowany identyfikator żółtego koloru. — Zaprowadzę pana.

Dunphy zrobił to, co mu kazała, ale nie był zadowolony. W centrali obowiązywał wymóg, żeby każdy, od dozorca po inspektora generalnego, nosił w widocznym miejscu identyfikator.

Oznakowanie kolorami identyfikatorów oraz wszystkich holi i korytarzy w budynkach pełniło funkcję prostego kodu: kolorowy pas wzdłuż każdego korytarza pozwalał funkcjonariuszom ochrony natychmiast zorientować się, że ktoś znajduje się w miejscu, gdzie być nie powinien.

Z niebieskim identyfikatorem można było wejść praktycznie wszędzie, z czerwonym tylko do budynku A, a zielony miał jeszcze bardziej ograniczony zasięg. Można było z nim wejść tylko na te korytarze budynku A, które miały podłogę oznakowaną zieloną linią. Żółty dawał najmniej praw ze wszystkich, oznaczał, że wszędzie towarzyszy ci eskorta. Był zarezerwowany dla gości i prasy — ludzi z zewnątrz — noszenie go było jak chodzenie z dzwonkiem. Wszyscy odwracali od ciebie wzrok niczym od sceny wypadku drogowego.

Blondynka wynagradzała obrazę, jaką był żółty identyfikator. Gdy szła, jej koński ogon kiwał się jak metronom w idealnym kontrapunkcie z kołyszącymi się pośladkami. Po chwili poważnej refleksji Dunphy doszedł do wniosku, że jej pupa najbardziej przypomina mu walentynkowe serduszko w tweedzie. Widok był wspaniały i najwyraźniej nie przypadkiem przydzielono ją do eskorty. Dunphy bez słowa skargi poszedłby za nią do piekła i z powrotem, gdyby tak sobie zażyczyła.

Wysoko ją ocenił, uwzględniając jego samopoczucie. Pomyślał sobie, że według kryteriów olimpijskich sędziowie punktowałiby jego kaca na 5,6 — chyba niewiele więcej. Niemniej nie czuł się dobrze. Miał na sobie ten sam dres i sportowe skarpety, które nosił w Londynie poprzedniego dnia. Sklepy otwierano dopiero o dziesiątej, a do walizki, którą dostał, upchnięto T-shirty z logo grupy GWAR, parę znoszonych butów Doc Martens i dzinsy z dziurami na kolanach. To nie jego styl. Ani obecnie, ani w przeszłości, nigdy. Nie ubrał się w te ciuchy, bo nie poprawiłyby wyglądu człowieka, który miał lekko zaczerwienione oczy i aż prosił się o golenie. Głowę miał ciężką, jakby była z ołowiu: niech będzie 5,9.

Eskorta prowadziła Dunphy'ego przez labirynt bładoniebieskich korytarzy w aneksie B, aż w końcu dotarli do niewielkiej recepcji. Młody strażnik w czarnym mundurze z pobłyskującymi galonami na epoletach wstał i wskazał na oprawiony w płótno rejestr.

— Proszę się wpisać... Koledzy przyszli tu jakiś czas temu.

Dunphy pochylił się nad księgą i zrobił wpis, jak go proszono. Powyżej były dwa nazwiska: Sam Esterhazy i Mike Rhinegold: 7.50 i...

Strażnik odwrócił się plecami i wystukał kod na cyfrowym zamku. Dało się słyszeć delikatne kliknięcie i drzwi otworzyły się na bezgłośnych zawiasach.

Jak tylko się za nim zamknęły, Dunphy poczuł się gorzej. To była komora bezechowa, czyli „głuchy pokój” — sześcian bez okien, oświetlony jarzeniówkami, spoczywający na niewidocznych ogromnych sprężynach. Podśluch jest tu niemożliwy, ponieważ komora jest grubo wyściełana stożkowatymi przegrodami z pianki ułożonymi w taki sposób, że absorbują i neutralizują drganie powietrza. Żaden sygnał ani rezonans, ani echo nie wychodzą z tej przestrzeni bez względu na to, czy wytwarza je człowiek, mechanizm, czy elektronika.

Ponieważ pomieszczenie jest całkowicie pozbawione rezonansu, więc każde wypowiedziane wewnątrz słowo brzmi pusto, głucho i sztucznie. Płasko. To miejsce, w którym nawet Matka Teresa wydawałaby się pozerką. Dunphy nigdy wcześniej nie był w takim pokoju, ale słyszał o nich. Większość ambasad miała takie pomieszczenie, a Moskwa nawet trzy. Mówiono mu, że nie sposób grać w nich na instrumentach muzycznych. Próbował to zrobić Julliard String Quartet w teście przeprowadzanym w Biurze Standardów. Po paru sekundach muzycy, pękając ze śmiechu, wpadli w dysonans.

Ale Dunphy'emu nie było do śmiechu. Poczuł przyływ mdłości, gdy stanął w tym pokoju i spojrzął na przesłuchujących.

Obydwoj siedzieli za długim stołem konferencyjnym i byli zaskakująco nieprzyjemnie do

siebie podobni. Nieprawdopodobnie wysocy i odpowiednio chudzi, z jednakowo niezdrową, szarą cera, jak gdyby wrócili z biwaku w kopalni. Mieli fryzury a la pompadour, baczki, a ubrani byli w czarne garnitury z połyskliwego materiału, białe poliestrowe koszule, czarne półbuty i kowbojskie sznurkowe krawaty bolo z turkusowymi zapinkami. I jeden, i drugi dzierzył duży segregator z szarymi skoroszytami. Wydali się Dunphy'emu karykaturalną wersją Blues Brothers. Żołądek zaczął podchodzić mu do gardła i zakręciło się w głowie.

— Pan Dunphy — powiedział jeden.

— Pan Thornley — powiedział drugi.

Pieprzę to wszystko, pomyślał Dunphy. Mam dość.

Ze swoich aktówek Esterhazy i Rhinegold wyjęli po kilka przedmiotów, układając je starannie na stole: dwa notatniki, dwa długopisy, paczkę Virginia slims i zapalniczkę Bic. Każdy to samo.

Mimo marnego samopoczucia Dunphy poczuł się rozbawiony tą choreografią.

— Macie wiele wspólnego ze sobą, widzicie to?

Popatrzyli na niego zaskoczeni.

— Słucham? — powiedział starszy mężczyzna.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał ten młodszy. Wyglądali na skonsternowanych, jak gdyby coś podobnego nigdy nie przyszło im do głowy.

Dunphy zaczął wyjaśniać, ale nie widząc u nich oznak poczucia humoru, zmienił zdanie.

— Nieważne — powiedział. Był zirytowany, bo się nie przedstawili, choć po monogramie na spinkach do mankietów młodszego mężczyzny sam się zorientował, że to Rhinegold.

Założył, że wiedzą wszystko, absolutnie wszystko o nim: kim jest, za kogo się podaje, i jeszcze więcej. O tym mówiły papiery w ich segregatorach, a w każdym razie tak przypuszczał. W tym układzie to oni mieli wiedzieć. A on nie. Takie były zasady.

Esterhazy zdjął i położył na stole zegarek, by mieć go na oku podczas przesłuchania. Po tej czynności on i jego partner zapalili papierosy, z namaszczeniem wypuszczając dym i patrząc na Dunphy'ego, jakby czegoś oczekiwali.

Dunphy westchnął. Jestem, zdał sobie sprawę, w towarzystwie

Dwóch.

Ważnych.

Palantów.

— Zacznijmy od pańskiego pseudonimu, panie Dunphy.

— Którego?

— Irlandzkiego. Może nam pan powiedzieć, w jakim stopniu tożsamość Thornleya była chroniona?

Dunphy zaczął mówić, a jednocześnie wsłuchiwał się we własny głos, dziwnie brzmiący w tym osobliwym pokoju. Wydawało mu się, że wydobywa się on z jakiegoś punktu poza ciałem, a słowa formują się cał albo dwa przed ustami. Z drugiej strony stołu płynęły do niego pytania pozbawione barwy i modulacji, prawie nieczytelne.

To było jak niesamowity informacyjny walc i Dunphy szybko się nim zmęczył.



— Więc — zaczął Tweedledum — pańskim głównym zadaniem było tworzenie biznesowych przykrywek... I kont bankowych... za granicą.

— Zgadza się.

— I jak pan to robił? — zapytał Tweedledee.

— Otóż — powiedział Dunphy — każda sytuacja jest inna, ale zasadniczo wybierałem

miejsce w zależności od potrzeb klienta, a potem...

— Co pan rozumie przez wybieranie miejsca?

— Wybór adresu siedziby dla danej korporacji. Jest bardzo dużo możliwości i znacznie się od siebie różnią. Niektóre mają lepszą renomę i są droższe od innych.

— Na przykład?

— Luksemburg, Liechtenstein, Szwajcaria.

— Te mają lepszą renomę?

— Tak, w porównaniu z Panamą, Belize i Vanuatu oznaczają dużo większy prestiż. Panama jest kiepska. Widzisz Panamę w nagłówku pisma i pierwsze, co przychodzi ci do głowy, to kartel.

— Co było dalej?

— Wypełniałem formularze, wpisując dane nowej firmy, a jeśli klient się spieszył lub nie zależało mu na nazwie, brałem coś gotowego z półki. — Zanim zdążyli zadać mu oczywiste pytanie, wyjaśnił: — Połowę swojego czasu poświęcałem zakładaniu korporacji, a więc zawsze miałem kilka w zanadru do puszczenia w ruch. Dzięki temu, gdy zjawiał się klient z ulicy i potrzebował czegoś natychmiast, miałem ofertę od ręki, z miejscem wedle życzenia.

— A co dokładnie dostawał?

Dunphy westchnął.

— Fizycznie dostawał dużą kopertę. A w niej dwie kopie umowy założycielskiej wraz ze statutem spółki. Plus niedatowana rezygnacja dyrektorów założycieli i sekretarza...

— Czyli?

— Miejscowych. Liberyjczyków, mieszkańców wyspy Man, kogokolwiek. To byli ludzie, którzy udostępniali swoje nazwiska za niewielką opłatą. Nie mieli żadnych faktycznych związków z firmami. Po prostu nazwiska. I zaraz... co jeszcze? Były jakieś transfery akcji in blanco, zaświadczenie o statusie spółki nieaktywnej i... oczywiście... wszystko opatrzone zawsze stosownymi pieczętami oraz lakowymi pieczęciami na czerwonej wstążeczce. Gdy tylko opłaty zostały uiszczone, spółka działała.

— I co wtedy?

— Wtedy potrzebowała konta bankowego.

— I jak to było załatwiane?

— Dawali mi depozyt. A ja otwierałem konto w imieniu firmy. Głównie korzystałem z Midland Bank w St Helier na Wyspach Normandzkich.

— Więc miał pan kontrolę nad wszystkimi kontami.

Dunphy się zaśmiał.

— Tylko przez kilka dni. Kiedy już wysłałem dokumenty do klienta, usuwali moje nazwisko z konta. Choć to bez znaczenia. W większości przypadków otwierałem te konta z wkładem poniżej stu funtów. Nie miałem żadnych pokus ani nic takiego.

— W większości przypadków.

— Tak. Zdarzały się wyjątki. Miałem iluś klientów, dla których wykonałem sporo roboty, i niektórzy z nich dawali mi do zdeponowania czeki na pokaźne sumy. Ale to były wyjątki... i oni wiedzieli, gdzie mnie szukać, że się tak wyrażę.

— Na przykład kto?

— Na przykład my. — Rhinegold i Esterhazy wyglądali na zdziwionych. — Założyłem kilka firm dla Agencji i za każdym razem wiązały się z tym znaczne depozyty. Więc jak? Mam to przemilczeć?

— Ale robił pan to samo dla klientów indywidualnych. I dla firm prywatnych.

— Oczywiście. Na tym polegała moja przykrywka. Właśnie tym zajmowała się firma Angloirlandzkie Doradztwo Biznesowe. Oficjalnie.

— I było to całkowicie poufne.

— Miało takie być — powiedział Dunphy.

— Ale... — zachęcał Esterhazy.

— Otrzymywałem zlecenia... pośrednio oczywiście... od kilku agencji.

— Takich jak?

— DEA, IRS, Urząd Celny... — Dunphy zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech, po czym kontynuował — ISA...

[*IRS - Internal Revenue Service — amerykańska agencja rządowa odpowiedzialna za sferę podatków.*]

[*ISA - Individual Savings Account — istniejący od 1999 roku w Zjednoczonym Królestwie program dla indywidualnych inwestorów z zastosowaniem ulg podatkowych.*]

Esterhazy machnął ręką, żeby mu przerwać.

— I jak to działało?

— Miałem oczy otwarte. Gdybym poczuł gorącego kartofla, miałem powiadomić stację. Jesse... szef stacji... przekazałby sprawę do odpowiedniej agencji. Albo nie. To zależało od niego.

— Kiedy mówi pan „gorący kartofel”, co pan ma na myśli?

Dunphy się zastanowił.

— Gdyby na przykład Alan Greenspan wszedł z ulicy, aby założyć z Saddamem Husajnem firmę na Jersey, podając jako siedzibę prawną moskiewski bank.

Oczy Rhinegolda się rozszerzyły.

— To byłoby bardzo gorąco — dodał Dunphy.

— Czy to się stało? — Rhinegold był na granicy lewitacji.

Dunphy potrząsnął głową.

— Nie. To tylko przykład. Hipotetyczny przykład. Nigdy nie wydarzyło się nic tak rzucającego się w oczy.



— Komu meldował się pan w ambasadzie? — zapytał Esterhazy. — Kto wyznaczał zadania?

— Jesse Curry.

— A te inne agencje były wtajemniczone w pańską sprawę?

— Oni mnie w ogóle nie znali, a jeśli nawet, to uważali mnie za pozyskane narzędzie: jakiś tam Merry Kerry. Praktycznie wiedzieli tylko tyle, że co i rusz Agencja wyskakuje z czymś ciekawym do Angloirlandzkiego Doradztwa. I przekazywali to dalej.

— Czy to było opłacalne? — zapytał Rhinegold.

— W jakim sensie?

— Czy doradztwo przynosiło zyski?

— Zaczynało właśnie przynosić, kiedy zostałem odwołany.

Dunphy marzył o filiżance kawy. I goglach, bo zasnuty dymem papierosowym pokój w ogóle nie był wentylowany. Czuł się tak, jakby miał głowę uwięzioną w jądrze dodatniego jonu. Wielkiego, beżowego.

— ...i dla kogo zakładał pan te korporacje?

— Dla każdego, kto opłacił koszty. Miałem klientów Amerykanów. Kilku Meksykanów, kilku Włochów. Paru Turków, francuskiego Libańczyka. Jeden gość z Buenos Aires założył trzydzieści pięć firm w ośmiu jurysdykcjach. Bóg wie, co knuł. Broń, koka albo szmaragdy. Najprawdopodobniej wszystkie trzy tematy.

— A pan dostarczał Agencji... a za jej pośrednictwem innym agencjom... kopie firmowych

dokumentów.

— To oraz dane bankowe i co tylko ciekawego udało mi się dowiedzieć podczas lunchu czy przy szklance piwa. A gdy firma była własnością posiadaczy akcji na okaziciela, a zwykle tak było, to gdybym wiedział, kto je trzyma... czego zwykle nie wiedziałem... to też wrzucałbym to do worka.

— A klienci pojawiali się tak nie wiadomo skąd?

— W pewnym sensie. Niektórzy dowiadawali się pocztą pantoflową... moje ceny były nadzwyczaj rozsądne. A poza tym się ogłaszałem.

— Gdzie?

— „Herald Tribune”, „Economist”, „Sunday Times”. W wielu miejscach. Rachunki są w biurze.

— Cóż — odezwał się Esterhazy — obawiam się, że pomieszczenie i dokumenty tego biura nie są już dla nas dostępne. Powiedziano nam, że są pod pieczęią londyńskiej policji. I, jak podejrzewam, brytyjskiego kontrwywiadu.

— Rozumiem.

Dunphy spodziewał się tego, ale teraz, kiedy stało się faktem, nagle poczuł się fatalnie. Prawdę mówiąc, nagle poczuł, że wdepnął w straszne gówno.



O jedenastej jakaś dziewczyna przyniosła kawę oraz kanapki i aż wywróciła oczami na taką ilość papierosowego dymu. Esterhazy ogłosił: „Zrobimy sobie teraz krótką przerwę”, i Dunphy skinął głową wdzięczny za kawę.

Robił, co mógł, żeby przełknąć kanapkę z pastrami, ale mięso miało purpurowy odcień i żołądek mu się buntował. Odsuwając kanapkę na bok, uczynił mizerną próbę wciągnięcia przesłuchujących w luźną rozmowę („Jak pogrywają Wizards?”), ale żaden z nich nie był zainteresowany.

— Nie śledzę wydarzeń sportowych — powiedział Esterhazy.

Rhinegold wzruszył ramionami.

— Sport to strata czasu — dodał jeszcze Esterhazy.

Rhinegold coś zamruczał.

Może to była tylko akustyka.

Gdy zapadło milczenie, Dunphy przyglądał się, jak jego towarzysze wyciągają ze swoich aktówek małe foliowe torebki i kładą je na stole. Każda zawierała przynajmniej z pół tuzina tabletek i tyleż kapsułek oraz pigułek, które rozłożyli przed sobą na stole niby jakąś falangę farmaceutyków.

— Witaminy — rzucił Esterhazy.

— To jest neutralizator nikotyny — wyjaśnił Rhinegold, trzymając okazałą pigułkę między kciukiem a palcem wskazującym. Jedną po drugiej połykali tabletki, pigułki i kapsułki, popijając je niewielkimi łykami kawy.

— A potem, najwyraźniej odświeżeni, wrócili do rzeczy.

Czas ich nie gonił.



— Czy możemy uznać, że pańska przykrywka była skrupulatnie strzeżona? — Esterhazy



przerzucił kartkę notatnika i uniósł wzrok.

— Oczywiście.

— Nie znajdzie się w papierach nic, co mogłoby umożliwić zidentyfikowanie pana jako Jacka Dunphy'ego albo powiązać pana z Agencją?

— Nie. Nic. Dokumenty potwierdzały przykrywkę, to wszystko.

— A rachunek telefoniczny albo...

— Nigdy nie dzwoniłem do domu z biura. Ani z mojego mieszkania. Jeśli musiałem rozmawiać ze Stanami... jako Jack Dunphy... korzystałem z automatu. Tak samo kontaktowałem się z Currym.

— Używał pan komputera?

— Tak. Amstrada.

— Krepuję się zadać to pytanie, ale... czy nie zostawił pan jakichś poufnych plików... notatek, sprawozdań, czegoś takiego... czy nie zostawił pan takich rzeczy na twardym dysku?

— Nie. Trzeba zacząć od tego, że wszystko na twardym dysku było zaszyfrowane. Dobrze zaszyfrowane. Używałem stuczterdziestobitowego algorytmu...

— PGP?. [*Pretty Good Privacy — program kryptograficzny do szyfrowania poczty elektronicznej.*]

Dunphy potrząsnął przecząco głową.

— RSA. [*Algorytm kryptografii asymetrycznej. Nazwa jest akronimem utworzonym z pierwszych liter nazwisk jego twórców.*]

A kiedy opuszczałem biuro, wyczyściłem dysk.

Rhinegold pochylił się do przodu, marszcząc brwi.

— Kiedy opuszczałeś Londyn, Jack, nie wzięłeś przypadkiem czegoś ze sobą? To znaczy, czy zostało wszystko mniej więcej tak, jak było?

Jack?

— Wziąłem moją aktówkę. Miałem w niej książkę adresową. Dodam jeszcze, że pozbawiony jestem wielu ubrań...

— Ekipa sprzątająca była w mieszkaniu dziś w nocy. Zostało idealnie wyczyszczone. Dostanie pan ubrania i rzeczy osobiste najpóźniej w piątek.

Dunphy wstrzymał oddech i nic nie powiedział.

— Musimy być pewni, że w Londynie nie ma niczego, ani w biurze, ani gdziekolwiek indziej, co mogłoby powiązać pana z... no, z panem. Żadnych...

— *Pas de cartes. Pas de photos. Pas de souvenirs.*

— Co to ma znaczyć? — zapytał Rhinegold z wyraźną nutą podejrzliwości i urazy w głosie.

— To takie francuskie powiedzenie. Znaczy, że niczego za sobą nie zostawiłem.

— Powiedział pan, że wyczyścił dysk w swoim komputerze. A co, jeśli ludzie z brytyjskiego kontrwywiadu poddadzą ten dysk badaniu na specjalnych urządzeniach, którymi dysponują.

— Dysk jest sformatowany. Tabula rasa.

— Można odzyskać dane ze sformatowanego dysku, nawet jeśli są zaszyfrowane — powiedział Esterhazy. — DOS jedynie eliminuje adresy. Dane w dalszym ciągu tam są jeśli się wie, jak je wydobyć.

Dunphy potrząsnął głową.

— Uruchomiłem formatowanie niskopoziomowe, używając debugowania, a potem nadpisałem wszystko za pomocą Disk-Wipe. Tak jakbym przeciągnął nad dyskiem trwały magnes. Nic na nim nie zostało.

Wyglądało na to, że Esterhazy jest pod wrażeniem. Po raz pierwszy.

— Jest w stanie śmierci mózgowej — dodał Dunphy.

Rhinegold się uśmiechnął.



— Dlaczego Curry zgłosił się do pana w sprawie inwigilacji profesora Schidlofa?

— Musielibyście zapytać o to Curry'ego.

— To nie było przecież coś, czym pan się zwykle zajmuje.

— To nie było coś, czym kiedykolwiek się zajmowałem. Nie miałem zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać.

— A więc zatrudnił pan tego człowieka...

— Tommy'ego Davisa. Od jakiegoś czasu pracowaliśmy już razem.

— Niby jak?

— Wykorzystywałem go jako kuriera. Miał dobre powiązania w Bejrucie, co było bardzo przydatne, bo miałem tam dość lukratywną klientelę. Tommy mógł wjechać i wyjechać bez problemu nawet w dawnych, trudnych czasach. Ale w tym wypadku najważniejsze było to, że ma opinię dobrego specja od podsłuchu. I mogłem mu ufać. Kiedy Curry zlecił mi inwigilację, poszedłem do Tommy'ego.

— A on w dalszym ciągu jest w Londynie?

Dunphy wzruszył ramionami, ale nagle poczuł się nieswojo.

— Nie sądzę. Myślę, że wyjechał z miasta.

Rhinegold i Esterhazy przeszzywali go wzrokiem, lecz Dunphy pozostał obojętny. Jeśli Agencja cokolwiek go nauczyła, to tego, jak siedzieć spokojnie, albo gdy to zawiodło:

Zaprzeczać wszystkiemu.

Nie potwierdzać niczego.

Wprowadzać w błąd.

Wreszcie Esterhazy przerwał ciszę.

— Bo to ważne — powiedział. — Żebyśmy znaleźli go, zanim zrobi to londyńska policja.

Dunphy skinął głową.

— Rozumiem — odparł.

Rhinegold zmarszczył brwi i odchrząknął.

— Widzisz, Jack, w telefonie profesora znaleziono urządzenie podsłuchowe.

— Wiem — oznajmił Dunphy — Jesse wspomniał mi o tym.

— I... no cóż, policja sądzi, że ma to coś wspólnego z tym, no, incydentem.

— Tak.

— Co jest oczywiście bzdurą.

— Oczywiście.

Znowu cisza. Rhinegold stukał ołówkiem w stół. Esterhazy spojrzał surowo, zdusił papierosa i potrząsnął głową.

— Myślałem, że będziesz bardziej pomocny — oświadczył. — Bo szczerze mówiąc, nie jest to dla ciebie nic miłego.

Dunphy wyraził spojrzeniem zdziwienie.

— Z punktu widzenia kariery — usłyszał.

— Nic nie mogłem zrobić — stwierdził Dunphy. — Nic nie mogę zrobić.

— Jednak...

— Co się stało, to się stało — rzekł Rhinegold. — Chodzi o to, że urządzenie łączy profesora Schidlofa z panem Davisem, a Davisa z tobą. I tak dalej.

— I coraz wyżej.

— I tak dalej. Trudno powiedzieć, kiedy łańcuszek się przerwie.

— Ten mógłby doprowadzić na sam szczyt — dodał Esterhazy.

Dunphy skinął głową potem przechylił ją na bok, unióśł brwi i je opuścił. Delikatne, przeprasające tss wyszło z jego ust.

— Rozumiem, w czym problem — powiedział — ale... nie wiem, gdzie jest Davis. Po prostu nie wiem.

Starszy mężczyzną spochmumiał. Wzruszając z rezygnacją ramionami, zmienił temat.

— Opowiedz nam o profesorze.

Dunphy chrząknął.

— Dlaczego był inwigilowany?

Dunphy potrząsnął głową.

— Tego mi nie powiedziano.

— Ale miałeś nagrania jego rozmów telefonicznych. Musisz mieć jakieś pojęcie.

— Nie mam bladego.

— Z pewnością...

— Nic nie wiem. Mylicie się co do tego, że odtwarzałem jego rozmowy. Sprawdzałem jedynie kasety przed przekazaniem ich Curry'emu, żeby upewnić się, że coś na nich jest. Z tego, co mi powiedziano i co przeczytałem, wiem, że facet uczył w King's College. W gazecie pisali chyba, że na wydziale psychologii. Coś takiego.

Esterhazy pochylił się do przodu.

— Opowiedz nam o tym.

— O czym?

— O zainteresowaniu profesora Schidlofa psychologią.

Dunphy patrzył na zmianę to na jednego, to na drugiego.

Wreszcie się odezwał:

— A skąd, u diabła, ja mam coś o tym wiedzieć?

— Cóż...

— Mówię wam, że wiem o tym facecie tyle, ile przeczytałem w gazecie.

— Nie ciekawiło cię, kim jest człowiek, którego podsłuchujesz?

— Co mnie miało ciekawić? I kto? Nauczyciel psychologii? Raczej nie. Jedyna ciekawa rzecz związana z tym gościem to, jak sądzę, fakt, że został zaszlachtowany.

— Zaszlachtowany? — zdziwił się Rhinegold.

— Tak.

— Dlaczego użyłeś tego słowa?

— Zamiast jakiego niby?

— Zabity.

— Bo on nie został po prostu „zabity”. Rozebrano go na kawałki. Ręce, nogi... oni go też wykastrowali. Interesuje was moja opinia? Gliniarze powinni pójść do marketu spożywczego i zapytać wszystkich pracowników działu mięsnego, co robili poprzedniej nocy. Bo to nie było po prostu morderstwo. To było jak... jak dysekcja!

Przesłuchujący Dunphy'ego wykrzywili twarze.

— No tak... niewątpliwie, to było makabryczne — przyznał Rhinegold.

Esterhazy spojrział w bok i w pokoju na długą chwilę zapanowała cisza.

Wreszcie Dunphy spytał:

— Więc jaki jest związek?

— Związek?

— Między inwigilacją a morderstwem?

— Nie było żadnego związku — odpowiedział Esterhazy. — Dlaczego miałby być jakiś związek?

— To w takim razie na pewno zadziwiający zbieg okoliczności. Bo przecież nikt nie mówi już nie konfidenckiego przez telefon! A ta inwigilacja była tylko po to, żeby ustalić, jakie facet miał zwyczaj. Czy miał psa, czy kota. A jeśli miał psa, to kiedy wyprowadzał go na spacer, i gdzie z nim spacerował. Czy facet chodził do dentysty? Czy chodził do kręgarza? Czy miał kochankę?

— To bezproduktywne dygresje, panie Dunphy. — Rhinegold wyglądał na zdenerwowanego, ale nie przerwali Dunphy'emu, który mówił coraz szybciej.

— Co robił? Gdzie to robił? Kiedy to robił? Bo w efekcie... spójrzmy prawdzie w oczy... w którymś momencie znalazł się sposób, by dopaść faceta w centrum Londynu i zoperować go... jak na chirurgii... aż z gościa został tylko pieprzony kadłub, który, ot tak, porzucono...

— Panie Dunphy...

— ...przed kościołem, na miłość boską.

— Jack...

— I ja jestem tym cholernym podejrzanym?! Co mi wmawiacie, że nie było żadnego związku?!

Dunphy popatrzył dzikim wzrokiem na dwóch śledczych. Nikt nic nie mówił. Sekundy mijały. Wreszcie Esterhazy odchrząknął zakłopotany.

— Szczerze mówiąc — powiedział — nie jesteś.

— Co nie jestem?

— Podejrzanym.

— A jak do tego doszliście?

— Słuchaj, jesteś poza podejrzeniami, chyba że nie znajdzie się, i póki się nie znajdzie, pan Davis. Jesteś raczej potencjalnym ogniwiem łączącym.

— Bo jest bardzo ważne, żebyśmy znaleźli Davisa — wyjaśnił dodatkowo Rhinegold.

— Właśnie — powiedział Esterhazy. — Może potrzebować naszej pomocy.

Cisza była wszechogarniająca. Nikt nawet nie mrugnął.

Wreszcie Dunphy podniósł otwarte dłonie w kierunku jarzeniówek nad głową, by za chwilę pozwolić im opaść.

— Przykro mi, panowie. Nie wiem, gdzie on jest.

## 6.

Przesłuchanie było jeszcze w toku, kiedy o siódmej wieczorem zegarek Rhinegolda wydał wysokie, świergotliwe dźwięki, przypominając mu, że powinien być gdzie indziej.

Śledczy odłożyli notatki, zatrzasnęli swoje aktówki i wstali.

— Chyba powinieneś zjeść w swoim hotelu — powiedział Rhinegold.

— Świetny pomysł — wtrącił Esterhazy. — Z zamówieniem do pokoju! Najlepszy sposób na relaks!

— A do tego wrócimy punktualnie o ósmej — dodał Rhinegold.

— A nie można by trochę później? — zapytał Dunphy. — Południe byłoby w sam raz.

Esterhazy i Rhinegold zawiesili na nim puste spojrzenia.

— Potrzebuję jakichś ubrań — wyjaśnił. — Czystych skarpetek. Sklepy otwierają o dziesiątej.

Nic. Ani uśmiechu.

Dunphy westchnął.

— Okay. Nie ma problemu. Wypiorę łachy w pieprzonej wannie.

I tak zrobił. Kupił butelkę woolite w 7-Eleven, wrócił do pokoju hotelowego i napełnił wannę wodą. Rozebrał się, klęknął na podłodze w łazience i klnąc, uprał dres, skarpetki i bieliznę. Wyżął wodę i rozwiesił wszystko na oparciu krzesła przed kaloryferem. Usiadł, żeby obejrzeć film w telewizji, zamówił hamburgera do pokoju i usnął zawinięty w ręcznik.

Na wznowionym rano przesłuchaniu Dunphy siedział w dresie wilgotnym jeszcze po praniu. Trwało do zmroku, wtedy po raz drugi przerwali i kontynuowali we wtorek, wałkując w kółko to samo.

Było to wyczerpujące, denerwujące, a w końcu okazało się jałowe. Z wyjątkiem miejsca pobytu Tommy'ego Davisa, którego Dunphy zdecydowanie nie chciał zdradzić, nie miał dla nich żadnej odpowiedzi, jaka by spełniała ich oczekiwania. We wtorkowe popołudnie Esterhazy odchylił się na oparcie krzesła, uniósł brwi i powiedział:

— Myślę, że do niczego więcej nie dojdziemy.

Rhinegold skinął głową.

— Zgadzam się. Myślę, że to *finito*.

Razem wstali i zebrali swoje długopisy, notatniki, zapalki i papierosy. Esterhazy wziął ze stołu zegarek i zapiął go na nadgarstku.

Odetchnąwszy na myśl, że to koniec męki, Dunphy odsunął z uśmiechem krzesło i też wstał.

Rhinegold spojrział na niego chłodno, zatraskując zamki aktówki.

— A ty dokąd się wybierasz?

Dunphy wykonał gest mający oznaczać „wychodzę”.

— To my skończyliśmy, a nie ty.

Minęła niemal godzina, zanim drzwi się otworzyły i wszedł facet ze zniekształconą stopą i świdrującymi oczami, niosąc dwie teczki, każda z innej bajki. Skinąwszy bez słowa na Dunphy'ego, położył teczki na stole, zdjął sportową marynarkę i ze starannością powiesił ją na oparciu krzesła. Jedna z teczek była cienka, elegancka, skórzana; druga — gruba, z niezniszczalnego plastiku w kolorze żużlu.

Gość, z wyraźną celebracją, wyjął następnie z neseserka firmy American Tourister dwa zaskakujące przedmioty, podsuwając je pod nos Dunphy'emu. Pierwszy to książka w miękkiej

oprawie z prymitywnym obrazkiem na okładce. Przedstawiał zachęcającą blondynę w szortach i skąpym topie, szorującą na kolanach podłogę w kuchni, i łypiącego na nią z pewnej odległości doga niemieckiego. Tytuł książki, na który zerknął Dunphy, brzmiał: *Man s Best Friend*.

Drugi przedmiot to mała, połączona ikona, na której Chrystus zwracał oczy ku niebu spod zakrwawionej cierniowej korony. Przenosząc wzrok z jednej rzeczy na drugą, Dunphy pokręcił głową i lekceważącym prychnięciem skwitował tę tanią psychologię.

Kulawy mężczyzna nawet nie mrugnął. Otworzył plastikową teczkę i wyciągnął długi przewód od znajdującej się wewnątrz aparatury. Zwracając się ku Dunphy'emu, oparł się na stole obiema rękami, kiwnął głową w stronę ikony i szepnął:

— Wiem, co zrobiłeś, i wiem, co wiesz. Okłamiesz mnie, sukinsynu, okłamiesz Jego. A teraz podwiń rękaw.

Przez resztę dnia i całą środę przedzierał się przez gąszcz pytań, które objęły całą karierę Dunphy'ego. Był to oczywiście trud pozbawiony sensu. Jak każdy zawodowy oficer Dunphy przeszedł trening oszukiwania wykrywacza kłamstw, a w każdym razie potrafił zagmatwać wyniki. W przypadku długotrwałego testu, a ten okazał się właśnie taki, oszukiwanie jest procesem wyczerpującym, który wymaga od badanego utrzymania wysokiego poziomu koncentracji, i to przez wiele godzin. Zadanie jest trudne, ale nie jest niewykonalne. I warte zachodu, jeśli się ma coś ważnego do ukrycia.

Sztuczka polega na wykorzystywaniu przerw między pytaniem a odpowiedzią specjalnie przez pytającego wydłużanych w celu uzyskania precyzyjnego pomiaru galwanicznych reakcji. Aby pokonać aparaturę, trzeba jej utrudnić rozpoznanie u badanego reakcji towarzyszących prawdziwym odpowiedziom. A można to zrobić, zaprawiając je wszystkie pewną dozą stresu, by nie różniły się od kłamstw.

Wywołanie stresu nie jest trudne. Wystarczy zabawa z liczbami; dajmy na to trzeba obliczyć, przed udzieleniem prawdziwej odpowiedzi na pytanie, ile jest czternaście razy jednaście. A potem, kiedy przychodzi czas na kłamstwo, należy kłamać bez zastanowienia i wyniki wychodzą mniej więcej takie same. Badający odczyta z poligrafii, że przesłuchiwany we wszystkich przypadkach skłamał albo że zawsze mówił prawdę. Jeśli odpowiedzi na niektóre pytania są znane, jedynym logicznym wnioskiem jest to, że mówił prawdę.

— Czy dzisiaj jest środa? — zapytał egzaminator, odczytując pytanie z poskładanego w wachlarz wydruku komputerowego.

Dunphy myślał. Szesnaście razy dziewięć jest... dziewięćdziesiąt plus pięćdziesiąt cztery: 144.

— Tak — odpowiedział. Przesłuchujący odhaczył pytanie.

— Byłeś w Londynie?

Czternaście razy dwanaście jest, hmm... Sto czterdzieści plus dwadzieścia osiem: 168!

— Tak.

Kolejne pytanie oznaczone ptaszkiem.

I tak to szło.

— Znasz kryptonim MK-IMAGE?

Dwadzieścia siedem razy osiem: 216.

— Nie — odpowiedział Dunphy, odnotowując w pamięci pytanie. Był coraz lepszy w arytmetyce. (Ale co to jest MK-IMAGE?).

— Czy pan Davis kontaktował się z tobą tego dnia, kiedy opuścił Londyn?

Trzysta czterdzieści jeden dzielone przez osiem to... czterdzieści dwa i... Dunphy miał pustkę w głowie. Czterdzieści dwa i coś zostaje. Czterdzieści dwa i... reszta.

— Tak. — odpowiedział.

Ptaszek.

— A mówił, dokąd jedzie?

Dunphy pozostawił umysł w stanie spoczynku.

— Nie — odpowiedział. Tak po prostu. Kolejny mały ptaszek.

I był wolny, mógł iść do domu.

## 7.

Tego wieczoru Dunphy odebrał w hotelu walizką. Były w niej jego rzeczy: stary paszport, portfel i ubrania. I foliowa torebka ze szczoteczką do zębów, maszynką do golenia, zwiłkiem starych rachunków, garścią drobnych pozostawionych na komodzie, szczotką do włosów marki Mason Pearson i innymi jeszcze drobiazgami. Na folii czarnym markerem, jakich używa się w pralni, napisano rzeczy osobiste, co wzbudziło w Dunphym upiorne skojarzenie. Bo właśnie tak, dokładnie tak się robi, kiedy umierasz. Wsadzają twoją szczoteczką do zębów i drobne z kieszeni do plastiku i wysyłają do najbliższej rodziny. Potwornie zmęczony przysiadł na łóżku, położył się na chwilę i... zasnął.

Natarczywe trele telefonu wyrwały go z głębokiego snu jakieś dziesięć godzin później. Ktoś po drugiej stronie linii wzywał go do natychmiastowego stawienia się w sztabie akcji tajnych i nakazywał „wziąć ze sobą wszystkie dokumenty”.

Dunphy zastosował się do polecenia. Czarnoskóry, lekko siwiejący funkcjonariusz, ze spisem kontrolnym w rąku, poprosił go o „zdanie” paszportu na nazwisko Kerry Thornley, irlandzkiego prawa jazdy oraz wszelkich innych „papierków”, jakie ma. Każda rzecz była wykreślana ze spisu i wrzucana do czerwonego metalowego kosza z napisem: DO SPALENIA.

Po raz pierwszy miał pewność, że nie wróci do Anglii na polecenie Agencji.

W stanie oszołomienia zjechał windą do biura kadr, gdzie spędził około godziny w pomalowanej na limonkowo poczekalni, przerzucając strony zaczytanego „The Economist”. W końcu pojawiła się niewysoka, siwa kobieta w sukience w drobny wzorek i zakomunikowała mu, że jego biurem będzie „na razie” pokój B-290.

Dunphy znał siedzibę jak wszyscy, ale...

— Gdzie to jest?

— Nie bardzo wiem — powiedziała, sama zdziwiona. — Musi pan zapytać kogoś z ochrony.

Okazało się, że B-290 znajduje się w podziemiu budynku północnego w szerokim korytarzu łączącym dwie rampy magazynowe. To nie był zwykły korytarz, bo służył jako dodatkowa powierzchnia magazynowa dla nowego sprzętu komputerowego i materiałów biurowych oraz (jak się Dunphy wkrótce zorientował) dla pracowniczego balastu Agencji i członków organizacji paramilitarnych podczepionych pod wydział do spraw akcji w różnych regionach świata.

Wózki widłowe dudniły po korytarzu od jednej rampy do drugiej, wpadając na siebie i na ściany. Z powodu hałasu ludzie mówili tu głośniejszym niż gdziekolwiek indziej w centrali i wyglądało na to, że przez cały czas odchodzą „męskie kawały” (a raczej szczeniackie wygłupy). Jakby opary testosteronu wisiały w tym korytarzu niczym chmara błędnych ogników na bocznej drodze w Maine. Nie dałoby się myśleć w takim miejscu — jeśli byłoby o czym myśleć. Ale nie było. Kazano Dunphy’emu czekać.

Jego biuro okazało się pomalowanym na brudnożółty kolor boksem, którego przesuwalne ścianki były w stanie nieustającego drgania. Umebłowanie składało się z beżowego obrotowego krzesła, wieszaka na kapelusze i szarobiałego regału na książki. Pusta szafka na dokumenty stała w kącie obok nowiutkiego kosza: DO SPALENIA. Na podłodze pozostawiono telefon oraz słownik *Roget's Thesaurus*, za to nie było wykładziny dywanowej, i żeby wyglądało jeszcze ciekawiej: nie było biurka.

Dunphy złapał za telefon, żeby zadzwonić do administracji, ale nie miał sygnału. Wściekły



wypadł z boksu (trudno było nazywać go pokojem) i zmierzał ku kadrom, niestety zagubił się w labiryncie korytarzy. Po przełknięciu upokorzenia, jakim było wypytywanie o drogę we własnej centrali, dotarł wreszcie do kadr po to tylko, by pozwolić własnej furii opaść wobec bezradnie rozłożonych rąk współczującej siwej pani w sukience we wzorek.

— Niech pan będzie cierpliwy — tłumaczyła. — Oni porządkują sprawy.

Dunphy usadowił się przy telefonie i powiedział operatorce z centrali, żeby połączyła go z szefem jego sekcji, Fredem Crismanem, w wydziale programowym. Jeżeli ktokolwiek był w stanie powiedzieć mu, co tu jest grane, to Fred. Jemu przez ostatni rok składał Dunphy raporty za pośrednictwem Jesse'ego Curry'ego

— Niestety, człowieku — rozległ się głos po drugiej stronie. — Nie zastałeś go. Od zeszłego tygodnia jest na misji specjalnej w Afryce Wschodniej.

Dunphy próbował dzwonić pod inne numery, ale ludzie, z którymi chciał się skontaktować, byli nieosiągalni: uczestniczyli w konferencjach, odeszli na chwilę od biurka, byli w podróży, mieli wielogodzinne popołudniowe spotkania. W administracji powiedzieli mu, że „sprawdzą, w czym problem” — jakby był w hotelu — i obiecali, że za kilka minut do niego oddzwonią.

— A jak zamierzacie to zrobić? Przecież mówiłem, że mój telefon nie działa!

Zagubiony i skazany na bezczynność wypracował sobie swoistą rutynę, wędrując ze swojego biura do kadr, z kadr do kafeterii, z kafeterii do siłowni. Ćwiczył ze skakanką, podnosił ciężary i boksował co drugi dzień. Minął tydzień. Dwa. Trzy.

Nabierał kondycji, ale czuł się jak technokratyczna wersja Latającego Holendra, błakając się, bezimienny, po szerokich korytarzach zakonspirowanej biurokracji. Popołudniami odwiedzał bibliotekę Agencji, gdzie miał dostęp do prasy ze wszystkich krajów świata. Sadowiąc się za każdym razem na tym samym krześle, przeglądał prasę brytyjską, na próżno szukając informacji o profesorze Schidlofie. Po pierwszej fali nagłówków informacje o śledztwie zniknęły, co nasunęło Dunphy'emu podejrzenie, że rząd Jej Królewskiej Mości w imię bezpieczeństwa państwa wydał *D-notice* w tej sprawie, ucinając łeb dalszym komentarzom. [*Oficjalny zakaz publikowania informacji zagrażającej bezpieczeństwu państwa.*]

Dostawał kurczów żołądka od nadmiaru wydzielanych ze złości i lęku kwasów. W końcu musi spaść kolejny cios. Ale kiedy? I gdzie? I na czyją głowę?

Był zmęczony hotelem w Tysons Comer. Tęsknił za swoim mieszkaniem w Chelsea i przyzwyczajeniami, które razem składały się na życie. A najbardziej tęsknił za Clementine, lecz nie miał jej nic do powiedzenia. Z wyjątkiem: „Ukrywam się. Będziemy w kontakcie. Pa”. To nie za wiele jak na podtrzymanie związku. Tymczasem myśl o tym, że może nigdy nie wrócić do Anglii, a tym bardziej do Clementine, przerażała go.

Przerażała go także „powojenna” CIA. Po zakończeniu zimnej wojny Agencja dryfowała w bezwładzie, zdemoralizowana z powodu kapitulacji wroga, jej misja była nieaktualna, jej *raison d'être* podawany w wątpliwość. Od lat funkcjonowała bez „symetrycznego wroga”, zadowolając się z konieczności postaciami pokroju Noriegi czy Husajna, terrorystami fanatykami i kolumbijskimi *pistoleros* na wolności. Zaczęły się intrygi w Kongresie. Mówiło się o zmniejszeniu stanu osobowego wywiadu i „realokacji cennych zasobów”. Do najkosztowniejszych zasobów należeli NOC [*Agents under nonofficial cover.*], tajni agenci działający pod przykrywką, tacy jak Dunphy. Stopniowo wycofywano ich z placówek i zastępowano szpiegami z Pentagonu. Po raz pierwszy od początku istnienia CIA budżet Agencji był poważnie zagrożony — Langley nie było miejscem szczęśliwości.

Jeżeli był jakiś azyl w przesiąkniętej marazmem siedzibie centrali, to była nim kafeteria. Cmentarzysko słoni — spalonych agentów, pijaków, neurotyków i donkiszotów, informatorów oraz „złamanych karier”, których (z różnych powodów) Agencja nie chciała lub nie mogła

zwolnić.

Zawsze, o dowolnej porze, przesiadywały tam takie „przypadki z odrzutu”. Większość nie miała w ogóle żadnych obowiązków, kilku, jak Roscoe White, miała zajęć za mało.

Przypadek White'a był klasyczny. Absolwent Princeton University, z magisterium z języków orientalnych (biegle posługiwał się mandaryńskimi dialektami chińskiego i językiem koreańskim), dołączył do Agencji w 1975 roku. Wysłany do Korei pod wojskową przykrywką został schwytany w strefie zdemilitaryzowanej podczas chyba swojej pierwszej misji. Przez blisko rok był poddawany brutalnym przesłuchaniom i gnębiony pozorowanymi egzekucjami, aż wreszcie jego porywaczy znudziła ta rutyna. Przenieśli go do obozu na dalekiej północy i jakby o nim zapomnieli. Ostatecznie w 1991 roku, w pozimnowojennej atmosferze, zabrano go do strefy zdemilitaryzowanej i pozostawiono, bez żadnych formalności temu towarzyszących, dokładnie tam, gdzie piętnaście lat wcześniej został aresztowany. Gest łaskawości czy żart, jakiegokolwiek były intencje, całkiem go to wytrąciło z równowagi. Stał tam w błocie po kostki, jakby zapuścił korzenie w miejscu, gdzie jego życie się urwało, zauroczony myślą (albo nadzieją), że minione szesnaście lat było halucynacją. Wreszcie jakiś żołnierz południowo-koreański, w maskującym mundurze polowym, dowlókl go w bezpieczne miejsce.

Po powrocie do Ameryki dowiedział się, że przed dziesięciu laty uznano go w majestacie prawa za osobę zmarłą.

Do emerytury brakowało White'owi trzech lat. Do tego czasu zatrudniano go jako oficera łącznikowego między dyrektoriatem operacji a koordynatorem informacji i ochrony danych. W praktyce sprowadzało się to do tego, że przekazywał analitykom w dyrektoriacie operacji napływające z zewnątrz — z powołaniem się na FOIA [*Freedom of Information Act* — amerykańska ustawa o wolnym dostępie do informacji.] — prośby o ujawnienie informacji, zadanie, które rzadko zajmowało mu więcej niż godzinę dziennie, pozostawiając czas na przesiadywanie do końca szczytu w kafeterii z nosem w książce.

Było to straszne marnowanie talentu, ale nic się nie dało na to poradzić. Mimo starannej edukacji w najlepszych szkołach White stracił szansę na normalną karierę zawodową. Tak więc siedział w kafeterii z błędnym uśmiechem i czytał *Tragiczne dzieje doktora Faustus* Marlowe'a.

Dunphy'ego fascynował.

— Próbowalem to wszystko nadrobić — wyjaśniał mu White któregoś dnia — ale zbyt wiele mnie ominęło. Na przykład głośność, mur berliński, AIDS i Internet. Mogłbym wyliczać jak Billy Joel w swojej piosence... tylko że dla mnie to wszystko nic nie znaczyło. Jakbym wsłuchiwał się w szep-taninę. Za to teflon, folia samoprzylepna, kleje błyskawiczne, płyty kompaktowe... Jezusie, to były odkrycia. Tak czy inaczej po jakimś czasie zorientowałem się, że czytanie starych numerów „Time” to za mało. Mogłem zapamiętać wyniki każdego gracza, który był w drużynie Orioles, ale nie widziałem ich, jak grają. Kto to, do cholery, jest Cal Ripken i co się stało z Juanem Pizzarem? W końcu — powiedział White, wskazując na książkę, którą czytał — stwierdziłem, że mniej stresujące jest czytanie historii, klasyki... książek ponadczasowych. Rozumiesz, co mam na myśli?

Dunphy skinął głową. W życiu White'a było tyle luk, że nawet najzwyczajniejsza rozmowa z nim stawała się przygodą. Dunphy go polubił, więc kiedy Roscoe White zapytał, czy „szuka jakiegoś lokum”, Dunphy się nie wahał.

— Tak. Masz coś?

— No, gdyby nie przeszkadzało ci wspólne mieszkanie — powiedział Roscoe — mam dom farmerski i dwa hektary ziemi w Belleview Place. Znośny czynsz. Interesuje cię to?

— Tak — odpowiedział Dunphy. — Ale musisz wiedzieć, że może nie zagrzeję tu miejsca.

— Dlaczego?

— Mam dziewczynę w Londynie i... nie mów nikomu... nie mam bzika na punkcie swojej pracy tutaj. Do tego jeszcze powinieneś wiedzieć, że nie jestem zbyt porządny.

Roscoe zachichotał.

— Dlatego mam kobietę do sprzątania... raz w tygodniu... bez niej nie dałbym rady.

— W takim razie... ty będziesz robił pobudkę?

## 8.

Parę tygodni po wprowadzeniu się do Roscoe White'a Dunphy otrzymał przydział nowych obowiązków i wcale go to nie uszczęśliwiło. Mimo że powrót do Londynu nie wydawał się możliwy, nie widział powodu, żeby podobnej operacji nie mógł z równym powodzeniem prowadzić z innej stolicy. Na przykład z Genewy albo —jeszcze lepiej— z Paryża. Pożyczył maszynę do pisania i sporządzał jedną notatkę służbową za drugą, ale nigdy nie dostał odpowiedzi. Wreszcie otrzymał lakoniczną dyrektywę, by zgłosił się na trzydniowe szkolenie dla oficerów opiniujących prośby o dostęp do informacji, czyli IRO. [*Information Review Officer.*]

Pierwszy rzut oka wystarczył, by Dunphy wiedział, że jego przyszłość zapowiada się nieciekawie. Wszyscy IRO, z wyjątkiem jego samego, byli sześćdziesięciolatkami, emerytowanymi oficerami operacyjnymi, zatrudnianymi teraz w niepełnym wymiarze godzin. Z radością przyjmowali tę szansę „dorabiania do emerytury” i powiększania miesięcznych dochodów kosztem odsiedzenia zaledwie paru godzin dziennie w centrali. Nie przeszkadzało im, że ich zajęcie okazało się jałowe. Jak mówili (w kółko i na okrągło), „wspaniale było znowu znaleźć się w siodle”.

Jeśli o to chodzi, Dunphy był gotów zsiąść z tego konia. Ale intrygowała go tajemnica kryjąca się za tym, co mu zgotował zły los. Z jakiegoś powodu Agencja próbowała zmusić go do odejścia, a on nie miał pojęcia dlaczego. Jednego mógł być pewien. Jeśli teraz opuści Agencję, nigdy nie dowie się prawdy.

A więc zagryzł zęby, został i słuchał otylego instruktora, który wyjaśniał, jak godzić ustawę o wolnym dostępie do informacji z interesem CIA. Ten przepis jest „wrzodem na dupie”, jak wyraził się instruktor, ponieważ daje przeciętnemu człowiekowi z ulicy — „lojalnemu albo nie” — prawo domagania się wglądu do akt rządowych dotyczących dowolnego interesującego go tematu. W praktyce, jak mówił, oznacza to, że kiedy wpływa podanie (a Agencja dostaje ich kilkanaście dziennie), oficer łącznikowy (taki jak Roscoe White) wysyła je do jednego z IRO. Ów IRO szuka odpowiednich akt w Centralnym Archiwum w budynku B. Po sporządzeniu kopii przystępuje do ich czytania, zamazując flamastrem dane ustawowo wyłączone z jawności: na przykład informacje, które mogłyby zdradzić źródła osobowe lub metody działania wywiadu. Wreszcie tak ocenzurowane kopie są wysyłane do biura koordynatora informacji, gdzie analityk przygotowuje końcową opinię. Dopiero wtedy cokolwiek może być wydane petentowi.

W najmniejszym stopniu Agencja nie jest zainteresowana udostępnianiem danych. Instruktor powiedział wyraźnie:

— Musicie pamiętać, że to jest Centralna Agencja Wywiadowcza, a nie Informacyjna.

I rzeczywiście ta różnica znajdowała odzwierciedlenie w sposobie załatwiania próśb o ujawnienie informacji. Prawo nakazywało zająć się każdym wnioskiem w ciągu dziesięciu dni od jego otrzymania, nie było jednak regulacji prawnych, które by określały, ile czasu ma zająć odszukanie, zaopiniowanie i zwolnienie pojedynczego dokumentu. A to zależało od środków przyznanych przez Agencję na utrzymanie personelu zajmującego się udostępnianiem informacji w myśl ustawy.

Tutaj instruktor uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Niestety, nie mamy obfitości środków, zatem można powiedzieć, że jesteśmy permanentnie zawaleni robotą.

— Jak duże są zaległości? — zapytał Dunphy.

— Gdy ostatni raz to sprawdzałem — odrzekł instruktor — mieliśmy około dwudziestu czterech tysięcy podań czekających na załatwienie.

— Więc nowe podanie...

— ...doczekałoby się na obróbkę, powiedzmy, nie wcześniej niż za dziewięć lat. Jak powiedziałem, to jest Centralna Agencja Wywiadowcza.

## 9.

To Roscoe podsunął mu pomysł.

Siedzieli przy barze w O'Toole's, niechlujnej irlandzkiej norze w centrum handlowym w McLean, niedaleko centrali CIA (dlatego było to miejsce spotkań agentów), kiedy Roscoe zagadnął Dunphy'ego — z chytrym uśmieszkiem — w sprawie wniosku o ujawnienie informacji, który tego popołudnia mu przydzielił.

— O który chodzi? — zapytał Dunphy, niezbyt zainteresowany. Przyglądał się właśnie fotografii, która wisiała na ścianie obok innych pamiątek, a wszystkie prosiły się o odkurzenie. Był tam wyblakły transparent IRA, tarcza do strzałek z portretem Saddama Husajna, jakieś pocztówki z Hawany (podpisane Frank & Ruth), japoński miecz rytualny z płamami wyglądającymi na zaschniętą krew. Także poźółkłe nagłówki z gazet (JFK WYSYŁA DORADCÓW DO WIETNAMU), przyklejone do ścian obok podpisanych i oprawionych fotografii George'a Busha, Williama Colby'ego i Richarda Helmsa.

Ale uwagę Dunphy'ego przykuwało zdjęcie przedstawiające trzech roześmianych mężczyzn stojących na polanie w dżungli. Na ziemi przed nimi była głowa Azjaty, wyglądała jak odcięta. Tymczasem mężczyzna był zakopany na stojąco i choć jego oczy były już szkliste, najwyraźniej jeszcze żył. Na kawałku papieru przyczepionego do zdjęcia zszywkami wydrukowano:

*MAC/SOG, 12-25-66 — Laos. Merry Xmas!*

— O ten o leczeniu kanałowym — odparł Roscoe.

Dunphy potrząsnął głową, wpatrując się w fotografię.

— Nie pamiętasz? — zapytał Roscoe.

Słyszac niedowierzanie w jego głosie, Dunphy odwrócił się do niego.

— Co?

— Pytałem o wniosek, który ci wysłałem. W sprawie procedur związanych z leczeniem kanałowym kadetów marynarki wojennej w Annapolis od 1979 roku do teraz.

— Ach tak — odpowiedział Dunphy. — Dostałem go dziś po południu. A skąd, do cholery, Agencja może mieć coś na ten temat? O co takiemu gościowi może chodzić?

Roscoe wzruszył ramionami.

— Tak się składa, że chyba mogę ci dokładnie powiedzieć, o co mu chodzi. To jeden z najczęściej piszących do nas klientów.

— Dobra — rzekł Dunphy — oświeć mnie.

— Kontrola umysłu. Pan McWillie ma bzika na tym punkcie. Zresztą nie on jeden.

Dunphy przekrzywił głowę w lewo i uniosł brwi.

— Może czegoś nie dosłyszałem, ale wydawało mi się, że mówiliśmy o dentystyce.

— Hm, tak. W pewnym sensie tak. Facet prosi nas o rejestry zabiegów dentystycznych, ale nie musi się tłumaczyć, na co mu one. Nie musi informować nas, co podejrzewa. Po jakimś czasie, kiedy przerobisz tyle podań, ile ja, będziesz wiedział, co to za ludzie. A sądząc po tym, o jakie rzeczy pan McWillie prosił w przeszłości, powiedziałbym, że on uważa, iż instalujemy miniaturowe odbiorniki radiowe...

Dunphy omal nie zakrztusił się piwem.

— Ludziom w zębach trzonowych?!

— Tak — potwierdził Roscoe.

— Po co, na miłość boską?

— Nie wiem. Podprogowe przekazy. Albo coś podobnego. Kto wie, co podejrzewa Lewis McWillie. Chodzi mi o to, że on z pewnością jest schizofrenikiem. Zwróciłeś uwagę na adres zwrotny na kopercie?

— Nie — odrzekł Dunphy. — Nie spojrzałem tam.

— Jeśli się nie przeprowadził, jest to osiemdziesiąt sześć Impala, Lot A, Fort Ward Park, Alexandria, Va.

Dunphy wywrócił oczami.

— Muszę uciekać z tej pieprzonej roboty. To najgłupszy rodzaj zajęcia, jakim kiedykolwiek się parałem.

— Może tak — odparł Roscoe — a może wcale nie.

— Przysięgam. Mam w tej sprawie pełną jasność. — Przerwał na chwilę. — Wiesz, dlaczego wstąpiłem do Agencji?

Roscoe skinął głową.

— Z pobudek patriotycznych.

Dunphy zachichotał.

— Nie, stary. To nie to. Patriotyzm nie miał z tym nic wspólnego.

— No to co?

— Wstąpiłem do Agencji, bo wcześniej chciałem być historykiem. I odkryłem, zrozumiałem będąc w college'u, że w tym kraju już nie można być historykiem.

Roscoe popatrzył na niego zdziwiony.

— Dlaczego tak uważasz?

— Bo historycy zbierają fakty i czytają dokumenty. Prowadzą dociekania empiryczne i analizują zebrane informacje. Następnie publikują swoje odkrycia. Nazywają to metodą naukową i jest to coś, czego nie da się już robić na uniwersytecie.

— Dlaczego?

— Bo strukturaliści albo poststrukturaliści, albo postkolonialiści, czy jakkolwiek się nazywają w tym tygodniu, stoją na stanowisku, że rzeczywistość jest niedostępna, fakty nie są faktami i wiedza jest niemożliwa. Co degraduje historię do fikcji i analizy podtekstów. To ogranicza nas do...

— Do czego? — zapytał Roscoe

— Do *gender studies*, studiów kulturowych. Co dla mnie jest mętne.

Roscoe ściągnął wzrok barmanki i zatoczył palcem wskazującym koło nad ich szklankami.

— Więc wstąpiłeś do CIA, bo uważałeś, że *gender studies* są mętne? Czy właśnie to chcesz mi powiedzieć?

— W dużym stopniu o to mi chodziło. Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie dostanę pracy dydaktycznej, a w każdym razie nie na dobrym uniwersytecie. Poststrukturaliści rządzą prawie wszędzie. A zbiegło się to jeszcze z tym, że mnie interesowała historia wojskowości, współczesna... byłem na studiach doktoranckich w Wisconsin... i okazało się, że materiały, które powinny być dostępne, nie są do wglądu... mnóstwo jest takich.

— O czym ty mówisz? — zapytał Roscoe.

— O informacjach, różnych. Nie było dostępu do danych.

— Dlaczego?

— Miały różne klauzule tajności. Jako raczkujący historyk nie miałem rzekomo potrzeby, żeby wszystko wiedzieć. Nikt z nas nie miał. I to mnie zniechęciło... Wygląda na to, że żyjemy w kryptokracji, a nie w demokracji.

Roscoe był pod wrażeniem.

— Kryptokracja — powtórzył. — Dobrze. Podoba mi się.

Dunphy się zaśmiał.

— A więc dlatego wstąpiłeś do Agencji — upewniał się Roscoe. — Bo Skłoniły cię do tego poststrukturalizm i krypto-kracja.

— Właśnie — powiedział Dunphy. — Ale był jeszcze jeden powód.

Roscoe zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

— Postanowienie, żeby żyć z rozmachem.

Roscoe chichotał, gdy barmanka stawiała przed nimi następną kolejkę.

— A ten facet, o którym wspomniałeś — odezwał się Dunphy — jak mu tam...

— McWillie.

— Właśnie. Mówiliśmy o McWilliem i implantach. Ten czubek to twardy orzech do zgryzienia. Ale chodzi o to, jakkolwiek na to patrzeć, że staję się pomagierem tego gościa w jego badaniach. Do tego to się sprowadza. Nie owijając w bawełnę, zrobiono ze mnie PA jakiegoś schizofrenika...

— Co to jest PA?

— *Personal assistant*, czyli osobisty asystent. Mam być asystentem każdego schizofrenika, który ma dość pieniędzy, żeby kupić znaczek. I wiesz co? To nie przypadek. Ktoś mnie robi w konia. Ktoś chce mnie wyeliminować.

Roscoe przytaknął i pociągnął łyk piwa.

— Prawdopodobnie jeden z poststrukturalistów.

Dunphy zmarszczył brwi.

— Mówię poważnie.

Roscoe się zaśmiał.

— Dobrze, dobrze, wiem.

— A tak przy okazji — dodał Dunphy — Jak dostałem to podanie?

— O co ci chodzi? Dostałeś je ode mnie. Tym się zajmuję.

— Wiem, ale...

— Jestem oficerem łącznikowym. Przydzielanie zgłaszanych próśb o wolny dostęp do informacji poszczególnym IRO jak ty, to moja życiowa misja.

— Nie o to mi chodzi. Zastanawiam się, jakim cudem ta prośba dotarła tak szybko? Myślałem, że okres oczekiwania wynosi dziewięć lat. A ty dostałeś list McWilliego we wtorek i tego samego dnia odesłałeś go do mnie. Jak to możliwe?

Roscoe chrząknął.

— McWillie zawsze dodaje w swoich listach zdanie z prośbą o szybkie załatwienie. Jeśli sprawa jest wystarczająco głupia, tak jak ta dzisiejsza, to z przyjemnością ją przyspieszam, bo taki błyskawiczny tryb poprawia nasze statystyki.

— Możesz to robić?

— Co?

— Przyspieszać rozpatrywanie wniosków?

— Jasne, jeśli ktoś mnie o to prosi, a ja uznam, że powód jest wystarczająco zasadny.

Dunphy w zadumie sączył piwo. Po dłuższej chwili, z uśmiechem na twarzy, znowu zwrócił się do Roscoe.

— Wyświadczysz mi przysługę?

— Jaka?

— Dostaniesz podanie od faceta, który nazywa się... czekaj, nie wiem... jak?... niech będzie Eddie Piper! Wszelkie podania, które dostaniesz od kogoś, kto nazywa się Eddie Piper, załatwiasz błyskawicznie, dobrze?

Roscoe chwilę się zastanowił.



— Okay.

— I przysyłasz je do mnie. Chcę zajmować się wszystkim, o co poprosi Eddie Piper. Roscoe skinął głową, a potem rzucił zatroskane spojrzenie w stronę Dunphy'ego.

— Kto to jest Eddie Piper? — spytał.

Dunphy potrząsnął głową.

— Nie wiem — odparł. — Właśnie go wymyśliłem. Pytanie tylko, czy się zgadzasz?

— Tak. Czemu nie. Nie wydaje się, żebym miał wiele do stracenia, nie sądzisz?

## 10.

Wynajęcie skrytki pocztowej pod fałszywym nazwiskiem było trudniejsze, niż Dunphy przypuszczał, a miało przecież zasadnicze znaczenie dla realizacji jego planu. Chociaż nie zamierzał wypuścić w świat żadnego dokumentu, korespondencja między Agencją a Edwardem Piperem była nieunikniona. Wpłynięcie każdego podania w sprawie udostępnienia informacji musiało być potwierdzone na piśmie, a każda odmowa wymagała uzasadnienia i powołania się na wykaz informacji wyłączonych z jawności. Te pisma musiały być wysyłane pocztą. A gdyby były zwrócone z adnotacją adresat nieznany, zaraz zainteresowałiby się tym ludzie z informacji i ochrony danych. I zaczęliby zadawać pytania.

Trudność z załatwieniem skrytki pocztowej polegała na tym, że aby ją wynająć, należało przedstawić w urzędzie pocztowym paszport lub prawo jazdy. Nawet firmy prywatne żądały jakiegoś dokumentu, „żeby się zabezpieczyć” — przed czym, tego Dunphy nigdy nie usłyszał. Przeniknęło mu przez głowę, że łatwiej założyć korporację w Panamie czy bank na wyspie Man.

Mimo wszystko nie był to problem nie do rozwiązania. Dunphy wydrukował nalepkę adresową na nazwisko Edwarda A. Pipera i przykleił ją do używanej koperty, zakrywając własne nazwisko i adres. Potem wyruszył do Kinko's Copies w Georgetown. Jechał G.W. Parkway wzdłuż Potomacu w stronę Key Bridge.

Był to jeden z tych rzadkich, roziskrzonych dni w Waszyngtonie, kiedy fale powietrza wdzierają się z północy i rzeński wiatr uderza w Potomac. Na drugim brzegu wyrastały wieże Uniwersytetu Georgetown, w którego sąsiedztwie, jak wiedział, było całe morze butików z tandetą, a w górę rzeki wiosłowały w regatach ośmioosobowe męskie drużyny.

Na widok łodzi przypomniały się Dunphy'emu czasy studenckie i wiosłowanie na jeziorze Mendota, tak że niemal nieświadomie zaczął nucić rozrzewniającą *Varsity* — *Yoo raah raah WisCONNnsin* — i zastanawiał się przy tym, co się stało z jego klubową kurtką. W Kinko's zapłacił czterdzieści pięć dolarów za zestaw pięciuset wizytówek. Wybrał czcionkę Times Roman w kursywie:

*E.A. Piper*

*Konsultant*

Ze sfalszowaną kopertą i jedną z wizytówek w garści wracał tą samą drogą, a zatrzymawszy się w miejskiej bibliotece w Fairfax, posłużył się nimi, by uzyskać trzeci dokument poświadczający tożsamość, czyli kartę biblioteczną.

Późnym popołudniem fikcyjny Eddie Piper miał skrytkę pocztową w Great Falls, „gniazdko” o wymiarach (co Dunphy wiedział) cztery cale na cztery i na piętnaście.

Napisanie podania o ujawnienie informacji było jeszcze łatwiejsze. Dunphy mógł już wyrecytować z pamięci formułkę, jaka była w takich listach stosowana. Oczywiście nie byłoby rozważne domagać się swojej własnej kartoteki 201, ale nic nie stało na przeszkodzie, by poszukać jakichś informacji o zmarłym profesorze Schidlofie. W ten sposób mógłby znaleźć wskazówki ułatwiające wyjaśnienie sytuacji, w której sam się znalazł. Zatem jeszcze tego samego popołudnia napisał i wysłał pierwszy list. Trzy dni później znalazł go na swoim biurku, gdzie został skierowany przez jego współlokatora, przychylnie usposobionego R. White'a z informacji i ochrony danych.

Dunphy był po raz pierwszy od wielu miesięcy w radosnym nastroju, ponieważ zdołał w ten sposób przydzielić samego siebie do śledztwa, które w istocie dotyczyło jego degradacji w służbowej hierarchii.

Trzymając w ręku list E. Pipera, wszedł do windy i zjechał do Centralnego Archiwum. Nie gwizdał ani nie podskakiwał, ale z twarzy nie schodził mu triumfalny uśmiešek.

Gdy dotarł do archiwum, podpisał się z zawijaszem w księdze gości i usiadł przy terminalu komputerowym, by wyszukać numery katalogowe potrzebnych mu akt. Wprawdzie do prowadzenia spraw bieżących Agencji posługiwano się już głównie technologią cyfrową, ale większość akt operacyjnych przechowywano na papierze, jak to było od zawsze. Wiele argumentów przemawiało za tym, by skomputeryzować wszystkie dane znajdujące się w systemie Agencji, lecz Biuro Bezpieczeństwa zawetowało ten pomysł. Bo choć do komputerów Agencji nie mogliby się włamać hakerzy z zewnątrz, nie istniała możliwość zabezpieczenia się przed wewnętrznymi atakami. Zgodnie więc z nadrzędną doktryną: wiesz-tylko-tyle-ile-mu-sisz-wiedzieć, akta operacyjne pozostawały tam, gdzie się zawsze znajdowały: zamknięte w szafach na dokumenty, w szarych teczkach o różnej grubości, harmonijkowych lub nie, bardziej lub mniej zniszczonych. Żeby wyciągnąć teczkę, należało odnaleźć jej numer w komputerze i przekazać go oficerowi zajmującemu się wyszukiwaniem danych, czyli DRO, [*Data retrieval officer.*] którego zadaniem było znalezienie akt dla IRO, takiego jak Dunphy. Choć zarówno IRO, jak i DRO byli na dobre usunięci ze ścieżki służbowego awansu, to właśnie oni byli jedynymi pracownikami CIA, którzy mieli bezpośredni dostęp do komputerów i akt operacyjnych Centralnego Archiwum ulokowanego w podziemiach centrali.

Jako pełniący funkcję IRO Dunphy musiał wiedzieć, i to w zakresie teoretycznie nieograniczonym, a w rezultacie znalazł się wśród osób o najszerszych uprawnieniach w służbach stojących na straży bezpieczeństwa państwa. Była w tym jakaś ironia — choć jego kariera legła w gruzach, to jednocześnie szeroko otworzył się przed nim dostęp do informacji poufnych. Ze swoimi uprawnieniami mógł do woli szperać w dokumentach Agencji (gdy już uzyskał je od jakiegoś DRO).

Dunphy usadowił się wygodnie przed terminalem i przycisnął prawy kciuk do ekranu monitora, uruchamiając tym samym program, który zaczął się od sprawdzenia odcisku kciuka w bazie danych Biura Bezpieczeństwa. Minęło kilka sekund, po czym pojawiły się słowa:

**WITAJ W AEGIS, JOHN DUNPHY.**

**WCIŚNIJ SEND, BY KONTYNUOWAĆ.**

Dunphy wcisnął klawisz SEND i na ekranie rozbłysnęło menu.

**TEMAT?**

Zastanowił się nad tym. Jakiegokolwiek tajemnice kryły się za tym wszystkim, jedno było pewne: jego świat zaczął się rozpadać, kiedy Leo Schidlof został zamordowany. Z pewnością nie był to zbieg okoliczności. Curry nawrzeszczał na niego i kazał mu się pakować. Tak więc rozwiązanie jego problemów, a przynajmniej ich wyjaśnienie, było funkcją pojedynczego pytania: Kto zabił Schidlofa i dlaczego?

Przy słowie „temat” wpisał nazwisko z prośbą o wszystkie odnośne materiały:

**/SCHIDLOF LEO/+ALL X-REFS/**

Kursor zaczął mrugać.



## 11.

Ku zaskoczeniu Dunphy'ego teczka, jaką otrzymał, była szczupła i zawierała niemal wyłącznie materiały ogólnodostępne. Był tam nekrolog z „Observera”, garść wycinków na temat morderstwa i podniszczony egzemplarz pierwszego wydania starego czasopisma: „Archaeus: A Review of European Viticulture”.

Choć był rozczarowany, Dunphy przekartkował czasopismo. Tytuł zapowiadał naukowe opracowania na temat uprawy winorośli i produkcji wina, tymczasem była to dziwna zbieranina esejów i artykułów na zupełnie niezwiązane ze sobą tematy. Ikonografię religijną (*Jan Paweł II i Czarna Madonna z Częstochowy*), budownictwo komunalne (*Opcje rozbudowy zachodniej Jerozolimy*) i chemię (*Formuła i metoda doskonalenia metali nieszlachetnych*) wrzucono do jednego worka. Znajdował się tam również esej na temat mrocznych czasów wczesnego średniowiecza, a w nim zadano ciekawe pytanie: „Kto nakazał światłu zagasnąć?”. Sugestią odpowiedzi było zdjęcie papieża i podpis: „Co Kościół próbował ukryć?”.

W innym miejscu Dunphy znalazł stronę z dziwacznie ilustrowanymi horoskopami, które nasuwały mu podejrzenie, że redaktor był pijany, kiedy składano ten numer. Jedynym artykułem, który miał cokolwiek wspólnego z uprawą winorośli, był esej *Szczep Magdaleny: Stare wino z Palestyny* napisany przez człowieka o nazwisku Georges Watkin. Interesując się winem wyłącznie z punktu widzenia konsumenta, Dunphy odłożył czasopismo na bok i przeszedł do ostatniej pozycji w teczce — karty katalogowej o wymiarach pięć na siedem cali, na której wydrukowano, co następuje:

To jest Special Access Program (SAP), [*W terminologii Pentagonu dotyczy tajnych programów i projektów.*] program specjalnego dostępu, chroniony w systemie Andromeda, w całości albo częściowo przeniesiony do Archiwum Projektu MK-IMAGE w Monarch Assurance Co. (15 Alpenstrasse, Zug, Szwajcaria). (Zob. na odwrocie odnośną zawartość). Wszelkie zapytania dotyczące tych materiałów należy meldować w Security Research Staff (SRS), [*Sztab do spraw bezpieczeństwa.*] w biurze dyrektora (gabinet 404).

Dunphy zatrzymał się nad tym. Faceci, którzy go przesłuchiwali — Rhinegold i ten drugi — pytali go o kryptonim MK-IMAGE. A on powiedział, że nigdy o nim nie słyszał. Co było prawdą. Aż do teraz.

Nie słyszał też nigdy o Security Research Staff. Ale to niewiele znaczyło. CIA była chyba najbardziej posegmentowaną agencją rządową. Miała miriady komórek, a ich nazwy ciągle się zmieniały. Bardziej niż istnienie SRS zdziwił go jednak fakt, że Agencja przetrzymywała tajne dokumenty za granicą i że zapytania o te dokumenty miały być zgłaszane specjalnemu personelowi. Z punktu widzenia kontrwywiadu była to wątpliwa praktyka. Ale co ważniejsze, z punktu widzenia Dunphy'ego (to znaczy z punktu widzenia nocnego złodzieja) informowanie za każdym razem ludzi z Security Research Staff mogło być kłopotliwe. Co będzie, jeśli w poszukiwaniu odpowiedzi na dręczące go pytania zażąda całej serii dokumentów chronionych przez Andromedę? Co się wtedy stanie? Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym pod wpływem wewnętrznego impulsu postanowił się nie przejmować. Będzie miał do okazania prośbę Eddiego Pipera z powołaniem się na FOIA, więc zobaczą, że jedynie pilnie wykonuje swoje obowiązki. Gdyby im się to nie spodobało, niech go wyślą z powrotem do Londynu.

Rozwiązawszy ten dylemat, który najpierw wydał mu się śliską sprawą, odwrócił kartę

katalogową.

SCHIDLOF, PROF. LEO (Londyn) Odnosne materiały — Zug	
Gomelez (owie)	Thomas Davis
Dagobert II	Jesse Curry
Allen Dulles	Optical Magick, Inc.
Jack Dunphy	Ezra Pound
Carl Jung	Sigibert IV
143. Eskadra Chirurgii	

Dunphy przyglądał się karcie bardziej zaniepokojony niż zaszczycony tym, że jest wciśnięty między Allena Dullesa i Carla Junga. Dulles był oczywiście legendą. Szpieg z pierwszej wojny światowej, superszpieg z drugiej, działający w obu wypadkach w Szwajcarii. Kiedy Hitler się poddał, Dulles wspólnie z szefem OSS, Billem Donovanem, zwanym Dzikim, lobbował u prezydenta Trumana na rzecz utworzenia Centralnej Agencji Wywiadowczej — po iluś latach stanął na jej czele. [*Office of Strategie Service, Biuro Służb Strategicznych — wywiad amerykański w czasie II wojny światowej.*]

Mniej wiedział o Jungu. Szwajcarski psychiatra czy psychoanalityk. Pisał o nieświadomości zbiorowej. (Cokolwiek to jest). I o archetypach. I o mitach. I o latających talerzach. Nie, chwileczkę: to był Carl Jung czy Wilhelm Reich? A może Joseph Campbell? Dunphy nie pamiętał. W college'u częściej „lizał”, niż zgłębiał wiedzę, a w rezultacie wyglądało na to, że po trochu wie o wszystkim, czyli praktycznie niewiele o czymkolwiek. Tak czy inaczej Junga sprawdzi przy najbliższej okazji.

Tymczasem trop był zdecydowanie szwajcarski. Zgodnie z winiętą „Archaeus” był wydany w Zug, gdzie mieściło się również Archiwum Specjalne. Posłużywszy się atlasem, Dunphy stwierdził, że to miasto leży około dwudziestu mil od Zurychu.

Wracając do teczki, przejrzał pozostałe nazwiska z listy. Jedyne, które coś mu mówiło, poza Davisem i Currym, to Ezra Pound. Nie czytał go od czasów studenckich, ale przypomniał sobie, że poeta pozostał we Włoszech po wybuchu wojny i na antenie włoskiego radia uprawiał propagandę na rzecz Mus-soliniego i faszystów. Kiedy wojna się skończyła, został aresztowany i odesłany do Stanów, gdzie oczekiwano jego procesu o zdradę stanu. Tymczasem taki proces nigdy się nie odbył. Interweniowali wpływowi przyjaciele, przeprowadzono konsultację psychiatryczną i uznano poetę za niepoczytalnego. Zamiast zawisnąć na stryczku, dostał sądowe skierowanie na leczenie psychiatryczne i spędził znaczną część zimnej wojny w jednoosobowej sali w St Elizabeth's Hospital, gdzie przyjmował gości, a było to w linii prostej po drugiej stronie rzeki, patrząc z miejsca, gdzie teraz siedział.

Dunphy zastanawiał się nad pozostałymi pozycjami wykazu. Sigibert i Dagobert kojarzyli się z postaciami historycznymi. Nazwisko Gomelez było mu obce. Pozostawały Optical Magick, Inc. i 143. Eskadra Chirurgii. Nigdy o nich nie słyszał, ale Inc. i Eskadra sugerowały tematy, jakie mógłby rozpracować.

Ogólnie rzecz biorąc, teczka go rozczarowała, choć na swój sposób była ciekawa. Wprawdzie sama jej zawartość, czyli czasopismo i kilka wycinków z gazet, była tak jawnie neutralna, że chyba nikt nie mógłby mieć nic przeciwko jej ujawnieniu, za to ciekawość Dunphy'ego rozbudził fakt, że Agencja uznała za konieczne umieścić jego akta personalne w Szwajcarii, a tym samym jego osobę w sferze kontroli trochę tajemniczej Security Research Staff.

Dunphy zawołał jednego z DRO i wskazał palcem na fiszkę katalogową.

— Jakiego trybu wymaga?

DRO spojrział na kartę i wzruszył ramionami.

— Jest taki formularz, który trzeba wypełnić — powiedział. — Za chwileczkę panu przyniosę. Ale te bzdety z MK-MAGE kupy się nie trzymają. W tych aktach nie ma niczego poza wycinkami prasowymi, więc może pan skopiować, co pan chce, i wysłać do petenta bez cięć. Jedyne, czego nie wolno panu wypuścić, to wykazu na odwrocie fiszki. Objęty jest wyłączeniem B-siedem-C.

Dunphy skinął głową.

— Dużo tego wpływa?

— Czego?

— Pytań o MK-IMAGE.

DRO potrząsnął głową, przeszedł na drugą stronę pokoju i wrócił z formularzem.

— Przechodzi przeze mnie około trzystu pięćdziesięciu podań tygodniowo i nie widziałem takiej prośby od paru miesięcy. Więc niech pan sam sobie odpowie.

Dunphy popatrzył na formularz, który dostał. Było tam tylko kilka linijek, wypełnił je.

Temat: Leo Schidlof

Petent: Edward Piper

IRO: Jack Dunphy

Date: 23 lutego 1999

Oficer łącznikowy: R. White

Dunphy przekazał formularz w ręce DRO, przeszedł przez pokój do kserokopiarek i zaczął kopiować. Gdy stał tam w oślepiających błyskach stroboskopowego światła, po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że być może wkroczył na niebezpieczną ścieżkę.

## 12.

Orły na mundurze Murraya Fremaux uniosły się, gdy ten ze znaczącym wzruszeniem ramion nachylił się w stronę rozmówcy w barze w Sheraton Premiere.

— Nie ma czegoś takiego jak sto czterdziesta trzecia Eskadra Chirurgii. Nie istnieje. I nigdy nie istniała.

Dunphy pociągnął łyk piwa i westchnął.

— Oficjalnie — dodał pułkownik.

— Aha — rzekł Dunphy, pochylając się ku niemu. — Opowiedz mi o tym.

— Ten oddział to ciemna sprawa. Kiedyś miał dowództwo w stanie Nowy Meksyk.

— A teraz?

— Gdzieś na bezludziu.

Dunphy zmarszczył brwi.

— To dość ogólnikowe. A gdybym jechał samochodem...

— Najbliższe miasto to Vegas, ale to jest jeszcze jakieś dwieście mil na południowy zachód. Mówimy o sercu pustyni. Tam rosną magiczne zioła. Wiatr unosi krzaki. Kowboje widują rogate króliki.

Dunphy zastanowił się przez chwilę.

— Co oni tam robią?

— Voodoo.

— Pytam poważnie.

Murray się zaśmiał.

— A ja ci odpowiadam. Właśnie to robią. Voodoo. Cuda. Magia.

— Murray... — jęknął Dunphy.

— Niech ci będzie. To eskadra helikopterów. I tyle na ten temat. Bo naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej.

Dunphy westchnął głęboko i przysunął się bliżej.

— Znamy się kopę lat, Murray.

— Wiem.

Cisza.

— Byliśmy razem na drugim roku.

— Wiem. Wiem.

— To dla mnie bardzo ważne. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

— Bo nie mogę, nie o to chodzi, że nie chcę, nie mogę. Po prostu nie wiem.

— Gówno prawda! Masz wgląd w każdą tajną operację w Pentagonie.

— Jestem księgowym...

— Prowadzisz audyt ich ksiąg.

— Nie tych ksiąg.

— Dlaczego tych nie?

— Bo oni nie są nasi. To jednostka podległa Agencji.

Dunphy był zaskoczony.

— Eskadra Chirurgii?

Murray wzruszył ramionami.

— Tak. Właśnie to próbuję ci powiedzieć.



— Czekaj... do czego Agencja potrzebuje... czegoś takiego? To znaczy... — Dunphy nie potrafił nawet sformułować pytania. — Co to w ogóle jest eskadra chirurgii?

— Nie wiem — powiedział Murray. — Jeśli chcesz, mogę popytać tu i tam, a może lepiej, żebym od razu strzelił sobie w łeb. Tak czy owak, skończy się tym samym, tylko z bronią byłoby szybciej. Ale... dla ciebie zrobię wszystko. Znamy się przecież kopę lat, tak?



Zegar wybijał północ, gdy Dunphy wrócił do domu, obwieszczając swe wejście trzaskiem zewnętrznych drzwi kuchennych chroniących przed owadami.

— Wiesz — zawołał Roscoe — to bardzo interesujące!

— Co takiego? — zapytał Dunphy, zaglądając do lodówki.

— „Archaeus”, jakkolwiek się to wymawia.

— A tak, to czasopismo.

Otworzył budweisera i kopniakiem zamknął lodówkę.

— Wiedziałem, że może cię zainteresować — powiedział.

Wszedł do pokoju dziennego, gdzie Roscoe siedział rozwalony w miękkim fotelu z czasopismem na kolanach.

— Znalazłeś jakieś ciekawostki?

— Na temat?

— Wina.

Dunphy opadł na kanapę i pociągnął łyk.

— Nie — powiedział Roscoe. — Tu nie ma nic na temat wina.

Dunphy popatrzył na niego.

— Okładka ci mówi, że piszą o *viticulture*. Winorośla. Wina. Jest tam artykuł o... wiesz o czym?

— O szczepie Magdaleny.

— Właśnie!

— Tylko że on nie dotyczy wina, jakby się można było spodziewać — powiedział Roscoe. — Faktycznie mówi o...

— O czym?

— O genealogii.



Druga prośba Dunphy'ego, z powołaniem się na FOIA, wysłana we wtorek — rzekomo przez E. Pipera — trafiła na jego biurko za pośrednictwem Roscoe White'a w piątek.

*Powołując się na ustawę o wolnym dostępie do informacji (FOIA), składam podanie (551 ASC, z poprawkami)*

*o udostępnienie wszelkich informacji na temat 143. Eskadry Chirurgii...*

DRO udał się z podaniem do hali zbiorów i po kilku minutach wrócił z cienką teczką i formularzem informującym, że zażądano informacji „chronionej przez Andromedę”. Tak jak poprzednio, Dunphy wypełnił formularz:

Temat: 143. Eskadra Chirurgii  
Petent: Edward Piper  
IRO: Jack Dunphy  
Date: 1 marca 1999  
Oficer łącznikowy: R. White

i oddał go DRO.

Teczka zawierała wycinki z gazet i kartę katalogową o wymiarach pięć na siedem cali. Dunphy przyjrzał się karcie, która zgodnie z jego przypuszczeniem zawierała takie samo ostrzeżenie jak w teczce Schidlofa:

To jest program specjalnego dostępu, chroniony w systemie Andromeda, w całości albo częściowo przeniesiony do Archiwum Projektu MK-IMAGE w Monarch As-surance Co. (15 Alpenstrasse, Zug, Szwajcaria). (Zob. na odwrocie odnośną zawartość). Wszelkie zapytania dotyczące tych materiałów należy meldować w Security Research Staff, w biurze dyrektora (gabinet 404).

Po drugiej stronie karty Dunphy znalazł wykaz odnośnych materiałów:

Optical Magick, Inc. Rejestr bydła (Nowy Meksyk)  
Rejestr bydła (Kolorado) Allen Dulles  
Carl Jung

Nie było tu nic nowego poza rejestrami bydła. Te zadziwiły Dunphy'ego. Niby dlaczego Agencja miałaby liczyć krowy? Odłożył kartą i wziął się do wycinków.

Zwrócił uwagę na ślubne zdjęcie, jakie zamieszcza się w lokalnych gazetach. To pochodziło z „Roswell Daily Record” z 17 czerwca 1987 roku i przedstawiało jakąś szczęśliwą parę. Nie wyróżniali się niczym szczególnym z wyjątkiem, być może, kowbojskiego krawata, który miał na sobie pan młody. Dunphy dokładniej obejrzał ten wycinek. Pan młody wyglądał znajomo. Zaczął czytać.

Pan Ulric Varange z żoną, z Los Alamos, mając przyjemność ogłosić ślub swojej córki Isolde z panem Michaeliem Rhinegoldem z Knoxville w stanie Tennessee.

Panna Isolde Varange ukończyła Wyższą Szkołę Pielęgniarską stanu Arizona w 1985 roku.

Pan Rhinegold ukończył z wyróżnieniem Uniwersytet Boba Jonesa w 1984 roku.

Państwo młodzi są cywilnymi pracownikami 143. Eskadry Chirurgii.

Miesiąc miodowy planują spędzić w Szwajcarii.

W odpowiedzi na trzecią prośbę o informację, dotyczącą tym razem Optical Magick, Inc., Dunphy otrzymał znane już ostrzeżenie o poufności oraz kopię umowy założycielskiej spółki. Najwyraźniej wskutek jakiejś pomyłki dołączono także plik wycinków prasowych

relacjonujących pojawienia się UFO w różnych miejscach na terenie kraju. Dunphy rzucił okiem na te wycinki, niektóre sprzed wielu lat, ale nie znalazł w nich niczego interesującego. Były to głównie doniesienia Associated Press dotyczące incydentów z Nowego Meksyku, Waszyngtonu, Michigan i Florydy.

Przeglądając umowę o założeniu spółki, dowiedział się, że Optical Magick to firma z Delaware utworzona wiosną 1947 roku. Jako prezes spółki i przedstawiciel prawny figurował Jean DeMenil z Bellingham w stanie Waszyngton. Cała reszta była standardowym tekstem prawnym.

W ciągu kolejnych tygodni „E. Piper” składał prośby o udostępnienie informacji na temat Carla Junga oraz rejestrów bydła w Nowym Meksyku i Kolorado. Jego podania napływały wraz z autentycznymi wnioskami zgłaszanymi przez innych obywateli: żony szukające informacji o zaginionych mężach (których podejrzewały o to, że są agentami CIA); tropicielei prawdy o zabójstwie Kennedy’ego poszukujących odpowiednika kamienia z Rosetty do wyjaśnienia wydarzeń z Dealey Plaza; geologów domagających się zdjęć satelitarnych niezbadanych dotąd regionów; historyków uganiających się za dowodami zdrady na szczeblach władzy; także przez niepokojąco liczną grupę osób, które twierdziły, że są ofiarami technik kontrolujących umysły. Dunphy oddawał te wszystkie podania swojemu DRO i wyglądało na to, że ten nie zauważa statystycznie nieprawdopodobnie wysokiej liczby próśb o informacje chronione przez Andromedę, gdyż kopiował wszystkie materiały, jakich Dunphy potrzebował.

Ogólnie rzecz biorąc, podstępna sztuczka szła gładko, ale uzysk był niewielki. W teczce Junga nie było nic poza wycinkami z gazet oraz wiadomym ostrzeżeniem pięć na siedem cali i znanym już Dunphy’emu wykazem odnośnych materiałów. Teczki rejestrów bydła były równie nieciekawe. I jedna, i druga zawierały katalogi z chicagowskiej hurtowni sprzętu chirurgicznego — Dunphy uznał, że to kolejna pomyłka — oraz taką samą notkę pięć na siedem... i nic poza tym. To było frustrujące.

Frustracja Dunphy’ego przerodziła się jednak w poważne obawy, gdy wrócił do swojego biura w korytarzu B i znalazł na biurku notatkę.

Do: J. Dunphy,

IRO Od: Security Research Staff

Wiadomość: Zgłosić się do gabinetu 404.

Dunphy wręczył notatkę strażnikowi w czarnym uniformie siedzącemu przy stoliku tuż za przeszklonymi drzwiami obszernego holu przed gabinetem 404. Strażnik wpisał nazwisko Dunphy’ego do księgi interesantów, wrzucił notatkę do stojącego na podłodze kosza: DO SPALENIA i wskazał ciężkie drewniane drzwi w odległym końcu korytarza.

— Pan Matta czeka na pana.

Gdy Dunphy zbliżył się do drzwi, te otworzyły się z metalicznym kliknięciem, a on ze zdumieniem stwierdził, że to, co brał za dąb, faktycznie było stalą, i to prawie na trzy cale grubą. Wszedł do środka i drzwi się za nim zamknęły.

Minęła chwila, zanim jego oczy przyzwyczyły się do zmienionego światła, a wtedy odniósł wrażenie, że znalazł się w katalogu Ralpa Laurena. Jarzeniowe oświetlenie wszechobecne w centrali tutaj zostało zastąpione przez stojące lampy z matowymi abażurami łagodzącymi blask żarówek. Ściany pokoju były obłożone boazerią z białej sosny i rzędami półek z książkami w skórzanych oprawkach. Ogień migotał wesoło na palenisku rzeźbionego drewnianego kominka, nad którym wisiał na ścianie olejny obraz w ciemnej kolorystyce: dwaj pasterze nad grobem, jakby zablakani. W odległym końcu gabinetu na bogato rzeźbionym, zabytkowym dębowym biurku stała, jako kolejny antyk, maszyna do pisania marki Remington. Perskie i azerskie dywany pokrywały parkiet, a powietrze było przesycone zapachem palącego się drewna.

— Pan Dunphy.

Drgnął cały na dźwięk tego głosu. Dopiero teraz zauważył stojącego przy oknie mężczyznę, odwróconego plecami, zapatrzonego w dal na wirginijski krajobraz.

— Proszę usiąść — powiedział mężczyzna, odwracając się i podchodząc do biurka.

Dunphy usiadł w miękkim skórzanym fotelu i skrzyżował nogi. Mężczyzna przed nim był starszy wiekiem, siwy i ponury. W garniturze, który Dunphy ocenił na tysiąc dolarów, i w butach robionych na miarę wyglądał nienagannie. Emanował uprzejmością, autorytetem i rodowym pieniądzem. Dopiero teraz Dunphy poczuł, że w pokoju jest zbyt ciepło.

Mężczyzna obdarzył go bladym uśmiechem.

— Mamy bardzo poważny problem, Jack.

— Przykro mi to słyszeć, panie Matta.

— Mów do mnie Harold.

— Okay... Harold.

— Jak się zapewne domyślasz, jestem szefem Security Research Staff.

Dunphy skinął głową.

— Mam nadzieję, że uda nam się uciąć sobie pogawędkę na temat pana Pipera. Edwarda Pipera. Kojarzysz?

Dunphy zacisnął wargi, zmarszczył brwi i wreszcie potrząsnął głową.

— Chyba nie — odpowiedział.

— Pozwól, że ci podpowiem. Wystąpił z szeregiem próśb o udostępnienie informacji.

Dunphy skinął głową i starał się zachować obojętny wyraz twarzy, co nie było łatwe, bo serce łomotało mu w piersiach jak szalone.

— Zgadza się. To znaczy, skoro ty tak twierdzisz.

— Wiem to.

Dunphy zmarszczył brwi i chrząknął.

— No tak. I zapewne... hmm... niektóre z nich przechodziły przez moje ręce.

— Zgadza się.

— I... co? Czy jestem winien przecieku informacji, czy...

— Nie. Absolutnie nie! To były tylko jakieś wycinki prasowe. Jakieś artykuły z czasopism. Nic, czego wcześniej nie udostępniono opinii publicznej.

Dunphy podrapał się po głowie i wyszczerzył w uśmiechu.

— W takim razie... nie widzą problemu.

— Cóż, problem polega na tym, a właściwie zaczyna się od tego, że pan Piper prawdopodobnie nie istnieje.

— Aha! — Dunphy czuł swój przyspieszony oddech, gdy cisza zapadła między nimi. — Zatem sądzisz...?

— Że jest fikcją.

— O to chodzi — powiedział Dunphy. — Wiąc tak napraw-dą... choć rozumiem, co mówisz, to problemu nie widzą. Bo sprowadza się to do tego, o ile cią rozumiem, że puszczałem rzeczy bez znaczenia do wiadomości kogoś... kto nie istnieje.

Matta obserwował Dunphy'ego w milczeniu, nabijając fajkę tytoniem i ugniatając go kciukiem.

— Adres Pipera to skrytka pocztowa. Oddział Parcel Plus w Great Falls.

— Hm! — mruknął Dunphy.

— Ale najciekawsze jest to — dodał Matta — i to naprawdę mnie martwi, że on nie odbiera nadchodzącej poczty.

Dunphy przełknął śliną.

— Żartujesz.

— Nie żartują! Tak jakby go to w ogóle nie interesowało. Co wydaje się dziwne. Po napisaniu tyłu podań o udostępnienie informacji można by sądzić... A co ty o tym myślisz, Jack?

— O czym? — zapytał Dunphy.

— O braku zainteresowania ze strony pana Pipera.

— Nie wiem — rzekł Dunphy, czekając na inspirację. — Może nie żyje! I ktoś podszywa się pod niego.

Matta w zamyśleniu pociągnął fajkę. Wreszcie powiedział:

— To doprawdy głupia hipoteza, Jack. Niczego nie wyjaśnia. Bo dlaczego ktoś zadawałby sobie trud pisania tych próśb o ujawnienie informacji, nie będąc zainteresowany materiałem otrzymywanym w odpowiedzi.

— Nie wiem — odpowiedział Dunphy. — To niezła zagadka.

Zaczynał wpadać w panikę.

— Co najmniej jedna. Co najmniej jedna niezła zagadka. W rzeczywistości jest coś jeszcze dziwniejszego.

— Czyżby? — spytał Dunphy, trochę za ostro i trochę za głośno.

— Tak. Bo chociaż wydajesz się tego nie pamiętać, faktem jest, że do dnia dzisiejszego pan Piper przysłał sześć podań, z których każde mogło być skierowane do któregoś z jedenastu IRO w centrali. Ale... nie do wiary... wszystkie trafiły do ciebie! Czy masz pojęcie, jakie jest prawdopodobieństwo zaistnienia takiego przypadku?

— Nie — odparł Dunphy.

— Ja też nie — przytaknął Matta łagodnie. — Powiniennem wszakże przyjąć, iż niezwykle wysokie, nie sądzisz?

— Wątpię, ale...

— Astronomicznie wysokie, doprawdy — ironizował Matta.

— Na pewno masz rację, ale... nie wiem, co powiedzieć. Nie mam nic do gadania w sprawie spływu podań do mnie. Dostają je z... nie wiem, skąd one spływają. Przychodzą z góry.

— Tak, lecz w istocie nie aż z tak wysokiej. Są „doręczane” przez niejakiego White’a.

— No dobrze. Przez White’a.

— Z którym, jak rozumiem, jeszcze jednym przedziwnym zbiegiem okoliczności, dzielisz mieszkanie.

Teraz Dunphy dostrzegł zegar tykający na drugim końcu pokoju. To był bardzo głośny zegar. Albo tak się wydawało w ciszy, która zapadła i wypełniała pokój w oczekiwaniu na jakiś dźwięk. Wreszcie Dunphy powiedział:

— Chwileczkę. Chodzi ci o Roscoe?!

— Tak.

— A więc to tym się zajmuje! — Dunphy wydał z siebie zduszony śmiech.

— Mmm... tak, tym. Mam przyjąć, że nigdy nie rozmawiałeś z White’em o panu Piperze.

— Nie, oczywiście, że nie. Nie rozmawiamy ze sobą o pracy.

Matta chrząknął i wychylił się do przodu.

— To chwalebne, Jack. Ale wiesz co? Nie wierzę ci.

Dunphy wysunął szczękę. Nie lubił, kiedy nazywano go kłamcą, zwłaszcza gdy akurat kłamał.

— Przykro mi to słyszeć.

Matta sięgnął do szuflady i wyciągnął teczkę z szarego kartonu. Bez słowa przesunął ją na drugą stronę biurka.

Dunphy wziął teczkę i otworzył ją. Na kolana wypadł mu plik kolorowych zdjęć dużego

formatu, jak strona czasopisma. Popatrzył na nie. Każde było ostemplowane kryptonimem MK-IMAGE. Każde miało numer, ale wyglądały na jednakowe: zbliżenie ludzkiego oka z małą pionową linijką przebiegającą horyzontalnie przez źrenice. Linijka była wyskalowana w milimetrach. Dunphy zmarszczył brwi.

— Nie wiem, o co chodzi — powiedział.

— Przeszedłeś test na wariografie — przypomniał Matta.

— Zgadza się.

— Aldrich Ames też przeszedł.

Dunphy obruszył się na tę aluzję. Ames odsiadywał dożywocie za szpiegowanie przeciw CIA. Wreszcie popukał palcem w zdjęcia i zapytał:

— O co chodzi?

— Obląłeś egzamin na źrenice, Jack.

— Jaki egzamin na źrenice?

Dunphy dokładniej przyjrzał się zdjęciom. Powoli dotarło do niego, że to jego własne oczy i w tym momencie poczuł ciarki na plecach.

— Nie polegamy już tak bardzo na wariografie. Nie w tym stopniu co kiedyś. Zbyt wiele razy się sparzyliśmy. Pomiary źrenicy są dużo trudniejsze do sfalszowania. Dużo bardziej wiarygodne.

Dunphy był szczerze zaskoczony i dało się to zauważyć. Potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

— Chcesz zobaczyć, o jakie kłamstwo chodzi?

Dunphy skinął głową. Leciutko.

— Popatrz na numer trzynaście.

Dunphy zrobił, co mu kazano. Zdjęcie wyglądało tak jak inne. Tyle że, jak teraz dostrzegął, oczy były szerzej otwarte, źrenice duże. Powiększone.

— Zobacz, co jest na odwrocie — rzucił Matta.

Dunphy wykonał polecenie.

Wypowiedź badanego:

„Przykro mi, nie wiem, gdzie jest Davis”.

(Dla) Rhinegold, Esterhazy.

Kurwa. To słowo wystrzeliło mu w mózgu jak gong i przez chwilę Dunphy myślał, że Matta musiał je słyszeć. Ale nie, starszy pan siedział w swoim fotelu, z policzkami wciągniętymi w jakimś geriatrycznym uśmiešku czy grymasie. Dunphy odwrócił zdjęcie i wpatrywał się we własne oczy. Gdzie była kamera? I natychmiast znalazł odpowiedź. W turkusowej spince w krawacie Esterhazy'ego.

— To jakaś bzdura — powiedział. — Nikomu nie skłamałem.

Matta pociągnął w zadumie swoją fajkę, po czym pochylił się konfidencjonalnie w jego stronę.

— Myślę, że parę dni wolnego dobrze by ci zrobiło, co Jack? Daj nam trochę czasu na rozwiązanie tej sprawy.

Dunphy zaczął protestować, lecz Matta uciął rozmowę.

— Nie martw się, to nie potrwa długo. Dam do tego moich najlepszych ludzi. Obiecuję.

## 13.

Przy podjeździe Dunphy wyjął ze skrzynki pocztę, zaparkował auto i wszedł do domu. To był zużyty dowcip, ale nie mógł się powstrzymać i zawołał:

— Kochanie, jestem w domu!

Roscoe siedział przy stole w jadalni i czytał „Archaeusa”. Skwitował żart wymuszonym uśmiechem i rzekł:

— Wysłali mnie na urlop administracyjny.

— Jezu! — wykrzyknął Dunphy. — A więc tak to nazywają. Mnie też wysłali.

— Chcesz znać prawdę? — zapytał Roscoe. — Matta śmiertelnie mnie wystraszył.

Zastanawiam się nad przejściem na wcześniejszą emeryturę.

— Ale, Roscoe... my ledwo cię poznaliśmy.

Roscoe zachichotał.

— Słuchaj, stary, naprawdę mi przykro — stwierdził Dunphy. — Ja cię w to wrobiłem. — Zamilkł na dłuższą chwilę. — Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Mam u ciebie przechlapane.

Roscoe wzruszył ramionami.

— Nie przejmuj się. Jeśli chcesz znać prawdę, nie jestem napalony na szpiegowanie.

Dunphy pokręcił głową.

— Mówię poważnie! Rozdzielanie podań FOIA między agencyjnych popaprańców... — Roscoe zaciął się na widok miny Dunphy’ego. — Nie mam na myśli tu obecnych, oczywiście! — wtrącił, po czym kontynuował. — To nie jest to, do czego się zgłosiłem. To znaczy, to jest przygnębiające. Zimna wojna się skończyła. Wróg się wycofał. Powinniśmy świętować, ale tego nie robimy. A dlaczego? Bo Rosjanie nas wykiwali, poddając się. Teraz, kiedy nie mamy wroga, takiego „symetrycznego wroga”, co byłby tak silny jak my, a przynajmniej mógłby być tak sprzedawany, to co mamy na usprawiedliwienie naszego budżetu? Narkotyki? Terroryzm? Owocankę połu-dniówkę? Dajcie mi spokój. Chętnie się z tego wycofam. — Przerwał i wskazał na pocztę w ręku Dunphy’ego. — Coś dla mnie?

Dunphy popatrzył. Była tam duża koperta ze zdjęciem Eda McMahona i ogromnym nagłówkiem: MAMY ZASZCZYT OGŁOSIĆ, ŻE ROSCOE WHITE WYGRYWA 10 000 000 DOLARÓW! — pod którym drobnym drukiem widniało: „jeśli wypełni dołączony formularz i zdobędzie zwycięski kupon”.

Rzucił listem do Roscoe.

— Moje gratulacje — powiedział, opadając na fotel, by przejrzeć resztę poczty. W większości były to rachunki, ale jedną kopertę bez znaczka ktoś wrzucił bezpośrednio do skrzynki. Była zaadresowana do Dunphy’ego. Otworzył ją.

Jack — czytał — nie dostałeś tego ode mnie, ale...

*Przeszukałem w komputerach i sprawa przedstawia się tak, że w plikach Pentagonu jest tylko jedno odesłanie do 143. Dotyczy renty inwalidzkiej dla mieszkańca Dodge City w Kansas, Gene’a Bradinga, który zaraził się czymś, co się nazywa chorobą Creutzfeldta-Jakoba (?), a nabawił się tego, kiedy był przypisany do 143. Jeżeli ten temat wciąż Cię interesuje, pewnie zechcesz się z facetem skontaktować. Sprawdziłem, jest w książce.*



Notatka, niewątpliwie od Murraya, była podpisana *Omar the Tentmaker*.

— Jezu — wyszeptał Dunphy.

Roscoe spojrział znad „Archaeusa”.

— Co?

— Ten facet ma chorobę Creutzfelda-Jakoba.

Roscoe zmarszczył brwi.

— Kto? I co to takiego?

Dunphy zignorował pierwsze pytanie.

— Choroba wściekłych krów — powiedział. — Tamta uczona nazwa dotyczy przypadków wśród ludzi, ale w Anglii, gdzie dała się we znaki... na straty poszło sto tysięcy sztuk bydła... tak na nią mówią. Jeszcze inna nazwa to kuru. W Nowej Gwinei, gdzie zarażają się kanibale, nazywają ją kuru.

— Uhm — zamruczał Roscoe. — Coś podobnego.

— Masz jakieś ćwierćdolarówki? — zapytał Dunphy.

— Tak... chyba tak. Na moim biurku... tam trzymam drobne. Ile potrzebujesz?

— Nie wiem... dziesięć, dwanaście. A ile masz?

Roscoe wzruszył ramionami.

— Dużo... ale po co ci ćwierćdolarówki?

— Muszę zadzwonić.

Roscoe spojrział na niego.

— W tym celu mamy pewne urządzenie w przedpokoju... takie z przyciskami i zwiniętym w spiralę przewodem.

Dunphy potrząsnął głową.

— Nie sądzę, żebym mógł zadzwonić stąd. Muszę skorzystać z automatu. Kupić ci coś przy okazji w 7-Eleven?



Brading nie był usposobiony do współpracy.

— Nie mogę rozmawiać na ten temat — powiedział. — To wszystko jest tajne.

— Dobrze — odpowiedział Dunphy — a więc tak zapiszę w swoim raporcie i na tym sprawa się skończy.

— Co pan rozumie przez sprawa się skończy? Co się skończy?

Dunphy westchnął głośno.

— Miejmy nadzieję, że nie pańska renta.

— Moja renta?!

— Albo opieka zdrowotna, ale...

— Co?!

— Niech pan słucha, panie Brading, a raczej Gene, jeśli wolno, wiesz, jak jest w Waszyngtonie: GAO tropi oszustów. [*Amerykańska federalna instytucja kontrolna*.] Tym się tam zajmują. Biorą pod lupę losową próbkę rent i przywilejów... nie tylko z Pentagonu, z dowolnej agencji... i sprawdzają. Co roku. Kontroli podlega nie więcej niż jedna osoba na dwa tysiące, ale chcą wiedzieć, czy rząd nie wypisuje przypadkiem czeków komuś, kto nie żyje. Tak czy inaczej twoje nazwisko wyrzucił komputer i...

Brading jęknął ze złości.

— ...rozumiesz teraz, w czym twój problem. Wygląda to tak, że armia płaci rentę inwalidzką komuś, kogo nie ma w kartotece wojskowej i kto twierdzi, że doznał uszczerbku na zdrowiu,

pracując dla jednostki, która nie istnieje w żadnych księgach. A więc wygląda to na oszustwo, a to źle i dla ciebie, i dla nas. Bo jak wiesz, nie potrzebujemy rozgłosu.

— Na miłość boską, nie możecie im po prostu powiedzieć, żeby...

— Nie możemy im mówić, co mają robić. Możemy porozmawiać z nimi, ale zanim się tego podejmę... muszę dowiedzieć się czegoś o okolicznościach, w jakich nabawiłeś się choroby i...

— Powtórzysz jeszcze, dla kogo pracujesz?

— The Security Research Staff.

Brading chrząknął.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że nie możemy rozmawiać o żadnej z tych rzeczy przez telefon. Starliby nas obu na proch.

— Jasne — przyznał Dunphy — chciałem tylko złapać kontakt. Jeśli nie jesteś zajęty, mógłbym wylecieć jutro i...

— Niech będzie jutro. Żeby mieć to z głowy.



Dunphy poleciał do Kansas następnego dnia, wypożyczył samochód i po południu pojechał zobaczyć się z Bradingiem. Ten mieszkał na osiedlu obok pola golfowego z osiemnastoma dołkami, zielonej oazy ciągnącej się w stronę pobliskiego centrum handlowego.

Jak się okazało, Eugene Brading był mężczyzną po sześćdziesiątce, chudym, o ziemistej cerze. Otworzył drzwi, siedząc na wózku inwalidzkim, na kolanach miał koc. Jego pierwsze słowa brzmiały:

— Mogę zobaczyć twoją legitymację?

Dunphy wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki małe czarne etui i otworzył je. Brading popatrzył na laminowanego orła, zerknął na nazwisko i wyraźnie usatysfakcjonowany zaprosił gościa gestem do salonu.

— Napijesz się lemoniady? — zapytał, jadąc w stronę kuchni.

— Chętnie — odparł Dunphy, rozglądając się po pokoju. — Lemoniada dobrze mi zrobi.

Jego wzrok zatrzymał się na karcie pocztowej w złotej ramce, która wisiała na ścianie obok półki z książkami. Był to święty obrazek przedstawiający ubraną w złote szaty Madonnę stojącą w czarnej marmurowej kaplicy, ze spojrzeniem skierowanym w oko kamery. Otaczały ją błyskawice i chmury, pod nogami miała naręcza goździków, i była uderzająco czarna. Czarna jak smoła. A u jej stóp widniała inskrypcja:

*La Vierge Noire*

*Protectrice de la ville*

Odręczna notatka na białym marginesie informowała: *Einsiedeln, Switz., czerwiec 1987.*

Bardzo dziwne, pomyślał Dunphy. Ale to wszystko, co przeszło mu przez głowę. Pocztówka nic mu nie mówiła, więc pozwolił oczom powędrować dalej wzdłuż ściany. Był tam obraz Keane'a z charakterystycznym samiookim dziecięciem roniącym łzę, a dalej coś intrygującego: kwadrat czarnej tkaniny zwisał jak zasłona, zakrywając coś, co Dunphy bardzo by chciał zobaczyć.

— Sam ją przyrządzam — mówił Brading, wtaczając się do pokoju ze szklanką lemoniady.

— Z samych naturalnych składników.

— Naprawdę?

Dunphy wziął szklankę i pociągnął łyk. Przez chwilę delektował się smakiem.

— Jest taka, jaką uwielbiam.

— Ja z kumplami — powiedział Brading, wskazując wyblakłe zdjęcie w złotej ramce. Przedstawiało czterech mężczyzn w czarnych kombinezonach stojących na polu pszenicy. Obejmowali się ramionami i uśmiechali do kamery. Dunphy rozpoznał wśród nich Bradinga i Rhinegolda. Zdjęcie było podpisane:

*Mężczyźni w czerni!*

*Ha Ha Ha!!!*

Brading patrzył na zdjęcie, uśmiechając się.

— To taki nasz żart — wyjaśnił.

Dunphy skinął głową, udając, że niby rozumie.

— Widzę, że pracowałeś z Mikiem.

Brading, mile zaskoczony, zachichotał.

— A jakże! Ty znasz Mike'a?

— Wszyscy znają Mike'a.

— Mnie nie trzeba tego mówić. Co za gość!

Dunphy i Brading wpatrywali się w zdjęcie, uśmiechając się głupawo i nic nie mówiąc.

Wreszcie Brading przerwał ciszę.

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— Powiedzmy — rzekł Dunphy, wyciągając notatnik i sadowiając się w miękkim fotelu — że opowiesz mi o sto czterdziestej trzeciej.

Brading zmarszczył brwi.

— No cóż, chyba tak... skoro ty i Mike znacie się od dawna... — Potrząsnął jednak głową. — Ale nie będziesz miał mi za złe, że cię zapytam mimo wszystko, jak wysoko sięga twój certyfikat bezpieczeństwa?

Dunphy zakasłał.

— Jest jak trzeba... Od certyfikatu Q-clearances przez *Cosmic*... [Uprawnia do dostępu do tajnych informacji dotyczących badań jądrowych. *Cosmic-clearance* — badań kosmosu.]

— *Q-clearance* tego nie dotyczy. Mówimy o sprawach najgłębszej sekretności.

— Poza tym mam dostęp do Andromedy.

Brading chrząknął nagle usatysfakcjonowany.

— No tak... Andromeda. Domyślałem się. No bo facet z SRS i tak dalej, ma tam dostęp, to jasne. Ale wiesz... musiałem zapytać. Na pewno mnie rozumiesz.

Dunphy skinął głową.

— Oczywiście.

— W każdym razie — ciągnął Brading — byłem w sto czterdziestej trzeciej przez, nie wiem, chyba dwadzieścia cztery lata. Zaczynałem w Roswell, tylko że wtedy to nie była sto czterdziesta trzecia, lecz jedna z tych jednostek bez nazwy wchodzących w skład pięćset dziewiętej.

— Co to takiego?

Brading zmarszczył czoło.

— Pięćset dziewięta Zespólna Grupa Bombowa. Nie znasz historii własnego kraju?

— Ano tak, oczywiście — rzekł Dunphy z uśmiechem mającym udobruchać starszego pana.

— Zrzucili bombę atomową na Japończyków — wyjaśniał Brading i mrugnawszy znacząco okiem, dodał — między innymi sprawkami.

Najwyraźniej potrzebny był uśmiech oznaczający zrozumienie i Dunphy go posłał.

— Och... jasne — powiedział i uśmiech rozblęsnął szerzej.

— Tak czy inaczej byłem z nimi przez... ile? To musiało być ze dwanaście lat.

— Zaczynając od którego?

— Od sześćdziesiątego. Aż do siedemdziesiątego pierwszego, może siedemdziesiątego drugiego. Wtedy dostaliśmy naszą nazwę. Sto czterdziesta trzecia eskadra.

Dunphy skinął głową.

— Nie będziesz tego zapisywał?

— Ależ tak — rzekł Dunphy i zanotował.

— Bo od tego momentu zaistniała sto czterdziesta trzecia. To zdarzyło się w tym samym roku co Watergate. Łatwo zapamiętać.

— Rzeczywiście.

— I oczywiście nie można było dowodzić czymś takim jak sto czterdziesta trzecia z Roswell... bo, na Boga, to przecież normalnie funkcjonujące miasto. Ludzie tam żyją!

Dunphy ze zrozumieniem skinął głową.

— Więc...

— Ulokowali nas w Dreamlandzie.

Dunphy rzucił mu puste spojrzenie.

— Nie słyszałeś o Dreamlandzie?

— Nie.

— Rety! Myślałem, że wszyscy wiedzą, co to Dreamland. Mówili o tym w programie *60 Minutes!*

— No wiesz... mało oglądam telewizję.

— Teraz pewnie są już książki na ten temat. Tak czy inaczej Dreamland jest na poligonie Nellis Range, sto dwadzieścia mil na południowy zachód od Vegas. W Emigrant Valley. Mają tam około stu tysięcy akrów.

— Kto?

— Wuj Sam. Trzy, cztery hangary. Z pół tuzina pasów startowych.

— Mieszkałeś tam?

— Nikt tam nie „mieszka”. To naszpikowany antenami teren, gdzie zobaczysz grzechotniki... i cudaczne samoloty, oczywiście. Większość z nas mieszkała w Vegas i lataliśmy tam i z powrotem.

— Jest połączenie wahadłowe?

— Było kilka lotów dziennie z lotniska McCarran... myślę, że w dalszym ciągu tak jest. Leci się mniej więcej pół godziny. Obsługuje tę linię jakaś filia Lockheeda. Zapomniałem, jak się nazywa. Ale mają siedemset sześćdziesiąt siedem, pomalowane na czarno, z czerwoną linią wzdłuż kadłuba.

— Ile osób dziennie z tego korzystało?

— Pewnie około tysiąca. W obie strony.

— I wszyscy byli w sto czterdziestej trzeciej?

— Nie, nie, nie. Skądżeby aż tylu. Kiedy ja tam pracowałem, było nas około dziesięciu osób... sama elita.

— A pozostali...

Brading lekceważąco wzruszył ramionami.

— Oblatywanie, szkolenia... na obcych jednostkach, jak MIG-dwadzieścia trzy i Sukhoi Su-dwadzieścia dwa... latały znad jeziora Groom. I pojawiły się, jak sądzę, na miejsce blackbirda.

— Coś takiego!

— To nie żarty. Z tego, co słyszę, odrzutowiec zwiadowczy Tier trzy osiąga prędkość sześciu machów, a na radarze pokazuje obiekt wielkości twojej dłoni.

— Ouu! — wykrzyknął Dunphy.

— Ouu to dobry komentarz. To wszystko robiło wrażenie i było dobrym przykryciem do tego, co my robiliśmy. Choć, jeśli chcesz znać prawdę, nasze helikoptery miały technologię nowocześniejszą od samolotów.

Dunphy zmrużył oczy, nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

Chciał poprosić Bradinga o powtórzenie tej wzmianki o przykrywce. Zamiast tego zapytał:

— Jakie helikoptery?

Bradingowi zaświeciły się oczy.

— MJ-dwanaście Micro Pave Lows! Najlepszy na świecie. Mówimy o dwusilnikowej hybrydzie śmigłowca i samolotu z najnowocześniejszą awioniką na pokładzie. Praktycznie niewykrywalny dla radaru. Wykonuje lot zadaniowy w słabym oświetleniu i w ciemności, ma zasięg dwóch tysięcy kilometrów. Na samo wspomnienie serce mi pika. Wiesz, ta maszyna ma w swoich komputerach oprogramowanie składające się z czterech milionów wersów i zewnętrzny hak ładunkowy o udźwigu ponad dwóch ton. Można lecieć nisko i powoli albo zmienić ustawienie rotorów i w mgnieniu oka jesteśmy w odrzutowcu. Absolutnie rewolucyjne! Lataliśmy zwykle z prędkością trzystu węzłów i... teraz słuchaj, bo to jest dopiero coś, to jest prawdziwa rewolucja... tylko dźwięki uboczne, nas nie było słychać! A wytwarzał się wir powietrza taki, że czasami obiekty fruwały w powietrzu.

Dunphy musiał mieć minę sceptyka, bo Brading nakręcił się jeszcze bardziej.

— Słuchaj, naprawdę, nic nie przesadzam. Tak było. Te zabawki latały w martwej ciszy.

— Jezu!

— Alleluja!

Taki odzew zaskoczył Dunphy'ego, ale kontynuował wywiad.

— A więc byłeś w Dreamlandzie aż do...?

— Siedemdziesiątego dziewiątego.

— Kiedy to przeszedłeś na emeryturę.

— Nie — skorygował Brading. — Na emeryturę poszedłem dopiero w osiemdziesiątym czwartym. Już wcześniej wokół Dreamlandu zaczęły narastać podejrzenia.

— Co przez to rozumiesz?

— Pojawiły się sygnały ostrzegawcze. Nie mogło tylu ludzi wylatywać z Vegas i wracać, żeby nie zaczęto węszyć.

— Więc was przenieśli.

— Tak bym to nazwał.

— Dokąd?

— Do Vaca Base.

Widząc, że Dunphy'emu ta nazwa nic nie mówi, pospieszył z wyjaśnieniem.

— To wiszący kanion w górach Sawtooth. Nad drogą stanową w Idaho. Można się było tam dostać tylko helikopterem. Miejsce naprawdę spokojne.

— Domyślam się.

Nagle Brading rzucił baczny okiem na Dunphy'ego.

— Myślałem, że interesuje cię moja choroba?

— Tak — odparł Dunphy. — Opowiedz mi o niej.

— Nie wiem, co powiedzieć. Nastąpiła remisja, ale... na to po prostu nie ma leku. Zaraziłem się CJD... słyszałeś kiedyś o czymś takim?

— Tak — powiedział Dunphy — to... hm... — Nie mógł sobie przypomnieć medycznej nazwy. Wreszcie powiedział: — Choroba wściekłych krów.

Brading robił wrażenie zaskoczonego.

— Mieszkałem w Anglii — wyjaśnił Dunphy.

— Ach tak, rozumiem... tam się dała we znaki. Myślę, że tam wszyscy o niej słyszeli... ale nie tutaj.

— W jaki sposób tym się...

— ...zaraziłem? — Brading uniósł ręce do góry. — Przy obsłudze rejestru, jakżeby inaczej?

— Rejestru... — powtórzył Dunphy.

— Rejestru bydła. A niby o czym mówimy? A niby co ja robiłem?

Dunphy był najwyraźniej zbity z tropu i Brading się do niego przyczepił.

— Masz dostęp do Andromedy i nigdy nie słyszałeś o rejestrze bydła?

Dunphy starał się wyglądać na nieporuszonego, ale w środku aż zadygotał. Przez chwilę nic nie mówił, po czym pochylił się do przodu.

— W domu jest mieszkań wiele, panie Brading.

Powiedział to cicho, prawie szeptem, ale z naciskiem, przez co słowa zabrzmiały jak groźba.

Teraz Dunphy mógł niemal czytać w myślach Bradinga. Co to znaczy? W domu wiele... czego? Wreszcie starszy mężczyzna chrząknął.

— Tak czy inaczej... było to... może zresztą wiesz... startowaliśmy w nocy i polowaliśmy na krowy. Na ranczach.

— Polowaliście na krowy.

— Zabijaliśmy je. Nie za dużo sztuk na jednym ranczu. Nie za dużo jednej nocy. Ale trochę zabiliśmy.

Dunphy był zaszokowany. Nie wiedział, o co zapytać.

— „Trochę” — powtórzył. — To znaczy ile?

— Niech pomyślę. Zaczęliśmy w siedemdziesiątym drugim... przypuszczam, że zarznięliśmy w sumie kilka tysięcy sztuk. Gazety pisały, że cztery, pięć razy tyle, ale wiadomo... po jakimś czasie pojawili się naśladowcy. Dasz czemuś początek, a potem sprawa zaczyna żyć własnym życiem. I chyba o to właśnie chodziło. To znaczy, takie było założenie, tak to rozumiem. Niech rzecz toczy się dalej siłą rozpędu.

— Kilka tysięcy — powtórzył Dunphy.

— I trochę koni.

Dunphy skinął głową. Konie też.

— Prawdę mówiąc, wśród pierwszych zwierząt, które zabiliśmy, była akurat klacz. To było na King Ranch. Od szyi w górę obraliśmy ją z ciała do kości. Gazety strasznie to rozdmuchały. Koń Snippy. Pewnie czytałeś te relacje. Pisali o tym na pierwszych stronach, wszędzie. Biedne zwierzę.

Dunphy potrząsnął głową i przyszło mu na myśl, że właśnie zaczyna rozumieć, co to jest dysonans poznawczy. Oznacza po prostu, że kogoś zatkało.

— Można ją dzisiaj zobaczyć.

— Kogo?

— Tę klacz o imieniu Snippy. Trzymają jej szkielet w muzeum. W Luther Beam Museum. W Alamosa.

Dunphy zmrużył oczy.

— Ale...

— Usypialiśmy je wcześniej, oczywiście.

Dunphy potrząsnął głową.

— Ale... dlaczego?

— Dlaczego? Bo to było bolesne.

— Nie, nie o to...

— Aha, pytasz w ogóle po co... No, dla narządów. Przypuszczalnie chodziło o narządy.

— Jakie narządy?

Brading zachichotał. Nerwowo.

— Głównie genitalia. I języki. Odbytnicę. Mieliśmy jeden z pierwszych przenośnych laserów... przenośny, a niech mnie, był wielkości lodówki, jednak, słowo daję, wycinało się z krowy odbytnicę w mniej niż trzydzieści sekund. Robiąc idealne koło. Z wyjątkiem tego, przyznaję, że na brzegach rany pozostawały grudki zwarzonej hemoglobiny, od przyżegania, ale poza tym było to idealne koło. Idealnie okrągłe.

Dunphy poczuł nagle, że zwilgotniały mu dłonie, a w pokoju zrobiło się jeszcze bardziej duszno. Myślał o podrzuconym ciele Leo Schidlofa i nie wiedział, jak podtrzymać rozmowę. Ale nie było takiej potrzeby: Brading rozkręcił się i wylewał z siebie potoki informacji:

— Wszystko było, oczywiście, robione na efekt. Wychodzi farmer na pole i co widzi... swoją starą krasulę leżącą na ziemi, ze skórą zdartą z brzucha i zwiniętą wzdłuż kręgosłupa. Krasula bez żeber, narządów wewnętrznych... skóra i czaszka leżące w śniegu jak kupa prania. Nigdzie ani kropli krwi i żadnych śladów stóp.

Brading uśmiechnął się na to wspomnienie.

— Mówię ci. To niesamowity widok, jeśli ktoś nie był na coś takiego przygotowany.

— A jak wam się udawało... — Dunphy nie skończył.

— Nie pozostawiać śladów? To zależało od pory roku. Jeśli zimą leżał śnieg, po prostu łądownaliśmy, robiliśmy, co do nas należało, a gdy skończyliśmy, wzbijaliśmy się w górę i wytwarzaliśmy śnieg jak w kurortach narciarskich. Mieliśmy spory zbiornik z wodą, węże ciśnieniowe, wszystko co trzeba. W ten sposób zacieraliśmy ślady. A kiedy było sucho, podciągaliśmy krowę w górę, robiliśmy, co mieliśmy do zrobienia, i zrzucaliśmy ją pół mili dalej. W ten sposób też nie zostawialiśmy żadnych śladów.

Upłynęła dobra chwila, nim Dunphy zadał pytanie.

— A farmerzy? Spodziewano się, że co... że co będą o tym myśleć?

Brading wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Różne rzeczy. Krążyły opowieści o kultach satanistycznych... o obcych... UFO. Generalnie myśleli tak, jak życzyli sobie ci z Optical Magick.

— Optical Magick?

— Powalająca magia. Ci chłopcy to miniaturowa kopia Skunk Works, tyle że nie zajmowali się samolotami, lecz efektami specjalnymi. Efektownie! i Efektywnie! W głowie się nie mieści!

— Tacy byli dobrzy?

— Nie bujam ci! Mieli technologię... specjalne światła... projektory... hologramy... Nie można było odróżnić tego, co oni robili, od magii. W zasadzie myślę, że częściowo to była magia.

— Bez przesady.

— Mówię poważnie. Ci chłopcy sprawiliby, że ty też byś uwierzył.

— Doprawdy? W co? Daj jakiś przykład.

— Paciparaña — bez chwili wahania rzucił Brading.

— Paci... co?

— Paraña! Taka wioszczyzna w zachodniej Rondónii. W każdym razie kiedyś tam była.

— Gdzie jest Rondónia?

— W Brazylii — powiedział Brading. — Miejscowi znali grzyby, którymi zainteresowały się nasze służby techniczne. Z gatunku halucynogennych. Nie rosną nigdzie indziej, a Agencja chciała je mieć. Tubylcy powiedzieli nie. Jakieś plemię indiańskie. Nie, bo to na ich świętej ziemi. Takie tam bzdety.

— I co?

— I wysłali do nich kaznodzieję, zielonoświątkowca, który obwieścił im: „Jeee-zussss mówi wam, musicie stąd odejść”.

— I posłuchali?

— Oczywiście, że nie. Nie byli chrześcijanami, tylko dzikusami.

— I co dalej?

— Optical Magick montuje w pobliżu swoje atelier i za chwilę Indianie Paciparaña patrzą na dwunastometrową NMP.

— NMP?

— Najświętszą Marię Pannę. Mówię o hologramie. Czterdziestostopowym... unoszącym się w powietrzu tuż nad wioską... po prostu objawienie, trzy noce z rzędu. I księżyc nad jej ramieniem. Piękny widok... wyciskający łzy. Niebieska poświata i...

— Indianie odeszli.

— Odeszli na kolanach. Pewnie jeszcze idą.

— Optical Magick — wymamrotał Dunphy.

— Właśnie. Oni też zrobili Medjugorie. Roswell. Tremonton. Gulf Breeze. Do diabła, wszystkie największe sensacje to ich robota.

Dunphy potrząsnął głową, jakby chciał pozbierać myśli.

— Wiem — rzekł Brading. — To niesamowite. Z tym że oni też nie są doskonali. Nikt nie jest doskonały. — Przez chwilę się zawahał. — Chcesz coś zobaczyć?

Dunphy wzruszył ramionami oszołomiony.

— Jasne.

Brading zachichotał.

— Za chwilę wrócę — powiedział i wyjechał z pokoju wyraźnie podekscytowany. Minutę później przyturlał się z powrotem z kasetą na kolanach. Podjechał do telewizora, włożył kasetę do odtwarzacza i wcisnął kilka guzików.

— Patrz na to.

Na ekranie błysnęło, trzasnęło i zaczęło się odliczanie od dziesięciu do jednego. Nagle pojawił się ziarnisty, czarno-biały obraz mężczyzny w skafandrze kosmicznym. Albo nie. Nie w skafandrze kosmicznym. To był raczej chirurg lub ktoś w tym rodzaju, w laboratoryjnym kombinezonie ochronnym, pochylający się nad stołem operacyjnym.

— Co on robi? — zapytał Dunphy.

Brading potrząsnął głową.

— Nie pytaj, przyjrzyj się — powiedział.

Dunphy ocenił, że film był stary, prawdopodobnie przerzucony z taśmy ośmiomilimetrowej na kasetę wideo. Kamera się trzęsła, obraz na ekranie to tracił, to odzyskiwał ostrość, bo kamerzysta chodził po całym pomieszczeniu, szukając zbliżeń i lepszego kąta widzenia. Kiedy wreszcie znalazł, Dunphy'ego zatkało.

— Co to, kurwa, jest?

— Nie przeklinaj — rzucił Brading, co Dunphy zakonotował z pewnym opóźnieniem: nikt go tak nie upominał, odkąd skończył dwanaście lat.

Wgapił się w ekran telewizora. Obiekt... na stole był nagą i nie całkiem ludzką istotą. A może i ludzką, tylko bardzo zdeformowaną. Tak czy inaczej to coś było martwe. I jeszcze jedno: facet w kombinezonie robił sekcję.

Dunphy wziął głęboki wdech. Istota na stole była bezpłciowa, a przynajmniej tak się wydawało. Miała dwie nogi, z czego jedną paskudnie zmiażdżoną w okolicy prawego kolana, oraz miała dwie ręce. Dunphy zauważył, że brakowało lewej dłoni, jakby była urwana w



wypadku, a prawa miała o jeden palec za dużo. Przenosząc wzrok na twarz owej istoty, Dunphy zauważył, że uszy miała maleńkie, a oczy — czarne i przepaściste oraz nieprawdopodobnie duże. Usta z kolei były wielkości dziury po pocisku i tak samo okrągłe. To coś nie miało warg.

Ostrość obrazu poprawiła się, gdy kamera powoli najechała na dłonie chirurga w momencie, gdy ten wyciągał szarą masę z klatki piersiowej zwłok i układał ją na tacy z nierdzewnej stali. Dunphy nie wiedział, co to jest—jakiś narząd wewnętrzny, ale jaki? Nieważne. Bo dostrzegł jeszcze jedną ciekawostkę, która zadziwiła go bardziej, a chodziło o to, czego nie było.

— Gdzie jest jego pępek? — zapytał.

Brading potrząsnął głową zirytowany pytaniem.

— Nie ma pępka — stwierdził Dunphy. — Ani piersi.

Brading potaknął bez zainteresowania, a następnie dźgnął palcem powietrze, wskazując na telewizor.

— Tam — powiedział nagle, podekscytowany. — Widzisz to? — Wcisnął przycisk pilota i zatrzymał kadr.

Dunphy miał kompletny zamęt w głowie.

— Co mam widzieć?

— Co? Nie widzisz, co jest nie tak na tym ujęciu?

Dunphy nie miał pojęcia, o czym mowa.

— Co jest nie tak? Wszystko jest nie tak. Gość nie ma pępka, nie ma brodawek, za to ma sześć palców.

Brading się zaśmiał.

— Nie, nie, nie to! — zawołał. — Nie o tym mówię. To wszystko jest w porządku. — Znowu pokazał palcem telewizor. — Chodzi mi o przewód telefoniczny w tle. Popatrz.

Dunphy przyjrzał się. Z tyłu był telefon ścienny wiszący nad tacą z narzędziami chirurgicznymi i...

— Co z nim?

Brading zachichotał.

— To, że AT&T nie produkowała spiralnych kabli telefonicznych przed początkiem lat pięćdziesiątych, zaczęli dopiero w pięćdziesiątym pierwszym czy drugim. A film miał być nakręcony w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym. I dlatego to jest odrzut. Zrobienie filmu kosztowało półtora miliona i musieli go wyrzucić. Z powodu kabla telefonicznego. Wyobrażasz sobie?

Brading śmiał się i Dunphy złapał się na tym, że chichocze mu do wtóru.

— Skąd to masz?

Brading wzruszył ramionami.

— Nielegalna kopia? — podsunął Dunphy.

— Tak, jeden z chłopców mi to przysłał.

— Z Optical Magick?

Brading skinął głową.

— Ale wróćmy do tej wpadki. Utarto wtedy nosa kilku osobom, i to zdrowo. Niektórym waśniakom. Waszyngtońskim waśniakom. I łatwo się domyślić dlaczego. Masz pojęcie, jak trudno było wtedy zdobyć nadający się jeszcze do użytku film Kodaka, taki zabytek, jaki mógł być użyty w roku czterdziestym siódmym?

— Nie — powiedział Dunphy.

— Bardzo trudno. To i tak mało powiedziane.

Brading wyłączył telewizor i popatrzył na Dunphy'ego.

— O czym mówiliśmy?

Przez chwilę Dunphy musiał się otrząsnąć. Wreszcie odpowiedział:

— O masakrach. To znaczy o krowach.

— Racja! Miałem ci właśnie powiedzieć, że wierzono we wszystko, ale oficjalnego wyjaśnienia nikt nie kupił.

Dunphy był jeszcze przez moment skonsternowany, nie mogąc się przestawić z okaleczenia bydła na obraz fałszywej autopsji i z powrotem.

— Jakiego wyjaśnienia?— zapytał. — Wyjaśnienia czego?

— Cichej jatki na farmach — oznajmił Brading. Ponieważ naturalne drapieżniki... bo im próbowano to przypisywać... nie obrabiają tak swoich ofiar. A poza tym kilka osób widziało helikoptery i zostało to odnotowane przez prasę.

Dunphy zastanawiał się przez chwilę, po czym zapytał:

— Co robiliście z narządami?

— Wyciągaliśmy je, mieliśmy speców od chirurgii. Nie lekarzy... nasi chłopcy byli raczej weterynarzami. Jakimiś tam medykami. Otóż to, medykami od zwierząt by najbardziej pasowało.

— A co się z nimi dalej działo?

— Z nimi?

— Z narządami.

— Już mówiłem, że tu nie chodziło o narządy. Były tylko produktem ubocznym.

Nieuchronnymi stratami związanymi z naszą operacją, podobnie jak krowy, a jeśli musisz wiedzieć, to je paliliśmy.

— A więc nie były badane ani nic takiego?

— Nie — odpowiedział Brading. — Oczywiście, że nie. Nie były badane. Zabieraliśmy te przekłete ochłapy i paliliśmy. — Brading przerwał na chwilę. — Z wyjątkiem...

— Z wyjątkiem?

— Kilka razy zostawiliśmy sobie podroby do przyrządzenia.

— Podroby.

— Mózdzki. Grasicę też. Jestem dość dobrym kucharzem.

Dunphy skinął głową.

— Przypuszczają, że tak zaraziłem się CJD... jedząc grasicę.

Dunphy w milczeniu potakiwał głową, siedząc z piórem uniesionym nad notatnikiem. Nie wiedział, co pisać. W końcu odłożył pióro, zamknął notatnik i powiedział:

— Nie rozumiem.

— To znaczy...?

— Jaki to miało sens?

Brading uniósł ręce w geście poddania.

— A skąd ja mam wiedzieć? Mogłem się tylko domyślać, że celem było wywołanie efektu. Niech się ludzie zastanawiają. Niech mówią. A może też niech się boją. I bali się, sukces był, w przeciwnym razie nie robiłbym tego przez dwadzieścia lat. Nie wiem, czy to śledziłeś, ale o okaleczeniach bydła przez długi czas się mówiło.

Dunphy skinął głową.

— I to wszystko? Cała wasza misja?

— Kiedy ja w tym siedziałem, akurat to robiliśmy. Później, pod koniec mojej służby, zaczęliśmy robić te... nie wiem, jak je nazywasz... te wzory na polach pszenicy.

— Jakie wzory?

— Geometryczne. Robiliśmy koła, a potem trochę takich...

nie wiem... jakby artystycznych. Agencja nazywała je agroglifami. Wtedy już zacząłem poważnie chorować. Musiałem odejść na emeryturę. Ale zasada pozostała ta sama. Tam również

nigdy nie zostawialiśmy żadnych śladów.

Dunphy przez chwilę milczał, a jego mózg niczym kompas wskazywał kierunek bieguna południowego. Wreszcie wstał.

— Tak... — odezwał się. — Lemoniada była bardzo dobra.

— Dziękuję.

— Nie sądzę, że będą jakieś problemy z emeryturą.

— Dobrze. Martwiłem się o to.

— To by było wszystko...

— ...w ramach pełnienia służby.

— Właśnie. Zadzwoń do GAO z samego rana i wszystko wyprostuję. Przypuszczam, że nie będą się z panem kontaktować.

— Wspaniale.

— Ale...

— Co?

Dunphy wskazał głową na czarną zasłonę.

— Masz coś przeciwko temu, żebym...

Brading podążył za wzrokiem Dunphy'ego i po pierwszym odruchu protestu wzruszył ramionami.

— Właściwie dlaczego nie. Proszę.

Dunphy podszedł do ściany i uniósł zasłonę.

— To wszystko tajne — wyjaśniał mu Brading, podjeżdżając do niego. — The Purple Heart, medal, w związku z moją chorobą. Możesz to przeczytać poniżej w pochwalce. A medal od CIA to nagroda za przebieg służby w wywiadzie. A...

— Nie miej mi za złe, ale musiałem to zobaczyć.

Brading wyglądał na zaskoczonego.

— Musiałeś? Coś nie tak?

— Nie możesz tego zatrzymać.

— Idź do diabła! — odparował Brading. — To są moje medale.

— Nie chodzi mi o medale. Możesz je zatrzymać. Mam na myśli to!

Dunphy zdjął ze ściany małą ramkę, puszczać wolno czarną tkaninę, która z powrotem zakryła ordery. W ramce była laminowana przepustka, około dwóch i pół cala na cztery, razem z łańcuszkiem do zawieszenia jej na szyi. W górnym lewym rogu widniał rozmazany hologram, a w prawym dolnym odcisk kciuka. Zdjęcie Bradinga było w środku przepustki, a pod nim słowa:

MK-IMAGE

## Program Specjalnego Dostępu

E. Brading

\*ANDROMEDA\*

— Przykro mi — powiedział Dunphy — ale...

— Taaak?

— Będę musiał zabrać twoją legitymację z powrotem do Waszyngtonu.

Brading miał zbolalą minę.

— To pamiętka!

— Wiem — westchnął Dunphy, przybierając ton pełen współczucia i żalu. — Ale właśnie o

to chodzi. Nie możemy się zgodzić, by takie pamiątki wisiały po domach. Zastanów się nad tym. A gdyby było włamanie? Co by się stało, gdyby to wpadło w niepowołane ręce?

Brading prychnął.

Dunphy schował przepustkę razem z ramką do swojej aktówki i zatrzasnął ją.

— Dobrze — rzekł z uśmiechem na twarzy — dziękuję za lemoniadę. Poklepał Bradinga po ramieniu. — Teraz na mnie pora, żeby uciec do cywila.

Śmiali się obaj przez chwilę, lecz Brading spoważniał, gdy Dunphy ruszył do drzwi.

— Nie powinniśmy się najpierw pomodlić?

Dunphy myślał, że się przesłyszał.

— Co?

— Pytałem, czy nie chcesz się najpierw pomodlić.

Dunphy bardzo długo mierzył starszego mężczyznę wzrokiem, czekając, aż ten się zaśmieje. Wreszcie powiedział:

— Nie. Dziękuję, muszę złapać samolot.

Po Bradingu widać było rozczarowanie... i nie tylko rozczarowanie. W jego wzroku pojawiło się coś jeszcze: zdziwienie, a może podejrzenie. Coś w tym rodzaju.

## 14.

Nastrój Dunphy'ego podążał taką samą trajektorią jak 727, którym leciał. Podniósł się gwałtownie przy starcie (Optical Magick! Bim-bam-bum!), wyrównał gdzieś nad Indianą (pod koniec mojej służby zaczęliśmy robić te wzory...) i zaczął się obniżać przed Waszyngtonem (Medjugorie też oni zrobili). W momencie lądowania Dunphy był w bardzo ponurym nastroju.

To były największe brednie, jakie w życiu słyszałem, pomyślał sobie. (Tremonton. Gulf Breeze. Wszystkie największe sensacje). I on, Dunphy, to kupił. Siedząc tam w Kansas i słuchając Bradinga, Jack Dunphy wierzył w każde słowo tego człowieka. A teraz, kiedy wychodził z terminalu, śmiał się ze swojej łatwowierności: dwunastometrowa Madonna wznosząca się nad sklepieniem dżungli — a dlaczegoż by nie? Jak dla mnie, całkiem wiarygodne!

Szedł w kierunku krótkoterminowego parkingu, pomstując pod nosem na własną głupotę. Bo i nic lepszego nie miał do zrobienia. Cała sprawa z Bradingiem zawiodła go w ślepy zaułek — zdrwiono z Jacka Dunphy'ego. Najwidoczniej ludzie z Security Research Staff rozgryźli jego matactwo, zorganizowali inwigilację i nakarmili go stekiem bzdur, żeby się dowiedzieć, kto mu pomaga. Jakimś cudem wiedzieli, że rozmawiał z Murrayem, i mając tę informację, przeczesał kartoteki Pentagonu i pozostawili na temat 143. eskadry tylko jedną jedyną wzmiankę, wnioskując (słusznie), że Fremaux ją znajdzie i przekaże Dunphy'emu, a Dunphy natychmiast wsiądzie w pierwszy samolot do Kansas. A tam SRS podstawia aktora, który będzie czekał na Dunphy'ego z bajeczką tak niestworzoną, że gdyby Dunphy zaczął coś sprawdzać, wyszedłby na kompletnego wariata. Uganiającego się za UFO i okaleczaniem bydła.

O to chodziło, bez wątpienia, myślał Dunphy, jadąc windą na najwyższy poziom garażu. Matta chciał zrobić z niego świra, któremu nikt by nie dawał wiary, w razie gdyby udało mu się odkryć coś mającego związek z zamordowaniem Schidlofa. Miał uchodzić za świra. Ale niedoczekanie wasze, powiedział sobie Dunphy. Nie jestem świrem. Jestem... czym?

Paranoikiem. Kompletnym, totalnym paranoikiem.

Znalazł swój samochód tam, gdzie go zostawił, wsiadł i uruchomił silnik. Musisz przestać babrać się w tym gównie, powiedział sobie. To gówno oznacza kłopoty. I nic więcej.

Jednakże, myślał Dunphy, cała ta sprawa wymyka się z rąk. On i Roscoe są teraz w Agencji *persona non grata*, a tym samym mają zero dostępu do tajnych informacji. Cała intryga obróciła się przeciwko nim, i to tylko kwestia czasu, kiedy obaj stracą pracę — może już zostali zwolnieni.

Tak się sprawy miały. Skądinąd ciąg wydarzeń podsycił ciekawość Dunphy'ego. Zastanawiał się, co sprawiło, że jego dotychczasowe życie legło w gruzach, ale prawda była taka, że to się rzeczywiście stało i nie mógł temu zaradzić. Już nie. Nadszedł czas, by się z tym pogodzić. Nadszedł czas, by z tym żyć.

A jednak, myślał, wyjeżdżając samochodem z garażu i włączając się do ruchu ulicznego, to nie mógł być stek bzdur... mimo wszystko nie. Jedynymi ludźmi, na których Dunphy mógł liczyć, byli Roscoe i Murray, więc jeśli Agencja już o nich wiedziała, po co wysyłałaby go do Kansas?

Ponadto Brading był przekonujący. Bez zająknięcia udzielał odpowiedzi na pytania. I ta historia z helikopterami robiącymi śnieg — Brading tego nie zmyślił. W każdym razie nie na

poczekaniu. A co z rekwizytami? Gdyby Brading był podstawiony, skąd wzięliby te rekwizyty? Zdjęcie Rhinegolda i Bradinga na polu pszenicy (Ha Ha Ha!!!) i legitymacja oficera projektu MK-IMAGE. Harry Matta nie pozwoliłby mu odejść z czymś takim, nawet gdyby to była podróbka. A to musiała być podróbka, bo w przeciwnym razie...

W przeciwnym razie to wszystko było zbyt niesamowite.

Dwadzieścia minut później Dunphy skręcał z G.W. Parkway w Dolley Madison Boulevard. Minał wjazd do kwatery głównej CIA i przejechawszy przez McLean, dotarł na Belleview Lane. Gdy zobaczył mrugające wśród drzew światła, ścisnął mu się żołądek. Czerwone światła, niebieskie światła — policyjne światła.

Te światła oznaczają kłopoty.

A potem, gdy zbliżał się do domu i usłyszał policyjne radia, poczuł dławienie w piersi. Na podjeździe były dwa samochody patrolowe i karetka przy tylnych drzwiach. Na trawniku przed domem jakiś mężczyzna siedział na przednim siedzeniu szarego sedana, palił, jego rysy zamazywał mrok nocy. Dunphy wyłączył silnik przy podjeździe, ustawił drażek w pozycji „park”, wysiadł i pobiegł w stronę domu, ignorując krzyki policjanta.

Omiał nie wyrwawszy siatkowych drzwi z zawiasów, wpadł do pokoju dziennego, gdzie technik śledczy wymieniał uwagi z policyjnym fotografem.

— Gdzie jest Roscoe? Gdzie, do diabła...

Z kuchni wyszedł wysoki mężczyzna w tanim czarnym garniturze wyglądający jak Ichabod Crane. Na oko miał ponad sześć stóp wzrostu i niespełna sto pięćdziesiąt funtów wagi; biała koszula, kowbojski krawat i sine wory pod oczami. Laminowana legitymacja dyndała na zawieszonym na szyi łańcuszku. Dunphy podszedł bliżej, usiłując odczytać z legitymacji jego dane.

— Kim pan jest? — zapytał Garnitur.

— Mieszkam tutaj — odparł Dunphy. — Gdzie, do diabła, jest Roscoe?

Dunphy dostrzegł jedynie słowa *Specjalnego Dostępu*, bo Garnitur wetknął legitymację pod marynarkę.

Policjanci, zakłopotani, popatrzyli na siebie. Jeden zakasłał, a kiedy Dunphy odwrócił się do niego, zauważył, że spojrzenie śledczego wędruje w stronę stolika do kawy. Było na nim, obok „Archaeusa”, kilka rozłożonych do wyschnięcia polaroidów. Dunphy podszedł do zdjęć, wziął jedno i wlepił w nie wzrok.

— Sprzątaczką go znalazła — oznajmił policjant.

Garnitur skinał głowę.

— Zabrali go przed godziną—powiedział. A potem głosem, który miał wyrażać szczery żal, dodał: — Pan to Dunphy, nie mylę się.

Dunphy nie wyrzekł słowa. Nie mógł. Bo zdjęcie zaparło mu dech w piersiach. Nagi mężczyzna, jedynie w pończochach kabaretkach, wisiał na wyciągu gimnastycznym w garderobie Roscoe, jak miejsce identyfikował Dunphy. Głowa mężczyzny — głowa Roscoe — była owinięta przezroczystą foliową torbą związaną czymś, co wyglądało jak lina do bungee. Oczy miał wybałuszone. Język wywieszony. Z brody ściekała nitka śliny. Na podłodze pod jego stopami znajdował się przewrócony stółek, leżała książka w miękkiej oprawie i kilka czasopism.

— Do diabła! — wyszeptał Dunphy i upuścił zdjęcie. Wziął drugie. To było zbliżenie jednego z czasopism leżących pod dyndającymi nogami, szmatławca porno pod tytułem „Blue Boy”. Obok leżała książka: *Man 's Best Friend*.

— Autoerotyczne samobójstwo — padło z ust Garnitura.

Dunphy nie wiedział, co ma robić. Położył zdjęcia z powrotem na stoliku i wziął do ręki „Archaeusa”. Otworzył. Zamknął. Usiadł. Wstał. Zrobił trzy kroki w jedną stronę i trzy kroki w

drugą. Wykrztusił wreszcie:

— Nie wierzę w to.

— W co?

— Roscoe nie popełnił samobójstwa. Nie w ten sposób.

Garnitur wzruszył ramionami.

— Może przeszarżował. Chcę przez to powiedzieć, że im bliżej ktoś jest uduszenia, tym silniejsze ma doznania. Ale balansuje na cienkiej linii. — Przerwał i wzruszył ramionami. — Tak mi wyjaśniano.

Dunphy potrząsnął głową.

— On by tego nie zrobił — stwierdził. — Nie wiedziałby, jak się do tego zabrać. Chodzi o to, że nie był człowiekiem, który oglądał Oprah czy takie tam programy. Tego typu rzeczy... były niedostępne dla jego umysłowości!

Technik śledczy potrząsnął głową.

— Nidy nie wiadomo — powiedział.

— Mieszkałem z tym facetem pod jednym dachem! — Dunphy podniósł głos. — Po jakimś czasie poznaje się ludzi. A poza tym, jak ktoś się w czymś takim babrze, to nie szuka współlokatora. Chyba jasne, o czym mówię?

Garnitur przełknął ślinę.

— Może mógłby pan nam powiedzieć, gdzie pan był... — cofnął się o krok pod spojrzeniem Dunphy'ego — ...przez ostatni dzień czy dwa.

Dunphy zignorował pytanie.

— Kto to jest ten facet przed domem? — zapytał.

— Jaki facet?

— Ten na moim trawniku, u diabła! W samochodzie.

— On ma na myśli tego kulawego — podpowiedział fotograf.

Garnitur spojrział spode łba na fotografa, po czym odwrócił się do Dunphy'ego.

— Jeszcze z panem nie skończyłem — rzekł. — A on, powiedzmy, że pomaga nam ustalić, co się tu zdarzyło. — Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował. — A więc — rzucił zachęcająco — podróżował pan?

— Pieprz się — rzucił Dunphy. — Nie jesteś gliną.

Garnitur się zjeżył.

— Zgadza się — odparował. — Jestem z tej samej Agencji co ty.

— Już nie.

Dunphy odwrócił się na pięcie i wymaszerował z domu. Zewnętrzne drzwi z siatki trzasnęły za nim.

— Hej! — krzyczał Garnitur. — Dokąd to? Jeszcze z tobą nie skończyłem. Hej! Przecież tu mieszkasz!

Już nie, pomyślał Dunphy. Jack Dunphy zniknął. Jack Dunphy się wyprowadził.

Papieros żarzył się w szarym sedanie, gdy Dunphy spiesznie zmierzał do swojego samochodu na końcu podjazdu. Rzucił „Archaeusa” na siedzenie — nawet nie był świadom, że cały czas trzymał czasopismo w ręku — i wsiadł. Pięć minut później był na obwodnicy Beltway, a dziesięć minut potem z niej zjechał.

I tak w kółko: wracał na nią, zjeżdżał z niej i wracał. Przez półtorej godziny katował się monotonią zabiegów mających zmylić pościg. Co trochę zjeżdżał z Beltway w poszukiwaniu pustych dróg, na których w ciemności zmieniał kierunek. Jechał na południe, potem na wschód, na północ, znowu na południe, wracał na obwodnicę i znowu z niej zjeżdżał — aż wreszcie, o pierwszej nad ranem, był pewien, że nikt go nie śledzi.

Kierując się na północ autostradą 1-95, zdał sobie po raz pierwszy sprawę, że ma przyspieszony oddech. Pociły mu się dłonie, kręciło w głowie, był na zmianę to przymulony, to skoncentrowany. Tak właśnie jest, kiedy człowiek się boi, kiedy przepalają się bezpieczniki w sercu.

Tymczasem jechał przed siebie bez określonego celu, po prostu uciekał jak najdalej od sceny makabry. To było potworne, oczywiście, ale także budziło w nim lęk, bo Dunphy był pewien nie tylko tego, że Roscoe został zamordowany, ale że jego spotkałoby to samo, gdyby nie wyjechał do Kansas.

Dwie godziny później zatrzymał się na parkingu dla ciężarówek niedaleko Delaware Memorial Bridge i zadzwonił do Murraya Fremaux. Odsłuchiwał sześć albo siedem sygnałów, zanim po drugiej stronie linii usłyszał głos Murraya, senny i zbolący.

— Halo?

— Murray...

— Kto mówi?

— Jack.

— Jack? Na miłość boską — która godzina?

— Jest chyba koło trzeciej.

— Więc...

— Nie odzywaj się. Nic nie mów.

Dunphy słyszał, jak Murray łapie oddech. Słyszał, jak stara się oprzytomnieć.

— Muszę wyjechać — powiedział Dunphy. Przerwał na chwilę, po czym dodał: — Roscoe wpadł.

— Co?

— Powiedziałem, że mój współlokator wpadł.

— A niech to... niech to szlag.

— Chciałem cię tylko ostrzec, żebyś był ostrożny. Bardzo ostrożny.

Na linii słychać było drżący oddech Murraya. Poza tym cisza była idealna, cyfrowa, dźwięcząca.

— To bardzo dobre połączenie — stwierdził Dunphy pozornie bez związku.

— Wiem — odparł Murray. — Słyszać cię, jakbyś był w pokoju obok.

Cholera! Już ma podsłuch, pomyślał Dunphy. Z trzaskiem odwiesił słuchawkę i pobiegł z powrotem do samochodu.

Polaroidy nie dawały się wymazać z pamięci. Nie chciał o nich myśleć, ale one tam tkwiły, jakby przyklejone do wewnętrznych powierzchni powiek. I jedno ze zdjęć, to z powieścią porno, nie dawało mu spokoju. *Man's Best Friend*. Dunphy już widział gdzieś tę książkę, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie, co doprowadzało go do szału. Miał to na końcu języka, a było to bardzo ważne.

Przekraczając granicę stanu Delaware i New Jersey, Dunphy próbował nie myśleć o książce. Czasami kiedy się odpuści, wspomnienie samo wypłyne na powierzchnię z mroków pamięci. To coś w rodzaju dzudo. Więc odsunął myśli o polaroidzie i skupił się na innej sprawie, która też go dręczyła. Co powiedział tamten glina?

Coś o kulawym facecie. On ma na myśli kulawego. Dokładnie tak powiedział. I chodziło o faceta w szarym sedanie, faceta z żarzącym się papierosem.

Nagle Dunphy przypomniał sobie, gdzie widział tę książkę po raz pierwszy. Należała do mężczyzny, który go badał wariografem, tego ze zniekształconą stopą. To był facet, o którym mówił gliniarz. To był ten gość w szarym sedanie.

Kilka miesięcy wcześniej ta sama książka została użyta jako rekwizyt w celu podniesienia



poziomu niepokoju Dunphy'ego, wprowadzenia atmosfery napięcia. W ten sposób pracują ludzie obsługujący wariografy. Obiekt badań na luzie im nie odpowiada, bo spokój prowadzi do dwuznacznych wyników. Zrelaksowany obiekt to mętne odczyty, więc robią, co się tylko da, żeby badanego zemocjonować i uzyskać wyraźniejszy obraz kłamstwa.

A seks jest niezawodnym sposobem na wywołanie napięcia emocjonalnego.

Im wolno, pomyślał Dunphy. Lecz tym razem książka posłużyła innemu celowi. Została użyta jako dowód na domniemaną perwersję Roscoe i tym samym miała potwierdzić kłamstwo o jego samobójczej śmierci. A przynajmniej sugerować, że był to jakiś wypadek o posmaku skandalu, co zniechęcałoby rodzinę i przyjaciół Roscoe do wszczynania dochodzenia.

Zatem wszystko wskazywało na to, że jego przyjaciela zamordowali faceci w kowbojskich krawatach z turkusowymi zapinkami. Rhinegold i Esterhazy. Garnitur. Ta myśl nie opuszczała go przez ponad sto mil, przerabiał ją w kółko w głowie i zastanawiał się, co ma z tym zrobić. Jego wzrok co chwila wędrował do tylnego lusterka, wypatrując podejrzanego samochodu, ale żadnego nie było. Tylko Dunphy i droga przed nim, mijane neony restauracji HoJo, i od czasu do czasu jakiś krzyczący do niego billboard. Jak ten za Metuchen, który ostrzegał przed gangami samochodowymi:

**UWAŻAJ NA HIGHJACKING!**

**KUP SYSTEM *LO-JACK!***

(To jedyny system odzyskiwania pojazdów przez policję).

O ja piernicę, pomyślał. A może już świruję?

## 15.

Nic dziwnego, że nikogo z tyłu nie widzę. Siedzą sobie w centrum łączności z nogami na biurkach, jedzą pączki, piją kawę, a przed nimi na ścianie mapa Wschodniego Wybrzeża. Mają niezły ubaw, obserwując, jak sygnał z transpondera przesuwa się na północ wzdłuż Jersey Turnpike w stronę Nowego Jorku. Musieli tarzać się ze śmiechu kilka godzin temu, gdy starał się ich przechytrzyć i kluczył, wjeżdżając na Beltway i zjeżdżając z niej, by zgubić nieistniejący ogon.

Dunphy był na siebie wściekły.

O czym, do jasnej cholery, wtedy rozmyślał? Transpondery nie są niczym egzotycznym. FBI używa ich stale. I to nie tylko do śledzenia Rosjan. Zapewne jest w mieście ze stu głupków, którzy mają transpondery zainstalowane na stałe w progach czy innych częściach samochodów. Okazuje się, że nie tylko głupki. Dunphy przez kilka miesięcy stawiał swój samochód na parkingu G, niecałe sto jardów od centrali. W tym czasie był już głównym podejrzanym w dochodzeniu prowadzonym przez tych psychopatów. Więc jakie było prawdopodobieństwo, że okablowali mu samochód? Mniej więcej takie samo jak to, że w szybie kopalnianym podlegasz zjawisku grawitacji.

Widząc drogowskaz na Newark Airport, zjechał z autostrady, kombinując tak: Gdy sygnał zatrzyma się w miejscu — co się za chwilę stanie — będą szukali samochodu. I znajdą go na lotnisku na parkingu. Wtedy dotrą do każdej linii lotniczej, sprawdzając listy pasażerów na poranne loty. W którymś momencie zaczną śledzić operacje na moich kartach kredytowych. Wreszcie, w tym tygodniu albo w następnym, wszystko to złożą w całość i wyjdą mi na spotkanie. I tyle.

I to będzie koniec.

W każdym razie, uznał Dunphy, tak chciałby to widzieć Matta i jego przyjaciele.

Zjechał na parking krótkoterminowy i wysiadł, zostawiając drzwi niezamknięte na klucz, okna opuszczone i kluczyki w stacyjce. Było mało prawdopodobne, że ktoś ukradnie samochód, ale nie miał nic do stracenia, zostawiając go w ten sposób. Przeciwnie, gdyby mu się poszczęściło i ktoś by się połakomił na to auto, Agencja dalej śledziłaby sygnał transpondera, a dzięki temu Dunphy zyskałby kilka godzin, a może nawet kilka dni.

Chwyciwszy swoją aktówkę i torbę podróżną, którą miał ze sobą w Kansas, Dunphy poszedł na przystanek autobusowy przy hali przylotów. Tam złapał autobus na Manhattan, gdzie dotarł o pierwszym brzasku i wysiadł na terminalu autobusowym Port Authority przy Czterdziestej Drugiej Ulicy. Wszedł do środka, kupił bilet do Montrealu, płacąc gotówką, po czym udał się do męskiej toalety. Tam stał przez jakiś czas przy umywalce, spryskał twarz zimną wodą i wytarł ręce w papierowy ręcznik. Wychodząc, rzucił na kafelkową podłogę swoje karty kredytowe Visa i Master. Ktoś zrobi dobry użytek z tych plastików i zarazem kompletnie zmyli Harry'ego Matte. Co on robi?! Kupuje stereo?!

Zostały trzy godziny do odjazdu autobusu i Dunphy mordował je, jedną po drugiej, w małej kafejce na Zachodniej Siedemdziesiątej Piątej Ulicy, popijając kawę i czytając „Timesa”. O dziewiątej ruszył w miasto do biura American Express, gdzie prezentując swoją kartę Platinum, zrealizował czek na pięć tysięcy dolarów. To było wszystko, co miał na koncie — do oszczędnych nie należał — i każdy cent będzie mu teraz potrzebny. Następnie wrócił do Port Authority i czekał na autobus do Montrealu.



Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest ani która to godzina. Leżał w ciemności z otwartymi oczami — bezcielesna monada w otchłani hotelowego pokoju, zawieszona w ciemności, nie niewidząca. Był ślepy. Był martwy. Był półprzytomny ze zmęczenia lub z nadmiaru snu — jedno albo drugie, nie potrafiłby powiedzieć. Coś ścisnęło mu pierś, strach chyba, i walcząc z tym uczuciem, powoli dźwignął się do pozycji siedzącej i przysunął lewy nadgarstek do oczu.

Zegarek świecił. Jedenasta. Jest jedenasta godzina i jestem w łóżku, pomyślał Dunphy. Gdzieś. Ale nie w domu.

Potem przypomniał sobie — Brading, Roscoe, Newark, autobus. Był w Montrealu, w małym hotelu, który nie przyjmował kart kredytowych. Kilka godzin wcześniej zaciągnął ciężkie zasłony, by nie raziło go zachodzące słońce, położył się na łóżku i...

Powoli wstał i jak frankenstein szedł chwiejnie z rękami wyciągniętymi przed siebie, szukając po omacku okien po drugiej stronie pokoju. To był mały pokój, więc już po trzech czy czterech krokach dotarł do aksamitnych zasłon. Chwycił za brzegi, zwinął je w dłoniach, ziewnął, a gdy gwałtownym szarpnięciem rozsunał zasłony, światło słoneczne przeszło mu mózg na wskroś. Odruchowo zamknął oczy i cofnął się, przeklinając słońce niczym wampir.

Była jedenasta przed południem, nie wieczór, i miał mnóstwo do zrobienia.

Wraz ze śmiercią Roscoe wszystko się zmieniło. Jakby bawili się jako dzieci nad brzegiem strumienia i widząc dziurę, badali ją kijem. Tylko że nie wypełził z niej łagodny wąż wodny, ale coś strasznego i nieoczekiwanego — tajemniczego, niosącego śmierć, coś bezkształtnego. Ugodziło w Roscoe, bez wahania, a teraz pełzło w stronę Dunphy'ego.

A on chce to coś zabić. On musi to zabić. Ale jak? Nie wie przecież, co to jest — gdzie ma początek i gdzie koniec. I nie wie, o co temu chodzi (poza jego, Dunphy'ego, głową).

Wiedział na pewno, że odpowiedzi nie znajdzie w Montrealu. Odpowiedzi są w Londynie — Schidlof, i w Zug — Archiwum Specjalne. Ale żeby się dostać do Europy, musiał mieć paszport i dlatego znalazł się w Kanadzie.

Jego dokument podróżny był w górnej szufladzie komody w McLean. Będzie musiał go zastąpić nowym. To, co mu było naprawdę potrzebne, to oczywiście „oryginalna podróbka” — prawdziwy paszport z jego autentycznym zdjęciem i cudzym nazwiskiem. Ale nie miał odpowiednich kontaktów, żeby to zrealizować, przynajmniej nie w Kanadzie i nie w Stanach. Najlepsze, co mógł na gorąco zrobić w tej sytuacji, to zdobyć nowy paszport na własne nazwisko, użyć go, żeby dotrzeć do Europy, a potem się go pozbyć, zamieniając na robiony na zamówienie. Oznaczało to oczywiście, że musi się osobiście stawić w konsulacie amerykańskim w Montrealu, ale nie przypuszczał, by z tym miał się wiązać jakiś problem. Jego nazwiska nie było w wykazach osób poszukiwanych, jakimi posługują się urzędy imigracyjne i celne, a wydawało się mało prawdopodobne, by Matta chciał powiadamiać takie czy inne czynniki oficjalne o swoim nagłym zainteresowaniu człowiekiem o nazwisku Dunphy. Matta niewątpliwie będzie wolał samodzielnie poradzić sobie z tą sytuacją — na własnym podwórku — bez angażowania innych instytucji, chyba żeby wysiłki CIA okazały się bezowocne. Wynikało z tego, że Matta prawdopodobnie przegląda teraz listy pasażerów na lotnisku Newark i sprawdza wszystkie transakcje Visa w całym Nowym Jorku.

A więc Dunphy wybierze się do konsulatu, gdzie uzyskanie nowego paszportu może być dużo łatwiejsze niż w Stanach. Z doświadczenia wiedział, że urzędnicy konsułami za granicą byli bardziej życzliwi i pomocni niż ich koledzy w kraju. Bo i czemu nie? Amerykanin, który zgubił paszport w obcym kraju, wydaje się trochę bardziej godny współczucia niż taki sam idiota, który

stracił dokumenty w Bostonie czy Nowym Jorku. Mimo wszystko, chcąc dostać paszport tego samego dnia, będzie musiał przekonać o konieczności bezzwłocznej podróży i nie zaszkodzi, jeśli przybierze pozę waźniaka.

Pierwszy problem rozwiązał w biurze podróży za rogiem swojego hotelu. Płacąc gotówką, kupił bilet do Pragi, lot Air France za sześć godzin z międzylądowaniem w Paryżu. Następnie wszedł do Kinko's Copies, po drugiej stronie ulicy, i zrobił zdjęcia do paszportu, zamówiwszy uprzednio przy kontuarze komplet wizytówek. O treści:

Jack Dunphy, Producent

CBS News — 60 Minutes

555 W. 57th St.

New York, NY 10019

Wsadził trzy wizytówki do portfela, a pozostałe wyrzucił na ulicy do kosza na śmieci. Poszedł do konsulatu amerykańskiego i gdy znalazł się wewnątrz, spiesznym i zdecydowanym krokiem skierował się do informacji, nadając twarzy wyraz człowieka przyjacielskiego, a jednocześnie zrozpaczonego.

— Straszny problem! — powiedział z szeroko otwartymi oczami i bez tchu.

— Słucham? — Urzędniczka była czarnoskórą kobietą, elegancką, z misternymi warkoczykami splecionymi w równych rzędkach, zachowującą uprzejmy dystans.

— To okropne! To po prostu totalna katastrofa.

— Co takiego?

— Mój paszport.

— Co z nim?

— Zgubiłem go.

Urzędniczka się uśmiechnęła.

— Możemy panu wyrobić nowy — powiedziała, podsuwając formularz. — Proszę to tylko wypełnić i...

— Potrzebuję go natychmiast.

Urzędniczka wzruszyła ramionami.

— Możemy go przyspieszyć.

— Wspaniale — ucieszył się Dunphy. — Po prostu cudownie.

— Ale opłata wynosi pięćdziesiąt dolarów.

Dunphy wzruszył ramionami.

— Nie ma problemu — rzekł i sięgnął do portfela.

— Jeśli go pan odbierze osobiście — powiedziała — będzie go pan miał w ręku w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Uśmiech na twarzy Dunphy'ego ustąpił miejsca panice. Szczęka mu opadła, mówił gorączkowo:

— Pani nie rozumie. Za parę godzin mam lecieć do Paryża. — Wyciągnął bilet, ale urzędniczka nawet na niego nie spojrzała.

— Nie ma takiej możliwości — oświadczyła.

— Jezu, niech mi pani tego nie robi — błagał. — Mam zamówione dwie ekipy filmowe...

— Przykro mi...

Dunphy podsunął jej pod oczy swoją nową wizytówkę.

— Macie tu rzecznika prasowego? Kogoś, z kim mógłbym porozmawiać? Jeśli każę Edowi czekać na siebie na placu Waclawa i jeśli nie dotrę tam do rana, będę miał poważne kłopoty.

— Edowi?

— Edowi Bradleyowi.

Kobieta po raz pierwszy spojrzała na wizytówkę. Podniosła ją. Odłożyła z powrotem. Popatrzyła na niego. I znowu na wizytówkę. Dunphy widział w jej oczach wielki znak zapytania: Czy to ukryta kamera? Jakież niecne zamiary?

— Zobaczę, co się da zrobić — powiedziała, zsuwając się ze swojego stołka z trzaskiem ładunku elektrostatycznego i uśmiechem jasnym jak reflektor.

Godzinę później Dunphy miał paszport i dość czasu, by zaspokoić ciekawość w nurtującej go sprawie. Podjechał taksówką do biblioteki publicznej, wszedł do środka i przeszukał bazę danych w dziale czasopism, żeby znaleźć artykuły na temat Indian Jaciparaña. Zajęło mu to pół godziny, ale znalazł wzmianki o tym plemieniu w biuletynie Kongresu Północnoamerykańskiego do spraw Ameryki Łacińskiej. W artykule dotyczącym faktycznie przemytu diamentów w Rondónii wspomniano, że Jaciparaña opuścili swoje ziemie w 1987 po tajemniczym nawróceniu na chrześcijaństwo. Większość z tych Indian żyje obecnie w mieście Porto Velho, gdzie utrzymują się ze sprzedaży różańców z paciorków z teczyny.

Brading mówił prawdę.



Lot do Paryża nie obfitował w wydarzenia, samolot nie był zatłoczony. Dunphy siedział przy przejściu obok niezajętego miejsca przy oknie, rozmyślając nad tym, co się stało i co dalej.

Żył, ale tylko szczęściu to zawdzięczał, więc nie było się z czego cieszyć. Szczęście to żeglarz, który jednego dnia jest, a drugiego odpływa. Nigdy nie można mieć pewności, czy przychodzi, czy odchodzi, czy idzie w twoją stronę, czy się oddala. W ostatecznym rozrachunku liczyć na fart nie jest dobrym pomysłem na życie, bo w perspektywie okazuje się, że szczęściarze zaczynają kusić los.

A wtedy szczęście ich opuszcza jak piasek klepsydrę i wiadomo, co się dzieje — czują się nieszczęśliwi.

Niemniej to właśnie szczęście go uratowało — wcale nie czujność zawodowca. Kiedy ci z SRS pojawili się i załomotali w drzwi z wyciągiem i powieściami porno w zanadru, Dunphy'ego nie było w domu. Zastali Roscoe, i on nie żyje. Tak było ze szczęściem w przypadku Roscoe. (Do którego bez wątpienia pasuje powiedzenie: Szczęście go opuściło — czyli kiedyś go lubiło).

Inaczej było z Dunphym. Gdyby sprzątaczką wzięła wolny dzień, byłby już trupem. Ale nie wzięła. Przyszła punktualnie tak jak zawsze i znalazłszy Roscoe, wezwała policję. Gdyby nie ona, Dunphy wróciłby do cichego, ciemnego domu, podmiejskiej pułapki rojącej się od mężczyzn w czarnych garniturach i kowbojskich krawatach. A on trafił na policyjne samochody i mrugające światła.

Pod okiem policji okręgu Fairfax faceci z SRS nie mogli już nic (więcej) zrobić i nie mogli go zatrzymać. Najprawdopodobniej Matta nie został nawet powiadomiony o ucieczce Dunphy'ego aż do następnego ranka, a wtedy jego samochód stał już na lotnisku Newark, a sam Dunphy był w drodze do Montrealu.

Był więc wolny. Ale na jak długo? Może dzień, może tydzień, a może...

No właśnie, rozważał Dunphy. Dzień albo tydzień. Więcej to raczej fantazja. Tak czy owak, będzie potrzebował pieniędzy, i to dużo pieniędzy. Ukrywanie się jest kosztowne, a po gotówce,

jaka dysponował, wkrótce nie będzie śladu.

Wiercił się na fotelu, z wściekłości niezdolny do relaksu, i gapił się na bezkres poza skrzydłem. Ciemność powyżej, ciemność poniżej zlewająca się z jego własnym czarnym nastrojem. Nic nie było widać, ale miał świadomość, że gdzieś tam noc spotyka się z oceanem, by stworzyć niewidzialny horyzont. Wiedział też, że gdzieś tam mężczyźni noszący kowbojskie krawaty i czarne garnitury pokazują jego zdjęcie ludziom zatrudnionym przy kontuarach i kasach.

Była też trzecia rzecz, o której myślał, a mianowicie, skąd wziąć tak potrzebne mu pieniądze. Miał w swojej aktówce kopertę przypieczętowaną podobizną Jej Królewskiej Mości. Była tam od wielu miesięcy, od dnia kiedy opuścił Anglię, i stanowiła równowartość dużych pieniędzy, które nie należały do niego.

Dunphy pociągnął łyk whisky i rozerwał kopertę. Była adresowana do Rogera Blémonta na *poste restante* w Marabelli. Zawierała dokumenty firmy Sirocco Services Ltd., karty z wzorami podpisów do banku, ręcznie wypisany dowód wpłaty i kilka czeków kasowych wydanych przez Banque Privat de St Helier na wyspie Jersey. Rutynowy list przewodni informował, że druki czeków zostaną wysłane do Blémonta w momencie oddania do banku kart z wzorami podpisów.

Blémont, muskularny Korsykanin z zamiłowaniem do garniturów od Armaniego i zegarmistrzowskich cacek Breitlinga, był przystojnym socjopatą, osadzonym jedną nogą w marsylskim półświatku, a drugą w prawicowej polityce. Zażarty antysemita, wydawał czasopismo „Contre la boue” (Przeciw szlamowi), które między innymi nawoływało do przymusowej deportacji cudzoziemskiej biedoty. Nazwa czasopisma została zapożyczona z śnieżnobiałego sztandaru rozwiązanej paramilitarnej grupy, której członków skazano na więzienie za napaści na tureckich uczniów, bar homoseksualistów w Arles i synagogę w Lyonie.

Dunphy gardził nim nie tylko z racji jego poglądów. Arogancja Korsykanina była niebywała i w ocenie Dunphy’ego nic nie cieszyło faceta bardziej niż nieszczęścia innych. Mówiąc wprost, lubił ludziom dopieprzać.

Podczas pobytu w Londynie w zeszłym roku Blémont i Dunphy sfinalizowali pewien biznes przy butelce kiepskiego wina, a potem drugi — w El Vino w City. Pił głównie Blémont, a kiedy skończyli, położył dłoń na ramieniu Dunphy’ego i powiedział:

— Potrzebuję dziewczyny.

Dunphy zażartował:

— Wszyscy potrzebujemy.

— Ale ty mi jakąś sprowadzisz, okay? Jestem w Landmarku. Przyślij ją tam przed trzecią. — Potem rzucił na stół zwitek pieniędzy i odsunął krzesło, jakby miał wychodzić.

Dunphy uniósł ręce, udając bezradność.

— Myślę, że się pomyliłeś — odpowiedział mu. Jestem doradcą, nie alfonsem.

— Ach tak?

— Tak. Jeśli chcesz dziwkę, idź do budki telefonicznej. Są oklejone ich wizytówkami.

Blémont siedział przez chwilę, przeżuając to. Wreszcie powiedział:

— Możesz nazywać siebie, jak chcesz, przyjacielu, ale przyślij mi dziewczynę do Landmarka przed trzecią albo znajdę sobie jutro nowego doradcę.

I Dunphy zrobił, co mu kazano. Znalazł dziwkę i wysłał ją do hotelu, bo nie mógł pozwolić sobie na utratę tego klienta, nie w owym czasie, to pewne. Korsykanin był wmieszany w rozgałęziony system prania brudnych pieniędzy sterowany przez faszyzujących blackmetalowców z Oslo. Obracano wielkimi pieniędzmi i niemała ich część wpływała od zbrojnej grupy działającej w Stanach. Zainteresowane były FBI, CIA i DEA, [*Amerykańska agencja do walki z handlem narkotykami.*] więc penetracja tego systemu przez Dunphy’ego była

wywiadowczym odpowiednikiem trafienia trójki na wyścigach konnych. Zawalenie takiej operacji z powodu urażonej dumy byłoby niewybaczalne.

Tak więc Blémont zasłużył na to, co dostał, a po prawdzie, czego nie dostał — czyli kart z wzorami podpisów, do wysłania których Dunphy nigdy się nie zabrał. To niedopatrzenie można było łatwo naprawić, wystarczyłoby wysłać kopertę pocztą — ale po co miałby to robić? Blémont był kutasem, a poza tym to nie były pieniądze zarobione przez niego.

Zwykle Dunphy otwierał klientom konta bankowe z symboliczną wpłatą — na ogół pięćdziesięciu funtów. Z Sirocco było inaczej. Dunphy zdążył już założyć Blémontowi z tuzin firm, kiedy pewnego zimowego popołudnia Korsykanin pojawił się w biurze z nową ofertą. Moszcząc się w miękkim skórzanym fotelu, Blémont oświadczył, że chce otworzyć konto bankowe z linią kredytową i zabezpieczeniem w kapitale akcyjnym. Za pomoc w tej nieco... trudnej transakcji, jak to określił, obiecał Dunphy'emu trzyprocentową prowizję od wielkości kredytu.

— To bardzo hojne — powiedział Dunphy.

— Stać mnie na hojność — odparł Blémont, a na twarz wypełznął mu uśmiech.

— O jakim zabezpieczeniu mówimy?

Blémont sięgnął do teczki, wyjął plik certyfikatów akcyjnych i wręczył je Dunphy'emu.

— To trochę ponad dziesięć tysięcy udziałów.

Dunphy przekartkował certyfikaty między kciukiem i palcem wskazującym.

— Wszystkie IBM?

Blémont skinął głową i pochylił się w przód.

— *Oui*.

— A po ile teraz chodzi Big Blue? Myślę, że po mniej więcej sto dziesięć.

— Sto dwadzieścia — odpowiedział Blémont. Po czym dodał: — Dolarów, oczywiście.

Dunphy chrząknął.

— Dolarów, to jasne — przytaknął.

Certyfikaty były wystawione na nowojorski dom maklerski i oczywiście kradzione, bo inaczej Blémont nie dawałby trzech procent za lokatę w banku.

— Ile...

— Prawdopodobnie mogę dostać czterdzieści procent rynkowej wartości — powiedział Dunphy.

Blémont się skrzywił.

— Wolałbym pięćdziesiąt.

— Mógłbyś zanieść je do NatWest, który jest tuż za rogiem, i dostać siedemdziesiąt pięć albo osiemdziesiąt. I nie musiałbyś płacić mi prowizji. Oczywiście, jeśli to zrobisz...

Dunphy nie musiał kończyć zdania. Gdyby Blémont to zrobił, National Westminster wysłałby faks do Nowego Jorku, żeby sprawdzić, czy akcje nie zostały skradzione — duże banki bawią się w takie rzeczy.

Blémont wytrzymał przez chwilę wzrok Dunphy'ego, po czym uśmiechnął się ironicznie.

— Jestem pewien, że się postarasz.

— Oczywiście — powiedział Dunphy.

Blémont wstał, podał mu rękę i wyszedł.

Przekręt Blémonta, z upodobaniem stosowany przez mafię, pozwalał zbijać wielkie pieniądze. Wybudowano za nie Costa del Sol, a także Costa Brava. Certyfikaty akcyjne kradzione kurierom i ze skarbów domów maklerskich w Ameryce były używane jako zabezpieczenia kredytów w Europie. Kredyty wykorzystywano do finansowania budowy osiedli, hoteli, restauracji, pól golfowych i... — jak w przypadku Blémonta — publikacji typu „Contre la boue”.

Dopóki dłużnik nie stawał się niewypłacalny, co zmuszało bank do sprzedaży skradzionych akcji (i próby zarejestrowania zmiany właściciela), dopóty system działał niezawodnie. Hotele prosperowały. Kredyty były spłacane i certyfikaty mogły być ponownie wykorzystywane jako zabezpieczenia kolejnych kredytów.

Parę tygodni zajęło Dunphy'emu znalezienie przychylnego banku i w końcu musiał wsiąść na wodolot do St Helier i osobiście przedłożyć certyfikaty. Rachunek firmy Sirocco został ostatecznie otwarty z depozytem na dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy funtów z drobnym naddatkiem. Za swój udział w tym przestępstwie Dunphy wziął niecałe piętnaście tysięcy dolarów, które grzecznie przelał na jedno z kont CIA w Credit Suisse.

Kiedy dokumenty wróciły z St Helier, Dunphy włożył je do koperty razem z papierami rejestracyjnymi spółki Sirocco i zaadresował do Blémonta. Koperta była w stosie poczty do wysłania, kiedy zadzwonił Tommy Davis, by powiedzieć, że Schidlof nie żyje.

Zatrzymując kopertę, zamiast ją wysłać, Dunphy ustawił się w pozycji jedyne dysponenta środków na nowym koncie Blémonta. Z optymistycznej perspektywy oznaczało to, że Dunphy miał bezpośredni dostęp do dużej sumy pieniędzy — minusem było to, że Blémont zapewne rozszarpie Dunphy'ego na strzępy, jeśli kiedykolwiek uda mu się go dopaść. Na to i tak Dunphy nie mógł nic poradzić. Nawet gdyby oddał pieniądze, Korsykanin mu nie wybaczy: już zbyt długo czeka. Na pewno uznał, że Dunphy'emu puściły nerwy i warto go zabić z dwóch powodów — po pierwsze, za kradzież, po drugie, za tchórzostwo. Dunphy sączył swój drink, grzechotał lodem w szklance i gapił się na gwiazdy nad Islandią.

Nie miał najmniejszej wątpliwości, że Blémont zawzięcie szuka — ale kogo? Nie Dunphy'ego. Blémont ściga Irlandczyka, który nazywa się „Kerry Thornley”. Co oznacza, że Blémont to najmniejszy z moich problemów, pomyślał Dunphy.

Szczególny skądinąd pogląd — że dla kogokolwiek Blémont może być najmniejszym problemem. I w zasadzie, jakby się nad tym zastanowić, taka myśl prawdopodobnie nigdy nie przyszła do głowy nikomu innemu na świecie. A przynajmniej nikomu, kto jeszcze chodzi po tym świecie.

O to Dunphy mógłby się założyć.



## 16.

Samolot dotarł do Paryża o siódmej rano i Dunphy miał dwie godziny do odlotu do Pragi. Część tego czasu spędził, łażąc po bezcłowych sklepach, a potem zatrzymał się, żeby zrobić kilka zdjęć paszportowych. Na koniec wszedł do małej kafejki, gdzie siedziało się przy stolikach z kamiennymi blatami, na stołkach odlanych z betonu.

Była to okropna dziura, frankofoński czyściciel dla zmęczonych długim lotem pasażerów, którzy wchodzili i wychodzili, zaaferowani i zdezorientowani, przeliczając obcy bilon. W kącie pomieszczenia pomocnik kelnera, Algierczyk, oparty plecami o ścianę palił tureckie papierosy i ospale popatrywał na stoliki, na których przybywało brudnych filiżanek i talerzyków. Z umieszczonego wysoko na ścianie jedyne głośnika rozlegały się syntezatorowe rytmy Europopu — jazgot disco, który otumaniał Dunphy'ego i wprowadził go w depresyjny nastrój. Najwyraźniej chodziło tu o to, żeby zmaksymalizować profity przez zwiększenie przepływu klientów, co kafejka osiągała przez unie-szczęśliwianie każdego, kto do niej wchodził z wyjątkiem *la propriétaire*, który rozumiał ideę i ją akceptował. Prezentujący się nienagannie w dwurzędowej marynarce i lekko przyciemnionych modnych okularach mężczyzna ten stał za kasą i rozpierała go duma, gdy przyglądał się swojemu prywatnemu kręgowi piekła. Widać to było w jego oczach: *C'est bon*, mówiły. *C'est très bon*.

Dunphy przejrzał tę grę i w mniej stresujących okolicznościach odsiedziałby w kafejce godzinę lub dłużej, choćby dla zasady. Ale tym razem to przekraczało jego możliwości. Kiedy głośnik eksplodował dźwiękami *Le Spinning Wheel* w wersji Les Belle Tones, Dunphy ulotnił się, udając się w stronę bezcłowych sklepów. Nie musiał oglądać się za siebie, by wiedzieć, że właściciel odprowadzał go wzrokiem, a na ustach miał grymas triumfu.

Dwie godziny później Dunphy był w Pradze. Choć wolałby lecieć bezpośrednio do Londynu, miał ważny powód, by przedtem znaleźć się w Republice Czeskiej. W jego głowie zaczynał klarować się plan, w którym wyraźnie zarysowywała się sylwetka gadatliwego kanciarza, Maksa Setyaeva.

Max, były nauczyciel przedmiotów ścisłych, rosyjski Żyd, przyjechał do Czechosłowacji z Ukrainy w 1986 roku. Był urodzonym pedantem, jak niektórzy ludzie są urodzonymi sportowcami, i skalkulował sobie, że nie jest w stanie pogodzić pensji nauczyciela w wysokości pięćdziesięciu sześciu dolarów miesięcznie z zamiłowaniem do blondynek, szampana i gravlaksa. Z ogromnym żalem porzucił zajęcia szkolne na rzecz profesji człowieka od dokumentów, w Odessie, gdzie fałszował paszporty i wize wyjazdowe dla Organizacji. Przez wiele lat była to intratna posada, ale koniec zimnej wojny zmniejszył zapotrzebowanie na podrabiane dokumenty, a w erze drukarek laserowych i kolorowych kopiarek mistrzostwo Maksa stawało się coraz mniej przydatne. W końcu spreparował własną wizę i ruszył na Zachód, by w efekcie się „przekwalifikować”.

Kiedy Dunphy poznał go dwa lata później, Rosjanin był w Londynie, rozglądając się za maszyną do wkłęsłodruku, specjalnymi tuszami i trudno dostępnymi gatunkami papieru. Podając się za przedstawiciela świeżo opierzonej (i bardzo chwiejnej) Republiki Czeczenii, Maks ulokował się w Churchill Hotel, gdzie dla miejscowych bankierów wydawał nieustające przyjęcia (później opisywane przez prasę jako orgie). Każdemu, kto chciał słuchać, czy była to dziewczyna na telefon, czy makler giełdowy, mówił, że reprezentuje czeczeńskie Ministerstwo Finansów, które, jak wyjaśniał, zleciło jego firmie (tu prezentował wizytówkę z połączonym liternictwem)

załatwienie druku nowej waluty (o nazwie *agrovar*, czy coś takiego). Na potwierdzenie swoich słów wyciągał bogato opieczętowany list, rzekomo z tegoż ministerstwa, apelujący do wszystkich zainteresowanych, by ułatwili „Księżciu Setyaevowi” jego delikatną i szczytną misję.

List był oczywiście fałszywy. Max nie miał najmniejszego zamiaru drukować waluty czeczeńskiej. Interesowały go funty, co odkrył „Mirror”, gdy autentyczna czeczeńska delegacja przybyła do Londynu, szukając pomocy humanitarnej. Zapytani, jak godzą prośby o zboże z hulankami Maksa w jednym z najdroższych londyńskich hoteli, Czeczeni odpowiedzieli, że ten człowiek nie ma z nimi nic wspólnego. To Rosjanin, oświadczyli. Dlaczego mielibyśmy powierzyć Rosjaninowi drukowanie naszej waluty? Następnego ranka Max uciekał via Heathrow, bo grunt palił mu się pod nogami i policja deptała po piętach.

Od tamtego czasu Dunphy założył dla niego kilka przedsiębiorstw — ostatnio mającą siedzibę w Pradze firmę importowo-eksportową: Odessa Software AG. Rosjanin chwalił się, że trafnie przewiduje, co ma przyszłość, i miał to być piracki handel oprogramowaniem komputerowym.

Ostatecznie okazało się, że siedziba Maksa znajduje się we wdzięcznym budynku w stylu art déco, w dzielnicy Holesovice, w północnej części Pragi. Stojący za ledwie przecznicę od rozległego parku Stromovka czteropiętrowy dom przy Ovenecka 16 mieścił kilkanaście małych firm, w tym tę Maksa.

Dunphy wjechał małutką windą na drugie piętro do biura Odessy, zapukał i wszedł. Nie było sekretarki ani poczekalni, po prostu jeden duży pokój, o wysokości dwunastu stóp, z aksamitnymi zasłonami i zabytkowym biurkiem, na którym piętrzyły się ofoliowane paczki z kasetami Microsoft Works, Myst i Windows 98. Przez chwilę Dunphy myślał, że jest sam, ale nagle biurko bipnęło (w każdym razie takie odniósł wrażenie).

— Max?

Łysa czaszka, krzaczaste brwi i świdrujące oczy Rosjanina pojawiły się nad dziewiętnastocalowym kolorowym monitorem.

— Kerry? — Max skoczył na równe nogi. — Grałem w *SimCity* — powiedział, idąc przez pokój z rozwartymi ramionami. — *2000*, oczywiście. Jak się masz? I co tutaj robisz?

— No wiesz, zabawne, że ty o to pytasz — odpowiedział Dunphy, wyswobodzając się z niedźwiedziego uścisku Ma-ksa i ruszając do krzesła przy oknie. — Miałem trochę kłopotów. Max skinął głową.

— Wiem — powiedział, wyciągając pół butelki becherovki i dwie małe szklaneczki.

Dunphy popatrzył na niego zaskoczony.

— Wiesz?

— Oczywiście! Zadzwoiłem do twojego biura... wiele miesięcy temu i... zgadniesz, co dalej? — Max napełnił obie szklaneczki i usiadł.

— Wyłączony telefon.

Rosjanin potrząsnął głową.

— *Prozit* — stuknął swoim szkłem o szklaneczkę Dunphy’ego. Mały łyk. Duży uśmiech. I z powrotem do biznesu. — Nie... telefon w porządku. Facet odpowiada: „Pan Thornley nie może podejść. Czy mam mu przekazać, żeby oddzwonił?”. Czemu nie? Czy ja się ukrywam? Więc dałem mu swój numer. Dwie godziny później miałem tu dupka z ambasady brytyjskiej łomoczącego w drzwi... i czeskich detektywów.

— Jezu, Max, przepraszam. Czego chcieli?

— Ciebie.

Dunphy chrząknął.

— I co im powiedziałeś?

Rosjanin wzruszył ramionami.

— Nic. Powiedziałem, że znalazłem twój numer w „Herald Tribune”. W starym numerze.

— I uwierzyli ci?

— Akurat! Jasne, że nie. — Przerwał i właściwie nie odchodząc od tematu, nadał rozmowie konkretny obrót. — A więc, mój przyjacielu, o co chodzi?

Dunphy był zaskoczony.

— Pytasz, o co chodzi?

— Co mogę dla ciebie zrobić? Zawiodło cię daleko od domu.

Dunphy uśmiechnął się. Lubił faceta za jego bezpośredniość.

— Na początek — powiedział, rzucając kopertę na biurko — muszę mieć paszport... kilka kart kredytowych. Jeszcze jakieś identyfikujące gówieńka do portfela. — Wskazał na kopertę. — Zrobiłem na lotnisku trochę zdjęć.

Rosjanin pokiwał głową.

— Dobrze. Jakie obywatelstwo?

Dunphy uśmiechnął się lekko.

— Jeśli nie będzie nigeryjskie ani japońskie...

— Kanadyjskie. Mam czyste oryginały. Dowolne nazwisko. Absolutnie pewne.

— To byłoby wspaniale.

— Nietanie, ale oryginały. Karty kredytowe też... nie ma problemu.

— Wspaniale.

— Ale muszę mieć wpłatę. Gotówkę... nie dla mnie... dla kogoś z VISA! Jasne?

— Tak — powiedział Dunphy. — W porządku. — Pociągnął łyk becherovki i unióśł brwi. — Co to jest?

— Nikt nie wie. Tajemnica. Czesi twierdzą, że to się robi z dwudziestu ziół. Ale nie mówią z jakich.

— Smakuje mi.

— Mnie też. A jeśli chodzi o paszport, nie zapytałeś za ile.

Dunphy wzruszył ramionami.

— Rozumiem, będę miał z nim kłopot! A może... nie przyszedłeś tylko po paszport.

— Właśnie.

Max się uśmiechnął.

— Więc z czym będę miał kłopot?

— Z jednym i drugim.

— Aaa. — Max sączył alkohol, wciągając aromat głęboko przez nos. — Zatem o czym mówimy?

— O tym — powiedział Dunphy, wyciągając z teczki legitymację Bradinga i wręczając ją Rosjaninowi.

Max umieścił na nosie okulary do czytania i obracał legitymację w dłoniach, bacznie się jej przyglądając. Nie odezwał się przez blisko minutę, a potem popatrzył na Dun-phy'ego.

— Czy wiesz, co to jest?

— Oczywiście. To hologram... jak te na twoim biurku. Dlatego tutaj jestem. Rozumiem, że jeśli ktokolwiek jest w stanie zrobić coś takiego, to ty.

Max potrząsnął głową.

— To nie jest zwykły hologram. To jest tęczyowy hologram.

— To znaczy?

— Możesz zobaczyć obraz w zwyczajnym, białym świetle, takim jak teraz.

— Trudne to do skopiowania?

— W zeszłym roku? Bardzo trudne. Dzisiaj? Nie tak bardzo. Ale drogie. — Max obrócił legitymację w dłoniach, patrząc na nią spod przymrużonych powiek. — Wiesz, jak składa się do kupy poszczególne elementy czegoś takiego?

— Nie — odpowiedział Dunphy.

— Nie próbuj w domu. Potrzebne są lasery. Dla siebie robię w instytucie w Kijowie. Mają tam najlepszych naukowców. Robią szybko. Prototypy w dwa, trzy dni.

— A więc tak to wygląda — odezwał się Dunphy niezain-teresowany szczegółami.

Max popatrzył na niego z dezaprobatą.

— Będzie kosztowało dużo pieniędzy, przyjacielu. Na twoim miejscu chciałbym wiedzieć dlaczego.

— Przepraszam — odpowiedział Dunphy tonem dziecka przyłapanego w klasie na gadaniu.

— Słyszałeś o laserach, tak? I wiesz co to laser!

— Oczywiście.

Max potrząsnął głową.

— Nie, nie wiesz. Tylko wydaje ci się, że wiesz. Jest wiązka światła o jednej częstotliwości. Jedna barwa. Bardzo intensywna. Kiedy robią hologram, rozszczepiają wiązkę.

Dunphy skinął głową.

— Więc teraz mają dwie wiązki z jednego źródła. Pierwsza jak żarówka błyskowa. Bang! Uderza w obiekt i... co się dzieje ze światłem?

Dunphy wzruszył ramionami.

— Nie wiem — powiedział. — Ucieka gdzieś. Leci w kosmos albo coś takiego.

— Proszę, pomyśl — Max zawstydział go swoją cierpliwością. — Kiedy światło napotyka obiekt... jakikolwiek obiekt, jakiegokolwiek światło... co się dzieje?

— Zostaje odbite.

— A odbite światło?

— Nie wiem. Wystrzeliwuje gdzieś.

— Nie. Naświetla film, aby zrobić hologram — poprawił go Max.

Dunphy próbował się głupio bronić.

— Nie mówiłeś, że w grę wchodzi jakiś film.

Rosjanin wydał usta z lekceważącym sapnięciem.

— A co ty myślisz? Że hologram mieszka w kosmosie? To obraz zapisany na filmie.

— Dobra, więc...

— Więc do hologramu potrzeba dwóch wiązek światła. Dlatego jedną rozszczepiliśmy.

Druga wiązka nie pada na obiekt, ona pada bezpośrednio na film. Zatem te dwie wiązki spotykają się na jego powierzchni i tworzą zapis interferencji, który jest mapą, zakodowaną mapą obiektu. Takie tam prążki... i zapis głębi. Wizualny bałagan. Ale kiedy laser znowu oświetli to pod pewnym kątem, obraz zostaje zrekonstruowany. Trójwymiarowo! Cud! Tak jakby obiekt był tuż przed tobą. W przestrzeni!

— Niesamowite — zamruczał Dunphy, wierząc się, jakby mu było niewygodnie. — Co wymyślą w następnej kolejności?

— Panie Sarkazm! Śmiejesz się, ale to jest jeszcze bardziej niesamowite — oświadczył Max.

— Wpuść film do miksera, porąb go, a obraz pozostanie nienaruszony. Tego nie wiedziałeś, co?

Dunphy potrząsnął głową.

— A to dlatego, że obraz jest rozłożony po całym filmie, a więc każdy fragment zawiera całość. Tak jak z pamięcią i komórkami mózgowymi. — Max oparł się i uśmiechnął. —

Niewiarygodne, co?

Dunphy siedział przez chwilę cicho, kontemplując dydaktyczny zapach Maksa. Wreszcie

powiedział:

— Mam duże kłopoty, Max, naprawdę duże. A czas jest...

Max skinął energicznie głową.

— Rozumiem — powiedział, pochylając się konfidencjonalnie w jego stronę. — Ale mówiłem o zwykłym hologramie... patrzy się na niego w ciemności lub pod specjalnymi światłami. Aby zrobić taki jak ten... aby zrobić tęczyowy hologram... musimy zwiększyć jasność obrazu.

— A ty mi wyłóżysz, jak to się robi, tak?

— Oczywiście, niczego nie ukrywam. — Wziął głęboki wdech. — A więc co się dzieje? — zapytał. — Fotografujemy obiekt przez szczelinę, poziomą szczelinę. W ten sposób światło skupia się jeszcze bardziej, dzięki czemu obraz jest jaśniejszy. Hologram jest tęczyowy, ponieważ szczelina działa jak pryzmat. Rusz głową... albo kartą kredytową czy kasetą Microsoftu... Na czymkolwiek jest hologram, światło rozszczepia się w widmo.

— Barwne.

— Właśnie. Masz tęczę.

— Dziękuję za lekcję fizyki, ale... może nie potrzebuję hologramu. Tak naprawdę muszę mieć legitymację taką jak ta, tylko z moim odciskiem kciuka. Więc może damy sobie spokój z Kijowem, po prostu zamienimy odcisk palca tego faceta na mój.

Max potrząsnął głową.

— Niemożliwe. Otworzę laminat, hologram się zniszczy.

— Ale mógłbyś zrobić kopię, prawda?

— Tak, oczywiście, lecz... to duża sprawa. Muszę wszystko robić od początku.

— Mogę zapłacić.

— Zapłacić. Wielkie koszty! Muszę skopiować Dziewicę... tę Dziewicę... a to oznacza podróż do Szwajcarii.

— O czym ty mówisz? — zapytał Dunphy.

— O Niej — wskazał na hologram. — Jest w Einsiedeln.

Dunphy zaskoczony zmarszczył brwi.

— Ona jest dziewicą?

Max wyrzucił ręce w górę.

— Jesteś chrześcijaninem? I zadajesz takie pytanie? O czym według ciebie rozmawiamy? Ja mówię „Madonna”, a ty myślisz o rock and rollu?

Dunphy wziął do ręki legitymację.

— Nigdy się jej nie przyglądałem. Wydawała mi się za-plamiona. Czekać... na miłość boską, ona jest czarna!

— Oczywiście, że jest czarna. Dlatego jest sławna: *La Vierge Noir*. Wszyscy to wiedzą.

W okamgnieniu Dunphy przywołał wspomnienie pocztówki widzianej w domu Bradinga. Jaki był na niej napis? *Protectrice de la ville*. (Patronka miasta — lecz którego miasta?).

Wychylił becherovkę i nalał sobie następną. Wreszcie zapytał:

— Ale dlaczego ona jest czarna?

Max prychnął.

— Kto wie? Może od dymu? Pięćset lat, świece, kadzidła.

Dunphy zastanowił się nad tym przez chwilę i potrząsnął głową.

— Raczej nie. To znaczy... jak się przyjrzyysz, czarne są tylko ręce i twarz. Jeśli od dymu, to dlaczego jej szaty nie są czarne?

Max westchnął.

— Pytasz Żyda o chrześcijański mistycyzm? A skąd mam wiedzieć? Rozmawiamy o

przepustce czy tajemnicach wiary?

Dunphy potrzęsnał głową dla rozjaśnienia myśli.

— Dobrze. Jedziesz do tego miejsca...

— Do Einsiedeln. To w górach.

— Więc jedziesz tam i... co?

— Jadę tam i robię replikę posągu albo ją kupuję. Kiedy ją będę miał, mogę skopiować hologram. Ale nawet wtedy pozostaje pewien problem.

— Problem. — Dunphy wypowiedział to słowo bez pytajnej intonacji, jakby było twierdzeniem, żądaniem.

— Odcisk palca.

— Dlaczego to problem? Jeśli masz zrobić na nowo ten dokument, musisz tam nanieść mój odcisk, to wszystko. Na tym to ma polegać, dobrze mówię?

— Oczywiście... ale to może nie zadziałać.

— Dlaczego?

— Bo... — Max milczał przez chwilę.

— Bo co? — naciskał Dunphy.

Rosjanin poprawił się na krześle.

— Zastanawiam się, po co na legitymacji jest odcisk palca?

— Do identyfikacji — odpowiedział Dunphy. — To oczywiste.

Max pokiwał głową, niecierpliwie, jak gdyby Dunphy nie trafił w sedno.

— Oczywiście, ale... jak to działa?

Dunphy zastanowił się nad tym.

— Porównują odcisk palca na przepustce z...

— Z czym?

Dunphy zmarszczył brwi.

— Z odciskiem mojego kciuka — powiedział i potarł palcem wskazującym o kciuk. — Prawdopodobnie mają skaner przy drzwiach, tam gdzie się wchodzi. I jeśli odcisk kciuka na tej przepustce pasuje do odcisku kciuka, wszystko gra.

— Tak — odpowiedział Max. — Dobrze. Mam nadzieję.

Przez chwilę obaj mężczyźni siedzieli zatopieni we własnych myślach. Wreszcie Dunphy zapytał:

— Co rozumiesz przez mam nadzieję?

Rosjanin pokiwał głową.

— Widzisz. Myślę, że... prawdopodobnie... to może być bardziej skomplikowane.

— W jaki sposób może być bardziej skomplikowane?

— Mogą mieć odciski w kartotece.

— Taa...k? I co wtedy?

— Jeśli mają odciski w kartotece, to być może nie porównują dwóch odcisków. Porównują trzy odciski... jeden z kciuka, jeden z legitymacji i jeden z kartoteki.

Dunphy rozważył to.

— Jeśli tak robią — odparł — będę udupiony.

— Tak, totalnie, zgadzam się.

Nastąpiła długa cisza.

W końcu Dunphy zapytał:

— To co zrobimy?

Rosjanin uniósł ramiona i opuścił.

— Może zaryzykujesz?

Dunphy potrząsnął głową.

— Raczej nie. Za duże ryzyko.

— Dobra. W takim razie robię nową legitymację i specjalny odcisk palca.

— Co ty kombinujesz?

Max zignorował pytanie.

— Wiesz, odciski palców to ciekawy biznes.

Oczy Dunphy'ego zwęziły się, ale Max nie zwrócił na to uwagi.

— Tak jak bieżnik na oponach. Masz dobry bieżnik, nie poślizgniesz się. — Max pociągnął becherovki. — Policja z Buenos Aires chyba jako pierwsza tego użyła — kontynuował. — Sto lat temu. I żadnych fałszywych wyników... nigdy. Te odciski palców są bardziej niezawodne niż DNA, niż tęczątki... i co tam jeszcze! Absolutnie najlepsza biometria.

— Świetnie — powiedział Dunphy — ale co to ma wspólnego ze mną i gościem na przepustce?

Max popatrzył na legitymację i powiedział:

— Mógłbym skopiować odcisk pana Bradinga na nową legitymację. Dzięki temu pasowałby do kartoteki. A potem zrobię małą rękawiczkę...

— Rękawiczkę? — zapytał Dunphy.

— Małą rękawiczkę. Tylko na kciuk. Mógłbym zrobić zapis cyfrowy odcisku palca tego człowieka i za pomocą lasera wytrawić go na... Nie wiem na czym. Lateksie, cielejącej skórze...

— Nie przyjechałem kupować kondomów, Max.

— Albo na miękkim tworzywie. Jak soczewki kontaktowe. Moglibyśmy przykleić taki odcisk do twojego kciuka! I wiesz co? — Rosjanin się rozpromienił. — To prawdopodobnie zadziała.

— Prawdopodobnie?

— Absolutnie! To absolutnie prawdopodobnie będzie działać.

Dunphy pomyślał nad tym. W końcu powiedział:

— To są ludzie, którzy nie wybaczą, Max. Nie dajesz gwarancji albo czegoś takiego?

Max zaśmiał się głośno.

— Oczywiście. Jaką tylko gwarancję sobie życzysz. Jak na pralkę.

— Mówię poważnie.

— Ja też — powiedział nagle bardzo trzeźwo. — Ale to skomplikowane. Jak drukowanie pieniędzy, i to nie amerykańskich. Trudnych. Franków, marek, guldenów... Podniósł legitymację i przysunął ją bliżej do oczu. — Patrz, nitka! Tam!

— I co?

— To... może być wada. Albo zabezpieczenie. Muszę się przyjrzeć pod mikroskopem. Jeśli to nitka zabezpieczająca, będzie na niej mikrodruk. Kilka słów powtarzających się w kółko.

— Na przykład?

Max zachichotał.

— Zastrzelić tego człowieka.

— Bardzo zabawne — spochmumiał Dunphy i umilkł. Potem potrząsnął głową. — Słuchaj, zrób co trzeba. Ale na miłość boską, przed wszystkim innym.

— Naturalnie. Musimy jednak pogadać o pieniądzach. Inaczej... No, nie wiem, co więcej powiedzieć.

— Myślę, że się dogadamy. Ile będziesz potrzebował?

— Wierz mi, łatwiej podrobić guldeny dla niewidomych...

— Ile, Max?

Rosjanin otworzył usta, przełknął ślinę i wzruszył ramionami.

— Dwadzieścia pięć tysięcy.

Dunphy wpatrzył się w niego.

Rosjanin odchrząknął.

— To trudna robota!

Dunphy zastanowił się nad tym. Z jednej strony to zdzierstwo. Z drugiej pieniądze nie były jego.

— To musi być zrobione perfekcyjnie — ostrzegł.

— Oczywiście! A paszport? Zrobię po kosztach.

— Ile to będzie?

— Pięć tysięcy.

— To bardzo szlachetnie, Max.

— Miło słyszeć. Oczywiście...

Dunphy zmrużył oczy.

— Co jeszcze?

— Depozyt do kart kredytowych. Ile chcesz? Pięć tysięcy? Dwa tysiące?

— Dziesięć będzie akurat — stwierdził Dunphy. — Ile to nam daje razem?

Max zrobił niewyraźną minę.

— Dochodzi koszt biznesowego ryzyka.

— Tak, zdaję sobie sprawę — powiedział Dunphy. — Ale jest też tyci problem.

Max uniósł brwi w niemym zapytaniu.

— Musisz wyłożyć pieniądze, Max. A potem, kiedy wszystko będzie gotowe, musisz mi to dostarczyć aż do Zurychu. Nie mogę tu wrócić.

Max się skrzywił.

— Proszę cię, Kerry, nie jestem telepizza.

Dunphy dopił drugą becherovkę, odstawił szklankę i wstał.

— Zapłacę ci pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To dziesięć tysięcy więcej, niż sobie zażyczyłeś, co już było zdzierstwem. Ale to musi być perfekcyjne. To musi być szybko. Musisz wyłożyć pieniądze i dostarczyć mi wszystko do Zurychu.

Prawie można było słyszeć trybiki obracające się w głowie Rosjanina: Grat-ka! Grat-ka! Grat-ka!

— Dobrze — powiedział. — Dla ciebie...

— Zadzwoń za kilka dni.

Max miał wątpliwości.

— Może telefon nie jest najszcześliwszy. Dupki z ambasady...

— Telefon jest w porządku. Zapytam o kobietę... Genevieve. Ty powiesz, że to pomyłka i odłożysz słuchawkę, jakbyś był wkurzony. Potem wsiądziesz do samolotu do Zurychu... natychmiast, okay?

Max skinął głową.

— Znasz Zum Storchen? — zapytał Dunphy.

— Jasne. Na Starym Mieście. Nad rzeką.

— Weź tam pokój. Znajdę cię.

Max wstał, podał mu rękę, a potem spochmumiał.

— Co się stało? — zdziwił się Dunphy.

— Martwię się.

— O co?

— O ciebie.

— Och, Max, na miłość boską...



— Duży problem. Hologramy drogie. Jak ciebie zabiją, kto mi zapłaci?

— Nie wiem — powiedział Dunphy. — To wielka niewiadoma. Ale dziękuję za troskę.

## 17.

Strugi deszczu. Pisk opon. Szmer aplauzu. I głos stewardesy witającej podróżnych na lotnisku Heathrow w Londynie.

Godzinę później Dunphy mknął z turkotem linią Piccadilly przez West End, wspominając, jak to ostatni raz jechał tym metrem. Właściwie prawie nic się nie zmieniło. Uciekał z powodu morderstwa wtedy i uciekał z powodu morderstwa teraz. W istocie jednak nie było tak samo: cztery miesiące temu uciekał, bo kogoś zamordowano, a teraz, gdy pociąg toczył się przez ten sam rozmyty wodą krajobraz, uciekał, żeby nie zamordowano jego. A to była zasadnicza różnica.

Powinna być. Prawdę mówiąc, miał problemy z koncentracją. Jego umysł zaprzątnięty był wszystkim naraz. O czymkolwiek myślał, czy raczej próbował myśleć, jawiła mu się przed oczami scena morderstwa w McLean, jak tandetne zdjęcie, którym była.

Clementine.

Roscoe.

Co ona robi, gdy pojawi się u jej drzwi. Nie wiadomo skąd. Niezapowiedziany.

Uduşony.

Dunphy miał nadzieję, że będzie zachwycona, ale podejrzewał, że radość na jego widok może w niej walczyć z żądzą mordu. W końcu od niej uciekł. A przynajmniej tak to wyglądało.

Wiszący tam.

No i cała „jego sytuacja”. Dunphy i reszta świata, Dunphy przeciwko wszystkim. Przy tym wątku jego myśli nabierały szybkości cyfrowego stopera, zamazując setne sekundy w ciekłokrystaliczną plamę.

Podróżował z legalnym paszportem, co było i dobre, i złe. Dobre, bo Brytyjczyków nie interesował Amerykanin o nazwisku Dunphy. Ich troską (i to poważną) był Irlandczyk, który nazywał się Kerry Thornley, a który zniknął kilka tygodni temu. Thornley był postacią podejrzaną, to oczywiste, ale jego powiązania z Dunphym nie były im znane. To wszystko było dobre.

Złe było to, że Agencja wkrótce odkryje, iż zdobył nowy paszport na własne nazwisko. Co wiedząc, zacznie go szukać za granicą, przede wszystkim w Anglii. Od tej strony było naprawdę mamie, dumął Dunphy, gdy pociąg wypluwał potok pasażerów na stacji Earl's Court. Z nazwiskiem był też i ten kłopot, że wyjaśnięń zażąda Clementine.

Oczy, język i foliowa torba owinięta wokół głowy.

Wyraz przerażenia, który przemknął przez twarz kobiety naprzeciwno, uświadomił mu, że głośno jęczał. Uśmiechnął się żałośnie i mruknął: „zab”. Kobieta wyraźnie się uspokoiła.

Być może powinien udać się na Wyspy Kanaryjskie, od razu tam. Z wizytą do Tommy'ego Davisa. Obstawić się butelkami. I dziewczynkami. Po jakimś czasie cała sprawa mogłaby umrzeć śmiercią naturalną.

Właśnie, pomyślał Dunphy. Tylko że... Z jego dość bogatego doświadczenia wynikało, że sprawy prawie nigdy nie umierały śmiercią naturalną. Najczęściej zdarzało się, że umierali ludzie (śmiercią nienaturalną). Poza tym chodziło nie tylko o ratowanie własnej skóry. Miał misję do spełnienia: kiedy znajdzie faceta, który załatwił Roscoe, to...

To co? Co zrobi? No co takiego zrobi? Zabije faceta? Dunphy zastanowił się nad tym i postanowił, że tak. Zdecydowanie tak.

Z zimną krwią? Tak. Tak robi. Jest w stanie to zrobić. Ale nie o to chodzi. To nie jest

kwestia „tego faceta”. Zabójca Roscoe był tylko żołnierzem, mrówką w armii przez kogoś dowodzonej i tego kogoś chciał dopaść Dunphy. A ściślej: dowódcę, armię i faceta.

Kiedy go znajdę, zabiję go własnymi rękami. A potem go pochowam. To była ważna część planu — pochówek. Bez tego nie da się naszczać na jego grób.



Dwadzieścia minut później Dunphy stał na deszczu pod domem Clementine, patrząc w górę na okno na drugim piętrze i zastanawiając się, czy ona patrzy na niego. Za chwilę był pod jej drzwiami i pukał. Kilka razy delikatnie. Potem mocniej.

— Clem? — jego głos był ściszony do szeptu. — Clem? — Żadnej odpowiedzi.

No trudno, pomyślał, nie ma jej w domu. Odwrócił się, żeby odejść, czując jednocześnie i rozczarowanie, i ulgę. Postanowił, że wróci jutro, kiedy nagle usłyszał zgrzyt zamka i drzwi się otworzyły.

— Kerry?

Odwrócił się do niej, z walizką w ręku, jego oczy wprost ją wchłonęły, zamroczyło go, jakby dostał strzał prosto w głowę. Spała i jeszcze otaczała ją aura ciepła i miękkości.

— Jack — odrzekł, szurając nogami. — Tak naprawdę jestem Jack Dunphy. — Przerwał na chwilę i dodał: Dość kłamstw.

Uśmiechał się matołkowato, gdy z wyciągniętymi ramionami zrobił krok do przodu, by wziąć ją w objęcia — był zupełnie nieprzygotowany na to, że jej dłoń, biorąc się znikąd, przesyje powietrze i wyląduje na jego policzku.

— Au, Jezu!

— Ty dupku — powiedziała.

Zamierzyła się na niego znowu, tym razem prawą ręką, ale złapał ją w porę i przyciągnął do siebie.

— Nie rób tego — rzekł. — To boli. Potrząsnął głową, by oprzytomnieć. A ją złość opuściła tak samo nagle, jak naszła. Oczy miała pełne łez, gdy wziął ją w ramiona.

— Tak bardzo za tobą tęskniłam — przyznała. — Byłam nieszczęśliwa przez ciebie.

Weszli razem do środka, przeszli przez pokój dzienny, prosto do sypialni. Padli sobie w objęcia i kochali się z gwałtownością desperatów. Potem znowu. W końcu światło dnia zaczęło słabnąć, Dunphy też, aż nagle i niespodziewanie zrobiła się noc, a Clementine potrząsała nim, żeby się obudził.

Poszli do greckiej restauracji na Charlotte Street, spowitej dymem płonących polan i świec. Przy stoliku w kącie Dunphy próbował wyjaśnić z maksymalną ostrożnością i cedząc słowa, dlaczego musiał opuścić Anglię.

— To była jedna z tych spraw... które, no wiesz, to było coś takiego, że... prawdę mówiąc, nie mogłem na to poradzić. To znaczy... ludzie, dla których pracuję... a właściwie pracowałem...

— A dokładniej, kto to był? Nie powiedziałaś.

— Wiesz... to była... tak naprawdę... to była agencja rządowa.

— Jesteś szpiegiem.

Dunphy potrząsnął głową.

— Nie. Byłem szpiegiem. Teraz jestem... — nie bardzo wiedział, jak skończyć.

— Czym?

— No cóż, teraz, chyba trzeba powiedzieć, że jestem bezrobotny.

— To znaczy zredukowali cię?

— Tak. Dokładnie tak jest. Zredukowali. Jestem całkowicie i w cholerę zredukowany.

Przekrzywiła głowę na bok i patrzyła na niego.

— A co to właściwie znaczy... w szpiegowskim biznesie?

— Mniej więcej to samo co w każdym innym. — Nagle pochylił się ku niej z porozumiewawczym uśmiechem. — Kelner się w tobie zakochał — wyszeptał.

Popatrzyła mu w oczy.

— Zmieniasz temat.

— Nie mogę inaczej — przyznał.

— Dlaczego?

— Jest taka zasada: wiesz-ile-musisz.

— I co?

— To, że ty nie musisz wiedzieć.

Clementine zmarszczyła brwi.

— Jeszcze zobaczymy — powiedziała.

Zapadła między nimi cisza. Wreszcie, pozornie ni z tego, ni z owego i pozornie bez związku z czymkolwiek, Dunphy zapytał:

— A... chodzisz jeszcze na zajęcia do King's?

Clementine skinęła głową.

— Uhm — mruknęła.

— Wiesz, myślałem o tym profesorze. Tym, który zginął...ten stary jak-mu-tam... ten Schidlof. Myślisz, że mógłbym porozmawiać z którymś z jego studentów.

— Nie wiem — odpowiedziała Clementine, delektując się oliwką. — Może. Znasz ich nazwiska?

— Nie. Nie mam takiej wiedzy — odrzekł Dunphy. — Skąd mam je znać?

Clem wzruszyła ramionami.

— To ty jesteś cholernym szpiegiem, a nie ja. Myślałam, że CIA wie wszystko.

— Tak, bardzo możliwe... ale w obecnym położeniu nie bardzo mogę zadawać Agencji pytań. Ale... może jest jakaś lista. To znaczy, szkoła musi przechowywać informacje, kto na co chodził.

— Oczywiście, że tak. Lecz ja nie znam nikogo z sekretariatu, a nawet gdybym znała, to obowiązuje ochrona intymności. Nie ujawniliby mi tego. — Przerwała. — Z czego się śmiesz?

— Bo powiedziałaś intymności. Zamiast prywatności.

— I to cię wprawilo w dobry nastrój?

— Tak.

Clementine przewróciła oczami.

— Świetnie! Niewiele ci trzeba do szczęścia, co?

Kelner ustawił półmiski z mussaką, dolmades i hummusem, po czym do kieliszka Dunphy'ego wlał bladożółtego wina, które temu zadziwiająco skojarzyło się z szelakiem. Obydwoje popadli w leniwe milczenie zadowoleni z bycia razem. Nagle Clem podniosła oczy sponad talerza, pochyliła się do przodu i krzyknęła:

— Simon!

— Co?

— Simon!

Dunphy rozejrzał się dookoła.

— Co mam zrobić? Zamknąć oczy? Odwrócić się do tyłu? Co?

— Simon chodził na wykłady z psychologii. To duży wydział, ale... mógł mieć zajęcia z Schidlofem.

— Możesz do niego zadzwonić?

Potrząsnęła głową.

— Nie sądzę, by miał telefon. A ja nie znam jego nazwiska.

Dunphy'emu opadły ramiona.

— To komplikuje sprawę.

— Ale możemy się z nim zobaczyć.

— Gdzie?

— Na bazarze w Camden Lock. Jego rodzice mają jakiś stragan. Armaturę hydrauliczną, stare mundury. Taki miszmasz.

— Przedstawisz mnie? — zapytał.

— Jeśli kupisz mi żakiet Sierżanta Peppera, masz to zagwarantowane.



Niedziela była zimna i w metrze czuło się lodowate powiewy z zewnątrz. Jadąc długimi schodami ruchomymi w górę, Dunphy i Clementine przyłgnęli do siebie, razem stawiając czoło ostrym podmuchom.

— Piekielny ziąb — powiedziała Clem. — Zamarzam. A jeszcze nie jestem na dworze!

Trzymała go mocno obiema rękami za prawe ramię, jakby zamierzał uciekać, i przytupywała nogami, żeby nie zmarzły jej palce stóp.

Była naturalnie piękna, zwracała uwagę jak modelki przemykające od czasu do czasu przez lotniska w Nowym Jorku, Paryżu i Mediolanie. Jej ubiór był dziełem przypadku, bo narzuciła na siebie to, co miała rano pod ręką: znoszoną bawełnianą bluzę (czarną), dżinsy (też czarne i wytarte na kolanach). Miękkie skórzane boty, wywinęte górą, i lekki skórzany żakiet, który ani trochę jej nie grzał. Wiatr rozwiewał jej włosy we wszystkie strony, to zakrywając twarz, to znów odsłaniając. Nie zadała sobie trudu, żeby zrobić makijaż, ale też wcale go nie potrzebowała. Zresztą jej blada cera zaróżowiła się od wiatru. Stojąc obok niej na schodach sunących na powierzchnię pod kątem czterdziestu pięciu stopni, Dunphy wyczuwał ukradkowe spojrzenia mężczyzn.

Wiatr ucichł w momencie, gdy wyszli na zewnątrz i zanurzyli się w tumult i tłok na Camden High Street. Chodnikami przewalała się młoda i nawalona cizba, podekscytowane dzieciaki w skórzanych kurtkach, afrykańscy handlarze, narkomani, metalowcy, yuppie, punki, pijacy, schizofrenicy, turyści oraz mim. Powietrze było zawieszoną zapachów słodkich i kwaśnych — pieczonych kasztanów, przetrwonionego piwa, kielbasek, cebuli i potu. A wszystko to wprawiały w drganie zwalczające się rytmy reggae, rapu i zouku, Yellowmana, Billa Haleya i Pearla Jama. Gdy wmieszani w tłum szli ulicą obok rachitycznych stoisk zawieszonych ubraniami, obłożonych stertami swetrów i tacami z pirackimi nagraniami, Clem z rozognioną twarzą ścisnęła go mocno za rękę.

— To jest jak lato miłości. Tylko że jest zima i mróz. I jak się zdaje, ludzie wyglądają inaczej.

Dunphy odchrząknął.

— Jestem pewien, że masz rację, ale co ty wiesz o lecie miłości. W 1967 nie byłaś nawet proteiną.

— Widziałam film dokumentalny.

Znaleźli Simona w sklepie rodziców, który okazał się otwartym z frontu kramem wśród labiryntu alejek, wnęk i pomieszczeń, które dawno, dawno temu były fragmentem miejskich stajni. Chudy jak tyka dwudziestoparoletni Simon dzielnie znosił zimno w T-shircie z Pink Floydami, dżinsach i doc martensach. Na ramieniu, gdzie powinien być biceps, miał tatuaż z

Betty Boop. W pobliżu grzejnik elektryczny jarzył się jaskrawym oranżem, jaki myśliwi noszą w sezonie polowań na jelenie.

Na widok Clem Simon wystrzelił jak raca.

— Czee-eść! — krzyknął i ruszył ku niej z szeroko rozwartymi ramionami. Objęci kołysali się z boku na bok, jak dla Dunphy'ego zbyt długo. Wreszcie Simon zauważył go i jakby zakłopotany cofnął się o krok.

— Herbaty? Dla ciebie i przyjaciela?

— Nie...

— Oczywiście, że tak! — zawołał i zniknął za zasłoną z frędzlami.

Dunphy popatrzył na Clem.

— O ile pamiętam, mówiłaś, że niezbyt dobrze go znasz.

Clementine potrząsnęła głową.

— Powiedziałam tylko, że nie znam jego nazwiska.

Chwilę później Simon wyszedł zza zasłony, trzymając dwa wyszczerbione i parujące kubki.

— Tetley. To wszystko, co mogę zaproponować. Ale jest gorąca. — Wręczył kubki Dunphy'emu i Clementine i zapadł się w jeden z wielu foteli stojących w pomieszczeniu.

— Więc — powiedział, zacierając ręce z kupiecką chciwością. — Co to ma być? Dobry-jaknowy prysznic? Lekko używany wibrator? Na nic lepszego nie liczcie.

Clem potrząsnęła głową.

— Nie, nie dzisiaj, dzięki. Jacka interesuje ten profesor... ten, którego załatwili.

— Schidlof?

— Właśnie — potwierdziła Clem. — Mówiłam Jackowi, że chodziłeś na jego wykłady, a przynajmniej tak mi się zdaje.

Simon bacznie przyjrzał się Dunphy'emu.

— Jesteś gliniarzem czy jak?

— Nie — odpowiedział Dunphy.

— Przyjaciel rodziny?

Dunphy potrząsnął głową.

— Hm, hm... po prostu przyjaciel Clem.

Simon pokiwał głową.

— Clem ma więcej przyjaciół niż Bill, nie jest tak?

Dunphy się uśmiechnął.

— Przypuszczam, że tak... ale chodziłeś na jego zajęcia, tak?

— Chodziłem. I co z tego?

— Mam nadzieję, że zachowałeś notatki.

— Co? Z zajęć Schidlofa?

— No.

— Mało prawdopodobne. Zresztą nawet gdyby tak było, policja już by je zabrała, nie myślisz?

— Nie wiem. Dlaczego miałyby to zrobić?

— Bo przychodziła. Uczęszczałeś na te zajęcia, miałeś wizytę.

— I policjanci konfiskowali notatki studentów?

— Mówili, że zbierają dowody. „Dowody na co?“, spytałem. „Nie twoja sprawa!“, usłyszałem. To była dobra lekcja praw i wolności akademickich.

— A... czy możesz mi opowiedzieć o jego wykładach? — zapytał Dunphy

— Co?

— O czym były?

Simon spojrział na Clementine, jakby chciał zapytać, kim jest ten facet? Clem wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, nie traktuj go poważnie.

— Nnno... — zaczął Simon — to trochę skomplikowane, nie myślisz?

— Nie wiem. Nie było mnie tam.

— Ja byłem. I to było bardzo skomplikowane.

— Może mógłbyś być bardziej konkretny — zasugerowała Clementine.

Dzieciak wziął głęboki wdech i westchnął.

— No dobrze! — powiedział i zwrócił się do Dunphy'ego.

— Dużo wiesz na temat Junga?

Dunphy potrząsnął głową.

— Niespecjalnie.

— Właśnie, to utrudni nam sprawę. Bo widzisz, to nie był podstawowy kurs. To było seminarium.

— Na temat Junga?

— Nazywało się mapowanie archetypów i było o... — Simon spojrział bezradnie na Clem, która mrugnęła porozumiewawczo, dodając mu otuchy. Z uśmiechem głośno wciągnął powietrze, odchrząknął i zwrócił się znowu do Dunphy'ego.

— No dobrze! — powtórzył. — Konkretnie to było o Jungu. Twórcy psychologii analitycznej. Koledze Freuda. Teraz traktowany jest z pewną dozą podejrzliwości za, jak mówią jego krytycy, nadmierne zainteresowanie ideami volkistowskimi. Inaczej mówiąc, jest podejrzewany o odebranie kilku telefonów za dużo z bunkra. Nie wspominając o fabrykowaniu historii pacjentów. Mógłbym przytoczyć przypadek tak zwanego Solar Phallus Man.

— Kogo?

— Solar Phallus Man.

— A kto to był?

Simon wzruszył ramionami.

— Jakiś świr — powiedział. — Ale nie ma związku z tematem i nie był ważny dla nas. Bo nie studiowaliśmy jego przypadku. Po prostu staram się zarysować ci tło. Bo temat jest szeroki. To znaczy, stary Jung miał mnóstwo pomysłów... na temat religii. Mitu. Alchemii. Synchroniczności.

— Co to jest? — zaciekała się Clem.

Simon zmarszczył brwi, a jego oczy pytały: Jak to wyjaśnić?

— To pogląd, że zbiegi okoliczności niekoniecznie są przypadkowe — wytłumaczył jej Dunphy.

— Bardzo dobrze! — wykrzyknął Simon. — To jest właśnie tak. Synchroniczność jest... dokładnie jak powiedziałaś... teorią ukrytego znaczenia zbiegów okoliczności.

— Czy tym zajmowaliście się na seminarium? — zapytał Dunphy.

— Nie — odpowiedział Simon. — To miała być raczej eksploracja zbiorowej nieświadomości, która... — Dzieciak się zamyślił, jego oddech zawisł w zimnie jak cumulusy. Dunphy już miał przerwać ciszę, kiedy chłopak uniósł palec w górę, podniósł wzrok i zaczął recytować z pamięci: — Która jest... „matrycą... obrazów i snów ucieleśniających”... mam nadzieję, że słuchasz, bo każde słowo jest klejnotem... „ucieleśniających filogenetyczne doświadczenie całej ludzkości, wspólne nam wszystkim, wszędzie”. — Simon zamknął buzię i uśmiechnął się zadowolony.

Dunphy przytaknęła mu głową, ale Clem nie była usatysfakcjonowana.

— Więc, co to jest w końcu? — zapytała.

Simon westchnął, na krótko stracił natchnienie. Po chwili podjął wątek.

— To jest jak Internet, tylko że bez reklam. Albo można powiedzieć chmura idei i obrazów, ale wielkich idei i potężnych obrazów... które mogą ci wszystko popieprzyć... i one są wszędzie i nigdzie, wszystkie naraz. A modem, modem jest podłączony do tyłu twojej głowy. Główna różnica polega na tym, że ty nie podłączasz się do nieświadomości zbiorowej. To ona podłącza się do ciebie.

Clem się uśmiechnęła.

— Tak myślałam — powiedziała. — Zawsze w to wierzyłam. — Tym razem to Dunphy chwycił sens z opóźnieniem. Clem siedziała obok niego w obszarpanym fotelu, ze skrzyżowanymi nogami, pochylona, z głową wtuloną w ramiona w obronie przed chłodem. Rytmicznie kiwała prawą stopą, ze zniecierpliwienia czy zimna albo z obu tych powodów.

— No dobrze, dawaj — odezwała się, zwracając się do Dunphy'ego.

— Co niby?

— Portfel. Obiecałeś mi kurtkę. Miejmy to z głowy.

Dunphy skrzywił się, sięgnął do tylnej kieszeni i wręczył jej swój portfel.

— Za minutkę wracam — poinformowała. — Mam upatrzone miejsce. — Powiedziawszy to, wstała, odwróciła się na pięcie i poszła sobie.

Dunphy i Simon patrzyli za nią, aż zniknęła za rogiem, po czym wrócili do tematu.

— Na czym stanęliśmy? — zapytał Simon.

— „Ona podłącza się do ciebie”.

— I tak jest.

Dunphy dumiał przez chwilę. Miał zmarznięte stopy, palce bez czucia. Odezwał się wreszcie:

— Problem w tym, że nie wiem, jak takie coś może kogokolwiek zabić.

— Trzeba było tam być. Wyobraź sobie, jest ósma rano, słuchasz Schidlofa. Był potencjalnym zabójcą. Niektórzy z nas byli zanzudzeni na śmierć.

Dunphy przyjął ten żart z wątłym uśmiechem i znowu zadał pytanie:

— Ale do czego zmierzał? Mówiłeś, że to było seminarium... seminarium na temat... jaki? Mapa...

— Archetypów. Dokładnie! Tak jak mówiłem. Ale musisz zrozumieć, że Schidlof w to wszystko wierzył. Dla niego to nie była jakaś tam teoria. Nieświadomość... nieświadomość zbiorowa... była tak realna jak ty czy ja. Co znaczyło, że można ją opisać. Albo sporządzić jej mapę... albo ją policzyć, przynajmniej pod względem zawartości.

— Jakiej zawartości?

— Archetypów. Kiedy Schidlof mówił o nieświadomości zbiorowej, mówił o archetypach. Pierwotnych wyobrażeniach, symbolach, obrazach i piktogramach nagromadzonych od czasów najdawniejszych.

— Jaki był sens tego wszystkiego? — zapytał Dunphy.

Simon pomyślał przez chwilę.

— Myślę, że Schidlof próbował udowodnić pewną hipotezę.

— Jaka?

— To tylko moje przypuszczenie.

— Zamieniam się w słuch.

— Pracował nad biografią Junga i najwyraźniej znalazł jakieś papiery. W Szwajcarii. Zawsze jeździł do Szwajcarii na badania. Robić z ludźmi wywiady i...

— Jakie papiery?

— Listy. Coś, czego nikt przedtem nie widział. Powiedział, że jak wyjdzie jego książka, będzie sensacja.

Dunphy zastanowił się nad tym. Po chwili pytał dalej:



— Co według ciebie próbował udowodnić?

Simon zacisnął wargi i skrzywił się.

— Niewiele o tym mówił, ale raz czy dwa coś napomknął.

— Tak?

— Myślał, że ktoś... albo coś... nigdy nie powiedział co. Ale myślał... myślał, że coś manipuluje sprawami.

— Jakimi sprawami?

— Nieświadomością zbiorową.

— Co?

— Uważał, że ktoś przeprogramuje zbiorową nieświadomość, wprowadzając nowe archetypy, ożywiając stare.

— No dobrze, ale jak to można zrobić? — zapytał Dunphy głosem pełnym sceptycyzmu.

Simon wzruszył ramionami.

— Nie wiem, ale gdybyś tego dokonał... to wiesz, mógłbyś przeprogramować gatunek ludzki, prawda? To znaczy, siedziałbyś przy tablicy rozdzielczej. I miałbyś ręce na tylnej części mózgu całej planety! Więc Schidlofowi chodziło o to z tym seminarium, żeby... ale to jest tylko mój pogląd, przypuszczenie... żeby zrobić rejestr, coś w rodzaju katalogu archetypów, i sprawdzić, czy można zidentyfikować jakieś nowe. Albo te, które w naszym odczuciu zostały... ożywione.

— I udało się?

Simon zadziwił go.

— Tak — powiedział — Myślę, że tak.

— Na przykład?

— UFO, oczywiście.

— Oczywiście?

— Tak. Oczywiście, ponieważ Jung napisał o nich książkę jeszcze w latach pięćdziesiątych i już wtedy to stwierdził. Nazwał je „wyłaniającym się nowym archetypem”. I „zwiastunem Mesjasza”. To cytat. I powiedział, że sygnalizują narodziny Nowej Ery. — Simon przerwał i z błyskiem w oku dodał: — A więc to był całkiem dobry trop.

— Co jeszcze?

Chłopak pokiwał głową.

— Rozmawialiśmy o kręgach w zbożu, okaleczaniu bydła, mnóstwie rzeczy... Co jest?

Dunphy potrząsnął głową, w której wszystko mu wirowało.

— Nic — odpowiedział.

— No, a potem profesor został, jak wiesz, załatwiony, gliny zabrały nasze notatki i tyle.

Koniec seminarium.

Dunphy przez chwilę nic nie mówił. W końcu spytał:

— Dlaczego okaleczanie bydła?

Simon parsknął.

— To składanie ofiar ze zwierząt, nie? Stare jak świat. Schidlof powiedział, że ktoś miesza w tyglu. „Ożywiając uśpiony archetyp”.

— Ale dlaczego?

Simon potrząsnął głową.

— Nie wiem. Ale jeżeli wierzyć Jungowi, a uczestnicząc w zajęciach Schidlofa, lepiej było wierzyć, że to wszystko jest powiązane z religią. Powtórne przyjście Mesjasza. Nowa Era.

Takie rzeczy. — Dzieciak rozglądał się przez chwilę i zaczął wstawać.

— Słuchaj, tracę klientów.

— Mam dla ciebie pięćdziesiąt funtów.

Usiadł z powrotem.

— Tak czy inaczej — podjął — to bzdury.

Dunphy przytaknął z oczami utkwionymi w podłogę, próbując zebrać wszystko do kupy. Ostatecznie potrząsnął głową.

— Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę... — zaczął Simon.

— O czym? — spytał Dunphy.

— O śmierci Schidlofa. Gdybym to ja się tym interesował, to zadzwoniłbym do kontroli ruchu powietrznego na pieprzonym Heathrow i zapytał, co oni widzieli.

— Co masz na myśli?

— Mam na myśli ten pieprzony helikopter.

— Jaki helikopter?

— Bezgłośny. Prasa o tym nie donosiła, ale go widziano. Czytałem o tym w Internecie: szukaj alt.rec.mutes. Dzieciak, który znalazł starego Schidlofa, powiedział, że gazety źle pisały: on nie natknął się na profesora. Dzieciak powiedział, że ten wielki cholerny helikopter wisiał w powietrzu nad Inner Temple, ale było tak cicho, że wydawał się nierzeczywisty jak z filmu animowanego. A potem gość wypada przez drzwi i z pluskiem ląduje na trawniku. Ten dzieciak mówił, że on spadł z jakichś pięćdziesięciu stóp.

— O cholera! — zaklął Dunphy.

— Mówię poważnie.

— Wiem, ale...

Simon uśmiechnął się, zobaczywszy Clementine, i pomachał do niej, gdy wchodziła z powrotem do sklepu. Długa niebieska kurtka ze złotymi epoletami sięgała jej do połowy uda. Powyżej piersi miała przypięty sierp i młot z brązu, obok czerwonej kokardki AIDS.

— A wy jeszcze o tym? — zapytała, oddając Dunphy'emu portfel.

Pokręcił głową.

— Nie. Myślę, że już skończyliśmy. O ile mnie to zubożyło? — zapytał, wskazując na kurtkę.

— O sześćdziesiąt funtów — odpowiedziała.

Dunphy odchrząknął, wyjął pięćdziesięciofuntowy banknot z portfela i wręczył go Simonowi.

— Dzięki — powiedział.

— Więc to wszystko? — Chłopak wsunął pieniądze do kieszeni.

— Tak — Dunphy wstał. — To wszystko. Mam gonitwę myśli.

Simon uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Pomogłem?

— Tak — odrzekł Dunphy. — Bardzo pomogłeś. Teraz mam totalnie namieszane w głowie.

## 18.

Nie mógł spać.

Leżał w łóżku obok Clementine i obserwował refleksy świateł samochodów wspinające się po ścianach i prześlizgujące po suficie. Muzyka sączyła się przez okna skądś z dołu, z ulicy — stara piosenka Leonarda Cohena, grana w kółko. A potem, całkiem nagle, nic — cisza uderzająca podobnie jak na morzu odłączenie silnika okrętowego.

Przyturlał się do Clem i lewym ramieniem przyciągnął ją do siebie. Zanurzył twarz w ciepłe jej włosy, leżał przez chwilę nieruchomo — i odturlał się. Huczało mu w głowie od natłoku myśli.

Usiadł, spuścił nogi z łóżka i rozejrzał się. Strumień bladego światła rzucanego z zewnątrz przez latarnię wpływał przez okno, tworząc krąg na zniszczonym czerwonym kilimie. Na książkach leżących na stoliku obok łóżka.

Dunphy zerknął: *Kod Genesis, Strzała czasu, Furgonetka*. Nie zdawał sobie sprawy, że ona tyle czyta.

Wstał i ubierał się powoli i po cichutku w bladym mroku pokoju. Miałby ochotę dłużej pobiegać, ale to nie wchodziło w grę. Nie miał do tego ani butów, ani szortów, ani skarpetek. Ale mógł się przejść. I to będzie lepsze niż siedzenie w ciemności.

Mieszkanie było zbyt małe, aby cokolwiek w nim robić, gdy ona spała. Jeden wysoki pokój z oknami wychodzącymi na Bolton Gardens, tuż za skrzyżowaniem z modną i ruchliwą Old Brompton Road. Było to *pied-a-terre* ciotki Clem, aktorki, starszej pani, która rok wcześniej przeprowadziła się do Los Angeles. Nic nie kosztowało, było w pakiecie z całosezonowym biletem na mecze piłkarskie w Stamford Bridge.

Gdy zamykał za sobą drzwi i szedł w dół po schodach na ulicę, zdawało mu się, że wciąż słyszy oddech śpiącej Clementine. Choć nie wybiła jeszcze piąta, był całkowicie rozbudzony. Matta. Blémont. Roscoe. Schidlof. Ich twarze pojawiały się i znikaly jak reklamy świetlne.

Idąc wzdłuż Cromwell Road w kierunku Thurloe Square, minął Victoria & Albert Museum, potem skręcił w Brompton Road w kierunku Harrodsa. To był ciąg tej samej drogi, ale jej nazwa zmieniała się co parę przecznic, jak gdyby ulica zacierała ślady. Ubawiła go myśl, że pod tym względem on i Cromwell Road mają ze sobą coś wspólnego.

To była wymarzona noc dla kochanków. Ciepły front nadciągał z zachodu, niosąc ze sobą falę mgły, w której rozmywało się światło gwiazd. Powietrze było świeże i energetyzujące. Minawszy Harrodsa, przeszedł przez jezdnię i znalazł się przed Scotch House, gdzie stał przez chwilę pod markizą, gapiąc się w okno. Nie było powodu podejrzewać, że jest śledzony, ale biorąc pod uwagę okoliczności, trudno się było wyzbyć paranoicznych wątpliwości. A więc obserwował w odbiciu szyby świat, jaki miał za plecami. Odwróciwszy się od Scotch House, przeszedł przez ulicę w stronę Hyde Park Hotel i szedł dalej, aż znalazł się w parku.

Powinienem zadzwonić do Maksa, pomyślał. Z budki telefonicznej. Ale nie. Nie ma sensu dzwonić do Maksa, czy widzieć się z nim, dopóki nie odwiedzi banku. Dopóki nie dostanie pieniędzy.

W pewnym sensie i na przekór okolicznościom nie mógł się tego doczekać. On i Clem mogliby spędzić dzień czy dwa w St Helier, ciesząc się sobą, zanim nadejdzie pora, by pojechać do Zurychu.

Szedł przez chwilę wzdłuż Rotten Row, potem przeszedł przez trawę nad brzeg Serpentine.

Po raz pierwszy widział to jezioro jako uczestnik zawodów w biegach przełajowych. Miał wtedy dwadzieścia lat, a lekkoatletyczna drużyna Bates College ten jeden tylko raz, jeśli wierzyć ludzkiej pamięci, była na wyjeździe za granicą. Biegł na milę, kończąc na przyzwoitym czwartym miejscu w rywalizacji z tuzinem innych szkół. Oxford, Haveford, Morehouse, Harvard. Zapomniał, kto tam jeszcze był, ale nie zapomniał swojego czasu: 4.12 i jakieś setne. Najlepszego w życiu.

Mgła unosiła się znad jeziora jak para. To było dwanaście lat temu, pomyślał Dunphy. A ja wciąż biegam.

Zrobiło się teraz jaśniej, jak gdyby noc zaczęła wyglądać słońca. Dunphy powędrował ścieżką, która wyprowadziła go z parku, a potem wracał drogą, którą tu przyszedł, idąc po swoich śladach wzdłuż Brompton Road i przez Cromwell Gardens. Przy stacji metra na Gloucester Road zatrzymał się i wszedł do uczęszczanej przez robotników kafejki na herbatę i gorącą babeczkę. Lokal zaczął się wypełniać okutymi butami, brudnymi dżinsami, a powietrze zrobiło się gęste od dymu z tanich papierosów. To było miejsce ciepłe i kameralne, oddzielone od ulicy zaporowanym oknem. Herbata okazała się gorąca, słodka, wyśmienita i pił ją bez pośpiechu, czytając porzucony egzemplarz „The Sun”. Manchester United był znowu na szczycie, a Fergie... cóż Fergie wysługiwała się firmie Weight Watchers.

Kiedy skończył, wyszedł z kafejki i kontynuował spacer wzdłuż Cromwell Road w kierunku Bolton Gardens. Słońce wznosiło się do linii horyzontu, ulica zaczynała się rozjaśniać i budzić. Mężczyzna w garniturze z kamizelką i meloniku spieszył w stronę metra. Z „Timesem” pod pachą i złożoną parasolką przyczepioną do teczki wyglądał jak zjawa z przeszłości — duch biznesu albo coś takiego.

Pojemniki na śmieci przewracały się i łomotały w pobliskiej alei — znak, że do pracy przystąpili śmieciarze. A potem usłyszał jeszcze jeden dźwięk, którego nie mógł dokładnie rozeznaczyć. Odległe wycie, które stawało się coraz głośniejsze i niższe, aż nagle zorientował się, co to jest — ryk silnika. Źródłem był czarny jaguar, lecz zaledwie Dunphy zdążył zidentyfikować markę, ten przemknął jak strzała, pozostawiając go z otwartymi ustami. Jezus, pomyślał, a gdzie oni, do diabła, jadą... i gdzie są gliniarze, kiedy są potrzebni. Patrzył, jak samochód gwałtownie zwalnia, zbliżając się do Collingham Road. Dał się słyszeć huk, jakby odgłos odległego wystrzału, jaguar zawinął w lewo, aż go zarzuciło, i zniknął.

W Collingham Road skręcał również Dunphy. Wlokąc się w ślad za jaguarem, widział pierwsze promienie poranka uderzające w okna na trzecim piętrze budynku po jego prawej stronie. Do mieszkania Clem było jeszcze pięć minut drogi i kiedy tam dotarł, od razu pojął, że dzieje się coś bardzo złego. Jaguar stał przed jej domem zaparkowany prawie trzy stopy od krawężnika tak nieprawidłowo, jakby go porzucono. Dunphy stał tam przez moment, słuchając tykania stygnącego silnika, potem odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę, skąd przyszedł. Nie miał wątpliwości, że ci z samochodu byli tu po niego. Ale ilu? Dwóch? Trzech? Dwóch. A sądząc po tym, jak gnali i jak zostawili samochód, było oczywiste, że nie przyjechali z nim porozmawiać.

Przyjechali, żeby go dopaść. A w takim razie, co będą robić po stwierdzeniu, że go nie ma w mieszkaniu. Będą czekać, aż wróci? A czekając na niego, wyładują się na Clem? Całkiem możliwe — przecież to nie policja. Policjanci — londyńscy gliniarze — nie jeżdżą XJ12. A więc co zrobią? Skrzywdzą ją? Zgwałcą? Dunphy nie wiedział, co myśleć. Wiedział tylko, że musi coś zrobić, i to szybko, ale co? Mieszkanie było pułapką i bez względu na to, ile będzie rozmyślał, ten fakt się nie zmieni. Będę musiał jednak wejść. Tylko kiedy? I jak?

Gdy wrócił na Cromwell Road, stanął w drzwiach kiosku z gazetami, intensywnie się zastanawiając nad sytuacją. Zapytają Clementine, gdzie on jest, a kiedy ona im odpowie, że nie

wie — a nie wie — spuszcza jej lanie. Zrobią to, bo są do tego zdolni i dlatego, że to im niczym nie grozi. Mogą liczyć, iż ona zmięknie, lecz jeśli nie, to co?

Przyszło mu do głowy, że może wpłynąć na bieg wydarzeń, jeśli zadzwoni. Kupił w kiosku kartę telefoniczną i przeszedł na drugą stronę ulicy do automatu przed Cat & Bells. Tam wsadził kartę w otwór, wystukał numer i słuchał sygnału w jej mieszkaniu.

Jeśli jest sama, będzie to wiedział. Zorientuje się po tonie jej głosu, bez względu na to, co ona powie. A jeśli nie jest sama, też będzie wiedział, ponieważ nie pozwolą jej odebrać telefonu. Nie mogą pozwolić, bo nie wiadomo, co mogłaby powiedzieć czy zrobić. Przecież wystarczy jedno słowo, żeby go ostrzec, albo odpowiednia intonacja czy długa cisza. Jeśli są choć trochę dobrzy w swoim fachu, to tyle wiedzą, a jeśli pracują dla Agencji, jak podejrzewał Dunphy, prawdopodobnie są bardzo dobrzy.

— Halo... tu Clem!

Dunphy aż podskoczył i napięcie spłynęło zeń wzdłuż ramion. Nic jej się nie stało. Była radosna. I nie udawała. Słysząc to było w zabarwieniu głosu.

— Och, dziecino — zaczął — byłem...

— Nie ma mnie w tej chwili w domu albo rozmawiam na drugiej linii, ale jeśli zostawisz swój numer telefonu, oddzwonię zaraz po powrocie.

Cholera. To automatyczna sekretarka. Mięśnie ramion znowu mu się napięły, kiedy czekał na bipnięcie. Gdy je wreszcie usłyszał, dołożył starań, by zabrznieć nonszalancko.

— Cześć, Clem! Tu Jack. Przepraszam, że musiałem wyjść. Posłuchaj... nie będzie mnie przez kilka godzin, jestem w mieście, ale zostań, gdzie jesteś, a obiecuję ci ucztę na śniadanie.

Odwiesił słuchawkę i rozejrzał się. To powinno ich na chwilę powstrzymać, a tej chwili właśnie potrzebował. Czasu, żeby pomyśleć... o tym, jak wyciągnąć ich z mieszkania, co zrobić, żeby oni wyszli do niego. Więcej jeszcze. Żeby nie tylko wyszli do niego, lecz wyszli do niego spanikowani. Dunphy jęknął. To może zająć trochę czasu, pomyślał, bo nie miał żadnego pomysłu.

Skręciwszy w zaułek za Cat & Bells, przeszedł obok wyrzuconej kanapy niszczonej w kupie śmieci wywalonych z pobliskiego pojemnika. Na widok kanapy poczuł zmęczenie, ale nie skusił się, żeby usiąść. Tapicerka była przykryta narzutą w tureckie wzory, tak obrzydliwie brudną, że Dunphy nie mógł zgadnąć, jakiego była koloru. Powinni to spalić, przyszło mu do głowy. I ta myśl go zainspirowała.



Dwadzieścia minut później, z portfelem lżejszym o pięćdziesiąt funtów, Jack szedł Collingham Road, w jednym ręku miał długi pas tkaniny w tureckie wzory, a w drugiej bańkę z benzyną. Skręciwszy w Bolton Gardens, przeszedł przez jezdnię do jaguara i używając bańki jako tarana, rozbił okno od strony kierowcy. Rozgarnął na boki pajęczynę stłuczonego szkła, przechylił się przez okno i sięgając podłogi, pociągnął za uchwyt otwierający wlew paliwa. Potem przeszedł na tył samochodu.

Był dobrze widoczny z mieszkania, ale nic nie mógł na to poradzić. Jeśli właściciele samochodu obserwują ulicę, zobaczą go — ale to mało prawdopodobne. Miało go nie być przez kilka kolejnych godzin. Jednak...

Wepchnął szmatę do baku, pozostawiając luźny koniec, by zwisał do poziomu bruku. Pootwierał drzwi samochodu, spryskał siedzenia benzyną, na koniec wrzucił do środka sam kanister. Serce mu waliło pobudzone oparami benzyny. Poklepując się po kieszeniach, znalazł pudełko zapalek Swans za trzy pence, wyciągnął jedną i już miał ją potrzeć, kiedy usłyszał za

sobą jakiś odgłos, więc się odwrócił.

Spodziewał się strzału w twarz. Spodziewał się mężczyzny w kowbojskim krawacie z bronią w ręku — ale to była kobieta w szlafroku stojąca z tyłu za nim na werandzie; trzymała butelkę mleka w garści i gapiała na niego.

— Czy to pani samochód?

Kobieta powoli potrząsnęła głową.

— W takim razie najlepiej, jak wejdzie pani z powrotem do środka.

Skinęła głową i zrobiła krok w tył, szukając ręką klamki. Namacawszy ją, weszła do domu, cicho zamknęła za sobą drzwi i wtedy krzyknęła — to był ostry, przeciągły krzyk, same samogłoski, bez adresatów. Dunphy odwrócił się plecami do źródła hałasu, potarł zapałkę i pochyliwszy się, przyłożył ją do zwisającej szmaty. Natychmiast się poderwał i ruszył sprintem pod drzwi domu Clementine, zastanawiając się, ile czasu minie, zanim...

Łuuuuuuup! Odgłos przypominał plaśnięcie trzepaczką w dywan, a potem rozległy się trzaski jakby gniecionej celulozoidu i krzyk gdzieś z ulicy. Powietrze zrobiło się nagle bardzo ciepłe.

Mieszkanie Clem było na drugim piętrze wiktoriańskiego bliźniaka z małym gankiem i białymi kolumnami. Ocynkowany pojemnik na śmieci stał przy krawężniku i w biegu Dunphy chwycił jego pokrywę. Pokonując po trzy stopnie naraz, dopadł drzwi frontowych, popchnął je, żeby się otworzyły, cofnął się pod mur i czekał. Teraz samochód stał już cały w płomieniach, dymił i buchał ogniem, a listonosz biegał wte i wewte, wrzeszcząc jak opętany w stronę okien domów. Wyraźnym cockneyem. Oiiii! Oiiii!

Dunphy czekał, podminowany, w koszuli mokrej od potu po wysiłku i uderzeniach adrenaliny. Lada chwila mężczyźni w mieszkaniu zareagują na hałasy, podejda do okna i wtedy...

— KURWA! KURWA! Podpałił w cholerę samochód! — Słowa wystrzeliły w przestrzeń z okna pokoju Clem jak race. Trzy sekundy później na drugim piętrze gwałtownie otworzyły się drzwi i Dunphy usłyszał głośnie tup, tup, tup mężczyzny w pośpiechu zbiegającego ze schodów. A potem kroki doszły go już z dołu i Dunphy, dumny z gotowości co do sekundy, obrócił się na palcach i wykonawszy stuosiemdziesięciostopniowy zamach pokrywą pojemnika, przywalił nią w twarz biegnącego człowieka, który nawet nie zdążył niczego dostrzec. Coś, co wyglądało jak walther, wyfrunęło z ręki mężczyzny, podczas gdy jego stopy oderwały się od podłoża, pedałując w stronę dachu. Był moment, kiedy wydawał się zawieszony w powietrzu, z głową na tym samym poziomie co palce nóg, około trzech stóp nad ziemią, jakby był aktorem w popisie magika. A potem upadł na ganek, płasko i ciężko, i leżał tam w bezgłośnym dygocie. Dobrze, pomyślał Dunphy, to się udało. Schylił się, by podnieść broń (to był walther), i spojrzął na mężczyznę na ziemi. Miał złamany nos i leżał w kałuży krwi, ale jeszcze oddychał. Dunphy go rozpoznał. Londyński ulicznik, z wytatuowanymi nadgarstkami, przemądrzały kurier, który czekał na lotnisku na pana Torbitta, trzymając tabliczkę z jego nazwiskiem. (Co powiedział na koniec? Miłego dnia?!) Dunphy wydłubał z podeszwy swego buta ząb — to był siekacz — i stanął w drzwiach.

— Freddy? Freddy? — Zawodzący głos Jessego Curry'ego płynął z drugiego piętra.

— Tu... na dole — odezwał się Dunphy nagłym szeptem, urwanym nagle, nieprzekonująco imitując cockney.

— To ty, Freddy? Gdzie jesteś?

Dunphy już nie odpowiadał. Bał się, że jeśli powie więcej niż jedno słowo lub dwa, Curry rozpozna go po głosie. Wszedł do holu, ukrył się za schodami i wstrzymał oddech. Gdyby Curry był sprytny, powinien zostać, gdzie jest, pomyślał.

Niestety, nie był i nie został. Z góry dochodziły odgłosy krótkiej przepychanki i głos Clem:

- Auu! Ty kutasie!
- Zamknij się! — warknął Curry.
- Auuu!
- Freddy, człowieku, odezwij się!

Dunphy słyszał klakson straży pożarnej, coraz głośniejszy w miarę zbliżania się do Collingham Road, i przytłumione tym hałasem kroki Curry'ego, który powoli schodził po schodach, popychając przed sobą Clementine. Chwilę później Dunphy ich zobaczył: Curry schodził tuż za nią, trzymając ją lewą ręką za włosy z tyłu głowy i pociągając ku sobie. W tej pozycji z trudem utrzymywała równowagę, ale nie dawał jej upaść. W prawej dłoni trzymał broń wymierzoną w stronę drzwi.

To nie był właściwy sposób robienia takich rzeczy. Dunphy znał się na tym. Jeśli ma się zakładnika, należy przystawić mu lufę do głowy i tak ją trzymać. W przeciwnym razie ktoś, dajmy na to Dunphy, może cię zająć od tyłu (i dokładnie w tym momencie Dunphy tak zrobił) i rąbnąć w głowę — co Dunphy też zrobił, walnąwszy Curry'ego kolbą walthera w wyrostek kości skroniowej, tuż za uchem.

Clem krzyknęła ze zdziwienia, gdy Curry zachwiał się, zakołysał i zatoczył na ścianę, upuszczając broń. Z prawą dłonią przyłożoną za uchem, zgięty wpół, jęczał cicho i żałośnie.

Dunphy odwrócił się do Clementine.

— Nic ci nie jest?

Potrząsnęła głową, ale widział, że kłamie. Lewe oko miała napuchnięte i tę stronę twarzy w siniakach.

— Jeezu — wymamrotał Dunphy.

Curry spojrzał w górę, krzywiąc się z bólu.

— To nie ja — powiedział. — To Freddy. Zapytaj ją.

— Nie pieprz o Freddy. Chcę wiedzieć, jak mnie znalazłeś.

Curry, zaciskając z bólu zęby, wyprostował się.

— Mielśmy naznaczone twoje karty kredytowe.

— Gówna prawda.

— Miałbym w takiej sprawie kłamać? A niby po co?

— Nie wiem.

— Chyba mam wstrząs mózgu.

— Nie obchodzi mnie to. Mów, jak mnie znalazłeś.

— Już ci powiedziałem. Śledziliśmy twoje karty kredytowe. Twoja własna głupota.

Spieprzyłeś...

— Nie używałem kart, Jesse!

— Ona użyła. Kupiła kurtkę.

— Co?

Curry spojrzał na Clementine i zadrwił.

— Ona kupiła kurtkę. W Camden Lock. Oh-My-Darling--Clementine... kupiła kurtkę.

Clem rzuciła się ku niemu, ale Dunphy złapał ją za rękę.

— Chodź — rzekł krótko — zmykamy.

— A co z nim? — zapytała Clem. — Przecież pójdzie za nami.

Dunphy zastanowił się przez chwilę.

— Nie, nie pójdzie — powiedział.

— Dlaczego nie?

— Bo go zastrzełę.

Clem otworzyła szeroko oczy, a Curry zbladł.

— No, no — odezwał się, wpierając się w ścianę.

Dunphy wzruszył ramionami.

— Nic na to nie poradzę. Nie mam wyboru.

— Zwiąż mnie.

— Nie mam sznura.

— Użyj paska, na miłość boską.

Dunphy potrząsnął głową.

— To żaden sposób. Uwolnisz się.

— Nie możesz go tak po prostu zastrzelić — rzekła Clem.

— Dlaczego nie wyjdiesz na zewnątrz? — zasugerował Dunphy.

— Bo go zabijesz!

— Zrobi to! — krzyczał Curry. — Nie wychodź!

Dunphy nie spuszczał Curry'ego z oczu, ale odezwał się do Clem:

— Wyjdź i zobacz, czy droga wolna. Nie skrzywdzę go. Clementine popatrzyła mu w oczy.

— Obiecujesz?

— Na honor skauta.

Clem, acz niechętnie, wymknęła się przez drzwi frontowe na ganek. Gdy zamknęły się za nią, Dunphy zrobił krok w stronę Curry'ego, potem drugi i jeszcze jeden. Nagle czubki ich butów zetknęły się; walther w dłoni Dunphy'ego, ręka opuszczona wzdłuż tułowia.

Curry wciskał się plecami w ścianę. Dunphy zauważył kołnierzyk koszuli nasączony krwią ściekającą z miejsca, w które rąbnął go kolbą.

— To żart — powiedział Curry. — Prawda?

Dunphy potrząsnął głową.

— Znamy się od dawna — ciągnął Curry — od lat.

Dunphy tylko parsknął szyderczo.

— Wiem, czego szukasz — nie rezygnował Curry. — Mógłbym ci powiedzieć rzeczy, o jakich chcesz wiedzieć.

— Wierzę, ale byś kłamał — odparł Dunphy. — A poza tym będzie tu za moment mnóstwo glin... więc to raczej nie najlepsza pora.

— Ale... — oczy Curry'ego zrobiły się okrągłe, gdy Dunphy przyłożył lufę walthera do jego kolana.

— Trzymaj się, to potrwa tylko sekundę.

— Na miłość boską! Jack...

— Przestań skamlać... nie umrzesz od tego.

I wystrzelił.



## 19.

Trzymając się za ręce, biegli wzdłuż Old Brompton Road i co chwila oglądali się przez ramię, desperacko wypatrując taksówki. Samochody policyjne pędziły ulicą z zawrotną szybkością, klaksony wyły. Wreszcie znaleźli taksówkę przed pakistańskim sklepem z tandetnym bagażem podróżnym.

— Victoria Station — rzucił Dunphy, otwierając drzwi. Sekundę później padli na popękane skórzane siedzenia i w pozycjach półleżących wsłuchiwali się w łomotanie własnych serc. Gorące powietrze z poświstem wydobywało się z grzejnika z tyłu siedzenia kierowcy i przypiekało im nogi w kostkach.

Minęła cała minuta, zanim Clem popatrzyła na niego.

— Dokąd jedziemy? — zapytała zduszonym głosem, wciąż w szoku.

Dunphy potrząsnął głową, znacząco wskazując głową na kierowcę.

— Nie mam paszportu — powiedziała Clem.

— O to się nie martw.

Odgrodzeni od świata gęstniejącym tłokiem godziny szczytu jechali w ciszy, a Dunphy robił, co mógł, by ignorować łzy na policzkach dziewczyny. Po jakimś czasie nie był w stanie ich dłużej znieść.

— Posłuchaj — rzucił — nie miałem wyboru.

Nie odwracała wzroku od ruchu ulicznego za szybą.

— A zresztą — kontynuował — to nie było tak...

Oczy kierowcy mignęły we wstecznym lusterku. Dunphy ściszył głos do szeptu.

— On nie wykituje, na miłość boską. To twardy facet.

Clem spojrzała na niego z niewiarą w oczach, po czym odwróciła wzrok.

Dunphy uśmiechnął się ciepło.

— Trochę kitu, laseczka w rękę i będzie z nim dobrze.

Wybuchła płaczem.

Dunphy wywrócił oczami.

— Naprawdę. Gówno mi na tym zależy, ale ani się obejrzysz, kiedy ten sukinsyn będzie znowu kozakiem.

Clementine patrzyła na niego jak na szaleńca.

— A ten drugi? Co z nim? Też będzie okay?

— Trochę pracy dla dentysty i będzie zdrow jak ryba, i będzie robił dalej to, co potrafi najlepiej.

— To znaczy?

— Będzie rozbijał ludziom nosy.

Ani słowo więcej nie padło między nimi aż do dworca Victoria. Dunphy dał kierowcy dziesięć funtów i holując za sobą Clementine, przedzierał się przez tłum na drugą stronę budynku, gdzie złapał kolejną taksówkę do drugiej stacji kolejowej — tym razem do King's Cross. Ruch był większy niż poprzednio, jazda wolniejsza, rozmowy dalej nie nawiązywali.

Dunphy'emu to odpowiadało, bo miał wiele do przemyślenia — a na wyjaśnienia przyjdzie pora później. Przede wszystkim musiał zdobyć gotówkę — i to dużo. A to oznaczało wizytę na Jersey.

Wyjrzał przez okno. Taksówka pełzła wzdłuż Victoria Street, mijając nowy Scotland Yard i

kierując się w stronę Westminster Abbey i Whitehall. Chodnikiem płynęła rzeka biznesmenów, ekspedientek, gliniarzy, urzędasów i turystów poruszających się w ścisku zadziwiająco szybko.

Kłopot w tym, że nie jest możliwe, by Blémont nie był w kontakcie z bankiem. Na pewno zadzwonił tam wiele miesięcy temu. Wyjaśnił sprawę pieniędzy, że tak naprawdę są jego i... właśnie, co było potem? Nic nie było. Bankier wzruszył tylko bezradnie ramionami — jak on się nazywa? Picard, staruszek. Wyraził swój żal i odprowadził Blémonta do drzwi. „Przykro mi, stary, ale obawiam się, że nic się nie da zrobić. Możemy się tylko modlić, żeby ten twój facet się pokazał!”.

I właśnie to Blémont robi — czeka, aż Thornley się pojawi. Szukał go oczywiście wszędzie, ale od początku wie, że jest miejsce, w którym pojawi się na pewno: Banque Privat de St Helier na Jersey. Bo właśnie tam są pieniądze i właśnie o nie w tym wszystkim chodzi, jasne?

Taksówka okrążyła mały placyk, którego nazwy Dunphy nie zauważył, skręciła w lewo w Whitehall, przejechała obok Admiralty i Old War Office. Clem pociągała nosem, ale odsunęła się, gdy Dunphy próbował ją pocieszyć.

No trudno, pomyślał, nie wszystko naraz.

Jersey... Blémont... Francuz nie tkwiłby miesiącami pod bankiem, obserwując wejście. Musiał zapłacić komuś, kto mu da znać, kiedy pojawi się Kerry Thornley. Ale kto to może być? Ktoś, kto pracuje w banku. A więc staruszek Picard, jego sekretarka albo jakiś urzędnik. Prawdopodobnie jednak nie sam Picard: jego biznes opierał się na dyskrecji.

Taksówka minęła Charing Cross i jechała ulicą Strand w stronę Inner Temple. Przez krótką chwilę Dunphy'ego kusilo, żeby zatrzymać auto i popatrzeć na miejsce, od którego wszystko się zaczęło. Miejsce, gdzie upuszczono Schidlofa — a przynajmniej środkową część ciała Schidlofa. Ale taksówka skręciła przed Inner Temple, na północ, i jechała teraz ulicą Kingsway w stronę Bloomsbury i British Museum.

Jeżeli przekupiony został urzędnik, rozważał dalej Dunphy, to musiał dostać nazwisko kogoś na wyspie, do kogo ma dzwonić. Ktokolwiek to jest, poinformuje Blémonta o poczynaniach Thornleya i już nie spuści z niego oka. W końcu pojawi się sam Blémont i wtedy zrobi się nieprzyjemnie.

A co, jeśli w zмовie jest Picard? Co, jeśli Blémont urobił samego staruszka? Co wtedy?

Dunphy zastanowił się nad tym. W takim wypadku, ciągnął myśl, stary będzie usiłował mnie tam zatrzymać. Być może aż do momentu, kiedy Blémont będzie mógł przyjechać osobiście. Dunphy stękał cicho, jakby podczas jazdy rowerem musiał nagle zacząć pedałowac pod górę.

— Co jest?

Odwrócił się do niej.

— Po prostu myślałem — odrzekł. — Kiedy dotrzemy do King's Cross, muszę zadzwonić.

Odwróciła głowę. Mijali właśnie szereg szykownych sklepów z meblami na Tottenham Court Road.

Gdyby Picard próbował grać na zwłokę, prawdopodobnie wymyśliłby wymówkę, że nie ma pod ręką dość gotówki, by zamknąć rachunek. I w gruncie rzeczy nie byłoby to takie niewiarygodne: Banque Privat, jak wskazywała nazwa, to bank prywatny, a nie komercyjny. Nie miał kas ani bankomatów, nie realizował czeków dla zwykłych zjadaczy chleba. No i jeszcze istotniejsze było to, że kwota, jaką Dunphy chciał podjąć, to naprawdę dużo pieniędzy: prawie trzysta tysięcy funtów — około pół miliona dolarów — utarg z przekreślonych akcji IBM. Cała sztuka miała więc polegać na tym, żeby zyskać pewność, iż kiedy dotrze do banku, pieniądze będą na niego czekały (a Blémont nie).

Gdy taksówka podjechała pod King's Cross, Dunphy dał Clem garść banknotów i powiedział jej, żeby kupiła dwa bilety do Southend-on-Sea.

— Gdzie będziesz? — spytała podejrzliwie.

— Tam — powiedział Dunphy, wskazując miejsce gestem. — Przy telefonie.

Chwilę zajęło mu zdobycie numeru Banque Privat, ale kiedy już go miał, z połączeniem nie było problemu.

Kobieta, która odebrała, była profesjonalnie rzeczowa. Powiedziała, że pan Picard jest na spotkaniu i nie będzie osiągalny aż do popołudnia. Może ona mogłaby w czymś pomóc?

— O tak, mam nadzieję — powiedział Dunphy z południowym akcentem. — Jestem Taylor Brooks, z Crozet, Wirginia.

— Tak?

— Jak się pani ma?

— Dziękuję, dobrze.

— Bardzo się cieszę, słysząc to, szczególnie że wpadnę jutro z wizytą. To znaczy człowiek, dla którego pracuję, powiedział, że mam wcześniej zadzwonić, uprzedzić.

— Rozumiem. A kto to jest?

Dunphy zachichotał.

— Proszę pani, to nie jest coś, o czym rozmawia się przez telefon... biorąc pod uwagę, że szef lubi dyskrecję. Ale mamy u was kilka rachunków. Jak wiem, zostały założone przez pana Thawnleya.

Cisza.

— Nie miałem od dłuższego czasu wieści od tego gościa, ale... chodzi o to... że będę robił wypłatę. A Gruba Ryba, to znaczy mój boss, myśli, że trzeba wcześniej zadzwonić, bo o dużą sumę chodzi.

— To bardzo uprzejmie z jego strony.

— Dziękuję pani, powtórzę mu to. Bo naprawdę gonimy jak pies z dwoma kutasami...

— Słucham?

— Mówiłem, że jesteśmy zagonieni jak pies z dwoma kutasami. To takie nasze powiedzenie znaczące, że jesteśmy naprawdę zajęci. Tak czy inaczej, jak wspomniałem, będę potrzebował trzystu tysięcy funtów...

— O Boże...

— ...i byłbym wdzięczny, gdyby to było gotowe, jak do was dojadę. Setkami, jeśli macie, pięćdziesiątkami, jeśli nie.

— Tak, dobrze... pan mówił, że nazywa się... Taylor?

— Nie, proszę pani. Powiedziałem, że jestem Brooks. Taylor to moje imię.

— Przepraszam.

— Nie musi pani przeproszać. To mnie nieraz spotyka.

— A jakie konto...

— O tym nie musimy mówić teraz, wystarczy powtórzyć panu Picardowi, że dzwoniłem i że chodzi o konta Crozet z Wirginii, on będzie dokładnie wiedział, o kogo chodzi.

— Rozumiem.

— No i chwała Panu! To wszystko, co miałem do powiedzenia. Mały anonsik. Nie mogę doczekać się jutra, jak się zobaczymy. Z samutkiego rana.

To powiedziawszy, rozłączył się.

— A kto to był? — zapytała Clem, zaskakując go w momencie, gdy odwracał się od telefonu.

— Mój bank — odpowiedział, biorąc z jej ręki jeden z biletów. — Jezu, Clem, przestraszyłaś mnie, przysięgam, że kupię ci dzwoneczek.

— Nie o to pytam. Kim ty niby miałaś być? Jakbym słyszała kogoś z tego starego serialu telewizyjnego. *Diukowie Hazzardu!*

— Dzięki — powiedział Dunphy sucho. — Staram się, jak mogę. A skąd odchodzi pociąg?  
— Tor siedemnasty. Mamy około czterech minut.

Przyglądała mu się dziwnie, jak gdyby właśnie zaczynała zdawać sobie sprawę, że Dunphy reprezentował sobą więcej, niżby sobie życzyła.

Szli szybko przez zatłoczoną stację, spiesząc się, ale nie biegnąc. Za to na peronie puścili się klusem do czoła stojącego przy torze siedemrastym pociągu, gdzie czekał ostatni z wagonów pierwszej klasy. Poza parą nienagannie ubranych starszych ludzi, którzy walczyli z torbami pełnymi zakupów, i młodym człowiekiem głośno rozmawiającym przez telefon komórkowy w wagonie nie było nikogo więcej.

Dunphy opadł na siedzenie blisko wejścia i zamknął oczy. Myślał o Banque Privat. Sekretarka czy ktokolwiek to był powie staremu Picardowi o telefonie, który właśnie odebrała. Picard natychmiast będzie wiedział, co kryje się pod hasłem Crozet.

Były to konta, które Dunphy założył dla wielebnego Jamesa MacLeoda, krzepkiego kaznodziei, który za swą radiową i telewizyjną posługę duszpasterską wyciągał od zachwyconych wielbicieli, na rzecz swego kościoła o nazwie Second Baptist Primitive Church, około pięćdziesięciu tysięcy dolarów tygodniowo na czysto w gotówce i czekach nadsyłanych pocztą. Czeki i około dziesięciu procent gotówki były prawidłowo deklarowane i publicznie rozliczane. Pozostałe dziewięćdziesiąt procent było szmuglowane za granicę na konta MacLeoda w Banque Privat.

Dunphy nie zamierzał (w gruncie rzeczy nie miał takich możliwości) ruszać tych pieniędzy. Nie był już sygnatariuszem żadnego z tych kont, a wspomniał o nich tylko dlatego, by mieć pewność, że Picard będzie miał pod ręką wystarczającą kwotę, kiedy bez uprzedzenia pojawi się Merry Kerry.

Pociąg szarpnął. Dunphy otworzył oczy.

— Z tobą wszystko okay? — zapytał.

Clem potrząsnęła głową.

— Nie, nie jest okay. Nie wiem, co się dzieje... ani kim naprawdę jesteś... ani o co w tym wszystkim chodzi. To nie w porządku. Zwłaszcza że to mnie najprawdopodobniej dopadną i zabiją.

Dunphy, zakłopotany, poprawił się na siedzeniu.

— Nie, nie zabiją cię — powiedział. — Ale... to jest trochę skomplikowane. „

Wydała z siebie cichy pomruk i odwróciła się od niego.

— No dobrze! Przepraszam. To jest... — ściszył głos. — Tylko się nie wściekaj na mnie. — Zastanawiał się przez moment, a potem włączył się w temat. — Pamiętasz, co mówiłem któregoś dnia? Wspomniałem o takiej zasadzie wiesz-ile-musisz. I powiedziałem, że ty nie musisz wiedzieć, ale jak się okazało, musiałaś. Myślałem, że im mniej będziesz wiedziała, tym będzie dla ciebie bezpieczniej... — Przerwał, a potem dodał: — Mój błąd — i znowu przerwał, niepewny, jak to rozegrać. Wreszcie poszedł na całość. — Chodzi o to, że coś

spieprzyłem. Nie da się tego teraz odwrócić i jesteśmy w niezłych kłopotach. Oboje. — Westchnął. — Masz papierosa?

Clem zamrugwała.

— Przecież nie palisz.

— Myślę sobie, żeby znowu zacząć. Bo co mi teraz zależy? — Widząc, że jej tym nie rozbawił, szybko wrócił do tematu. — W każdym razie tak to wygląda. Kiedy powiedziałem ci, że opuściłem Agencję, kiedy powiedziałem, że jestem...

— Zredukowany.

— Właśnie... kiedy powiedziałem, że jestem zredukowany... to było raczej

niedopowiedzenie.

Jego piękna dziewczyna obrzuciła go lekko zdumionym spojrzeniem.

— A co to znaczy?

— To znaczy, że choć prawdą jest, że nie pracuję już dla Agencji, to kryje się za tym coś więcej.

— Czyli co?

— Czyli to, co widziałaś. Szukają mnie. I są rozjuszeni.

— Kto?

— Ludzie, dla których pracowałem. Widzisz, co się dzieje... namierzają moje karty kredytowe, próbując się dowiedzieć, gdzie jestem. Oczywiście wiedziałem, że będą to robić, więc ich nie używałem. Tylko wtedy, kiedy poszłaś kupować tę kurtkę, zapomniałem o tym. Bo słuchałem Simona i...

Potrząsnęła niecierpliwie głową.

— Co ty zrobiłeś? — zapytała, akcentując każde słowo, jakby był głuchy i musiał czytać z ust. — Co ty im zrobiłeś, że są na ciebie tacy wściekli?

Dunphy machnął ręką na to pytanie.

— A jakie to ma znaczenie? Kłopot w tym...

— Chyba nie zdefraudowałeś pieniędzy?! — spytała bardziej przejęta niż przerażona. — Nie jesteś defraudantem?!

Rozśmieszyła go jej ekscytacja.

— To nie były pieniądze — powiedział. — Tu chodziło raczej o... informacje. No właśnie, jakbym zdefraudował informacje. — Ciem zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc. — Zrobiłem się ciekawy — kontynuował Dunphy. — Chodziło mi o Schid-lofa. A teraz... — nie mógł się zebrać, żeby skończyć zdanie. To by zabrzmiało nazbyt melodramatycznie.

Ciem jednak nie odpuściła.

— Teraz co? — zapytała.

Pociąg szarpnął po raz drugi i ruszył.

— Wiesz — kontynuował — teraz oni chcą mnie zabić. To znaczy, nawet idiota to zauważy.

Siedziała przez chwilę cicho, a potem zapytała:

— Jak nas znaleźli?

— Tak jak ci mówiłem, śledzili transakcje. Trzymałem jedną z moich kart, żeby wyjąć pieniądze z bankomatu, a później zapomniałem ją wyrzucić. Potem dałem ci portfel w Camden Lock, a ty użyłaś karty, żeby zapłacić za kurtkę. A wtedy ludzie od kart kredytowych zadzwonili do Langley.

I powiedzieli, że był ruch na jednym z kont, które mieli obserwować.

Potrząsnęła głową.

— Nie zrobiliby tego — orzekła zdecydowanie.

— Kto by nie zrobił?

— Visa. American Express

— Dlaczego nie?

— Bo to byłoby naruszenie prywatności!

Dunphy patrzył na nią z otwartą buzią. Wreszcie powiedział:

— Masz rację. Ale ze mnie cynik. Bóg wie, co mi chodzi po głowie.

— A tak poza tym... kto to jest Langley?

— To miejsce, nie osoba. Pod Waszyngtonem. I jeśli możesz powstrzymać się od wyrażania niewiary, choć na minutę, skończę opowiadać, co się stało. Kiedy ludzie od kart kredytowych

zadzwonili do Langley, z Langley zadzwonili do ambasady w Londynie...

— Ale skąd ty to wiesz? Zmyślasz wszystko na poczekaniu.

— Niczego nie zmyślam. Tak się te rzeczy załatwia.

— Skąd wiesz?

— Bo robiłem to!

— Zabijałeś ludzi? — była wstrząśnięta.

Dunphy potrząsnął głową.

— Nie! Namierzałem ich.

— Ale dlaczego miałbyś to robić?

— Nie wiem. Jest mnóstwo powodów. Co za różnica? Chodzi o to, że jakieś dziesięć minut po telefonie do ambasady dwóch facetów...

— Jakich facetów?

— Wiadomo, tych tam. Dwóch wsiada do samochodu...

— Jaguara.

— Tak. Wsiadają do ja-gu-a-ra i jadą nim do Camden Lock. Gdzie szukają tego sklepu. A kiedy go znajdują, przeglądają dowody kasowe z całego dnia, aż natrafiają na transakcję Amex na sześćdziesiąt dolarów. A kiedy już ją mają, pytają faceta ze sklepu, czy pamięta tę sprzedaż. — Dunphy złapał oddech. — A on najwyraźniej pamiętał. Wcale się nie dziwię. Ciebie się tak łatwo nie zapomina.

Clementine wyglądała na załamana.

— To był Jeffrey. Przyjaciół Simona.

— A więc to ktoś, kogo znasz.

Wzruszyła ramionami.

— Mówimy sobie cześć. Kiedyś jechaliśmy razem taksówką.

I powiedział mi, że ma te kurtki. — Zamilkła na chwilę i odwróciła się do niego plecami. — Dlaczego oni ścigają ciebie? Musiałeś coś im zrobić.

Dunphy rozłożył ręce.

— Nic takiego. To znaczy zadawałem mnóstwo pytań i... oczywiście, to były niewłaściwe pytania albo może to były właściwe pytania, ale... nie wiem, co ci powiedzieć. To nie jest do końca jasne.

— Ktoś próbuje cię zabić, a ty nie wiesz dlaczego?

Jej sarkazm zezłościł go.

— Staram się znaleźć odpowiedź, może nie? To znaczy...

przecież nie jest tak, że się nad tym nie zastanawiam! Spróbuj zrozumieć, że to wszystko właśnie przez moją ciekawość.

Obruszyła się na ostry ton jego głosu. Potem obojętnym tonem spytała:

— Dokąd jedziemy?

Dunphy wyrzwał przez okno na zimowy krajobraz.

— Nie wiem — odrzekł — ale... ten pociąg...? Wydaje mi się, jakby zaczynał staczać się w przepaść.



Lotnisko w Southend-on-Sea było wystarczająco obskurne, żeby Dumphy nabrał pewności, iż nikt nie będzie ich tu szukał. Przynajmniej kilka godzin zajmie Agencji uporanie się ze skutkami niefortunnej akcji Curry'ego i sfabrykowanie powodu dla MI-5, by umieścili Dunphy'ego w kartotece osób poszukiwanych. Do tego czasu on i Clem będą już lecieli liniami

British Midland do St Helier.

Do stolicy Jersey, największej z Wysp Normandzkich. Wyspy te, terytorium zależne od Wielkiej Brytanii, zaledwie dwanaście mil od brzegów Francji, były feudalnym anachronizmem — dwujęzycznym rajem podatkowym z większą liczbą zarejestrowanych firm niż ludności. Znana z łagodnego klimatu Jersey stała się jednym z preferowanych miejsc lokowania rachunków bankowych przez spółkę (niestety, już nieistniejącą) Anglo-irlandzkie Doradztwo Biznesowe i jej właściciela K. Thornleya.

I dlatego Dunphy zdecydował się zmienić dotychczasową metę, gdzie był znany dyrekcji pod swoim pseudonimem, na ekskluzywne Longueville Manor.

Ta edwardiańska góra granitu i dachówek, pokryta bluszczem, była usytuowana w prywatnym lesie w odległości kilku mil od stolicy. Kiedy taksówka wjeżdżała na kolisty podjazd, Clem orzekła, że hotel szarzejący w zimowej mgle wygląda koszmarnie.

Jednakże wewnątrz wilgoć kanału La Manche ustępowała miejsca starym gobelinom, światłu świec i buzującemu kominkowi.

— Czy potrzebuje pan pomocy przy bagażu, panie...? — Recepcjonista zerknął na kartę meldunkową.

— Dunphy. Jack Dunphy. Nie, dziękujemy. Te cholerne linie lotnicze zgubiły go na trasie ze Stanów.

Recepcjonista zrobił współczującą minę.

— O rety... ale mam nadzieję, że się znajdzie. Zawsze się znajduje. — Szeroki uśmiech.

Dunphy chrząknął.

— Tak, tylko teraz wygląda na to, że jest pretekst do wielkich zakupów.

Clem huśtała się na piętach w tył i w przód, demonstrując radość, jak gdyby reżyser krzyknął do niej: A teraz pełny uśmiech, kochanie!

— Chyba macie tutaj sklepy — zapytał Dunphy — a może tylko banki?

Recepcjonista uśmiechnął się lekko.

— Nie, nie tylko, proszę pana. Obawiam się, że sklepy też mamy.

Obydwaj panowie zachichotali jak z dobrego żartu i Dunphy dostał do ręki zamiast klucza plastikowy chip do pokoju.

— Prosto tym korytarzem, proszę pana — powiedział recepcjonista i zadowolony z siebie zatarł ręce, odprowadzając wzrokiem parę Amerykanów oddalających się w stronę apartamentu.

Pokój był duży i bardziej w stylu Ralpa Laurena niż Laury Ashley, z brzoźowymi kłodami strzelającymi w kominku. Na ścianach wisiały w ciemnych ramach sceny z polowań, koło łóżka rozkwitała czara pełna świeżych kwiatów.

— Byłeś już tutaj? — spytała Clem zanurzona w aksamitnej kanapie i zapatrzona w sufit.

— Tutaj nie — odparł Dunphy, przygotowując im po drinku z minibaru. — Ale na Jersey tak.

— Tu jest bardzo ładnie.

— Uhm.

Potrząsnął szklanką z whisky Laphroaig, aż płyn zawirował, i podał ją Clem. Potem usiadł na podłodze obok kanapy i patrząc na kominek, sączył swojego drinka.

— Tylko że nie możemy zostać tu długo. — Czuł na plecach jej gniewne spojrzenie. — To nie byłoby bezpieczne. Będą nas szukać.

— Na Jersey?

— Wszędzie.

— Więc dlaczego po prostu nie pójdziemy na policję?

Dunphy westchnął.

— Bo policja uważa, że miałem coś wspólnego z tym... co się stało z Schidlofem. I być

może, pośrednio, miałem. Fakt, że to ja zakładałem mu pluskwę.

— Co robiłeś?

— Nagrywałem jego rozmowy telefoniczne. A potem został zabity.

Przez chwilę nic nie mówiła.

— Dlaczego podsłuchiwałeś...

— Nie podsłuchiwałem. Nagrywałem rozmowy.

— Dlaczego?

— Nie wiem — odpowiedział Dunphy. — Nie powiedziano mi.

— Nie powiedziano ci?

— To była moja praca. Robiłem, co mi kazali.

Odezwała się po chwili milczenia:

— W dalszym ciągu uważam, że policja...

Dunphy zbył ten pomysł energicznym machnięciem ręki.

— Nie. Jeśli pójdziemy na policję, wda się w to ambasada, a ta zaraz poinformuje Brytyjczyków, że to „sprawa bezpieczeństwa państwa”. A wtedy nie będzie dobrze.

— Dlaczego?

— Bo gdy się tak stanie, znajdę się w pierwszym samolocie, który leci za ocean, zawinięty w dywan. — Pociągnął kolejny łyk whisky, delektując się jej ciepłem na podniebieniu. — Tyle jeśli chodzi o mnie. Nie wiem, co stanie się z tobą. Wpadniesz do jakiejś urzędniczej szafy.

— Co zrobisz?

— Wpadniesz do szafy. Może być dobrze albo źle, to zależy...

— Od czego?

— Od tego, jak głęboka będzie ta szafa.

Nastąpiła długa cisza. Wreszcie Clem zapytała:

— To co robimy?

Dunphy odwrócił się do niej.

— Musimy postarać się o paszport dla ciebie.

— Mam paszport. W domu. Mogłabym powiedzieć, że go zgubiłam i...

Potrząsnął głową.

— Nie. Potrzebujemy dokumentu na inne nazwisko.

— Jakie nazwisko? — zapytała.

— Nie wiem. Jak ci się spodoba.

— A może być Veroushka?

Dunphy się zastanowił.

— Chyba tak... ale kto to, do diabła, jest Veroushka? Ramiona Clem uniosły się i opadły.

— Po prostu imię, które mi się podoba.

— Dobrze, niech będzie Veroushka.

— I muszę mieć nazwisko.

— Nie ma problemu. Są ich miliony. Windsong jest zajęte, ale może Stankovicz? Albo

Zipwitz?

— Raczej nie.

— Dlaczego nie? Veroushka Zipwitz. To ładnie brzmi. Uśmiechnęła się.

— Niech będzie Bell. Jedno *e*, dwa *l*.

— Dobrze.

— Tak nazywała się moja babcia.

— Nie ma problemu. Veroushka Bell. Mnie się podoba. Trzepnęła go w ramię.

— Mówię serio — powiedział. — Jest świetne.



— No dobrze, skoro mam już imię i nazwisko, jak zamierzasz wyrobić mi paszport?

— Bez problemu. Mogę to zrobić w Zurychu.

— Z pewnością. Ale nie jesteśmy w Zurychu.

— Prraaawda — zaciągnął i wstał. — I tu zaczynają się kłopoty.

— Z czym?

Nie odpowiedział jej od razu, tylko wyjął kolejną miniaturkę z minibarku.

— Dolać?

— Z czym są kłopoty? — nie ustępowała.

— Z tym, że musisz wrócić do Anglii, ale nie do swojego mieszkania. — Nagle na jej twarzy pojawiło się przerażenie, więc szybko mówił dalej: — Możesz zatrzymać się gdzieś na kilka dni? Dopóki nie zdobędę ci paszportu?

— Nie.

— Clem...

— Nie mogę!

— Możesz. Musisz. Daj spokój, kochanie... to jedyny sposób.

Patrzyła na niego z mieszaniną arogancji i żalu — jak dziecko oszukane przez dorosłego. Drżała jej dolna warga, pomarszczyło się czoło. Widok byłby komiczny, gdyby nie to, że chwycił za serce.

W końcu skinęła głową.

— Zrobimy zdjęcia do twojego paszportu — powiedział Dunphy — i zjemy bardzo dobry obiad. Rano zawiozę cię do portu. Możesz się zabrać wodolotem do Southend... podróżowałaś tak kiedyś? — Potrząsnęła głową, łzy leciały jej ciurkiem. — Spodoba ci się. To bardzo ekscytujące. Jakby się siedziało wewnątrz odkurzacza.

Zachichotała mimo woli.

— A ty?

— Ja będę w banku. A potem na statku do Francji i w pociągu do Zurychu. W Zurychu jest taki jeden hotel, nazywa się Zum Storchen. Dokładnie w środku miasta, więc znajdziesz go bez problemu. Ale muszę mieć twój adres, żebym mógł wysłać ci paszport.

— Myślę, że będę mogła zatrzymać się u koleżanki — powiedziała Clem. — Ma domek niedaleko Oksfordu. — Zapisała adres na skrawku papieru i wręczyła mu.

— Wypatruj furgonetki kurierskiej FedEx, okay?

Skinęła głową

— Ale nie zostawisz mnie tam? — spytała.

Dunphy potrząsnął głową

— Nie. Po raz drugi tego nie zrobię.



Ranek był jasny i wietrzny, delikatne soczewkowate obłoczki unosiły się nad białymi grzywami fal w porcie St Helier. Dunphy kupił bilet na wodolot i czekał z Clementine aż do jej odjazdu.

— Zadzwoń do ciebie ze Szwajcarii — powiedział, trzymając ją w ramionach.

— Nie zgubisz numeru?

— Nie.

— Byłoby źle, ona ma zastrzeżony telefon...

— Zapamiętałem go — powiedział, czując, jak drgnęła na dźwięk dzwonka sygnalizującego odjazd. — I nie zapomnij...

— Wiem, mam płacić za wszystko gotówką. Nie używać telefonu. I nie rozmawiać z obcymi.

Pocałował ją delikatnie.

— I co jeszcze?

Pomyślała chwilę, potem potrząsnęła głową.

— Nie pamiętam.

— Rozglądaj się na boki...



Banque Privat de St Helier znajdował się w trzykondygnacyjnym budynku na Poonah Road w odległości jednej przecznicy od Parade Garden. Błyszcząca mosiężna tabliczka w niszy obok drzwi wejściowych informowała o budynku i najemcy J. Picardzie. Wychodzącego z taksówki Dunphy'ego doleciał zapach chmielu z pobliskiego browaru.

W ciągu tych wielu lat to była jego druga wizyta w tym banku. Charakter pracy, jego byłej pracy, wymagał nawiązania jak największej liczby kontaktów z zagranicznymi bankami i „twórczą księgowością”. W związku z tym dążył do rozproszenia układów biznesowych i na samej wyspie Jersey otworzył blisko pięćdziesiąt kont w sześciu czy siedmiu bankach.

Julesa Picarda spotkał tylko raz. Było to dwa lata temu, kiedy to przedstawiając się jako nowy klient, zyskał w jego oczach wiarogodność dzięki dużej wpłacie gotówkowej i listowi polecającemu od prawnika z Hebryd Zewnętrznych.

Pokonując kolejne stopnie prowadzące do imponujących dębowych drzwi banku, Dunphy miał przed oczami obraz Picarda, dyszącego staruszka, który wspinał się po schodach do swojego biura z takim wysiłkiem, że Dunphy obawiał się, czy bankier nie dostanie na miejscu zawału.

— W czym mogę pomóc?

Słowa zatrzęszczały z domofonu obok drzwi. Dunphy podszedł i powiedział z miękkim irlandzkim akcentem:

— Pan Thornley do pana Picarda.

Przez dłuższą chwilę, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność, nie było odpowiedzi. Atakowany przez chłód Dunphy zrobił krok w tył i zaczął się rozglądać. Kupa zachodu z prowadzeniem takiego banku, pomyślał, dostrzegłszy kamery przemysłowe pod okapem.

— A więc poczekam tu sobie na zewnątrz — wygłosił, uśmiechając się do najbliższej kamery. — Nie ma pośpiechu.

Zaraz po tym drzwi otworzyły się bezgłośnie i ukazała się w nich starsza kobieta, której wytworność kłóciła się z nieprawdopodobnymi wymiarami. Według oceny Dunphy'ego miała chyba sześć stóp wzrostu i posturę wioślارza — co nie jest typowe dla kobiety około sześćdziesiątki.

— Czy pan Picard spodziewa się pana?

To była kobieta, z którą rozmawiał poprzedniego dnia przez telefon.

— Nie, chyba że jest jasnowidzem — odparł Dunphy.

Subtelny uśmiech zagościł na twarzy przewodniczki, która poprowadziła go wąskim korytarzem zawieszonym orientalnymi obrazami. Elegancka, w czarnym spodniem, stalowoniebieskie włosy miała spięte w klasyczny kok.

— Zachce pan usiąść — zasugerowała, wprowadzając Dunphy'ego do jasno oświetlonego pokoju z oknami na zwa-rzony mrozem ogród. — Powiem mu, że jest pan tutaj.

Dunphy zgodnie z sugestią siadł na skórzanej kanapie, krzyżując nogi. Wkrótce szcękneły drzwi i wszedł wysoki mężczyzna w marynarce w pepitkę i spodniach zaprasowanych w tak ostre kanty, że aż wydawały się niebezpieczne.

— Pan Thornley! — ogłosił.

— We własnej osobie — potwierdził Dunphy, podnosząc się i podając rękę. — Ale spodziewałem się spotkać pana Picarda.

— A więc nie rozczaruje się pan. Ja jestem Picard. I miło mi pana poznać. Wiele o panu słyszałem Dunphy rzucił mu pytające spojrzenie.

— Lewis Picard — oświadczył bankier. — Przez w. — Szeroki uśmiech.

Dunphy zastanowił się chwilę i powiedział:

— Tak, ogromnie się cieszę, ale..

— Spodziewał się pan spotkać z Julesem. Moim ojcem!

— Właśnie.

Mężczyzna spojrzał na niego smutno.

— Niestety nie żyje... zatem to niemożliwe. Ale może ja mógłbym pomóc?

Swobodne obejście młodego człowieka dekoncentrowało Dunphy'ego, tak że z trudem pamiętał o irlandzkim akcencie.

— No cóż, myślę, że tak — powiedział — to znaczy na pewno tak... ale, Boże mój, człowieku, jak to się stało?

— Chodzi panu o starego Julesa?

— Tak.

— To nie było wielkie zaskoczenie. Zawał serca na schodach. Sturlał się na sam dół. Nie żył, zanim dotknął ziemi.

Dunphy wzdrygnął się nerwowo.

— Biedaczysko.

— Uhm. Szkoda. Wielka strata.

— A kiedy to się stało?

— Prawie rok temu.

— Ach tak.

Zapadła cisza, którą w końcu przerwał Lewis Picard.

— Rozumiem, że nie był pan bliskim znajomym ojca?

— Nie — odpowiedział Dunphy. — Bliskim nie.

— A więc nie ma co pograżać się w żalu po takim czasie. Co mogę dla pana zrobić?

Dunphy odchrząknął.

— Muszę zrobić małą wypłatę.

Picard *fils* wyciągnął miękki notes policyjny z wewnętrznej kieszeni marynarki. Z tego samego miejsca wyczarował pióro wieczne bez skuwki — stalówka zawisała nad papierem.

— Oczywiście. Po to tutaj jesteśmy. Z jakiego to będzie konta?

— Sirocco Services.

Picard zaczął pisać nazwę w notatniku, potem się zawahał — jakby nagle coś mu się przypomniało. Coś nieprzyjemnego? Powoli podniósł wzrok i uśmiechnął się niewyraźnie.

— Sirocco?

— Właśnie tak.

— Rozumiem. A ile będzie pan wypłacał?

— Całość.

Picard kiwnął głową w zamyśleniu.

— O ile pamiętam, to raczej dość duża suma.

— Około trzystu tysięcy funtów... trochę mniej. — Dunphy poklepał teczkę dyplomatkę, którą kupił w drodze do banku. — Ale myślę, że to w porządku.

— Hmm — zadumał się Picard i nagle zaczął pukać swoim drogim piórem w trzymany w ręku notatnik.

— Jakiś problem? — spytał Dunphy.

— Nie — odrzekł Picard, lecz popatrzył na Dunphy'ego z niepewnością w oczach. — Tyle tylko że dzisiaj rano mamy dość duże zapotrzebowanie.

Dunphy pochylił się ku niemu i ściszył głos prawie do szeptu.

— Jeśli o to chodzi, panie Picard, nie martwiłbym się tym na pana miejscu, bo muszę się panu do czegoś przyznać.

— O?

— Poważnie. Powinienem powiedzieć od razu. Rozmawiałem wczoraj przez telefon z pańską asystentką i... tu przerwę, bo właśnie przypomniałem sobie, że miałem zapytać, czy to jest jedyna pana współpracowniczka?

— Tak, i bardzo kompetentna.

— O, co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Ta pani ma prawdziwie profesjonalne obycie — zgodził się Dunphy, myśląc jednocześnie: „Ta suka pewnie wisi już na telefonie i mnie sypie, mówiąc człowiekowi Blémonta, gdzie jestem”. — Ale wracając do sprawy, wspomniałem, że rozmawiałem z nią wczoraj rano przez telefon, ledwie wszedłem do domu po całej nocy, jeśli pan rozumie...

— Był pan pijany.

— Jak szewc. I wczułem się w tę rolę, bez złych intencji, oczywiście... ot tak dla zabawy.

— Rozumiem — powiedział Picard, kiwając głową, jakby właśnie potwierdziły mu się czarne przypuszczenia. — Mówiła mi, że rozmawiała z kimś, kto udawał Amerykanina. Jak rozumiem, to był pan.

Dunphy wzruszył ramionami lekko urażony takim komentarzem.

— No, najpewniej ja.

— A to znaczy, że... w jakim punkcie stanęliśmy? — Bankier patrzył wyczekująco na Dunphy'ego, który wręczył mu list napisany na papeterii z Longueville Manor.

— List wszystko wyjaśnia — stwierdził. — Jeśli pożyczysz mi pan pióro, złożą podpis. Jest tylko jeden w karcie podpisów. A numer klienta podałem tutaj na górze strony, gdzie widnieje *in re*. Jak dostanę moje pieniądze, nie będę już panu więcej zawracał głowy.

Picard podał mu pióro i patrzył, jak Dunphy podpisuje list z prośbą o zamknięcie konta Sirocco.

— Wie pan — napomknął, wkładając pióro z powrotem do kieszeni i biorąc list podpisany przez Dunphy'ego. — Mieliśmy tu takie niemiłe zajście.

— Ach tak?

— Tak. Związane z tym kontem.

— Coś podobnego? — powiedział Dunphy z niedowierzaniem w głosie.

— Taaak... Wpadł tutaj człowiek, który nazywa się Blé-mont. Było to kilka miesięcy temu. Twierdził, że pieniądze są jego.

— Jezuuus Maria Józefie Święty... Z dnia na dzień tacy jak on robią się coraz bezczelniejsi! — krzyknął Dunphy.

— Hmm.

— I co pan powiedział temu człowiekowi?

— Nietrudno sobie wyobrazić — odpowiedział Picard. — Nikt tu o nim nic nie wie. Żadnego podpisu. Żadnych referencji. Ale, ciekawe, wspomniał pańskie nazwisko.

— Moje nazwisko?

— Tak. I to wielokrotnie.

— Co za bezczelność! I co pan zrobił?

— Pokazałem mu drzwi. Zagroziłem, że zadzwonię na policję. Co więcej mogłem zrobić?

— Rzeczywiście nic.

— Są granice ryzyka w biznesie. Choć muszę powiedzieć, że był bardzo zdeterminowany. Nawet wściekły.

— Wspaniały aktor, nie wątpię!

— Właśnie. I muszę dodać, że daleki od zadowolenia, kiedy usłyszał nie.

— Jezuu. Czyżby groził?

— W rzeczy samej. Cóż — powiedział bankier, składając dłonie — drobne pogrożki pod pana adresem. Nie, nie mam o to pretensji.

Dunphy poczerwieniał.

— A teraz, jeśli pójdzie pan za mną, weźmiemy pańskie pieniądze — oświadczył Picard, uśmiechając się szeroko. — Do kogokolwiek należą.

## 20.

Podróż z St Helier do Saint-Malo po spienionych białych grzywach fal kanału La Manche nie była przyjemna. Siedząc przy stoliku w restauracji pierwszej klasy i popijając kawę, Dunphy popatrywał na współpasażerów, zastanawiając się, który z nich, jeśli w ogóle ktokolwiek, go śledzi.

Jeszcze na ładzie był przygotowany na to, że natknie się na Blémonta zaczajonego gdzieś za rogiem, ale, oczywiście, Francuza nigdzie nie było. Dla pewności Dunphy przewiózł się taksówkami z jednego końca wyspy na drugi, ciągnąc kierowców po polnych drogach. Myśleli sobie wprawdzie, że coś z nim nie tak, ale dzięki temu kręceniu się w tę i z powrotem przynajmniej było jasne, że nikt nie siedzi im na ogonie.

Z drugiej strony zastanawiał się Dunphy, po co ktoś miałby się trudzić? Jersey to wyspa, a to oznacza, że można ją opuścić tylko dwiema drogami — samolotem lub statkiem. Nie było więc potrzeby śledzenia go na samej wyspie. Blémont mógł się ograniczyć do obserwowania lotniska i portu. Jeśli tak zrobił, wiedział, dokąd Dunphy się wybiera i kiedy tam dotrze.

Z tych przyczyn przyważenie inwigilatorów mogło być trudne. Ktoś mógł płynąć z nim statkiem. Albo nie. Może będą woleli zdjąć go, gdy już zejdzie na ląd w Saint-Malo. Tak czy owak, nie zostawia go w spokoju. Tego Dunphy był pewny.

Gdy więc prom przyplynał do Saint-Malo, postanowił wysiąść jako ostatni. Stojąc przy trapie, przeczesywał wzrokiem nabrzeże, wypatrując hipotetycznej dwuosobowej męskiej drużyny. Niemożliwe jednak było wyłowić kogokolwiek z tłumu. Byli tam celnicy i turyści, biznesmeni i gospodynie domowe, ekspedientki i robotnicy. Każdy z nich mógł pracować dla Blémonta. Lub nikt.

Kiedy tak stał wychylony przez balustradę na pokładzie promu Emeraude Lines, przyszło mu do głowy, że reakcja Blémonta nie musi być aż tak błyskawiczna. Francuz dużo podróżował i mógł być za granicą, gdy dostał z Jersey telefon powiadamiający go o wizycie Thornleya w Banque Privat. W takim wypadku Blémont zaaranżowałby śledzenie Dunphy'ego aż do czasu, kiedy to sam będzie mógł pojawić się na scenie. Jest, co tu dużo mówić, facetem, który lubi kontrolować sytuację, więc bez wątpienia będzie chciał zająć się przesłuchaniem osobiście.

Teraz Dunphy nie miał wyboru. Gdyby pozostał, gdzie jest, stojąc dalej tu na pokładzie, znalazłby się wkrótce w drodze powrotnej na Jersey. Po sześciu czy siedmiu takich rejsach wrzuciliby go do pojemnika na śmieci i taki byłby jego koniec. Wobec tego wziął głęboki oddech, zebrał się w sobie i wyprostował ramiona. Trzymając w ręku teczkę pełną pieniędzy, niespiesznie zszedł po trapie, wyrwał się nagabującym go taksówkarzom i zanurzył w dzielnicy portową.

Powietrze było zimne i wilgotne, ale port tętnił życiem, zatłoczone restauracje jarzyły się światłami i pachniały czosnkiem i oliwą. Poczul głód, więc kupił trochę franków w kantorze, wstąpił też do kiosku z gazetami, żeby nabyć coś do czytania. W sprzedaży była „Herald Tribune”, ale sięgnął po „Le Point”, nie chcąc się rzucać w oczy jako Amerykanin. Wybrał wreszcie restaurację i znalazł zachęcający stolik — mógł przy nim siedzieć plecami do ściany i spoglądać na drzwi.

Nikogo.

Skłaniając się ku przypuszczeniu, że mimo wszystko nie jest śledzony, zamówił miszkę cotriade — zupę z owoców morza — i piwo belgijskie w wysokiej szklance. Następnie zaczął

przerzucać strony „Le Point”. Z mówieniem po francusku mamie sobie radził, ale z czytaniem było nieźle i wkrótce znalazł tekst, który go zainteresował. Była to wnikliwa analiza rozmów pokojowych na Bliskim Wschodzie, rzucająca światło na rolę CIA w negocjacjach między Palestyńczykami i Izraelczykami. Autor artykułu sugerował, że kluczową kwestią sporną był dostęp Żydów do Wzgórza Świątynnego. To jerozolimskie wzgórze, na którym wzniesiono pierwszą i drugą świątynię, uważa się za „duchowe epicentrum Izraela”. Jest rzekomo miejscem, gdzie spoczywa Arka Przymierza i gdzie, zgodnie z przepowiednią, ma zostać wybudowana trzecia i ostatnia świątynia.

Jeśliby miało do tego dojść, to tylko po trupach rzesz Arabów, bo tak się składa, że od wieków Arabowie modlą się w Kopule na Skale i meczecie Al-Aksa, które wzniesiono na tym samym wzgórzu (faktycznie na ruinach owych wcześniejszych świątyń) i są z kolei najświętszymi miejscami kultowymi islamu. Rząd izraelski, w obawie przed zamieszkami, jakie by nieustająco wywoływali pobożni Żydzi, chcący się modlić na Wzgórzu Świątynnym, ustawowo zakazał im odprawiania tam modłów. Obecnie izraelscy negocjatorzy i ich przyjaciele z CIA szukają wsparcia Arafata, żeby załatwić przyznanie wyznawcom judaizmu równorzędnego czasu na modły na jerozolimskim wzgórzu.

To była interesująca relacja, w jakiś sposób powiązana z biblijnymi prorocत्वami dotyczącymi końca świata, który nastąpi, kiedy ostatecznie zostanie zbudowana trzecia świątynia. To zabawne, pomyślał Dunphy, że CIA wplątuje się w problemy eschatologii. Ale z drugiej strony dlaczego by nie? Jeśli Brading mówił prawdę, Agencja pakowała się w mnóstwo dziwnych rzeczy.

Kolejny raz Dunphy podniósł wzrok znad gazety i zlustrował salę. Przy barze siedział mężczyzna, który płynął na promie.

Był średniego wzrostu, miał trzydzieści pięć do czterdziestu lat, platynowe włosy i blizny po trądziku. Lodenowy płaszcz z rogowymi guzikami. Palił. Dunphy nie widział dobrze twarzy mężczyzny, ale jego włosy się zapamiętywało. Nie mogło być mowy o pomyłce.

Także ta młoda para przy stoliku przy drzwiach. Dunphy widział ich w porcie w St Helier, jak kupowali bilety. Musieli wejść do restauracji, gdy czytał.

No i co z tego? Każdy musi gdzieś zjeść — nawet Blondyn. Nie oznaczało to jeszcze, że ci ludzie go śledzą.

Mimo wszystko wolałby mieć przy sobie broń. Przestrzelił kolano Curry’emu i obrabował Blémonta, więc pistolet u pasa nie byłby nadmiarem ostrożności. Zwłaszcza że spacerował z blisko pół milionem dolarów w gotówce — dla wielu wystarczający motyw, by go zabić, także dla tych, którzy go wcale nie znali, a tym samym nie mogli żywić do niego urazy.

Jednakże najpierw ma myśleć o tym, co robić teraz. Cotriade była znakomita. Wytarł miskę chlebem przy drugiej szklance corsendonka, nieziemsko drogiego belgijskiego piwa produkowanego przez mnichów dla milionerów. Na koniec przy kawie z ekspresu wypalił papierosa, zastanawiając się, czy może zaryzykować wynajęcie pokoju w hotelu. Jeszcze na Jersey sprawdził rozkład jazdy SNCF i wiedział, że za godzinę odjeżdża z Saint-Malo do Paryża pociąg torpeda. Z Paryża z łatwością dotrze do Zurychu — miasta, które dobrze znał. Tam wynajmie skrytkę bankową i schowa pieniądze, które teraz nosi ze sobą.

Albo...

Mógłby odłożyć podróż i porządnie się wyspać — znaleźć hotel, zaklinować drzwi krzesłem i... ochłonać. Pomysł był kuszący. Przeziębził się w drodze do Saint-Malo i teraz zaczęło go rozbierać. Noc w Hotel de Ville, z perspektywą gorącej kąpieli i chłodnej pościeli, to byłoby to.

Hotel stanowił jednak problem i będzie tak dopóty, dopóki Dunphy nie dostanie nowego paszportu. Gdziekolwiek się zatrzyma, będą chcieli mieć imprint jego karty kredytowej jako

gwarancję pokrycia telefonów i innych usług zamawianych do pokoju. Nawet gdyby hotel przyrzekł, że zniszczy fakturę bez księgowania jej, zdarzają się niedopatrzienia — w jego wypadku byłoby to zgubne, a nie tylko niedogodne. Co więcej, gdy weźmie pokój, będzie musiał wypełnić kartę meldunkową, do której policja może się dostać jeszcze tej nocy. Zwykle zajmują się kartami we wczesnych godzinach rannych w obecności gliniarzy, którzy porównują nazwiska gości z aktualnymi listami osób poszukiwanych. I choć prawdą jest, że policja działa czasem opieszale, to zdawanie się na niekompetencję strony przeciwnej jest zawsze błędem. W końcu nawet zegarek nie na chodzie wskazuje prawidłową godzinę dwa razy na dobę.

Rozsądek nakazywał więc Dunphy'emu złapać pociąg, który go ukołysze, pędząc po szynach prosto do Szwajcarii.

Niechętnie odsunął krzesło. Wstał, odliczył franki i zostawił je na stole obok rachunku, zapytał o drogę i pomaszzerował w zimnej mżawce w stronę dworca. Godzinę później, zakatarzony, siedział w pierwszej klasie pociągu Atlantique, linii TGV, mknąc przez Normandię z prędkością stu dwudziestu pięciu mil na godzinę.

Pociąg był szybki, ale podróż do Zurychu i tak miała mu zająć całą noc. Uziemiony dwugodzinną przerwą w podróży na obskurnym Gare de l'Est Dunphy kupił kartę telefoniczną w nocnym kiosku i wybrał numer Maksa Setyaeva w Pradze. Telefon zadzwonił pięć czy sześć razy, zanim na linii dał się słyszeć rozespany głos.

— Halo?

— *Genevieve, s'il vous plait.*

— Co?

— *Genevieve* — powtórzył Dunphy nagle zaniepokojony, że Max zapomniał, jak się umówili albo, co gorsza, że zacznie błaznować, próbując wciągnąć go w rozmowę.

Ku jego uldze Rosjanin wymamrotał jakieś przekleństwa w języku, którego Dunphy nie rozumiał, i cisnął słuchawkę na widełki — jak powinien zrobić. Jeśli ktokolwiek podsłuchiwał, rozmowa nie zasługiwała na odnotowanie w raporcie.

Odwieszając słuchawkę, Dunphy się odwrócił — a tam był znowu facet z włosami blond, ten sam co na promie (prawie na pewno) i w restauracji w Saint-Malo (na pewno). Siedział na drewnianej ławce w odległości około dwudziestu jardów, palił papierosa.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że...? — zadał sobie pytanie Dunphy. Jakie jest prawdopodobieństwo, że to zbieg okoliczności? Że dwie osoby, które się nie znają, wsiadają tego samego dnia na ten sam prom z Jersey, a potem tegoż wieczoru łapią ten sam pociąg do Paryża? Czy to jest zbieg okoliczności?

Właściwie tak naprawdę prawdopodobieństwo przypadku jest duże. Mowa przecież o transporcie publicznym. Jednak...



Trudności techniczne trzymały ich na boczniczy za Dijon przez prawie dwie godziny. Podczas przerwy na naprawy Dunphy podsympiał niespokojnie, ale jak tylko pociąg znowu ruszył, zapadł w sen tak głęboki, że można by go uznać za letarg. Kiedy zbliżali się do szwajcarskiej granicy, pojawił się celnik i poprosił o paszport, ale gdy zorientował się, że ma przed sobą Amerykanina, machnął ręką.

Tymczasem samopoczucie Dunphy'ego znacznie się pogorszyło. W ciągu nocy, gdzieś między Paryżem i granicą, przeziębienie zaatakowało oskrzela i temperatura podskoczyła na tyle, że Dunphy nie czuł się dobrze. Ni to chory, ni zdrowy, był w kiepskim stanie — jakby nie spał od kilku dni. (Co nie było prawdą, jak sobie natychmiast uświadomił).



Wysiadłszy z pociągu w Zurychu, skierował się ku wyjściu na Bahnhofstrasse.

Znajomy teren. Był w Zurychu mniej więcej dwanaście razy i dworzec wyglądał tak, jak go pamiętał — wielka przestrzeń słabo nasączona światłem, bardziej otwarta niż zamknięta, opanowana przez zimę. Dunphy miał dreszcze z gorączki i dygotał z powodu otaczającego chłodu, więc nęciły go dworcowe, rzęsiście oświetlone kafejki z zaparowanymi szybami i powietrzem przesyconym aromatem kawy i ciastek.

Jednakże nie był to dobry pomysł, żeby tu przysiąść. Blondyna nie było wprawdzie nigdzie widać, ale zurychski *Bahnhof* był terenem operacyjnym dla niemieckich ćpunów i holenderskich pijaków, cwaniaczków z Afryki i całego Legionu Dusz Zagubionych — hipisów, obieżyświatów, metalowców i wykonawców gotyckiego rocka. Z teczką pełną gotówki lepiej było przemknąć dalej.

Na zewnątrz drobny śnieżek wirował w podmuchach wiatru. Było zimniej niż na Jersey i w Saint-Malo, o czym dawały mu znać przemarznęte ręce i stopy. Skulił się w sobie, podniósł kołnierz płaszcza dla ochrony szyi i powędrował najsłynniejszą ze szwajcarskich ulic. Wkrótce znalazł oddział Credit Suisse i dziesięć minut później stał sam w zamkniętym na klucz pomieszczeniu, układając pliki funtowych banknotów w ciemnej metalowej skrzynce, którą wynajął za trzydzieści pięć franków szwajcarskich miesięcznie.

Uporawszy się z pieniędzmi, wyszedł z banku i skierował kroki w stronę hotelu Zum Storchen. Ulżyło mu trochę — nie znaczy, że było mu lekko. Miał w teczce pięćdziesiąt tysięcy funtów, co miało wystarczyć na opłacenie Maksa i własne przetrwanie dopóty, dopóki to będzie konieczne. A to mogło potrwać. Wiele się zdarzyło i wielu rzeczy się dowiedział, ale w dalszym ciągu nie miał pojęcia, dlaczego zamordowano Schidlofa i dlaczego poniósł równoległe szkody na drugim planie tego morderstwa. Podsumowując to wszystko, zdziślał dotąd tyle tylko, że zrujnował własne życie i wystawił na niebezpieczeństwo bliskie sobie osoby.

No, nie tylko. Nie było aż tak źle. Zbytek pokory. Udało mu się także ograbić Blémonta i postrzelić w kolano Curry'ego — co było, jeśli nie czymś więcej, to w każdym razie początkiem.

Stary Zurych to skupisko wąskich, brukowanych uliczek i kamiennych gmachów na wzgórzu wznoszącym się nad lodowato zimną, smolisto czarną i kryształowo przejrzystą rzeką Limmat. Gdy Dunphy schodził w dół wzgórza w kierunku Zum Storchen, śnieg gęstniał. Sypał się z nieba jak mąka, osiadał mu na rzęsach i pokrywał kołderką włosy. Topniejąc, spływał za kołnierz i po karku. Dunphy był przemarznięty do szpiku kości. Doszedłszy do rzeki, zatrzymał się na chwilę na nabrzeżu, obserwując pływające łabędzie. Obojętne na zimno i padający śnieg.

A Dunphy wprost przeciwnie. Kaszłąc, wstąpił do męskiego salonu, żeby kupić parę rękawiczek i szalik. Dostał rachunek tak wysoki, że przez chwilę pomyślał, iż przez pomyłkę dopisano na nim dodatkowe zero. To było nieistotne. Pieniądze to jego najmniejsze zmartwienie. Powrócił na szlak wzdłuż nabrzeża i pokonawszy jeszcze dwie przecznice do Zum Storchen, przeszedł przez zamarznięty hotelowy taras i wkroczył do wewnątrz.

Hotel, stojący nad rzeką w cieniu starej i potężnej wieży zegarowej, prowadził działalność nieprzerwanie od ponad sześciuset lat. Minąwszy trzaskający ogniem kominek w holu, Dunphy podszedł do recepcji i zapytał, czy pan Setyaev już przybył.

— Jeszcze nie, sir.

— Będzie pan uprzejmy powiedzieć mu, gdy się pojawi, że w restauracji czeka na niego znajomy?

— Oczywiście.



Był przygotowany na to, że będzie siedział ileś godzin, spoglądając na rzekę i pijąc kawę, tymczasem Rosjanin wkroczył na scenę, zanim Dunphy skończył jeść drugiego croissanta.

— Kiepsko wyglądasz — rzekł Max zamiast słów powitania.

— Dziękuję, Max. Ty za to wyglądasz świetnie. Rozgość się.

Rosjanin opadł na krzesło naprzeciwko.

— Wykonałem dla ciebie robotę, jakiej nie mógłby zrobić nikt inny.

— Z tego wnoszę, że zgłosiłem się do właściwego człowieka.

— Ma się rozumieć! — Max pchnął szarą kopertę przez stół i sięgnął po rachunek. —

Załatwię to — rzekł, sprawdzwszy kwoty.

— Naprawdę?! — wykrzyknął Dunphy. — Stawiasz mi kawę i croissanty?

Rosjanin przytaknął i mruknawszy jeszcze pod nosem „dowcipny dupek”, wyciągnął z kieszeni pióro, by nagryzmolić na rachunku numer pokoju.

— Chodźmy — powiedział, wstając. — Interesy załatwimy na gorze.

Dunphy pojechał z nim windą na piąte i ostatnie piętro hotelu. Apartament był na końcu korytarza z oknami i na rzekę, i na jezioro. W środku na dywanie leżała niewielka torba podróżna Makska jeszcze nieotwierana.

— Jestem wykończony. — Dunphy opadł na miękki fotel.

— Coś jest nie w porządku? — spytał Max.

— Przeziębilem się.

— Więc kończymy biznes... ja jadę do domu... ty zatrzymasz pokój. Położysz się.

— Myślę, że tak zrobię — odparł Dunphy. — Jestem nieprzytomny.

Rosjanin wyciągnął z torby podróżnej szarą kopertę, rozerwał ją i wytrząsnął zawartość na stolik do kawy stojący między nimi. Było tam parę kart kredytowych, prawo jazdy i paszport. Dunphy otworzył paszport, rzucił okiem na zdjęcie i na nazwisko.

— Świetnie — rzekł, po czym wykrzyknął ze spóźnionym refleksem: — Harrison Pitt?!

Max się rozjaśnił.

— Dobre nazwisko, co nie?

— Dobre nazwisko? Skąd to pieprzone imię...

— Amerykańskie! Tradycyjne!

— Żarty sobie robisz? Nie znam nikogo o imieniu Harrison.

— Jasne, że nie. Nie jest popularne w Irlandii. W Kanadzie... Stanach... jest wielu, bardzo wielu Harrisonów.

— Wymień choć jednego.

Rosjanin bez wahania wykrzyknął:

— Ford.

Chwila upłynęła, zanim Dunphy'ego opuściły wątpliwości.

— A Pitt? — spytał jeszcze.

— Jest przecież Brad Pitt — odrzekł Max. — Ale nie mówmy o gwiazdorch. Wielu zwykłych Amerykanów nosi takie imię bądź nazwisko.

Dunphy westchnął.

— No dobrze. Co z tą drugą rzeczą?

Max wyciągnął małą kopertę z marynarki i wręczył Dunphy'emu, który ją rozerwał.

Laminowana legitymacja Andromedy wypadła mu na kolana. W lewym górnym rogu był hologram, tęczyowy obraz Czarnej Madonny z Einsiedeln; na dole, po prawej stronie, odcisk kciuka. Zdjęcie Dunphy'ego było na środku pod napisem:

MK-IMAGE

## Program Specjalnego Dostępu

E. Brading

\*ANDROMEDA\*

— Dobra robota, stary! Bardzo, bardzo dobra.

Rosjanin wyglądał na urażonego.

— Nie! Perfekcyjna!

Max rozsunął suwak zewnętrznej kieszeni torby podróżnej i wyjął z niej egzemplarz w twardej oprawie *Ada, or Ardor* Nabokowa.

— *Voilà* — rzekł i podał książkę Dunphy'emu.

— Co mam z nią zrobić?

— Potrzyj ją — powiedział Rosjanin. Następnie złapał za uchwyt głównego zamka błyskawicznego torby, pociągnął i ze środkowej przegrody wyjął niewielki skórzany neseser.

Wewnątrz były przybory toaletowe — pasta i szczoteczka do zębów, jednorazówki do golenia, pojemniczki z pastylkami... i tubka z napisem *bio-glue*.

— Co to jest? — Dunphy zadał pytanie, widząc, że Rosjanin wyciąga tubkę z nesesera.

— Bio-glue.

— Widzę, co jest napisane...

— To klej chirurgiczny. Mocniejszy niż szwy. Żadnego bólu. Taki jest postęp.

— I co będziesz z nim robił?

— Daj książkę, proszę.

Dunphy podał Rosjaninowi książkę, którą ten otworzył. W środku była pergaminowa koperta. Max zmiażdżył między palcami brzegi koperty, dmuchnął do wewnątrz i wytrząsnął coś wyglądającego na półprzezroczysty fragment skóry.

— Odcisk palca — poinformował.

Dunphy nie odrywał oczu od drobiazgu, który spoczywał na dłoni Maksa jak surrealistyczny żart.

— Z czego to jest wykonane? — zapytał.

— To hydrożel. Jak w soczewkach kontaktowych... z gatunku miękkich. Biomimetyczny.

— A co to ma znaczyć?

— To znaczy, iż jest to plastik tolerowany przez tkanki ludzkie. Ultracienki. Teraz proszę, umyj ręce i wysusz.

Dunphy wstał i zrobił, co mu polecono, po czym wrócił na swoje miejsce przy oknie.

Max ujął prawą dłoń Dunphy'ego we własną i patyczkiem higienicznym rozprowadził klej na kciuku Amerykanina. Następnie nałożył odcisk palca i go wygładził.

— Cztery minuty — oznajmił.

Dunphy wpatrywał się w aplikację, która nie miała widocznych brzegów.

— Jak ja to usunę? — spytał.

Rosjanin zmarszczył czoło. Dopiero po chwili powiedział:

— Papierem ściernym... może.

— Papierem ściernym?!

— Jasne.

— Okay... niech będzie papier ścierny. Ale powiedz mi teraz, jak to zrobiłeś.

Max się roześmiał.

— Fotochemigrafia. Kiedy klej wyschnie, sam zobaczysz... palec będzie gładki.

- I to załatwia sprawę? Nie musisz wytłoczyć na tym linii czy coś w tym rodzaju?
- Wytłoczyć? Dlaczego mam coś wytłaczać? To przepustka na wejście do budynku!

Sprawdzają ją skanerem.

Dunphy rzucił mu sceptyczne spojrzenie.

— *Don't worry! Be happy* — powiedział Max.

Co tu dużo mówić, Dunphy nie miał wyboru. Max był najlepszy. Jeżeli przepustka się nie sprawdzi, to się nie sprawdzi, a wtedy będzie koniec zabawy (i mój także, pomyślał). Nic więcej nie mógł zdziałać, pozostało mu jedynie iść za ciosem i przekonać się, co się zdarzy. Wstał i przeszedł przez pokój do swojej teczki dyplomatki. Położywszy ją na łóżku, otworzył kluczykiem zamki, które puściły z trzaskiem, po czym wyjął sześć paczek gotówki, z których każda zawierała pięćdziesiąt banknotów stu funtowych — co stanowiło równowartość około pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Wręczając walory Maksowi, paczka po paczce, odezwał się:

— Powiedz mi coś.

— Tak? — spytał Max, nie odrywając oczu od pieniędzy.

— W Rosji, kiedy tam mieszkałeś... czy kiedykolwiek czytałeś o czymś takim... nie wiem...

— Pytaj!

— O okaleczaniu bydła.

Rosjanin rzucił mu zdziwione spojrzenie.

— Masz na myśli... martwe krowy?

— Ano. Pokrajane krowy... na pastwiskach.

Max zachichotał.

— Nie. Nigdy o tym nie słyszałem. W każdym razie nie wtedy, kiedy tam jeszcze przebywałem. Dlaczego pytasz?

Byłem ciekaw — odrzekł Dunphy, wręczając mu ostatnią paczką.

— Ale gdy nastąpiła głośność — dodał Max — zrobiło się pełno takich doniesień.

Dunphy spojrzał na niego.

— O okaleczaniu bydła?

Rosjanin pokiwał głową, wkładając gotówkę do torby podróżnej.

— O UFO także. O wszystkich takich głupotach. To u nas coś nowego. Za komunistów nie było o tym mowy.

Dunphy usiadł na łóżku.

— Jest jeszcze jedna sprawa — rzekł.

Max uśmiechnął się i rozsunął z powrotem zamek błyskawiczny torby.

— Zawsze jest coś jeszcze.

— Potrzebują drugiego paszportu... dla znajomej.

Wyjąwszy kolejny plik banknotów z teczki, Dunphy odliczył trzydzieści pięć stu funtowych kawałków i wręczył je Maksowi. Dał mu także kopertę ze zdjęciami Clementine.

— Jej adres jest na odwrocie. To pilne.

— Załatwią to jeszcze dzisiaj — obiecał Max i przyjrzał się fotografiom. — Atrakcyjna dziewczyna.

— Dziękują.

— Jakie wybraliście nazwisko?

— Veroushka Bell.

Max z uśmiechem rozbawienia zapisał nazwisko na odwrocie koperty ze zdjęciami.

— Czy ona jest Rosjanką?

— Nie. Jest romantyczką.

— To jeszcze lepiej. — Spoważniał nagle, podnosząc głowę.

— Paszport Veroushki ma być jak twój, zgadza się?

Dunphy przytaknął.

— Nowiutki... z ambasady. Nie mówię, z której. Nigdy nie był wydany... nie ma złej historii. Można z nim jechać wszędzie... no, do Kanady lepiej nie. Okay?

— Nie wybieramy się do Kanady.

— Więc nie będziecie mieć problemów.

— Chciałbym cię jeszcze prosić o drobną uprzejmość — powiedział Dunphy, odprowadzając Maksa do drzwi.

— Proś.

Dunphy podszedł do biurka stojącego w kącie pokoju, wyjął z niego papeterię hotelową i na papierze napisał numer pokoju, w którym właśnie się znajdował. Włożył kartkę do koperty papeterijnej, zaadresował do Veroushki i wręczył ją Maksowi.

— Zadbaj, żeby dostała to razem z paszportem.



W ciągu kolejnych trzech dni raz tylko wyszedł na dwór, żeby kupić jakieś czasopisma w sklepiku przy Fraumünsterstrasse. Znosił dokuczliwości choroby w komforcie wynajętego przez Maksa pokoju hotelowego, siedząc przy oknie i patrząc z góry na rzekę, wsłuchując się, jak ciężkie grudki śniegu uderzają o szybę. Jedyne osoby, jakie oglądał, to obsługa hotelowa, która ścieliła łóżko, zmieniała ręczniki i wносиła do pokoju zamówione posiłki. Żadnych telefonów, jedynie dwa połączenia, ale odwieszano słuchawkę. Ogólnie rzecz biorąc, miał wspaniałe warunki, żeby sobie pochorować, niestety przeszkadzało mu ogólne osłabienie, wysoka temperatura i kaszel, którego nie mógł się pozbyć.

Z tych trzech rzeczy najbardziej dokuczała mu gorączka, ponieważ wdzierала się w jego marzenia senne, zmieniając sen nocny w rodzaj męczarni. Normalnie Dunphy nie zwracał uwagi na treść swoich snów, ale przy gorączce stały się tak natrętne i monotonne jak pytania testowe. Budził się z nich zlany potem, odczuwając większe znużenie, niż kiedy kładł się spać.

Czwartego dnia po południu, zniecierpliwiony swoim stanem i czekaniem na Clementine, zdecydował się wyjść. Ubrał się, zjechał windą do holu hotelowego i wyszedł tylnym wyjściem na boczną uliczkę. Potrzebował paru rzeczy. Faktycznie brakowało mu wszystkiego — i czegoś, w czym by mógł swoje rzeczy nosić. Gdy już przyjedzie Clementine — i gdy już dotrą do Zug — życie wskoczy na najwyższe obroty. Po prostu wiedział, że tak będzie. A gdy tak się stanie, przyda się zmiana bielizny.

Więc wyszedł i pokupował różne rzeczy z ubrania. Przez dwie godziny wędrował brukowanymi uliczkami Starego Miasta, przewijając się przez najdroższe na tej planecie magazyny dla mężczyzn. Kupił torbę podróżną, która miała więcej schowków niż szatnia na basenie i była z materiału bardziej wytrzymałego, jak przysięgał sprzedawca, niż nos kadłuba rakiety Saturn 5 (dziewięćset franków szwajcarskich). Nabył koszule importowane z Francji po czterysta franków sztuka, dwie pary niemieckich spodni mniej więcej w podobnej cenie, T-shirty Armaniego po sto trzydzieści franków każdy i skarpety po dwadzieścia franków. Znalazł marynarkę sportową w kurzą stopkę, która wzbudziła w nim chęć odstrzelenia kilku ptaszków (kimkolwiek są i jakkolwiek na to zasłużyli), oraz podstawowy ekwipunek do biegania: buty-szorty-skarpety.

Skończywszy zakupy, o godzinie czwartej po południu, nabrał pewności co dwóch spraw. Pierwsza: kupowanie odzieży w Zurychu jest bardzo kosztowne. Druga: z całą pewnością jest śledzony.

Było ich dwóch, jak zawsze przypuszczał, że będzie. Blondyn w lodenowym płaszczu to jeden, a drugi facet to oprych na czerwonej vespie. I wcale się nie starali być niewidoczni. Trzymali się wprawdzie w pewnej odległości, ale nie robili nic, żeby skrywać fakt, iż za nim łążą. To by oznaczało, że mają go w garści, a przynajmniej, że tak sądzą.

Gość na skuterze wyglądał jak atleta. Miał byczy kark i potężne ramiona boksera, małe świńskie oczka i czub na głowie, włosy zgolone po bokach. Mięśniak. *Jock*. [*Angielskim słowem jock określa się kulturystę, byczka, atletę.*] Ubrany lekko, w bluzę i džinsy, wydawał się nieczuły na zimno — a może tylko chciał sprawiać takie wrażenie. Jego kompan ciągnął się chodnikiem jakiegoś pięćdziesiąt jardów z tyłu za nim, z rękami w kieszeniach i papierosem zwisającym z ust.

Czekali pod hotelem Zum Storchen całe trzy dni, pomyślał Dunphy. Co znaczy, że są upartymi dupkami, a ja powinienem ich przepędzić.

Won! Pojechańcy!

Jednakże nie. To nie był dobry pomysł. Po pierwsze, Dunphy miał w tym momencie za dużo pakunków w rękach, a po drugie, nie mógł liczyć ani na swe siły, ani odwagę. Przeciwnie, czuł się jak początkujący pływak stojący na wysokiej trampolinie i spoglądający w dół na twardą tafłę wody, pod którą jest głębia. Nie miał zawrotów głowy, nie dosłownie, ale wyczuwał ucisk w kroku, jakby spodnie skurczyły się o cal.

A to go zdziwiło, ponieważ miał zawodowe przygotowanie w tym zakresie. Kiedy zatrudnił się w Agencji, przeszedł w Williamsburgu i Waszyngtonie ćwiczenia w technikach inwigilacji i kontrinwigilacji. To były rutynowe procedury i okazał się w nich dobry. Tak więc aktualna sytuacja nie była mu całkowicie obca — lecz nie była również taka sama. W przeciwieństwie do instruktorów na Farmie ci ludzie nie życzyli mu dobrze.

Tyle że nie próbowali go zabić, jak dotąd. Co oznaczało, że ich zadanie ograniczało się do funkcji opiekuńczych. I rzeczywiście tak chyba było, gdyż wydawali się zadowalać tym, że mają go w polu widzenia, nie trując się w ogóle ukrywaniem, że ich interesuje. Była to, innymi słowy, bardzo bierna inwigilacja. Podobna do tej, jaką prowadził w wypadku Schidlofa.

Powoli poziom adrenaliny opadał. Oddech Dunphy'ego spowolniał, a wraz nim tętno. Gdy przed wystawą sklepu Jil Sander podglądał swoich adwersarzy w szklanym odbiciu, przemknęło mu przez głowę, że osoba inwigilowana jest jak aktor na scenie, tyle że wbrew swej woli. Nagle świat wokół ciebie wypełnia się krzykiem: światła! kamery! akcja! Serce zaczyna walić, brakuje oddechu, a potem... jeśli nie zostałeś porwany ani sprzątnięty, przyzwyczajasz się do tego. Ponieważ w końcu nic innego ci nie pozostaje. Ludzie cię obserwują? No to co z tego?

Ci dwaj muszą być ludźmi Blémonta, uznał Dunphy. Nie mogą być z Agencji. Zmylił pogoń ludzi Agencji w Londynie — jej gwiazdorów pozostawił w kałużach krwi w foyer apartamentu Clementine. Curry i jego matoly nie mają pojęcia, gdzie się udał. Liżą rany. Więc ci faceci są od Blémonta.

To nie wróżyło dobrze, ale nie było też najgorzej. Agencja bowiem, jeśli się totalnie nie mylił, nie ma zamiaru go przepytawać. Chce go widzieć martwego — to najskuteczniejszy sposób, żeby uciąć śledztwo, w jakie się wdał. Blémont natomiast ma do zadania wiele pytań — poczynając od tego, gdzie są jego pieniądze i jak je może dostać z powrotem. Ze strony Francuza nie musiał się obawiać niczego poza porwaniem i torturami.

Po krótkiej refleksji Dunphy pomyślał, że może lepiej byłoby być martwym — zaraz potem doszedł do wniosku, że nie, nie w obecnych okolicznościach. Być znalezionym w kałuży krwi, między rozrzuconymi torbami firmowymi znanych projektantów mody, to nie była odpowiadająca mu wizja końca. Już sobie wyobrażał nagłówki w „Post”: AGENT CIA W FERWORZE ZAKUPÓW SPOTYKA SIĘ ZE ŚMIERCIA.

Nieopodal powiewały w górze flagi Zum Storchen i Dunphy przyspieszył kroku. Problem w

tym, że Blondyn i Jock nie będą łączyć za nim w nieskończoność. Nie prowadzą obserwacji naukowej. Urządzają polowanie. I udało im się osaczyć lisa, teraz w roli psów nie mieli nic więcej do zrobienia jak tylko czekać, aż pojawi się strzelec. Co znaczyło, że Dunphy znajdzie się niezadługo na celowniku, więc jeśli wciąż ma nadzieję na przeżycie, powinien wymyślić sposób na zgubienie tropicieli.

Dotarł do Zum Storchen, wjechał windą na piąte piętro i wszedł do pokoju. Spacer dobrze mu zrobił. Kaszel zelżał i po raz pierwszy od kilku dni Dunphy swobodniej oddychał. Rzucił torbę podróżną na łóżko i zaczął pakować do niej zakupione rzeczy. Wtedy rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Muszę zaopatrzyć się w broń, powiedział sobie. Albo w kij baseballowy czy coś w tym rodzaju. Rozejrzył się rozpaczliwie po pokoju i wzrok jego zatrzymał się na metalowym stojaku przy kominku. Złapał pogrzebacz, przemierzył jak mógł najciszej przestrzeń podłogi dzielącą go od drzwi i przysunął oko do wizjera.

— Jack? — to był głos Clem, miękki jak mgła.

Otworzył szeroko drzwi, wciągnął ją do pokoju i wziął w objęcia.

— Bałem się, że tu nigdy nie dotrzesz — powiedział.

— Rozpalasz ogień? — wskazała na pogrzebacz w jego ręku.

Przez moment nie wiedział, o czym ona mówi. Potem poczuł się jak idiota.

— Ach to — zaczął. — To jest... no, akurat zabierałem się... tak. Rozpalić ogień.

Odstawił pogrzebacz na stojak, gdy Clem przesunęła się, by spojrzeć na widok z okna.

— Pięććknie — oświadczyła. — O wiele ładniej niż u Val.

— Kto to jest Val?

— Moja przyjaciółka. O, widzę, że robiliśmy zakupy — dodała, ogarniając znaczącym gestem puste torby przy łóżku. — Nieźle się bawiłeś! A ja tam zamartwiałam się o ciebie.

— Wiesz...

— Czy pomyślałeś o czymś dla...?

— Kogo?

— Moi? — uśmiech skromnej panienci.

Drażni się ze mną, pomyślał. Tego jednak nie powiedział głośno.

— Och! Tak, ale... musieliby robić poprawki! — odparł.

— Poprawki?! — Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie, przycupnąwszy na oparciu fotela stojącego przy oknie.

— Tak, rozmiar był za duży, no i... wobec tego nabyłem parę rzeczy dla siebie. Pierwszej potrzeby.

— Jack — odezwała się po chwili milczenia.

— Słucham.

— Gucci nie ma artykułów pierwszej potrzeby.

Postanowił zmienić temat.

— Zdziwiłabyś się, tak czy owak, mamy ważniejszy problem niż to, co najwyraźniej uznałaś za manię zakupów.

— A cóż by to miał być za problem?

— Śledzili mnie od Jersey.

Nie odzywała się słowem przez długą chwilę, on tymczasem sięgnął do minibarku i przyrządził im po drinku. W końcu zapytała:

— Kto? Czego chcą?

Zagrzechotał lodem w szklance, zanim podał jej drinka. Przysiadł na brzegu łóżka i opowiedział o Blemencie.

— Więc jesteś defraudantem! — Znowu te okrągłe oczy, zaalarmowana mina.

— To nie były jego pieniądze — rzekł Dunphy. On ich nie zarobił.

— Być może, ale...

— A ponieważ nie on je zarobił, to czy można mówić, że mu je ukradłem? — Palcami wskazującymi ujął w powietrzu czasownik w dwa pytajniki.

Posłała mu spojrzenie bez wyrazu.

— Słuszna uwaga — stwierdziła (raczej szyderczo, pomyślał sobie). — No i co robimy teraz?

Dunphy padł plecami na łóżko i w tej pozycji zagapił się na ekscentryczne płytki sufitowe. Poduszki wydały z siebie woń proszku do prania.

— Ciebie nie znają — układał odpowiedź w równym stopniu dla siebie jak dla Clementine.

— Czyli nie wiedzą, że jesteś tutaj. — Podniósł głowę i wbił w nią wzrok. — Wiedzą czy nie? Clementine potrząsnęła głową.

— Myślę, że nie.

Głowa opadła mu z powrotem na poduszki.

— Nie pytałaś o mnie w recepcji?

— Nie. Przyszłam prosto na górę.

Musieli zmienić pościel, kiedy go nie było w pokoju, gdyż była gładka i świeża

— Tak sobie myślę — zaczął Dunphy — że mogłabyś wziąć pokój... powiedzmy po drugiej stronie korytarza, jakoś w pobliżu. A ja zwolnię ten i przeprowadzę się do ciebie. — Posłał jej pytające spojrzenie.

— Taaak... moglibyśmy tak zrobić... i co dalej?

— Nie wiem, ale dojdą być może do wniosku, że się wyniosłem.

Przez moment Clementine nic nie mówiła. Wreszcie, odchrząknawszy, spytała:

— Czy to jest twój plan? — W jej głosie był zaczepny ton, przy słowie plan zrobiła minę i jakoś pocieszenie przekrzywiła głowę. Mogło to wyrażać niedowierzanie. Albo osłupienie. Albo jeszcze gorzej, pełne niedowierzania osłupienie. Wkrótce może przejść w złość.

Dunphy sprostował sytuacji. Podparł się na łokciu i wyjaśnił:

— To nie jest plan. To tylko pomysł. — Pociągnął whisky (smakuje dobrze i do tego pomaga na przeziębienie).

— A jakiś plan? Pytam, czy masz już plan? — nalegała Clem.

— Oczywiście, że mam — odparł. — Czy wyglądam na faceta, który działa bez planu? — Czy to lemon Fresh, czy...? A może jakiś płyn do płukania o słodkawym zapachu. Zapewne jest jakaś pralnia, która pierze pościel i ręczniki dla wszystkich dużych hoteli.

— Heej, Jack?

Pokojówki zmieniają pościel rano i brudną gdzieś zabierają — prawdopodobnie na sam dół, do sutereny. Czy jest suterena w Zum Storchen?

— Wrócisz z obłoków na ziemię, Jack?

Musi być. I jakiś dostawczy samochód je zabiera.

— Halo...?

Dunphy spojrzał na Clem.

— Słucham?

— Plan. Miałaś mi powiedzieć, jaki jest plan.

— A tak... rzeczywiście.

— Więc...

— No... plan jest taki... Wymyśliłem, że wezmiesz pokój w tym hotelu...

— O co chodzi z tym cholernym pokojem?



— O nic. Poza tym, że... chcę się wymeldować, co można zrobić stąd, korzystając z TV. Kiedy przeprowadzę się potem do twojego pokoju i przez jakiś czas ci dwaj nie będą mnie widzieli, zadzwonią do tego tu pokoju i natkną się na kogoś innego. A gdy zapytają w recepcji, gdzie jestem, dowiedzą się, że się wyniosłem. Być może w to uwierzą.

— A dalej co? — dopytywała się Clementine.

— Chciałbym, żebyś zamówiła inny pokój na jutrzejszą noc. W Zug.

— Gdzie jest Zug?

— Okolice Zurychu... w odległości około dwudziestu mil. Będzie nam potrzebny samochód. Zgłoś się z tym do konsjerżki.

Dunphy zatoczył nogami zamaszysty łuk nad brzegiem łóżka, usiadł i sięgnął do kieszeni. Wyjąwszy z niej mały klucz, rzucił nim w stronę Clem.

— A to co znowu? Klucz do twojego serca?

— Lepiej. Pasuje do skrytki bankowej w Credit Suisse. Oddział na Bahnhofstrasse. Numer dwa-trzy-zero-dziewięć. Zapamiętasz? — Skinęła głową. — Zapytaj o dyrektora i daj mu klucz. Będzie chciał zobaczyć twój paszport.

— Który?

— Veroushki. Skrytka jest na moje i twoje nazwisko, więc nie będziesz miała kłopotu.

— A dalej?

— W skrytce jest dużo pieniędzy. Weź trochę. To znaczy weź około pięćdziesięciu tysięcy.

— Pięćdziesięciu...?

— Tysięcy.

Zawahała się przez moment.

— Franków?

Dunphy potrząsnął głową.

— Funtów.

Szczęka jej opadła.

— Masz wziąć pieniądze — przykazał Dunphy — i czekać na mnie na parkingu przy stacji kolejowej w Zug. Postaram się być tam zaraz po szóstej.

— Ale...

— To jest parking dla dojeżdżających pociągiem do pracy. Zauważysz mnie, jak tylko się pojawię.

— Nie, nie o to mi chodzi. Chodzi o to, że nie wiem, w jaki sposób chcesz się wydostać z tego hotelu? Co zrobisz, żeby cię nie zobaczyli ci ludzie?

Dunphy podniósł poduszkę i przetrzepał ją.

— Nie martw się o to — rzekł. — A teraz chodź tutaj.

## 21.

Z podziemi Zum Storchen do schodów stacji kolejowej była zaledwie mila, lecz pokonanie tego dystansu kosztowało Dunphy'ego aż sto funtów. Turek, który przyjechał ciężarówką z pralni, nie ukrywał zaskoczenia na widok amerykańskiego biznesmena w podziemiach hotelu. Ale kiedy zobaczył pieniądze, z prawdziwą radością podjął się pomóc bliźniemu w ucieczce przed, jak tenże tłumaczył, rozwścieczonym mężem.

Pociągi do Zug odjeżdżały często w ciągu dnia, tak że dotarcie tam w porze lunchu nie nastęczałoby trudności. Dunphy musiałby jednak spędzić jakoś kilka godzin do przyjazdu Clem, a Zug nie wydawało się do tego najodpowiedniejszym miejscem. Wiedział o tym mieście tyle tylko, że jest siedzibą jednego z najtajniejszych archiwów na świecie, zbioru danych tak ważnych — albo tak niebezpiecznych — że nie mogły być trzymane w Ameryce. A jako że to archiwum było niegdyś centralnym punktem jego dochodzenia i powodem, dla którego urządzono na niego polowanie, kręcenie się po Zug nie było najlepszym pomysłem.

Lepiej wpaść i wypaść.

Miał więc czas na całodzienną wycieczkę i doskonale wiedział, dokąd chce pojechać: do Einsiedeln. Aby zobaczyć panią z hologramu — *la protectrice*.

Pociągi odchodziły co trzydzieści minut i mniej więcej tyle samo czasu trwała jazda do celu. Linia kolejowa biegła wzdłuż brzegu Zürichsee, wijąc się przez przedmieścia. W pewnym sensie wydawała się szwajcarską wersją, schludną i wysokogórską, trasy z Nowego Jorku do Bridgeport. Montaż ledwie widzianych obrazków przemykał przed oczami wzdłuż drogi, odkrywając Szwajcarów w ich powszedniości — przed domami i przy codziennych zajęciach, które, tak się składało, nie różniły się wiele od domów i codziennych zajęć ludzi gdzie indziej. Kobiety i mężczyźni, których widział, wyglądali przez okna, pedałowali na rowerach, zamiatali schody, plotkowali, kłócili się i generalnie zajmowali swoimi sprawami.

Kiedy pociąg zaczął się oddalać od jeziora i wjechał w góry, podmiejskie skupiska — Thalwil, Horgen i Wädenswil — ustąpiły miejsca serii małych uroczych miasteczek, z których każde było bardziej zaśnieżone od poprzedniego.

Biberbrugg.

Bennau.

Einsiedeln.

Wychodząc ze stacji, Dunphy wziął broszurkę dla turystów i według mapy na okładce ruszył pod górę wąziutką ulicą główną, mijając sklepy narciarskie i restauracje, kierując się w stronę opactwa benedyktynów pod wezwaniem Matki Boskiej z Einsiedeln. Słowo *Einsiedeln*, jak sprawdził w broszurze, znaczyło *pustelnicy* — co czyniło z patronki (przynajmniej w terminologii postmodernistycznej) Matkę Boską Bezdomnych. Tak czy inaczej chodziło o Czarną Madonnę.

Samo miasto było kurortem narciarskim, a jeśli nie kurortem dosłownie, to w każdym razie miejscem, gdzie jacyś ludzie przyjeżdżali na narty — choć, jak się wydawało, niezbyt tłumnie. Dunphy minął dwa lub trzy niewielkie hotele po drodze do opactwa, ale na ulicach było zaledwie kilka samochodów i bardzo nieliczni przechodnie. Odniósł wrażenie, że znalazł się w cichej, zamożnej wiosce, której jedynym tytułem do sławy była znajdująca się w centrum osobliwa figura.

Około sześciu przecznic od stacji kolejowej wrażenie to ustąpiło miejsca zdumieniu, gdy z

głównej ulicy wyszedł na bardzo rozległy plac. W jego centrum, może w odległości pięćdziesięciu jardów, była fontanna z zamarzną wodą. A za fontanną, na szczycie rozległego spiętrzenia schodów, wznosiło się samo opactwo otoczone wiankiem sklepów z pamiątkami, równie wdzięczne co masywne. Widząc je po raz pierwszy, Dunphy był zaskoczony wielkością budynku, a także prostotą sylwetki i brakiem ornamentacji. Był tak piękny i zarazem tak czysty w linii, że Dunphy pomyślał o Monie Lizie wykutej w kamieniu.

Pokonawszy stopnie jeden po drugim, na szczycie odwrócił się i spojrzął na plac, miasteczko i otaczające góry, Delikatny powiew wypełnił mu płuca wilgotną wonią topniejącego śniegu — i siana, i obornika. Zerkając do broszury, dowiedział się, że opactwo prowadziło gospodarstwo rolne od ponad pięciuset lat. Ponoć tutejsi mnisi słynęli z hodowli koni i bydła.

Odwrócił oczy od widoku, wszedł do kościoła przez wysokie drzwi i stanął w rozległym mroku, mrugając powiekami. Większy niż niejedna katedra, kościół przywoływał na myśl ul, migocząc płomieniami świec, rozsnuwając zapach wosku oraz intensywną woń kadzidła. Gdy oczy Dunphy'ego przyzwyczaiły się do panującego w budynku mroku, pomyślał, że znalazł się w architektonicznym oksymoronie — spektakularne wnętrze przeciwstawiało się prostocie murów, w których było zawarte. Uderzało bogactwem kwiatów, ozdób, gobelinów, malowideł, fresków i złota. Cherubinki wyzierały z każdego załomka. Kandelabry jarzyły się. Anioły fruwały i rozpościerały skrzydła na filarach i ścianach. Wyglądało to tak, jakby średniowieczny Disney miał wolną rękę i paletę składającą się z trzech barw: hebanu, kości słoniowej i złota. To nie jest kościół, do jakiego chodziłem jako dziecko, zadumał się Dunphy. To jest coś innego... ale co?

Posuwając się dalej w głąb wnętrza, które wydawało się coraz jaśniejsze, w miarę jak przystosowywały się oczy, Dunphy znalazł się przy wejściu do kaplicy Matki Boskiej. Było to wolno stojące sanktuarium w środku kościoła, zbudowane w całości z czarnego marmuru, z alabastrowymi figurami świętych na szczytach i złotymi reliefami. Kaplicę wielkości sporego belwederu otaczał wał z naręczy kwiatów, więc powietrze było aż ciężkie od zapachu zroszonych paproci i róż. Dziwna zbieranina ludzi — pielgrzymi ze wszystkich chyba krajów świata — klęczała przy kaplicy na bezlitośnie twardej podłodze, modląc się z żarliwością niepojętą dla Dunphy'ego.

Obiektem ich adoracji okazała się figura o wysokości czterech stóp, która prawdopodobnie była — musiała być — Maryją Dziewicą. Ubrana w złote szaty, z wykutymi owocami i kłosami, miała na głowie koronę, na lewym ręku trzymała dzieciątko.

Jedna rzecz zwracała uwagę: Madonna była czarna — i dzieciątko też. Nie brązowa, ale czarna. Czarna jak smoła. Czarna jak węgiel. Czarna jak noc.

Był to widok tak nieprawdopodobny, że Dunphy'emu aż dech zaparło i nasunęło mu się świętokradcze pytanie: Co, do diabła... ten posąg robi... w Szwajcarii? I natychmiast w miejsce odpowiedzi wróciło pytanie: Co robi... gdziekolwiek?

Dunphy cofnął się o kilka kroków, wyciągnął z kieszeni płaszcza broszurę dla turystów, stanął za modlącymi się i zaczął czytać:

**Przez siedem lat hrabia z rodu Hohenzollernów (Meinrad) wiódł życie pustelnika w Ciemnym Lesie, powyżej miejsca, gdzie obecnie stoi kościół klasztorny.**

**W zimie 861 roku został śmiertelnie pobity przez rabusiów, za którymi ruszyli w pościg do Zurychu jedyni przyjaciele pustelnika - magiczne kruki, z którymi żył się przez długie lata samotności. W Zurychu zaatakowały morderców, robiąc taki harmider wokół nich, że winowajcom czym prędzej wymierzono sprawiedliwość.**

**Klasztor i kościół zbudowano nad jaskinią Meinrada w 934 roku. W kolejnych wiekach klasztor ucierpiał od serii pożarów, aż w końcu został odbudowany w obecnej formie w osiemnastym wieku.**

**W 1799 roku wysiano do Einsiedeln agentów Napoleona, żeby przechwycili Czarną Madonnę, ale mnisi dowiedzieli się o tym zawczasu i przesmuglowali Najświętszą Pannę w austriackie góry. Tam pomalowano ją na białą, by nie została rozpoznana. Minęły trzy lata wygnania, posągowi przywrócono pierwotną barwę i oddano do Einsiedeln.**

**Zachowana do dziś czaszka świętego Meinrada spoczywa w złotej szkatule u stóp Madonny. Co roku jest wyjmowana i wystawiana podczas specjalnej mszy.**

— *Sie ist verblüfft, nicht ist sie?*

Na pytanie zadane nabożnym szeptem tuż przy jego uchu Dunphy był na tyle nieprzygotowany, że aż podskoczył — tego odruchu nie udało się ukryć. Myśląc, że jest śledzony, odwrócił się w stronę, skąd dochodził głos, spodziewając się najgorszego. Ale to nie był Blondyn i nie Jock. To był Amerykanin w czarnym trenczu, o bladej twarzy. I z bródką a'la van Dyck.

— Słucham? — odezwał się Dunphy.

Teraz z kolei ten człowiek był zaskoczony.

— Och, jest pan Amerykaninem. Mówiłem właśnie... — Jego głos znowu ścichł do szeptu. — Mówiłem właśnie, że ona jest naprawdę niezwykła.

Dunphy skinął głową.

— O tak, to prawda.

Mężczyzna wyglądał na zakłopotanego.

— Myślałem, że jest pan Niemcem — wyznał. — Zazwyczaj się nie mylę.

Dunphy zmarszczył czoło w zamyśleniu i przekrzywił głowę na bok, jakby chciał powiedzieć: Zdarza się.

— Poznaję po butach — dodał mężczyzna, wskazując wzrokiem na posadzkę. — Buty zdradzają, zawsze.

Dunphy znowu przekrzywił głowę, co teraz miało znaczyć: Serio? I w tym momencie ponad ramieniem mężczyzny zobaczył sunącą ku nim grupę ośmiu czy dziewięciu bladych mężczyzn pod czterdziestkę ubranych w jednakowe czarne trencze — nie wyglądali na turystów.

— Mój fanklub — wyjaśnił mężczyzna.

Przez chwilę Dunphy myślał, że przyszli po niego. Ale nie, to była grupa turystyczna, choć miało się wrażenie, że składa się z samych wampirów w średnim wieku. Potem Dunphy zauważył z pewnym niepokojem, że przynajmniej dwóch z tej grupy nosiło krawaty bolo — te akcesoria trochę go zaniepokoiły.

Nagle jeden z turystów odwrócił się plecami do kaplicy i zaczął przemawiać do grupy z cudzoziemskim akcentem, jakby wyjętym z filmu *Uwolnienie*.

— A jeśli chodzi o pytanie, które zadałem wcześniej...

o życie Meinhada, zanim przybył tutaj. Kto zna odpowiedź? — Nikt się nie ruszył, na co mężczyzna uśmiechnął się z samozadowoleniem. — To niewiarygodne, przyznaję, ale odpowiedź brzmi: Pahacelsus! — Spozierał kolejno na ich twarze, kwitując zaskoczone miny kiwaniem głową. — To phawda. Stahy Pahacelsus... phawdopodobnie największy alchemik wszech czasów... uhodzony dokładnie tutaj... na szczycie Etzel, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie mieszkał Meinhad. Macie pojęcie! No i tehadz powiedzcie, jak to jest z tymi niebieskimi jabłkami?

Kiwając głowami i chichocząc radośnie, mężczyźni z grupy wymienili między sobą zadziwione spojrzenia. Dla Dunphy'ego było oczywiste, że uchylono im właśnie rąbka jakiejś tajemnicy, a przynajmniej tak im się wydaje.

— Muszę już wracać — powiedział. — Miło się z panem rozmawiało. — I z gestem pozdrowienia zrobił krok w tył, odwrócił się plecami do kaplicy i wyszedł.

Na zewnątrz śnieg prószył tak rzadko, że Dunphy'emu wydawało się, iż mógłby policzyć wirujące w powietrzu płatki. Wcisnąwszy ręce w kieszenie płaszcza, zszedł po schodach na plac szybkim, marszowym krokiem. Myślał o człowieku w trenczu i ludziach, którzy z nim przyszli, zastanawiając się, kim oni są i czy są tymi, za których on ich uważa — i nagle jego podejrzenia się potwierdziły. Na krańcu placu stał z pracującym silnikiem czarny minivan, a w zimnym powietrzu unosiły się chmurki płynące z rur wydechowych. Na boku auta dziwny herb — korona w aureoli z zastępem aniołków wokół oraz napis:

MONARCH ASSURANCE

## ZUG

Spotkał się z Clementine (a raczej Veroushką, jak wołała, by ją teraz nazywać) na parkingu przy stacji kolei podmiejskiej w Zug. Prowadząc wynajętego VW golfa, mówiła mu rozemocjonowana, że już zameldowała się w Ochsen Hotel — który jest „bajkowy” — i była „na przechadzce” po mieście.

— W Zug jest więcej zarejestrowanych firm niż mieszkańców! — wyrzuciła z siebie. — Wiedziałeś o tym?

— Uhuhu — mruknął Dunphy, spoglądając przez ramię. — A gdzie jest ten hotel?

— Trzeba przejechać kawałek Baarstrasse... to znaczy Niedźwiedzią Ulicą; to ta, na której jesteśmy. A jezioro jest o rzut beretem.

Dunphy ustawił sobie boczne lustro, aby widzieć, czy ich nie śledzą, ale trudno było orzec. Baarstrasse to ruchliwa ulica i za nimi jechało mnóstwo samochodów.

— Dlaczego wybieramy się nad jezioro?

— Bo jest piękne i dlatego, że jestem głodna. A tam są najfajniejsze knajpy.

Może być i tak, pomyślał Dunphy. Rano będziemy bardzo zajęci.

Miasto go zadziwiło. Nowoczesność i high-tech w dobrym guście, atrakcyjne funkcjonalne biurowce stojące ramię w ramię z tradycyjnymi konstrukcjami, w tym bardzo starymi. Mogłoby to być architektoniczną katastrofą, ale nie było, gdyż to, co nowe, budowano tu na ludzką miarę. Dunphy nie widział żadnych drapaczy chmur, za to mnóstwo drzew.

A w centrum tego wszystkiego, zaledwie pięć minut od stacji kolejowej, znajdowała się część staromiejska, labirynt brukowanych uliczek, gdzie w obrębie średniowiecznych starych murów miejskich miały przytulisko ekskluzywne urocze sklepiki sprzedające biżuterię, dzieła sztuki, stare mapy i dobre wina.

Zostawili samochód na parkingu Ochsen Hotel i Dunphy pozwolił Clem poprowadzić się na drugą stronę ulicy i dalej na starówkę.

Weszli przez przejście w murach koło ratusza i wędrowali uliczkami oświetlonymi latarniami gazowymi, aż dotarli do małego parku nad brzegiem jeziora Zug. Zmierzch już gęstniał, nad Alpami wstawał księżyc w pełni. Obejmując Clem w pasie, Dunphy przyciągnął ją do siebie.

— O czym myślisz? — wyszeptał.

— O jedzeniu — odpowiedziała.



Weszli do bistro z wielodzelnymi oknami w koronkowych firankach i z widokiem na jezioro. O tak wczesnej porze mieli restaurację prawie wyłącznie dla siebie. Usiedli przy drewnianym stole plecami do cicho trzaskającego kominka, zamówili słodkowodną rybę i longeole z plackiem ziemniaczanym po bemeńsku oraz schłodzoną butelkę chateau carbonnieux.

Mogli już przystąpić do poważnej rozmowy.

— Musimy wcześniej wstać — powiedział Dunphy. — To podstawa.

— O której?

— Nie wiem. O wpół do szóstej albo szóstej. Chodzi o to, że mam czas tylko od siódmej do pierwszej... i to w najlepszym razie. Bezpieczniej byłoby założyć, że od siódmej do dwunastej.

Pociągnęła łyk wina, cmoknęła, uśmiechnęła się.

— Jest sexy — powiedziała.

— Jak Clem.

— Powinieneś mówić do mnie Veroushka.

— Clem...

— Nieważne, a co to za miejsce, dokąd idziesz?

— Nazywa się Monarch Assurance... na Alpenstrasse.

— Czyli to jest towarzystwo ubezpieczeniowe.

— Nie.

— A więc co?

Dunphy potrząsnął głową.

— Nie jestem pewien — odpowiedział. — Jakieś specjalne archiwum.

— Czyje?

— Firmy.

— To znaczy...

— Firmy, dla której pracowałem.

— I trzymają archiwum tutaj. W cholernym Zug?

Dunphy skinął głową.

— Ale dlaczego? — spytała. — Dlaczego ktoś miałby akurat tutaj cokolwiek przechowywać?

— Nie wiem — odparł Dunphy. — Ale właśnie tu mają swoje najtajniejsze informacje.

— Wydawałoby się, że powinni je przechowywać w zasięgu ręki.

— Właśnie. Tak by się wydawało. I niesłusznie.

Clem zmarszczyła brwi.

— Skąd wiesz o tym miejscu? — zapytała.

Dunphy nalał sobie drugi kieliszek wina, pokręcił nim w blasku ognia i opowiedział jej, jak narozrabiał jako referent w dziale FOIA.

— Nic dziwnego, że są na ciebie wściekli! — wykrzyknęła.

— Fakt — mruknął Dunphy. — Nic dziwnego.

— A jak mamy się z tego wypłatać? Bo jeśli ten Francuz nie zabije cię za kradzież jego pieniędzy...

— To nie były jego pieniądze.

— ...to robi to CIA. — Patrzyła na niego wyczekująco, ale nic nie powiedział. — Więc?

— Co więc?

— Co zamierzasz z tym zrobić?

— Z czym? — zapytał. — Z Francuzem czy Agencją?

Zawiesiła na nim wzrok.

— Bo to dwie różne sprawy — tłumaczył. — Lecz nie sądzę, żebym musiał przejmować się Blémontem... chyba że ty byłaś śledzona. A niby dlaczego ty? Nie znają cię. W każdym razie dziś nie widziałem nikogo, więc... pozostaje Agencja. Ale nie wiem, co mam powiedzieć o Agencji, bo nawet nie wiem, w czym problem, jeśli o nich chodzi.

— Czyli beznadzieja — wyraziła swą opinię Clem.

Dunphy potrząsnął głową.

— To nie jest beznadziejne. Bo chociaż nie wiem, jaki jest problem, to wiem, gdzie mam szukać odpowiedzi. W tym archiwum, kawałek stąd. I ty mi pomożesz dobrać się do nich, bo inaczej...

— Co?

Popatrzył na nią przez chwilę, po czym pochylił się ku niej i wyszeptał jej do ucha:

— Oj, będzie mamie!



Następnego ranka obudzili się o wpół do szóstej, na śniadanie zjedli po toście i wypili kawę na Alpenstrasse, kilka przecznic od Monarch Assurance Company. Plan zakładał, że Dunphy sforsuje wstęp do Archiwum Specjalnego, a Clem zarezerwuje bilety na Teneryfę na popołudnie.

— Jedź na lotnisko — powiedział Dunphy. — Kup bilety i wracaj po mnie.

Clem skinęła głową.

— O pierwszej.

— O pierwszej musisz już czekać... tutaj, nie wyłączając silnika. Albo będzie po mnie. Czas decyduje o wszystkim. Jest sześć godzin różnicy między Waszyngtonem a Zug, i to jest to okienko. Przepustka Maksa pozwoli mi wejść do budynku, ale o dostęp do archiwum... będą chcieli zapytać kogoś z Langley. Nie kogokolwiek z Langley, będą chcieli rozmawiać z facetem, który nazywa się Matta.

— A on powie okay? — spytała Clem.

— Nie, on im powie, żeby mnie zabić. I stąd tak ważna jest różnica czasu. Nie będą do niego dzwonić w środku nocy, nie będzie bezpośredniego zagrożenia. Ewidentnego, w każdym razie. I żadnej obawy, że sobie wyjdę. Z ich punktu widzenia, oczywiście. Więc poczekają do nadejścia ranka w Stanach i wtedy zadzwonią. Zakładam, że moja przepustka straci ważność około pierwszej po południu. Potem będzie źle.

Clementine zastanawiała się przez chwilę, by w końcu zapytać:

— A jeśli nie będą mieli skrupułów, żeby go obudzić?

Dunphy zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

— Pytasz, Veroushka, co robić, jeśli nie będę siedział z tobą w samochodzie pięć po pierwszej? Zabieraj pieniądze i uciekaj.



Zostawiając Clem nad filiżanką kawy, Dunphy poszedł wzdłuż Alpenstrasse w poszukiwaniu Monarch Assurance. Nie zwracał sobie głowy patrzeniem na numery. Budynek widział z daleka, jakieś trzy przecznice przed sobą. Była to ultranowoczesna sześciopiętrowa bryła — niebieskie szkło, nieprzezroczysty mat. Jakby była oklejona szyldami CIA... A jednak okazało się, że się mylił, że poszedł za daleko. Niebieski sześcian był siedzibą dużej firmy handlowej. Monarch zostawił w tyle.

Wracając tą samą drogą, minąłby właściwy budynek po raz drugi, gdyby nie usłyszał amerykańskich głosów. Odwrócił się i zobaczył, że jest przy Alpenstrasse 15. Niezwracająca uwagi mosiężna tabliczka wisiała na ścianie starego gmaszyska z pruskiego muru i z oknami w ołowianych ramach.

MONARCH ASSURANCE, AG

Budynek wymagał odnowienia, niemniej był tam spory ruch, ludzie spieszyli do pracy mimo wczesnej pory. W większości, jak zauważył Dunphy, byli to mężczyźni i prawie wszyscy mieli na sobie ciemne płaszcze, a pod nimi ciemne marynarki, i dlatego Dunphy nie myślał rozstać się szybko ze swoim płaszczem. Kto wie, co by mogli pomyśleć o jego sportowej marynarce w kurzą stopkę?

Biorąc głęboki wdech, włączył się w ludzki potok wlewający się do środka przez przytłaczająco wysokie, zabytkowe drewniane drzwi, szeroko otwarte na mróz.

Wewnątrz, za lśniącą mahoniową ladą, siedział sztab recepcjonistów obsługujących telefony i gości. Dunphy udał, że ich nie widzi, i dołączył do urzędników czekających w kolejce do obrotowej bramki high-tech. Całe miejsce, pełne ludzi i gwarne, kojarzyło mu się z ułem.

Obserwując osoby stojące przed nim, widział, że każda wkłada swoją przepustkę w otwór po lewej stronie bramki, przyciskając jednocześnie prawy kciuk do podświetlonego szklanego panelu po prawej. Mijała zaledwie sekunda i słychać było czinnnk! — jakby zegar kontrolny odbijał kartę — i pracownik przechodził do holu po drugiej stronie.

Kiedy przyszła kolej na Dunphy'ego, serce zaczęło mu łomotać. Wkładając przepustkę w otwór, przycisnął prawy kciuk do szkła i czekał... licząc mijające sekundy. Trzy. Cztery. Pięć. Cichy pomruk, raczej wyrażający zniecierpliwienie niż groźbę, owiał mu plecy.

— Nie rozumiem — zamruczał, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności. — Zawsze dotąd działało. — Dostrzegł, że jeden z recepcjonistów unosi się zza lady ze wzrokiem utkwionym w niego. Facet wyglądał na zaniepokojonego.

Zabiję tego pieprzonego Rosjanina, pomyślał Dunphy i ponownie włożył przepustkę. I znowu nic. Recepcjonista już stał, a Dunphy był gotów brać nogi za pas. Przy odrobinie szczęścia mógłby dobiec do drzwi i zniknąć...

— Jest do góry nogami...

Aż podskoczył na ten głos i gdy zwrócił się w stronę, skąd dobiegał, serce wprost tłukło mu się o żebra. Czarny trencz. Krawat bolo. Dwuogniskowe okulary.

— Słucham?

— Pańska karta... jest do góry nogami. — Facet skinął w stronę bramki.

Dunphy spojrzał.

— Coś takiego — rzekł i manipulując kartą, przełożył ją tak, by hologram został wciągnięty do otworu. Czinnnk! — Dzięki. — Był zlany potem.

Szeroki korytarz biegł około trzydziestu stóp prosto, po czym ostro zakręcał w prawo, a dalej przechodził w półpiętro jakby wyjęte z filmu o Batmanie. Posadzka z czarnego marmuru i trawertynowe ściany kontrastowały z windami z nierdzewnej stali. W centralnym punkcie pomieszczenia, jako jedyna jego ozdoba, stał przezroczysty cylinder na złotym postumencie obłożony kwiatami. Wewnątrz szkła replika *la protectrice*. Nawet jeszcze czarniejsza niż marmur na podłodze. Przedziwna dekoracja jak na budynek rządowy — jeżeli takim był.

Obserwując sygnalizatory windy przesuwane się od jednego do pięciu, Dunphy zorientował się, z pewnym opóźnieniem, że istnieje tu zasadnicza sprzeczność: jednopiętrowy budynek z pięcioma piętrami. Znaczyło to, że jego większa część znajduje się pod ziemią.

— Hej, dawno się nie widzieliśmy! — Poczul klepnięcie w plecy, co go wystraszyło. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę z bródką à la van Dyke, turystę z opactwa.

— Hej — odwzajemnił się z wymuszonym uśmiechem. — Od świtu na nogach.

Mężczyzna wruszył ramionami.

— To nie nowina. A ty? Po raz pierwszy tutaj?

Dunphy potrząsnął głową.

— Nie, ale minęło trochę czasu... tak... kiedy się spotkaliśmy, dopiero co przyjechałem do



miasta.

— I nie mogłeś się doczekać... żeby Ją zobaczyć! — Mężczyzna roześmiał się i potrząsał głową, udając zadziwienie.

Przez chwilę Dunphy nie wiedział, o co tamtemu chodzi. Ale po sekundzie zrozumiał i wyszedł naprzeciw oczekiwaniu faceta — przyoblekł twarz w uśmiech zażenowania.

— Zgadłeś — powiedział.

Przyjechała winda i obydwaj wsiedli. Z głośników cicho płynęła muzyka klasyczna. *Mesjasz*, pomyślał Dunphy, ale zawsze tak myślał, kiedy słyszał muzykę klasyczną. W jego guście było co innego: Cesaria Evora albo, jeśli popił, Cowboy Junkies.

— Dokąd jedziesz? — zapytał mężczyzna, wciskając guzik.

Po raz drugi w ciągu tej samej minuty Dunphy nie wiedział, co powiedzieć. Facet z brodą stał z wyrazem oczekiwania na twarzy i ze wskazującym palcem nad panelem sterowania. Wreszcie Dunphy rzucił:

— Do biura szefa.

Mężczyzna zareagował miną mówiącą, że jest pod wrażeniem, i stuknął palcem w odpowiedni przycisk. Weszło jeszcze kilka innych osób, drzwi się zamknęły i dźwig rozpoczął bezszelestny zjazd. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły i kiedy nikt się nie ruszył, Dunphy wysiadł.

— W lewo — powiedział facet. — Do końca korytarza.

Korytarz — szeroki, dyskretnie oświetlony — miał wykładzinę w kolorze śliwkowym, fioletoworóżowe ściany i kinkiety w stylu modeme. Na ścianach wisiały obrazy i grafiki w bogato rzeźbionych, połączonych ramach. Stary drzeworyt przedstawiający *Grób Jakuba de Molaya*. Szkic architektoniczny w technice akwarelowej nieokreślonego zamku... katedry — obydwu. Obraz olejny, na którym leżącemu rycerzowi obcina włosy piękna dziewczyna. Kolejny obraz, na oko Dunphy'ego z cyklu Yoricków, przedstawiający pasterza w pejzażu bez wątpienia arkadyjskim, zadumanego nad czaszką... Yoricka. Meinrada. Kogoś.

Wreszcie Dunphy dotarł do drzwi z przydymionego szkła znajdujących się na końcu korytarza. Na szkle było jedno słowo: DYREKTOR.

Serce mu waliło w piersi, więc musiał zebrać całą odwagę, by energicznie zapukać, a potem, bez czekania na odpowiedź, wtargnąć do środka. Kobieta o ptasiej twarzy i szpakowatych włosach spojrzała sponad superpłaskiego monitora. Miała na nosie okulary do czytania w szylkretowej oprawie i wydawała się bardziej poirytowana niż zaskoczona.

— *Kann ich Ihnen helfen?*

— Jeśli zacznie pani mówić po angielsku — powiedział Dunphy i rozejrzał się po pokoju. — Przyszedłem tutaj, żeby zobaczyć się z dyrektorem.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

— To niemożliwe — oświadczyła z niemieckim akcentem. — Zacznę od tego, że trzeba być umówionym na spotkanie. A pan, jak sądzę, nie jest.

— Nie — odpowiedział Dunphy. — Nie jestem. Ale mam mocniejszy argument.

— Ach tak?

— Tak. Mam zadanie specjalne. — Wskazał głową na drzwi w kącie pokoju i ruszył w ich stronę. — To jego biuro?

Myślał, że kobieta zacznie lewitować. Na razie uniosła się na krześle.

— Nie! To znaczy tak, oczywiście, że tak, ale to nie pańska sprawa. Nie ma go tutaj. A w ogóle to kim pan jest? — Położyła rękę na słuchawce telefonu.

Udając wielką irytację, wyjął przepustkę i pokazał jej. Zerknęła na nią i zapisała nazwisko w notatniku leżącym na biurku.

— Był już pan tutaj — powiedziała, ale robiła wrażenie niepewnej.

Dunphy skinął głową z niewyraźną miną.

— Raz czy dwa, ale bardzo dawno temu.

— Bo pamiętam nazwisko, ale pana... — wpatrywała się w niego znad okularów do czytania, potem potrząsnęła głową.

— Musiała pani widzieć je w aktach czy gdzieś, bo nie byłem tutaj od lat.

Nie wydawała się przekonana.

— Może.

— Tak czy inaczej kiedy przychodzi dyrektor? — zapytał Dunphy, chcąc zmienić temat.

— Zwykle nie wcześniej niż o ósmej. Dzisiaj w ogóle go nie będzie.

Ta odpowiedź zaskoczyła Dunphy'ego i na moment stracił rezon. Zakładał, że facet będzie w pracy.

— W ogóle?

— Właśnie.

— A dlaczego? Gdzie jest?

— W Waszyngtonie... coś się dzieje. Więc jeśli nie ma pan nic...

Dunphy spróbował strzelić.

— Chodzi o tę sprawę z Schidlofem?

Zaskoczona kobieta wyraźnie zmiękła.

— Tak — odparła, sadowiąc się głębiej na krześle. — Była strzelanina...

Niecierpliwym skinieniem głowy Dunphy dał do zrozumienia, że wie o wszystkim.

— W Londynie — rzekł. Idź tym torem, powiedział sobie. To może być dobre.

Przytaknęła i była wyraźnie pod wrażeniem, że on sporo wie.

— Właśnie dlatego tu jestem — wyjaśnił Dunphy. — Biedny Jesse.

— Mówią, że wyjdzie z tego.

— Może i wyjdzie, ale nie bez szwanku. — Popatrzył na nią 242 ze skupieniem na twarzy.

— Będę potrzebował trochę miejsca do pracy — dodał. — Na kilka dni. Może tydzień. I muszę mieć bezpośrednie połączenie do biura Harry'ego Matty w Langley.

Zrobiła okrągłe oczy, gdy usłyszała nazwisko.

— Hmm — minę miała niepewną.

— O co chodzi?

— Nie wiem, co myśleć

— O czym?

— O tym!

— Jest pani sekretarką dyrektora, tak?

— Właściwie to... jestem jego asystentką — poprawiła.

— Tym lepiej — przyjrzał się tabliczce z nazwiskiem na jej biurku. — Hilda, tak?

Odpowiedziała mu bardzo wstrzemięźliwym skinieniem głowy niechętna takiej poufałości.

— W porządku, Hildo, proponuję, żebyśmy zaczęli od razu.

— Ale ja nie mogę przydzielić panu biura. Na to muszę mieć zgodę. Może zastępca dyrektora... — Sięgnęła po telefon.

Dunphy wywrócił oczami, przekrzywił głowę i zapytał:

— Czy ja wyglądam na herolda? Albo straż przednią?

To pytanie zbiło ją na moment z tropu. Potem potrząsnęła głową.

— Nie.

— Dobrze. Jeśli jednak są wątpliwości, zadzwońmy po prostu gdzie trzeba.

— Do kogo?

— Do dyrektora.  
— No tak, ale...  
— Jaki to numer? — Sięgnął po telefon, ale ona przytrzymała słuchawkę ręką.  
— Nie możemy teraz do niego zadzwonić. Tam jest wpuł do drugiej.  
— Więc jeśli nie chcesz budzić swojego szefa, wybierz numer Langley — nalegał Dunphy.  
— Powiedz im, żeby połączyli cię z Mattą. Jego wyciągniemy z łóżka.  
— Ale co miałabym powiedzieć? — zapytała, a oczy rozszerzyły się jej w panice.  
— Powiedz mu, że nie wiesz, czy można udostępnić mi biuro. Dobre pytanie o drugiej w nocy. Jestem pewien, że będzie pod wrażeniem.  
Była skonsternowana.  
— Z powodu?  
— Że wykazujesz się inicjatywą.  
— Aha — powiedziała — ale po co ta ironia.  
Dunphy się uśmiechnął.  
— Przepraszam... żyję w wielkim napięciu. — Przerwał i pochylił się ku niej współczująco i konfidencjonalnie. — Posłuchaj — tłumaczył — jeśli dasz mi jakiś gabinet, możemy porozmawiać z nimi po południu, jak najwcześniej. Z twoim szefem, moim szefem, z kim zechcesz. A oni potwierdzą, co mówię. Widziałas moją przepustkę. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie był z ramienia firmy. — Widział niemal, jak kobieta wyteża mózg. Matta... Curry... przepustka.  
— Dobrze — rzuciła, podnosząc rękę, by nie dopuścić go do słowa. — Jest pokój na czwartym piętrze...  
— Czwarte piętro będzie w porządku.  
— Zadzwonię do dyrektora o pierwszej... jest rannym ptaszkiem. A wtedy, jeśli on uzna za stosowne, skontaktujemy się z Herr Mattą.  
— Świetnie — powiedział Dunphy. — Jeśli wskażesz mi drogę, wezmę się do roboty.  
Podniosła słuchawkę.  
— Ochrona cię zaprowadzi.  
— I jeszcze jedno.  
— Tak?  
— Potrzebuję kogoś, kto by mógł taszczyć dla mnie akta.  
Otworzyła usta.  
— Akta? Taszczyć?  
— Dokładnie. A po co według ciebie potrzebny mi pokój?  
— Nie wiem. No po co?  
— Żeby dokonać oceny szkód.  
— Co?  
— Ocenić szkody. — Popatrzył na nią badawczo. — Wiesz, co się stało z Currym, tak?  
— Oczywiście. Była depesza. .  
— To wiem — powiedział. — Sam ją pisałem. No więc facet, który do niego strzelał...  
— Dunphy...  
Wyglądał na poruszonego. Był poruszony.  
— Właśnie. Jack Dunphy... który, tak się składa, jest podłym sukinsynem. Wybacz, że się wyrażam.  
Wzruszyła ramionami.  
— Na co dzień mam wokół mężczyzn — stwierdziła. — Jestem do tego przyzwyczajona.  
— Jasne. W każdym razie Dunphy pracował dla Agencji... wiedziałas o tym, prawda?

— Oczywiście.

— I wiesz, co robił... jakie zajmował stanowisko?

— Nie.

Dunphy zmarszczył brwi.

— Myślałem, że podałem to w depeszy

— Chyba nie.

— W każdym razie był facetem z FOIA. — Widząc jej zdziwioną minę, wyjaśnił: — To część zespołu powołanego na mocy ustawy o jawności informacji.

— Ach tak? — Robiła wrażenie zdziwionej i zarazem jakby poczuła ulgę. — Czy to wszystko?

— Tak. Dlatego robię ocenę strat.

Ze sposobu, w jaki na niego patrzyła, było jasne, że nic z tego nie zrozumiała.

— Harry uważa, że doszło do przecieku — wyjaśnił.

— Przecieku?

— Z akt Andromedy. Ten sukinsyn poruszał się po nich, jakby surfował po necie.

Na pozór wydawała się nie przyswajać tej informacji. Jednakże po chwili lub dwóch jakby zachwiała się na krześle. Przez sekundę Dunphy miał wrażenie, że straci równowagę. Ale nie.

Dalej siedziała, była tylko coraz bledsza i bledsza, a w końcu zerwała się na nogi i powiedziała:

— A więc trzeba posadzić cię z miejsca do roboty, prawda?

Pierwsza partia dokumentów nie nadchodziła przez blisko godzinę, tak że Dunphy był niemal sparaliżowany własną bezsilnością. Wierzył co prawda, że nie zadzwonili do Matty o drugiej nad ranem, ale po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że w Archiwum Specjalnym może być kopia akt osobowych Bradinga. W końcu to tutaj wydano mu przepustkę. Więc kobieta, z którą rozmawiał, Hilda, nabrawszy podejrzeń, mogła te akta wyciągnąć — w takim wypadku zorientowałyby się natychmiast, że Dunphy wcielił się w osobę o wiele od siebie starszą. I wtedy by po niego przyszli.

Pokój, który dostał, przypominał celę bez okien — trzy długie kroki na trzy i ledwie mieścił biurko i krzesło, na którym właśnie siedział Dunphy. Na wieszaku przy drzwiach wisiał jego płaszcz — i na tym koniec. Był telefon, ale żadnej książki, więc nie miał co robić, póki jego „asystent” — ochroniarz o byczym karku imieniem Dieter — nie wparował z kilkoma szarymi teczkami oznaczonymi *Schidlof*. Dunphy sprawdził na zegarku godzinę. Była ósma dwadzieścia pięć.

— Trzeba pokwitować pobranie — oświadczył Dieter, podając mu podkładkę.

— Kiedy będę to czytał — powiedział Dunphy, gryzmołąc nazwisko Bradinga na liście obiegu dokumentów — niech mi pan wyciągnie wszystko, co macie o facecie o nazwisku Dunphy... D-U-N-P-H-Y... i imieniu Jack. Zapamięta pan?

— Oczywiście.

— I będę chciał też przejrzeć kartoteką Optical Magick oraz wszystko, co pan znajdzie na temat... hmm... Rejestru bydła.

— Dieter zmarszczył brwi.

— Jakiś problem? — zapytał Dunphy.

— Mamy wózki — odrzekł Dieter — ale ten rejestr... to niemożliwe. Potrzebowałbym ciężarówki.

Dunphy spróbował naprawić swój błąd.

— Tylko ostatnie dwa miesiące. Nowy Meksyk i Arizona.

Wydawało się, że tym uspokoił swojego nowego asystenta.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Dunphy usiadł z westchnieniem ulgi i natychmiast zabrał się do akt z gorączką i podnieceniem dwunastoletniego chłopca, który przez przypadek natknął się na pornografię skrzętnie ukrywaną przez rodziców.

Jego pierwsze wrażenie było takie, iż kartoteka Schidlofa jest nietypowa i różni się od innych dossier, jakie widywał w Agencji. Zwykle dla osoby będącej obiektem zainteresowania operacyjnego CIA zakładano kartotekę 201 i sporządzano wywiady środowiskowe. Ale w dossier Schidlofa nie było takich wywiadów — wyłącznie faktografia. Billingi telefoniczne oraz dokumentację operacji kartami kredytowymi umieszczono w oddzielnych teczkach, podobnie kopie poszczególnych stron paszportu rejestrujące większość miejsc, do których podróżował w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Było też trochę czarno-białych odbitek stykowych wskazujących na to, że zdjęcia robiono teleobiektywem z jadącego samochodu. Na zdjęciach Dunphy rozpoznał dom profesora (pomagał Tommy’emu Davisowi robić rekonesans) i samego Schidlofa także. Przedstawiały profesora wychodzącego do pracy, wyjmującego pocztę, wracającego do domu i tak dalej. Wygląda zdrowo jak na człowieka, z którego wkrótce pozostanie jedynie kadłub, pomyślał Dunphy.

Sedno sprawy tkwiło w tym, że dossier Schidlofa nie zawierało materiału dochodzeniowego. Ktokolwiek zbierał informacje, był zainteresowany nie tyle osobą Schidlofa, ile problemem, jaki ten stwarzał. Stąd nie miało znaczenia, jakich miał przyjaciół ani co myśleli o nim sąsiedzi. Potrzebny był jedynie adres starego i jego wierna podobizna.

Po to, żeby ustrzelić właściwego faceta, kiedy przyjdzie na to pora.

Co oznaczało, iż Schidlof kogoś wkurzył (Curry'ego lub Matę). Albo jeszcze gorzej — że ich przestraszył. I gdy to zrobił, zadano pytanie: „Kim jest ten skurwysyn?”. I bum! — Agencja przysłała gotową odpowiedź w formie dossier: Oto jest ten gość. Tak wygląda. Tutaj mieszka.

Wyglądało na to, że większość informacji zebrano po jednym rozpoznaniu. Dunphy nie był wprawdzie pewny, kiedy się zaczęło, ale mógł domniemywać, że stało się to we wrześniu zeszłego roku. Przeglądając pękatą teczkę z kopiami obciążeń kart kredytowych i kolejną z wykazem połączeń telefonicznych, zauważył, że nie było w nich pozycji po dziewiątym wrześniu. Wynikało z tego, że mniej więcej w tym czasie, czyli sześć, siedem miesięcy temu, Schidlof znalazł się w polu zainteresowania samego Matty. Z dossier Dunphy dowiedział się następujących rzeczy:

Leon Aaron Schidlof (M.A., Oxon.; Dip. Anal. Psy, Zurych) to obywatel brytyjski, urodzony czternastego października 1942, w mieście Hull. Absolwent oksfordzkiego New College (1963), przeszedł trening psychoanalityczny w Instytucie C.G. Junga w Zurychu. Współautor wielu prac zbiorowych i współpracownik czasopism fachowych, autor dwóch książek: *A Dictionary of Symbols* (New York 1979) i *Die Weiblichen in der Jungian psychology* (Heidelberg 1986) poświęconej jungowskiej psychologii analitycznej.

Po dwudziestu latach praktyki psychoanalitycznej w Londynie przyjął stanowisko wykładowcy i prowadził seminarium w King's College przy ulicy Strand. Nigdy nieżonaty, jego najbliższą krewną jest siostra zamieszkała w Tunbridge Wells w Kencie. Na koniec podano adres samego Schidlofa (ten Dunphy znał na pamięć).

Wszystko to bardzo niewinne, osądził Dunphy. Komu przy-szłoby do głowy, że taki gość mógłby wyskoczyć z czymś groźnym.

Zabrał się następnie do teczek z historiami kart kredytowych i połączeń telefonicznych. Prawdę mówiąc, nie wiedział, na co miałyby go naprowadzić, i zastanawiał się, czy Matcie w ogóle na nich zależało. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zebrano te dane, ponieważ to było łatwe zadanie i tajniacy wykonali je, żeby wydawało się, iż wiedzą, co mają robić. Ale parę rzeczy rzucało się w oczy. Na przykład to, że było dużo lotów liniami Swissair. Dwa w czerwcu, po jednym w lipcu, sierpniu i we wrześniu. Co o tym myśleć?

Dowody opłat za loty Swissair nie informowały o miejscu docelowym, ale nie musiały: obciążenia kart kredytowych zawierały przelewy za hotel dokonywane w tych samych miesiącach. Konto było zawsze to samo: Florida, Seefeldstrasse 63, Zurych.

Dunphy znał to miejsce. Czysty, średniej klasy hotel, kilka przecznic na wschód od Bellevueplatz, na którym jak w mikserze mieszały się linie tramwajowe. Całkiem przyzwoite miejsce dla ludzi na państwowych pensjach, typ hotelu, w jakim spotkasz nauczyciela akademickiego, który zatrzymał się na pobyt naukowy w kraju tak droгим jak Szwajcaria.

Ale Swissair to nie były jedyne linie lotnicze, jakimi latał Schidlof. Na jego rachunku Visa odnotowano piątego września wpłatę na rzecz British Airways. Inne przelewy dokumentowały wizytę Schidlofa w Nowym Jorku szóstego i siódmego tegoż miesiąca. Zatrzymał się w Washington Square Hotel, a jadał w indyjskich lokalikach na Third Avenue.

I co z tego?

Dunphy ponownie przejrzał wcześniejsze przelewy. Ostatnia wizyta profesora w Zurychu miała miejsce trzeciego września. Podróż do Nowego Jorku odbyła się trzy dni później —

wkrótce potem facetowi założono podsłuch. Co sugerowało (ale nie dowodziło), że te trzy zdarzenia były ze sobą powiązane: podróż do Zurychu, pobyt w Nowym Jorku i zainstalowanie pluskwy w telefonie.

Co Schidlof robił w Nowym Jorku? — zastanawiał się Dunphy. Odpowiedź wiąże się z pytaniem: Co robił w Zurychu?

I już w stanie frustracji pomyślał: Co Schidlof w ogóle robił, gdziekolwiek był?

Następnateczka zawierała historię rachunku Schidlofa, anulowane czeki i... rewelacyjne odkrycie. Czwartego września, podczas pobytu w Zurychu, profesor wystawił czek na dwa tysiące funtów na nazwisko niejakiej Margharithy Vogelai. Trzy dni później, w trakcie wizyty w Nowym Jorku, wypisał skromniejszy czek dla prywatnej firmy Gil Beckley i Spółka.

Nazwisko wydawało się znane. Dunphy widział je wcześniej lub gdzieś słyszał — w telewizji, w kinie. Beckley był aktorem, kimś takim. Nie. Nie aktorem. Więc...

Przyjrzał się czekowi. Opiewał na sumę pięciuset funtów i przelanie tej kwoty z rachunku Schidlofa w National Westminster Bank w Londynie na rachunek Beckleya w oddziale Citi Banku w Nowym Jorku trwało dwa miesiące. U dołu czeku, w linii oznaczonej *memo*, widniała adnotacja skreślona własnoręcznym piśmem Schidlofa: honorarium; informowała, ale już nie mówiła za co.

I wtedy Dunphy sobie przypomniał.

Własnoręczne pismo. Beckley nie był aktorem, choć często pokazywał się w telewizji. Facet był grafologiem lub, jak wolał mówić, „badaczem dokumentów”. Związany swego czasu z FBI, zakończył tam karierę i otworzył prywatny biznes. Występował jako biegły sądowy, i jak go zapamiętał Dunphy, miał wygórowane mniemanie o sobie. Dunphy oglądał go w programie stacji A&E pod tytułem *Dziennikarze śledczy*. Wynajęto go, żeby wydał opinię w sprawie autentyczności listów miłosnych J. Edgara Hoovera do jednego z agentów o nazwisku Purvis. Dunphy przypominał sobie, że Beckley schlaścił historię z listami, nazywając je „topornymi fałszykatami”.

Wreszcie coś interesującego. Schidlof udaje się do Zurychu i płaci tej Vogelai dwa tysiące kawałków — za coś. Potem leci do Nowego Jorku i nie waha się wybulić pięciuset funtów na honorarium dla grafologa. Następnie Schidlofowi zakłada się podsłuch, a wkrótce potem jest martwy. Więc co się stało? — pytał się w duchu Dunphy.

Pewnie, hm... odkrył jakieś dokumenty w Zurychu.

Okay... ale dlaczego potwierdzał ich autentyczność w Stanach? Dlaczego nie w Londynie?

Ponieważ są to dokumenty amerykańskie, przypuszczał Dunphy, albo ich autor jest Amerykaninem. Ale kto mógł nim być?

Rozparł się na krześle i utkwiał wzrok w suficie. Próbował przypomnieć sobie, kiedy dzwonił do niego Curry z prośbą o przysługę. Jakoś na jesieni. Wrzesień. Październik. Jakoś tak. Ale dobrze nie pamiętał. Jednakże chyba mniej więcej w tym czasie, kiedy Schidlof wrócił z Nowego Jorku.

Jedna z teczek zawierała kserokopie artykułów o Schidlofie w *Who s Who*, a także odbitki ksero umowy najmu domu oraz dokumentację zdrowotną. Była wreszcie cienka teczka, w której znalazł dwie depesze. Pierwsza o treści:

**FLASH**

TEKST TELEGRAMU 98LANGLEY 009100

STRON: 1

OD: SECURITY RESEARCH STAFF

BIURO DYREKTORA/CENTRALA W LANGLEY

DO: CIA/ COS/LONDYN

AMBASADA AMERYKAŃSKA IMMEDIATE 1130

PRIORYTET

ZAŁĄCZNIKI: NIE MA

TEMAT: SCHIDLOF

DOTYCZY: ANDROMEDA

1. KLAUZULA NAJWYŻSZEJ POUFNOŚCI — CAŁY TEKST
2. OSOBOWE ŹRÓDŁO INFORMACJI DONOSI O TELEFONICZNYM KONTAKCIE Z OBYWATELEM BRYTYJSKIM /SCHIDLOFEM LEO/ 5 WRZEŚNIA. NASTĘPNIE O BEZPOŚREDNIM KONTAKCIE W NOWYM JORKU 7-8 WRZEŚNIA.
3. SCHIDLOF PODAJE SIĘ ZA MIESZKAŃCA LONDYNU.
4. SCHIDLOF MA MATERIAŁY CHRONIONE PRZEZ ANDROMEDĘ.
5. KIM JEST SCHIDLOF?

Odpowiedź od Jessego Curry'ego przyszła następnego popołudnia. Tekst, z pominięciem nagłówek, brzmiał:

WNIOSEK WIZOWY (TAKŻE HASŁO W *WHO'S WHO*)

IDENTYFIKUJE LEONA SCHIDLOFA JAKO SPECJALISTĘ W ZAKRESIE

PSYCHOLOGII ANALITYCZNEJ JUNGA I WYKŁADOWCĘ

W KING'S COLLEGE. NIENOTOWANY W REJESTRACH KARNYCH.

CZEGO SZUKAM?

Nie było kolejnych depeesz, a przecież musiały być inne drogi komunikowania się. Gdyby Curry nie otrzymał polecenia od Matty, nie zebrałby tych wszystkich informacji i nie zleciłby Dunphy'emu założenia podsłuchu w telefonie profesora. Więc o co chodziło? O ograniczenie do minimum śladów na papierze — całkiem roztropnie. Roztropna była także decyzja posłużenia się kimś takim jak Dunphy, który pracował pod przykrywką, aby dotrzeć do kogoś takiego jak Tommy Davis. Matta mógł przecież zwrócić się do kontrwywiadu brytyjskiego w sprawie podsłuchu, ale wybrał sposób gwarantujący absolutne odżegnanie się od sprawy. W razie niepożądanego rozgłosu okazałoby się, iż pluskwy zainstalował Schidlofowi irlandzki kryminalista pracujący dla człowieka, który z kolei w ogóle nie istniał.

Fala krwi nabiegła Dunphy'emu do serca, gdy otworzył przedostatnią teczkę. Znajdowała się w niej niewielka szara koperta z okrągłą skuwką na skrzydełku. Elastyczna zawleczka przymocowana do samej koperty i zawinięta wokół skuwki chroniła zawartość. Odwinąwszy sznureczek, Dunphy odwrócił kopertą otwartym skrzydełkiem do dołu i na biurko wysypało się około tuzina mikrokaset. Witajcie!

Rozpoznał taśmy. Na każdej był numer i data własnoręcznie przez niego wypisane. Ta z numerem jeden nosiła datę 9/14—9/19 — uzyskał tym samym odpowiedź na swoje wcześniejsze pytanie: kiedy zaczęto podsłuchiwać Schidlofa? Mniej więcej tydzień po powrocie profesora z Nowego Jorku. A zarazem niemal natychmiast po telegramie Matty do Curry'ego, w którym pytał: Kim jest Schidlof?

Dobrze było to wiedzieć, ale teraz Dunphy musiał wybierać: albo poprosić swojego ochroniarza, żeby znalazł mu magnetofon w celu odsłuchania taśm, albo kontynuować czytanie dokumentów. Taśmy go kusily. Byłoby interesujące posłuchać znowu głosu Schidlofa, nawet gdyby nic z tego nie wynikało. Z drugiej strony pozostało mu niewiele czasu, jaki mógł spędzić w Archiwum Specjalnym, a przeglądając tecki, ogarnie więcej, niż przesłuchując taśmy. Lepiej



więc czytać dalej.

Ostatnia teczka zawierała przewiązany jutowym szpagatem pakiet listów, każdy złożony na trzy. Dunphy rozwiązał supeł i rozwinął pierwszą kartkę. Było to, jak się zorientował, pismo z podziękowaniami adresowane do C.G. Junga, Kiisnacht, Szwajcaria. Na zapisanej odręcznie zielonym atramentem stronie, z datą dwudziesty trzeci luty 1831, widniał nagłówek nowojorskiej firmy prawniczej Sullivan & Cromwell. Dunphy czytał:

Drogi Doktorze Jung!

Zechce Pan łaskawie przyjąć moje najszczerze podziękowania za Pański ofiarny trud na rzecz przyjęcia mnie do Zakonu Magdaleny. Od tego momentu będzie to moim światłem przewodnim na resztę życia. Pragnę zapewnić Pana, że na zawsze pozostanę Pańskim sprzymierzeńcem w naszym zespolonym dążeniu do zbudowania Nowej Jerozolimy. (Mój brat, John, pisze do Pana osobno, ale z nim rozmawiałem i wiem, że jego uczucia są odzwierciedleniem moich.) Wyrazy głębokiego szacunku i wdzięczności

Allen

Było jeszcze postscriptum:

Clove przekazuje serdeczności (i dzięki Panu wprost kwitnie).

Allen? Jaki Allen? — zastanawiał się Dunphy. I nagle przypomniał sobie wykaz materiałów w kartotece Schidlofa — nie tej, która aktualnie leżała przed nim na biurku, lecz wyszukiwanej w Langley. Dulles... Dunphy... Jung. I co dalej? Optical Magick... czy 143. eskadra. Dulles był wymieniony na pewno. Brat Johna. Allen.

Dunphy przerzucił szybko plik listów. Miał w ręku to, co Schidlof kupił od niejakiej Vogelai. Był tego pewien. Ale kim ona była? — zastanowił się, błyskawicznie znajdując odpowiedź: antykwariuszem, krewną — w każdym razie pracowała dla Junga. Jedno było jasne: to były archiwalia, których autentyczność chciał potwierdzić Schidlof. To były archiwalia, które go zabiły.

Z towarzyszącym mu po raz pierwszy poczuciem, że jest na tropie, Dunphy rozłożył drugi list i kontynuował czytanie. Ten również był na papierze firmowym Sullivan & Cromwell. Prawie dwa lata późniejszy wydawał się pisany pod pretekstem podziękowań za gościnność okazaną przez Junga Dullesowi i jego żonie minionego lata. Gdy już wylewna formuła podziękui została przelana na papier, Dulles przystąpił do delikatniejszej materii — wyrażał swoje zatroskanie „naszym nowym Sternikiem”.

Jego geniusz jest oczywiście głęboko wryty na polu literackich dokonań. Nieliczni pisali tak dobrze, jeszcze mniej liczni wywarli tak przemożny wpływ na im współczesnych. Z pewnością wyobraźnia i odwaga, widoczne wszędzie w jego dziele, będą mu służyły również nadal, gdy przyjął na siebie straszliwą odpowiedzialność związaną z nową pozycją.

Jednakże, choć faktem jest, iż nasi Sternicy byli artystami lub ludźmi pióra (Bacon, Hugo, Debussy — czyż można wymienić większe znakomitości), obawiam się, że stoimy u progu tego, co Chińczycy określają „interesującymi czasami”. A w takich czasach zakonowi takiemu jak nasz najlepiej by służył dyskretny dyplomata, ktoś z umiejętnością bezpiecznego żeglowania wśród zderzających się okrętów nawy państwowej. W moim odczuciu Ezra jest być może nazbyt wyrazisty — nawet więcej, nazbyt ekscentryczny — by bezpiecznie poprowadzić naszą skromną łódź ku nadejściu millennium.

Allen

Jest się czemu dziwić, pomyślał Dunphy. Bacon, Hugo i Debussy? Ezra? Czy mieli na myśli tego samego człowieka, o którym on myślał? Bez wątpienia tak. Ilu wyrazistych i „ekscentrycznych” Ezrów parało się piórem w latach trzydziestych — a ilu z nich dostało się do kartoteki Andromedy? Tylko jeden. E. Pound.

Wynikało z tego, że Pound jest Sternikiem. Ale czego? Zakonu Magdaleny. A czym on jest? I do tego ta sprawa z Nową Jerozolimą...

Ułożywszy listy w porządku chronologicznym, Dunphy stwierdził, iż Dulles pisywał do Junga cztery, pięć razy do roku. Na ogół listy były przejrzyste w treści, także wtedy, gdy Dulles szukał porady w związku z „załamaniem nerwowym” żony. Ale przewijały się sprawy tajemnicze, z których nie najmniej ciekawą była tożsamość kogoś, kogo Dulles niezmiennie nazywał „naszym młodzieńcem”. Na temat tej osoby niewiele szczegółów dawało się wyłuskać poza jej wiekiem i płcią. Jeden z konkretów dotyczył znamienia. W liście z Biarritz, z datą dziewiąty lipca 1936, Dulles pisał:

...dostałem wielkiego zaszczytu spędzenia popołudnia w towarzystwie naszego młodzieńca. Wyrwawszy się z Paryża na weekend, przyłączył się do nas na plaży. Wtedy zobaczyłem znamię na jego piersi — „herb”, o którym wspominałeś. Figura jest tak wyrazista, że Clove wzięła ją początkowo za zwykły tatuaż — ku uciesze naszego młodzieńca.

Inne listy z kolei dowodziły niezwykłej zdolności przewidywania w kwestiach geopolitycznych, jak ten z datą dwunasty lipca 1937:

Podejrzewam, iż w ostatecznym rozrachunku łatwiejsze okaże się — pisał Dulles — przywrócenie Jerozolimy Żydom niż zjednoczenie owego rozczłonkowanego kontynentu, z którym wiążemy tyle naszych nadziei. A przecież jedno i drugie stać się musi, i się stanie — jeśli nie w połowie naszego stulecia, to pod jego koniec. Izrael powstanie wkrótce (choć powątpiewam, czy pozostaną przy życiu jacyś Żydzi, żeby go zasiedlić) i zjednoczona Europa też powstanie. I żeby nie było niejasności, o czym mówię. Przez „zjednoczoną Europę” rozumiem Europę, która mówi jednym głosem, płaci jedną walutą, modli się do jednego króla. Kontynent bez granic wewnętrznych.

W jaki sposób uda się doprowadzić do takich wydarzeń, to inna sprawa, a szczerze mówiąc, obawiam się, iż nasz Sternik postawił na złego konia. (Co dobrego dał nam kiedykolwiek Rzym czy Berlin, jeśli o to chodzi?).

W moim przekonaniu granice wewnątrz Europy znikną raczej dzięki ludziom pióra niż żołnierzom na tankach.

Podobnie będzie z przywróceniem Ziemi Świętej Żydom.

W jakikolwiek jednak sposób te cele zostaną osiągnięte, możesz być pewien, przyjacielu, my będziemy górą.

Miał rację, to jasne, przyznał Dunphy. Ich Sternik źle ulokował swe nadzieje. Opowiadając się za Mussolinim przeciw Rooseveltowi, strzelił gola do własnej bramki i zarazem do bramki zakonu, któremu przewodził.

A może nie. Gdyby bowiem spojrzeć na to z innego punktu widzenia, można by dowieść słuszności tezy, iż ludobójcza wojna Hitlera, wbrew jego intencjom, przetarła drogę zarówno Izraelowi, jak i wspólnemu rynkowi, ponieważ powstały w reakcji na potworności, do jakich doszło wcześniej.

Dunphy rzucił okiem na ten list po raz drugi i zauważył coś, nad czym prześlizgnął się przy pierwszym czytaniu. „Modli się do jednego króla...” — zmarszczył brwi. Nie ma takiego zwyczaju, żeby wznosić modły do króla. Była to refleksja warta głębszej uwagi, ale wkrótce o niej zapomniał, gdy zabrał się do najkrótszego i jednocześnie najbardziej zagadkowego listu w

pakiecie. Opatrzony datą dwudziesty drugi listopada 1937 był tej treści:

Na miłość boską — co teraz?

Dunphy dużo by dał za to, żeby wiedzieć, o co w nim chodziło, ponieważ jednak nie miał do dyspozycji odpowiedzi Junga, nie było sposobu doszukania się jakiegoś sensu. Następny list sugerował jednakże, iż nadano bieg doniosłym wydarzeniom.

Mój drogi Carlu!

Twój list natchnął mnie wielką otuchą. Nic nie wiedziałem o instytucie w Küssnacht ani o donacji. Dzięki Bogu, że się zachowała! Nauka znajdzie być może sposób na dokonanie tego, czego on już nie zdoła.

I być może tak miało być. Na wieść o tragedii w Hiszpanii sięgnąłem do *Apokryfu* po pociechę i po raz pierwszy pojąłem sens tych brzemiennych w znaczenie, tajemniczych wierszy:

Jego królestwo przychodzi i odchodzi,  
I przychodzi znowu,  
Kiedy on, zraniony w korzenie życia,  
Zostaje ostatni, ale nie jest ostatni,  
Naznaczony i osamotniony.  
Te wszystkie ziemie staną się wtedy jedną,  
A on ich królem, aż po czas, gdy odejdzie,  
I spłodzi synów na wsze czasy,  
Choć sam martwy i w celibacie.

Słowa: „Jego królestwo przychodzi i odchodzi” mówią o biegu dziejów znanym nam od wieków. Że ono ma znowu przyjść, kiedy on będzie „zraniony w korzenie życia”, odbieram z radością, bo to właśnie zdarzyło się naszemu młodzieńcowi, którego strasznych ran nie można by trafniej opisać. Ale to nie wszystko. Ponieważ ma takie rany i nie ma rodzeństwa, „zostaje ostatni” ze swego rodu, co jest tak oczywiste, jak namacalne jest znamię na jego piersi.

Ale tu moja przenikliwość się kończy. On ma być „ostatni, ale nie jest ostatni”, to zagadka, której rozwiązanie nie będzie chyba możliwe aż do dnia, kiedy „wszystkie te ziemie (są) jedną”.

Niestety, to niejedyna zagadka. Jak mamy rozumieć obietnicę, że „on ich królem, aż po czas, gdy odejdzie, i spłodzi synów na wsze czasy, choć sam martwy i w celibacie”? Mam wszakże nadzieję, iż sens tego fragmentu zostanie któregoś dnia wyjaśniony dzięki darowi, jaki przekazał nasz młodzieniec instytucie w Klisnacht. Jeśli tak się stanie, Nauka udowodni tym samym, iż to ona przynosi Zbawienie — a nasz młodzieniec okaże się rzeczywiście „ostatni, ale nie ostatni”.

Odczytywanie *Apokryfu* w ten sposób, jako swojego rodzaju chrześcijańskiej kabały, ma oczywiście charakter spekulatywnego dociekania. Jeśli jednak prawidłowo rozszyfrowuję te wiersze, to wynika z nich, że młodzieniec będący pod naszą opieką uosabia spełnienie się tego proroctwa i jako taki jest ostatnim zwiastunem. Zgodnie z tym jest warunkiem *sine qua non* urzeczywistnienia naszych nadziei. Z tego też powodu nie można szczędzić wysiłków i kosztów, by pozostał bezpieczny, aż przyjdzie czas, kiedy obleką się w ciało i objawią wszystkie znaki i wróżby.

Wtedy i tylko wtedy nasz młodzieniec, choćby był już starcem, zostanie królem. I choćby jego królestwo miało trwać nie dłużej niż ułamek sekundy, nie będzie to miało znaczenia. Ponieważ zgodnie z przepowiednią i triumfem Nauki on „odejdzie” jako ojciec, który dał synów na wieczność całą.

Dunphy poskrobał się w głowę, ale równie dobrze mógłby podrapać ją do krwi. Co to jest ten *Apokryf*, zdumiewał się, i co to wszystko znaczy? Nie sposób odnaleźć w tym sensu. Korespondencja kryła zagadki większe i mniejsze, ważne i nieważne. Czytanie tych listów było jak przysłuchiwanie się rozmowie telefonicznej tylko na jednym końcu linii. Niektóre rzeczy były dlań oczywiste. O niektórych się dowiedział. Ale wszystko inne pozostawało w sferze domniemań.

12 lipca 1941

Drogi Carlu!

Z zadowoleniem przeczytałem, że przekonałeś pana Pounda, iż nasz młodzieniec raczej nie będzie bezpieczny w Paryżu. Nikt z nas nie jest w stanie przewidzieć, co może zdarzyć się w przyszłym roku, ale roztropność nakazuje, żeby on, przynajmniej on, znalazł się w miejscu oddalonym od jakichkolwiek działań wojennych. Jest przecież naszym *raison d'être* i gdyby go zabrakło, nic nam nie pozostanie — ani nadzieja, ani cel.

Szwajcaria, jak sugerujesz, powinna być miejscem bezpiecznym — nie tylko zresztą dla naszego Gomeleza. Wszystko wskazuje na to, że zasoby finansowe zakonu staną się podstawą spełnienia naszej misji w otoczeniu powojennym, a więc one także muszą być chronione. Biorąc pod uwagę ogrom tych środków, trzeba się zatroszczyć o to, iżby przy wycofywaniu ich z krajów ogarniętych wojną nie doszło do niepotrzebnych zakłóceń i rozgłosu. Stąd moja sugestia, żeby powierzyć te transfery w ręce zaufanych osób w Bank for International Settlements w Bazylei. Będą wiedzieli, jak upłynnić różne aktywa, a potem je reinwestować via Zurych i Vaduz.

(W moim odczuciu naszym celem powinno być raczej zachowanie kapitału niż jego pomnażanie).

Tak więc „nasz młodzieniec” ma nazwisko, odnotował Dunphy. Gomelez. Kim on jest? — zamyślił się nad tym przez chwilę, lecz odłożył kwestię na później. Nie mógł tego teraz wyjaśnić.

Jedna rzecz natomiast stawała się oczywista, a mianowicie to, że Dulles i Jung podejmowali stopniowo coraz więcej i więcej ważnych decyzji w sprawach tajnego stowarzyszenia, do którego należeli.

19 maja 1942

Drogi Carlu!

W czasie gdy weźmiesz ten list do ręki, ja będę już pełnił moje sekretne obowiązki w Bemie. Wysoko sobie cenię Twoją gotowość podjęcia się roli łącznika między naszym Sternikiem a mną, ale obawiam się, że odbywanie wielokrotnych podróży do Włoch i z powrotem w ogóle nie wchodzi w grę w moim i Twoim wypadku.

Popieram natomiast gorąco Twoją propozycję nawiązania potajemnych kontaktów z Herr Speerem. Czy mam rozumieć, że jest jednym z nas? Jestem zdumiony. Dlaczego nigdy go nie poznałem?

Dość jednak o Speerze. Mam nazwiska kilku przyzwoitych ludzi, których warto byłoby mieć na pokładzie. Żaden z tych dżentelmenów nie będzie dla Ciebie zaskoczeniem. Omawialiśmy ich wiarygodność kilkakrotnie i poznałeś ich również towarzystwo. Chodzi mi o dr. Vannevara Busha i młodego Angletona. Potraktuj proszę ten list jako formalne zgłoszenie ich nazwisk w poczet członków naszego stowarzyszenia.

Dunphy odchylił się na krześle. To był jeden z tych momentów, kiedy papieros byłby czymś więcej niż zwykłą przyjemnością. Vannevar Bush i „młody Angleton”. Czy to możliwe? — zadumał się. Ilu Angletonów mógł znać Dulles? Prawdopodobnie jednego: Jamesa Jesusa Angletona, w latach powojennych szefa grupy kontrwywiadowczej w CIA — stał się szpiegiem legendą dźwigającym na swoich barkach wszystko: od polityki Izraela po komisję Warrena. Gdzie był — kim był — Angleton w roku czterdziestym drugim? Dunphy zastanowił się. Zapewne studiował, ale miał niezwykle koneksje... był na prostej drodze do, a może już w OSS.

Mniej wiedział Dunphy o Bushu, ale jak sobie przypominał, nadzorował on przez cały okres drugiej wojny światowej badania nad doskonaleniem i rozwojem broni dla armii USA.

Sprytnie mieć tak przydatnych ludzi po swojej stronie, zwłaszcza gdy się zarządza tajnym stowarzyszeniem, mruknął do siebie Dunphy. Ale... Speer? Albert Speer? Który był... Kim? Głównym architektem Hitlera i... ministrem uzbrojenia. Ładny kontakt dla kogoś takiego jak Dulles, który ze Szwajcarii kierował operacjami wywiadowczymi na rzecz aliantów. Jednakże... czy to w ogóle możliwe, że Speer, nazista, miał cokolwiek wspólnego — a zwłaszcza jakieś wspólne sekrety — z ludźmi takimi jak Dulles i Jung?

Dunphy dalej mamrotał pod nosem. Dlaczego nie? W gruncie rzeczy dlaczego miałby nie mieć? Zakon Magdaleny miał swój własny program, to jest jasne, i nie ma powodu zakładać, że ten program był proamerykański czy liberalny. Wręcz przeciwnie, facet firmujący ten interes czy też występujący w tej roli — ów Sternik — był szwankującym na umyśle, profaszystowskim poetą, który w propagandowych audycjach z Włoch okrzyknął Mussoliniego zbawcą. Tyle Dunphy wiedział z kursu historii 101. Więc dlaczego nie Speer? W każdym razie Speer był prawdopodobnie mniej ekscentryczny niż Pound. A ponadto Dunphy nabierał pewności, iż Zakon Magdaleny (dobrze, iż przynajmniej znał nazwę organizacji) był jakimś tajnym kościołem.

Ale jakim? Z nazwy niczego nie można było wydedukować. Maria Magdalena była prostytutką, która się nawróciła pod wpływem słów Jezusa. Symbolizowała ideę, że nawet najwięksi grzesznicy mogą uzyskać przebaczenie. I co z tego? Co by to miało wyjaśniać?

Może wszystko, a może nic. Jedno było oczywiste. Jeśli zakon jest rzeczywiście jakimś kościołem, to jego wyznawcy mogą rekrutować się z każdego zakątka globu i granice polityczne nie są i nie były przeszkodą — nawet te między państwami w stanie wojny.

Sprawdził zegarek. Dziewięć pięćdziesiąt pięć. Zostały mu trzy godziny. A wtedy zmyje się stąd (jeśli będzie miał szczęście) albo utną mu głowę i kończyny (jeśli będzie miał pecha).

Dało się słyszeć delikatne pukanie do drzwi i wszedł Dieter z naręczem teczek. Ułożywszy je w stos na biurku, rozłożył puste ręce i poinformował:

- Kartoteka Dumpy’ego jest niedostępna.
- Ma pan na myśli Dunphy’ego.
- Tak, jego. Ale... jak powiedziałem, jest niedostępna.
- Dlaczego?
- Komuś była potrzebna.

Dunphy starał się ukryć rozczarowanie — czy zbytnie zainteresowanie.

— Wie pan komu?

Dieter skinął głową.

— Dyrektorowi.

Dunphy uśmiechnął się blado. I przejął go dreszcz.

— Zimno tu — poskarżył się.

— Można się przyzwyczaić — odparł Dieter.

Kiedy byczek wyszedł, Dunphy powrócił do teczek Schidlofa. Przeniósłszy się do Bema, Dulles częściej widywał się z Jungiem, za to rzadziej do niego pisywał — być może z uwagi na

to, że korespondowanie w czasie wojny było ryzykowne. Mimo to znalazło się kilka perełek wśród nielicznych listów z okresu między 1942 i 1944. „Jestem szczególnie zobowiązany”, pisał Dulles po wizycie u Junga w Kusnacht w 1943 roku,

Twojej Miss Vogelai, która była uprzejma wybrać się z panią Dulles w cudowną podróż jachtem do Rapperswil i z powrotem. Masz szczęście, że trafiła ci się tak utalentowana i dystyngowana sekretarka.

A więc oto kim ona jest, pomyślał Dunphy szczęśliwy z odkrycia kolejnego elementu układanki. Zerknął na zegarek. Piętnaście po dziesiątej.

Następny list nie był listem, tylko kartką pocztową. Dulles wysłał ją dwunastego kwietnia 1943 roku. Widokówka przedstawiała przepiękny dziki krajobraz górski z drzewami obsypanymi śniegiem. Nadruk na odwrocie informował, że to zdjęcie fragmentu Szwajcarskiego Parku Narodowego (założonego w 1913) w kantonie Gryzonia, blisko włoskiej granicy.

„Odwiedziłem naszego młodzieńca”, pisał Dulles.

Jest nieszczęśliwy w miejscu swego odosobnienia i jak dotąd nie wykazuje żadnego zainteresowania naszymi planami. Mimo wszystko zdrowie mu w miarę dopisuje i zażywa ruchu na tyle, na ile mu jego rany pozwalają.

Znowu mamy „naszego młodzieńca”, zamyślił się Dunphy. Gomeleza.

Kolejny list został napisany po wojnie. Opatrzony datą dwudziesty dziewiąty maja 1945 roku, był wysłany z Rzymu.

Drogi Carlu!

Byłem właśnie w Dyscyplinarnym Ośrodku Szkoleniowym w Pizie, gdzie trzymają Ezrę do czasu, aż zostaną skompletowane dokumenty dotyczące jego powrotu do Stanów Zjednoczonych. Jak możesz sobie wyobrazić, ośrodek jest koszmarnym miejscem — paka wojskowa dla amerykańskich żołnierzy oskarżonych o poważne przestępstwa (morderstwa i gwałty, dezercje i używanie narkotyków). Serce mi niemal pękło, gdy zobaczyłem wśród nich naszego Sternika.

A jednak mogło być jeszcze gorzej. „Schwytywanie” go zostało zaaranżowane przez majora Angletona, który zadbał o to, żeby nie było żadnych przesłuchań. (Jak mi powiedział Ez, byłem pierwszym Amerykaninem, z którym od czasu aresztowania „zamienił dwa słowa”).

Mimo wszystko zarzuty, z powodu których jest przetrzymywany, źle wróżą. Podobnie dowody przeciwko niemu: dziesiątki, jeśli nie setki audycji radiowych z atakami na Żydów, bankierów i na wszystko, co amerykańskie, a jednocześnie hymny pochwalne na temat odwagi i wizjonerstwa *II Duce*.

Nie wiem, co powiedzieć. Jest wielce prawdopodobne, jak sądzę, że zostanie powieszony.

W następnych sześciu miesiącach wysłanych zostało z pół tuzina wiadomości. Niektóre dłuższe, inne krótsze, ale wszystkie obracały się wokół tego samego tematu: jak uratować Sternika? Nastroje w Ameryce wyrażały żądze linczu i Dulles był zdania, że proces sądowy oznaczałby katastrofę. Uzgodniono wobec tego strategię, zgodnie z którą Pound przyzna się do szaleństwa, a nie do zdrady. Jung okazał się tym samym najcenniejszym sprzymierzeńcem. Jako twórca psychologii analitycznej stał się ikoną społeczności psychiatrycznej. Z łatwością mógł więc wesprzeć Dullesa i „młodego Angletona”, powodując zalenie sądu opiniami biegłych potwierdzającymi wątpliwą skądinąd tezę, iż politycznie niepoprawny Pound w rzeczywistości był całkowicie pomylnym facetem.

12 października 1946

A więc zwyciężyliśmy.

Ezrę skazano na pobyt w zakładzie dla obłąkanych w Waszyngtonie, D.C. Tamże, to jest w szpitalu St Elizabeth's, będzie pod opieką doktora Winfreda Overholsera, który jest jednym z nas. Chociaż nie miałem jeszcze sposobności odwiedzić naszego wielkiego przyjaciela w jego psychiatrycznym raj, wiarygodne źródło poinformowało mnie, iż Ezra dostał rodzaj apartamentu, w którym odbiera hołdy wielbicieli z każdego zakątka globu.

Doktor Winnie zapewnia mnie, że Ez ma tam wszelkie przywileje (i miał będzie) z wyjątkiem swobody poruszania się poza terenem. Obiady dostarcza mu catering, a strumień gości przewija się nieustannie przez jego pokój — gości tak licznych, że zaczął się skarżyć, iż nie ma czasu na pisanie z powodu przeładowanego programu.

Dwa miesiące później Dulles przesyłał Jungowi życzenia bożonarodzeniowe i relacjonował fascynujące *tête-à-tête* z pacjentem doktora Overholsera.

Mając już za sobą i pobyt w Pizie, i proces, wydaje się odzyskiwać witalność, jaką był utracił — również dawną przenikliwość umysłu. Powiem więcej, spędziwszy z nim całe popołudnie, mogę Cię zapewnić, iż długotrwałe uwięzienie w żadnym razie nie było okresem nieproduktywnym. Jak się bowiem okazuje, osiągnął stan najwyższego skupienia.

Ze swego szpitalnego apartamentu nasz Sternik proponuje strategię, która ma szansę na sprawdzenie się. „Trzeba — powiedział mi — iżby nasza mała grupa zajęła aktywną postawę wobec przesłania *Apokryfu* [znowu ta nazwa, przemknęło Dunphy'emu przez głowę], którego przepowiednie w najmniejszej części nie zostaną zagrożone niespełnieniem przez to, że uzyskają pomoc akuszerską”.

Zapewne chwytasz sens. Nasz *Nautonnier* [Nautonnier, Nawigator to słowa używane w tekście wymiennie, odnoszące się do postaci Sternika.]

chciałby, abyśmy nie czekali biernie, lecz interweniowali, gdyż reifikując każdą wróżbę wymienioną w *Apokryfie*, czyli w efekcie powodując spełnianie się przepowiedni, staniemy się akuszerami millennium. Tym samym Ez sugeruje możliwość osiągnięcia przez nas celu, póki jeszcze nasz młodzieniec będzie wśród przemijających.

Dunphy nie był do końca pewien, o czym mówił Dulles. Po pierwsze, nie znał słowa reifikować, a po drugie, nic nie wiedział o *Apokryfie*. Zrozumiał część mówiącą o spełnieniu się prorocत्व, ale co to miałyby mieć wspólnego z osiągnięciem przez tych ludzi celu, „póki jeszcze nasz młodzieniec będzie wśród przemijających”, pozostawało zagadką.

„Żeby to osiągnąć”, czytał dalej w liście, trzeba się uciec do politycznej i psychologicznej strategii. W szczególności zaś zadbać o mechanizm, który uchroniłby Zakon Magdaleny przed dostaniem się pod lupę pospólstwa. Szczęśliwie taki mechanizm jest w zasięgu ręki.

Kolejny list z datą dziewiętnasty lutego 1947 udzielał wielce wyczerpującej odpowiedzi w tej ostatniej kwestii.

Podczas naszego ostatniego spotkania Ezra stwierdził, że tajne służby mogą stanowić idealne schronienie dla takiego bractwa jak nasze. A to z tego powodu, że rutynowa działalność wywiadu jest ze swej natury tajna.

To specyfika tego biznesu. Zatem tajne towarzystwo w tajnych służbach byłoby nie bardziej widoczne niż tafla szklana na dnie oceanu. (To jego metafora).

Pomyśl tylko, z jaką łatwością nasz zakon może wykorzystać to trafne spostrzeżenie.

Niestety, zarówno brytyjski, jak i francuski wywiad zasadniczo są dla nas dzisiaj niedostępne. Mimo że członkowie nasi służyli w obydwu tych organizacjach na najwyższych szczeblach (Vincent Walsingham to przecież przez dziewięć lat nasz *Nautonnier*), obecnie nie mamy wśród nich tak dużych wpływów jak niegdyś. (Winię za to Nestę Webster).

Dunphy wstał i przeciągnął się. Nie wiedział, kim był Walsingham, natomiast Nesta Webster cieszyła się złą sławą jako autorka książek o tajnych stowarzyszeniach.

Pokręcił głową w jedną i drugą stronę, bo mu kark zeszywniał. Już bardzo dawno nie biegał i brakowało mu tego. Może jutro, pomyślał i usłyszał, jak sam sobie odpowiada: „Jeśli w ogóle będzie jutro”. Usiadł więc i na nowo przystąpił do lektury.

Jednakże w ciągu ostatniego roku pojawiła się sposobność. W styczniu prezydent Truman podpisał tajne rozporządzenie powołujące do życia nowe amerykańskie służby wywiadowcze — na fundamencie dotychczasowego OSS. Agencja ta, pod nazwą Central Intelligence Group, ma się skupić na Czerwonej Zarazie z Moskwą jako głównym punktem penetracji. Sądzę, iż nie będziesz zdziwiony, dowiadując się, że mnie powierzono misję utworzenia i uruchomienia CIG — do czasu mianowania mnie pierwszym dyrektorem organizacji.

Z takimi uprawnieniami było mi stosunkowo łatwo stworzyć w ramach CIG coś w rodzaju wewnętrznego sanktuarium umożliwiającego nam prowadzenie działalności bez obawy o kontrolę czy nieprzewidziane konsekwencje. Przedsięwzięcie, o jakim mówię, to Security Research Staff, struktura w obrębie kontrwywiadu, którą pokieruje wkrótce młody Angleton. Z jego pomocą działalność zakonu zostanie ukryta w morzu nieujawnianych tajemnic, które są specyfiką szpiegostwa, z czym prasa i rząd muszą się pogodzić.

Jeśli metafora wewnętrzne sanktuarium wydaje Ci się niejasna, pomyśl o nas jako o politycznym odpowiedniku *Dracunculus medinensis*. (O tymże poczytaj, zachęcam).

Dunphy wypuścił list z ręki. Opadł na oparcie krzesła, spojrzął w sufit i wydał z siebie ciężkie westchnienie człowieka osłupiałego ze zdumienia. Wynika z tego, że CIA jest przykrywką, pomyślał, czegoś ważniejszego. A zimna wojna — pretekstem służącym czemuś innemu. Ta Magdalenowa afera...

— Słucham?...

Dunphy ocknął się. W drzwiach stał Dieter.

— Cooo? — zapytał Dunphy takim tonem, jakby prosił sprzedawcę kijów baseballowych, żeby go uderzył.

— Wydawało mi się... usłyszałem pański głos. Myślałem, że pan prosi... — Dieter wyglądał na skonfundowanego, ale to Dunphy był zmieszany: cholera, głośno mówił sam do siebie.

— Potrzebna mi encyklopedia — powiedział.

Dieter zamrugnął powiekami.

— Cała encyklopedia? W języku angielskim?

Dunphy potrząsnął głową i próbował znaleźć się w tej sytuacji.

— Tylko na literę D. Ale koniecznie angielska.

Kiedy drzwi się zamknęły, Dunphy spojrzął na zegarek. Było piętnaście po jedenastej — właśnie minęła piąta rano w Stanach. Oznaczało to, że może tu spędzić już tylko półtorej godziny.

Czas szybko leci, gdy się dobrze bawisz, pomyślał, wygładzając kolejny list na blacie biurka.

23 kwietnia 1947

Drogi Carlu!

Jestem właśnie z powrotem przy moim biurku po ośmiu dniach na Zachodzie, gdzie zwiedziłem laboratorium napędu odrzutowego w Kalifornii i kilka naszych obiektów w Nevadzie. W ostatnim etapie podróży towarzyszył mi doktor Bush i z przyjemnością Cię informuję, iż spożytkowaliśmy nasz czas z wyjątkowo dobrym skutkiem.

Z pierwszym archetypem zaczynamy już za parę tygodni. Wydarzy się to w pobliżu Roswell w stanie Nowy Meksyk (miasteczko niedaleko Sandia Laboratories). Funkcjonariusze Security



Research Stuff, czasowo przydzieleni do 509. Zespołonej Grupy Bombowej, będą odpowiedzialni za „odzyskanie” obiektu i wszystkie późniejsze kontakty z prasą i opinią publiczną.

Zgodnie z ustaleniami fakt wylądowania obcego pojazdu (w rzeczywistości balonu meteorologicznego) zostanie potwierdzony, a potem zdementowany, co zmieni to wydarzenie w „plotkę o wymowie symbolu”, jak sam trafnie określiłeś.

Będziemy dbać o rozsiewanie tej plotki co jakiś czas, póki archetyp nie nabierze mocy samogenerowania się.

W tym celu CIG tworzy „oddział do spraw wzmacniania” pod przykrywką jednostki sił powietrznych w bazie Wright Field (w Dayton, Ohio). Wychodząc naprzeciw amerykańskim i zagranicznym mediom, oddział będzie uwiarygodniał zdarzenie przez dementowanie jego realności, jakiegokolwiek dowody byłyby wysuwane na rzecz jego autentyczności.

Pukanie do drzwi przerwało lekturę. W drzwiach stał Dieter, trzymając w ręku książki.

— Przyniosłem — powiedział, pokonując pokój jednym krokiem. — Z dziewięćdziesiątego trzeciego roku, chyba w porządku?

Dunphy odebrał książki, niecierpliwie skinął głową i patrzył, jak jego nianka odwraca się na pięcie. Za moment drzwi się za nim zamknęły.

To były dwa grube tomy w oprawie z marokinu. Przez moment Dunphy nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego prosił o encyklopedię. Coś było w jednym z listów Dullesa, coś po łacinie, ale... co? W mózgowicy zawirowało — ale nie z szybkością kompaktu. Raczej bączka wytracającego prędkość i przechylającego się z jednej strony na drugą, jeszcze w chybotliwych obrotach resztką napędu.

Powrócił do wcześniejszych listów Dullesa i przebiegając wzrokiem strony, znalazł tę, której szukał — z dziewiętnastego lutego — i tekst: „o politycznym odpowiedniku *Dracunculus medinensis*. (O tymże poczytaj, zachęcam.)”. Dunphy zabrał się do czytania.

**DRAKUNKULUS MEDYŃSKI.** Nicień podskórny, przenoszony przez wodę, wywołujący u człowieka przerażającą chorobę. Samice z postaci larwalnej wyrastają do długości metra, przecierając sobie drogę od dwunastnicy do tkanki podskórnej, gdzie pasożyt składa miliony jaj w ciele swojego ostatecznego wroga (*homo sapiens*). Pośrednim wrogiem są skorupiaki oczliki. Pojawienie się na skórze zapalnego guzka zdradza pasożyta — można go usunąć w toku bolesnej, stopniowej ekstrakcji, posługując się krótkim patykiem, wokół którego nicień powoli się owija, co trwa kilka tygodni. Uważa się, że ta procedura zainspirowała przyjęcie kaduceusza z owiniętym wokół niego wężem jako symbolu medycyny.

Była za pięć dwunasta.

Dunphy czytał korespondencję Dullesa już blisko cztery godziny i miał wrażenie, że goni w piątkę. Paranoja sprzed kilku godzin nawracała. Od czasu do czasu dopadała go myśl, że jest cztery piętra pod ziemią i świadomość tego wyzwalała klaustrofobiczne ukłucie lęku, czego nigdy przedtem nie doświadczał. I zaczynała go nękać wątpliwość, dręcząca wątpliwość, raczej bezwiedna niż wyrozumowana: Co pozwoliło mu przyjąć założenie, że może wejść do Archiwum Specjalnego i wyjść z niego za okazaniem przepustki, jakby nigdy nic? A jeśli Hilda i spółka nie pozwolą mu wyjść, zanim nie porozumieją się z Harrym Mattą?

To proste, odpowiedział sobie Dunphy. Jeśli to zrobią, jesteś kadłubem.

Poczuł nagle potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza — a w każdym razie powiedział sobie, że tego mu właśnie brak. Ale to było samooszukiwanie się. Wiedział, czego chce naprawdę: sprawdzić, czy Dieter pozwoli mu opuścić pokój. Wstał od biurka, podszedł do drzwi i otworzył je. Jak przypuszczał, Dieter był za drzwiami, siedział na twardym krześle i czytał *Maus*.

— Czy można gdzieś tu dostać kawę? — zapytał Dunphy.

— No pewnie — odrzekł Dieter, wskazując na windy. — Kantyna jest na drugim piętrze. Dunphy starannie zamknął za sobą drzwi, a na odchodnym przykazał ochroniarzowi, żeby nie wpuszczał nikogo do pokoju.

— To oczywiste — zapewnił Dieter i przewrócił kartkę.

Nietrudno było znaleźć kafeterię. Nadeszło południe i wyglądało na to, że połowa gmachu zmierza w jej kierunku. Podążając za tłumem, Dunphy znalazł się wkrótce w cud-kafeterii — tak naprawdę w jedynej bajkowej, w jakiej był kiedykolwiek. Na każdej ścianie widniały freski — pastoralne sceny z postaciami o współczesnych twarzach, w tym Dullesa i Junga, Pounda i Harry'ego Matty. Nie było kas.

Wszyscy nakładali sobie na talerze. I Dunphy poczuł pokusę: widział sterty rogalików i innego chrupiącego pieczywa, półmiski z cienko pokrajanym rostbefem, kaczką i sarniną.

Dymiące półmiski ziemniaków i klusek z duszonym mięsiwem, mięsa i kiełbaski z rusztu, fondue trzymane nad ogniem, a wszystko to pośród oszronionych butelek piwa i małych flaszek wina. Były jeszcze deski z serami, kosze owoców i zielonej sałaty.

Poczęstował się kawą bez kofeiny i wrócił tam, skąd przyszedł.

— Proszę — Dieter wyciągnął rękę ze zwiniętym kawałkiem papieru.

— A co to? — spytał Dunphy, czując nawracający lęk.

— Wiadomość...

— Dla mnie?

— Tak, niech pan weźmie. To od pańskiego przyjaciela, Mike'a.

Mike'a?

Dunphy wziął kartkę i wszedł do biurowej klitki, zamykając za sobą drzwi.

Gene!

Co ty tu robisz? Myślałem, że jesteś chory! Widziałem się dzisiaj z Hildą i zobaczyłem na jej biurku twoje nazwisko, a ona wspomniała, że prowadzisz tu jakąś kontrolę szkód — o co chodzi? Od kiedy to znasz się na „kontrolu szkód”? Przecież jesteś kowbojem! (Ha, ha!)

W każdym razie zabieram cię na lunch — będę z powrotem za dziesięć minut.

Podpis był bazgrołem: R i coś-coś-coś G-O-L-D. Mike R-gold. Rhinegold! Psiakrew!

Chociaż przestało być ważne, która jest godzina, Dunphy spojrział na zegarek: dwadzieścia po dwunastej. Trzeba się stąd wynosić, ponieważ... ponieważ Dunphy zna Rhinegolda, a Rhinegold zna Bradinga — czyli nic dobrego z tego nie wynika. Rhinegold to psychol, który przesłuchiwał go w komorze bezechowej w Langley, więc gdy zobaczy mnie tutaj — w Zug — w archiwum... Wynosić się stąd, wynosić, wynosić.

I zostawić wspaniały płaszcz. Który kosztował tysiąc funtów w sklepie przy skwerku na tyłach hotelu Zum Storchen. Nie sądzę, żeby Dieter wypuścił mnie, jeśli będę miał na sobie płaszcz.

Z żalosną miną Dunphy rzucił okiem na teczki na biurku. Zostało jeszcze kilka nieprzeczytanych listów Dullesa do Junga i sterta teczek oznakowanych *Rejestr bydła* — *NM* i *Rejestr bydła, CO*. Nie ma mowy, żeby je teraz przejrzał. Chyba że...

Wsunął jedną z teczek rejestru za koszulę, a ostatnie listy Dullesa wepchnął do któregoś kieszeni. Sięgał właśnie po taśmy z nagrany Schidlofem, kiedy drzwi otworzyły się na oścież i oto wkroczył Mike Rhinegold z wyciągniętą na powitanie ręką i wylewnym uśmiechem, który w jednej chwili wyparło nic nierozumiejące spojrzenie, a za moment wysiłek pamięciowy. Na koniec groźny grymas.

— Heeej...

Dunphy dał się wprawdzie przyłapać na gorącym uczynku, ale refleks miał znakomity. Nim Rhinegold zdążył zareagować, jedną ręką złapał niższego od siebie mężczyznę za kark, a drugą

za fryzurę a la pompadour. Jednym kopem zatrzaskała drzwi, gwałtownym szarpnięciem wciągnęła palanta głębiej do pokoju i wbił mu nos w krawędź biurka. Krew trysnęła łukiem, taśmy podskoczyły na blacie, Rhinegold zwiotczał.

Trzymając go za ramiona, Dunphy potrząsnął nim, jakby ten był skarbonką. Żadnego dźwięku. Nokaut.

W tym momencie pukanie do drzwi.

— Halo?

— W porządku — powiedział Dunphy — Mike i ja właśnie...

Obcas Rhinegolda wylądował na stopie Dunphy'ego, wwiercał się w podbicie, wrywając mu z gardła przejmujący skowyt.

— Dieter! — zdążył wrzasnąć Rhinegold, zanim Dunphy uniósł go i przetaczając się z tym ciężarem do przodu, huknął nim wreszcie o ścianę. I jeszcze raz. I znowu wałnął, aż gwałtownie otworzyły się drzwi i wszedł Dieter, który osłupiał na widok kumpla Dunphy'ego osuwającego się na podłogę niczym kupa guana. A ściana za Dunphym była upstrzona drobinkami krwi Mike'a Rhinegolda.

— *Was der Fuck!?* — Byczek zrobił krok w stronę Dunphy'ego, i jeszcze jeden, klinując go w rogu pokoju. Oczy rozjarzyły mu się z emocji, skłonił się ciałem w lewo i prawą ręką w jednej sekundzie zadał Dunphy'emu dwa ciosy. Głowa Amerykanina łupnęła o ścianę, z rozciętej górnej wargi zaczęła się lać krew. Jest bokserem, pomyślał Dunphy, czarno widząc sytuację, gdy lewa ręka Dietera wyrznęła go w dołek tak, że aż zgiał się wpół.

Jednakże potem Nieniec popełnił błąd. Złapał Dunphy'ego za krawat i jednym szarpnięciem przywrócił do pionu.

— Więc to tak! Zachciało się ostrej gry, co? — wydzierał się ze swoim kiepskim akcentem. I z uśmiechem, otwartą dłonią, wymierzył Dunphy'emu policzek. Dunphy był już prawie skasowany, niemal tracił przytomność, gdy to się stało, i po prostu nie mógł w to uwierzyć. Ta kurewska góra mięsa ośmieliła się go spoliczkować!

I jeszcze raz! Ten skurwysyn zrobił to znowu!

Ręka Dunphy'ego powędrowała błyskawicznie i zdecydowanie w górę, zacisnęła się w pięść i ostrzem zgiętych w kostkach palców wbiła się w gardło Dietera niczym krawędź deski. Zachrupotały chrząstki krtani i Dieter złożył się we dwoje, trzymając się za gardło, jakby miało mu wypaść.

Bulgocząco-świszczące odgłosy, jakie się z niego wydobywały, były straszne i nie ustawały. Dunphy rozejrzał się rozpaczliwie po pokoju za czymś, czym mógłby go uciszyć, lecz jedyną rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, był metalowy zszywacz biurowy. To niewiele, ale podniósł go, zamachnął się — cichutki brzdęk! zszywki o blat — i użył jako pałki, uderzając ochroniarza w tył głowy. A potem jeszcze raz i raz jeszcze, tłukąc Dietera, aż skóra zmieniła się w rodzaj puddingu. Wreszcie osiłek osunął się na kolana, upadł twarzą do przodu i rozciągnął się bezwładnie na podłodze. Bulgot przeszedł teraz w rżenie.

Serce biło Dunphy'emu jak bęben kongijski, kiedy wycierał ręce z krwi o poły marynarki Rhinegolda. Poprawiając krawat, przesunął językiem po górnej wardze, krzywiąc się z bólu, gdy dotknął rozciętego miejsca. Potem ubrał się w płaszcz, przygładził włosy i...

Zaświergotał telefon — upiornym elektronicznym trelem.

Dunphy wgapił się weń, niepewny co robić. Aparat zadzwonił znowu, a potem po raz trzeci. W końcu Dunphy podniósł słuchawkę.

— Halo?

— Tu Hilda.

— Witaj, Hildo.

— Eugene?

— Tak.

— Zdaje się, że odwiedził cię twój przyjaciel Michael.

— Aha... właśnie rozmawiamy — powiedział Dunphy.

— No tak, ale myślę, że powinniśmy zadzwonić teraz do *dyrektora*. Więc jeśli przyjdiesz do mnie do gabinetu...

— Będę za chwilę.

— A czy mogłabym zamienić słowo z Dieterem?

— Hmm... niech zobaczę, czy jest za drzwiami. — Dunphy zrobił przerwę, wziął głęboki oddech i jeszcze jeden. Wreszcie powiedział: Zdaje się, że opuścił swoje krzesło.

— Słucham?

— Wyszukuje mi teczkę. Czy poczekać na niego, czy mam przyjść sam?

— Aha... no myślę... niech pan przyjdzie.

— Już idę. — Dunphy odłożył słuchawkę, pochylił się i wyrwał przewód ze ściany. Potem podszedł do Dietera i go obmacał. Znalazłszy klucz w kieszeni leżącego mężczyzny, podszedł do drzwi i uchyliwszy je lekko, wyrzwał na zewnątrz.

Korytarzem przewijał się niespieszny, ale ciągły strumień ludzi zajętych swoimi sprawami. Dunphy wysunął się z pokoju, zamknął drzwi na klamkę i na klucz. Układając rozcięte wargi w wymuszony uśmiech, skierował się możliwie jak najwolniejszym krokiem w stronę windy, zwalczając ochotę puszczenia się biegiem. Jakaś kobieta zatrzymała na nim wzrok i kątem oka dostrzegł przelotne zmarszczenie brwi, jakby pomyślała: „Coś nie tak z tym facetem”.

Mógłby przysiąc, że nie chodziło o krew na jego wargach ani o wrażenie pewnego nieładu w wyglądzie: z niego emanowały złe fluidy. Zobaczyła je w jego oczach i wiedziała, że on wie, iż zwróciły jej uwagę. Ale już ją mijał, nie przyspieszając kroku i uśmiechając się, więc niby co miałyby robić; to była tylko chwila, przechodzili obok siebie, ta chwila minęła. Coś jej się musiało wydawać.

Miał nadzieję, że tak pomyślała.

Gdy znalazł się przy windzie, nacisnął przycisk, by ją ściągnąć, i czekał chyba całą wieczność, czekał, że rozlegną się krzyki za jego plecami. Ale nic się nie stało, drzwi otworzyły się i nagle jakby znalazł się na scenie: z pół tuzina ludzi obrzuciło go wzrokiem od stóp do głów — trwało to sekundę — i już był między nimi, a drzwi się zamknęły. Powoli winda zaczęła jechać w górę, wewnątrz panowało milczenie tak ogłuszające, tak niedwuznaczne, tak przytłaczające, że przyszło mu do głowy, żeby sobie pogwizdać. Na wesołą nutę.

Winda się otworzyła i znalazł się w holu. Ruszył szybko do obrotowych drzwi, które oddzielały go od ulicy. Jeden długi krok, trzy, pięć. Wreszcie — już miał za sobą drzwi i truchtem zbiegał po schodach, spiesząc na umówione spotkanie, gdy...

Jakaś ręka spoczęła na jego ramieniu i rozległ się męski głos:

— *Entschuldigen Sie mich?*

Dunphy odwrócił się, z prawą ręką zwisającą u boku, ale zaalarmowany i gotów uderzyć.

— *Ich denke, das Sie dieses fallenliesen.*

Dunphy nie rozumiał słów, a co gorsza, sprawiał wrażenie nierozumiejącego, bo uśmiech na twarzy mężczyzny ustąpił miejsca irytacji. Trzymał jakąś kartkę i Dunphy natychmiast ją rozpoznał: jeden z ostatnich listów Dullesa musiał mu wypaść z kieszeni, kiedy przechodził przez hol. Gdy sięgnął po list, oczy mężczyzny zawisły przez chwilę na kartce. Zmarszczył brwi, a potem go olśniło. Przez sekundę obydwaj trzymali list jednocześnie. Potem mężczyzna wypuścił kartkę z ręki, odsunął się o krok, wreszcie się odwrócił i zaczął biec.

Dunphy dał kilka kroków wstecz, wsuwając list do kieszeni. Potem zrobił w tył zwrot i

początkowo wolno, a wreszcie pełnym kłusem pobiegł w kierunku kawiarenki, gdzie miała na niego czekać Clementine. Ruszając, zerknął na zegarek. Tego się spodziewał: minutowa wskazówka przesunęła się na *Kadłub*, a godzinowa na *Uciekaj!*



## 23.

Spóźniła się o minutę.

Albo on był o minutę za wcześnie. Jakkolwiek było, stał przed kawiarnią na Alpenstrasse, rozglądając się na prawo i lewo, jak sama gotowa rzucić się do ucieczki w poprzek ruchliwej jezdni. Za sekundę Hilda zaczęła się zastanawiać, co się z nim dzieje. Dieter i Rhinegold ocknęli się. Facet, który znalazł list, zgłosił, co widział. A wtedy grupa pościgowa, jak sfera wściekłych psów, wypadła z Archiwum Specjalnego, rozbiegając się na północ, południe, wschód i zachód — póki go nie dopadną.

Gdzież ona jest? — zastanawiał się. Pobiera pieniądze.

Właśnie. Pieniądze. Przeszło mu przez myśl, nie pierwszy raz zresztą, że tam, w skrytce bankowej na Bahnhofstrasse, było naprawdę całkiem sporo gotówki. A po tym, jak potraktował Clementine, znikając bez słowa na kilka miesięcy, kto mógłby ją winić za to, że ruszyła w świat. Poleciała do Rio, żeby popracować parę lat nad opalenizną, zakochać się w kimś, kto nie musi uciekać.

Veroushka



Paulinho

Z drugiej strony jednak zadał sobie pytanie, gdzie znalazłaby kogoś, kto by jej dostarczał tyłu wrażeń?

Patrząc tam, skąd przybiegł, Dunphy wyobrażał sobie raczej niż wyraźnie dostrzegł zamieszanie na chodniku przed Archiwum Specjalnym. Faceci w czarnych garniturach, przypominający z wyglądu Blues Brothers, wykręcali głowy to w jedną, to w drugą stronę. Już nie żyję, pomyślał. Za moment mnie zauważą. Och, Clem, nie wierzę, że mogłaś zrobić mnie w konia. Oczy biegały mu w lewo i w prawo, wypatrując samochodu.

Nagle ją zobaczył. Nadjeżdżała Alpenstrasse wynajętym golfem, trąbiąc i machając ręką niczym mamuśka futbolistów podwożąca dzieci na boisko na sekundę przed rozpoczęciem wielkiej gry. Bardzo nie po szwajcarsku, ocenił Dunphy, pokonując dwunastoma susami dzielącą ich przestrzeń. Szarpnął za drzwi i zanurkował do wewnątrz.

— Chcesz prowadzić? — zapytała.

— Nie — odrzekł Dunphy, składając się na siedzeniu jak scyzoryk, by głowa nie wystawała mu ponad deskę rozdzielczą.

— Bo mnie jest wszystko jedno.

— Nie chcę, tak jest okay.

— Gdybyś chciał...

— Ruszysz wreszcie, do cholery?!

Popatrzyła na niego wymownie długo, po czym wrzuciła bieg.

— Nie musisz być taki opryskliwy — zauważyła, gdy samochód ruszał.

— Przepraszam — zacisnął zęby. — Chodzi o to, że chcą mnie zabić. Więc gdybyś zechciała powiedzieć, co widzisz, to byłoby bardzo na miejscu. Proszę.

— Jacyś ludzie. Raczej dużo ludzi. Wychodzą z gmachu... spieszą się.

— Z którego gmachu?

— Nie wiem. To stary budynek. Numer piętnaście.

— Jezu!

— Czy tam właśnie byłeś?

— Tak.

— Aha, wygląda to tak, jakby mieli coś w rodzaju... próbnego alarmu przeciwpożarowego. Tyle że wszystko poszło nie tak.

— Nie przyglądaj im się.

— Dlaczego nie?

— Po prostu jedź przed siebie.

— Dość trudno im się nie przyglądać. Są wszędzie naokoło.

— Wyczuł wciśnięcie hamulca i potem pracę silnika na jałowym biegu; nie posuwali się naprzód.

— Co jest?

— Zatrzymaliśmy się.

— To sam wiem, ale dlaczego stoimy?

— Ponieważ jest czerwone światło. Chcesz, żebym przejechała na czerwonym?

— Nie!

— To dobrze, bo nie jestem fanką kierowców z tylnego siedzenia, zwłaszcza gdy akurat siedzą obok mnie z głową pod schowkiem.

Psiakrew, pomyślał. Zupełnie jakbyśmy byli małżeństwem.

— Proszę tylko... powiedz mi, kiedy będziemy już poza miastem, okay?

— Zro-zu-mia-no.

Auto szarpnęło i znowu jechali. Zgięty wpół na siedzeniu, Dunphy zachowywał spokój, póki Clem nie stwierdziła, że są poza zabudowaniami. Wyprostował się, usiadł normalnie i rozejrzał się wokół. Jechali serpentynami przez góry, zmierzając w stronę lotniska.

— Kupiłeś bilety? — spytał.

— Business class. Kosztowały fortunę.

— A pieniądze?

Skinęła głową.

Dunphy odetchnął z ulgą, po czym zaczął grzebać w jej torebce w poszukiwaniu papierosów — wiedział, że tam będą. Znalazł paczkę marlboro i zapalił jednego. Opadł na oparcie i zaciągnął się. W głowie miał gonitwę myśli odbijających się rykoszetem jedna od drugiej — Dulles, Jung, Brading ze swoimi krowami.

Po jakiejś chwili Clem spojrzała na niego i z podniesionymi brwiami rzuciła:

— No i?

— Co?

— Czy znalazłeś to, czego szukałeś?

Zastanowił się.

— Nie wiem — rzekł. — Myślę, że tak, ale to bardzo skomplikowane. Muszę sobie to wszystko poukładać w głowie.

Rzuciła mu sceptyczne spojrzenie i jechała dalej.



Lotnisko Kloten oznaczało ryzyko, ale nie aż takie jak Heathrow kilka dni wcześniej. Mimo że nie było tak, iżby Agencja nie miała swoich wpływów w Szwajcarii, ale były nieporównywalnie mniejsze niż w Anglii. Szwajcarzy chronili swą niezależność i neutralność, trzymając na dystans służby specjalne innych krajów — w tym także amerykańskie. Sprawy załatwiano na ogół ściśle wedle przepisów, niespiesznie, a więc gdyby Agencja chciała obserwować lotnisko, prawie na pewno musiałyby tam wysłać swoich ludzi.



Nie byliby jednak w stanie przemieścić się tak szybko. Jazda z Zug na lotnisko zajęła Clem i Dunphy'emu niecałą godzinę i jak tylko się tam znaleźli, zgłosili się do odprawy kilka minut po zwróceniu wynajętego samochodu. Następnie spędzili pół godziny w hali odlotów Swissair, pijąc kawę za kawą w oczekiwaniu na wywołanie ich lotu. W każdej minucie mógł pojawić się — i tego obawiał się Dunphy — Rhinegold z kilkoma oprychami u boku, ale nic takiego się nie zdarzyło. Ich lot wywołano o drugiej pięćdziesiąt pięć. Pół godziny później szybowali w górze nad Alpami Berneńskimi w kierunku Madrytu. Dunphy sęczył z wysokiego kieliszka szampana Mumm.

Po raz kolejny wywinął się z ciężkiej opresji.

— Powiedz mi... — odezwała się Clem.

— Tak?

— O co w tym wszystkim chodzi?

Dunphy zasepił się. Z pewnością miała prawo wiedzieć — znalazła się w takim samym niebezpieczeństwie jak on. Z drugiej strony sam w istocie nie wiedział, o co chodzi.

— Niewiele wiem — wyjaśnił. — To i owo. Parę nazwisk i nazw. Nawet nie wiem, kto się pod nimi kryje ani co one znaczą.

— Po prostu mi wszystko opowiedz.

Spojrzał przez ramię. Siedzenia za nimi były puste, a przed nimi tylko kabina pilota. Po drugiej stronie przejścia jakiś Afrykanin, półleżąc na fotelu z zamkniętymi oczami, słuchał walkmana. Docierały nawet do uszu Dunphy'ego brzękliwe dźwięki na tyle głośne, by je rozpoznał: Cesaria Evora.

— Uznasz mnie za wariata — stwierdził.

— Nie, no na pewno nie.

— A jednak chyba tak.

— Dlaczego?

— Dlatego że — zaczął Dunphy — chodzi o rodzaj... tajnego stowarzyszenia.

Clem popatrzyła na niego, myśląc, że zażartował.

— Działającego?

Dunphy zaśmiał się sarkastycznie.

— Mhm!

Nie spuszczała z niego oczu, by nabrać pewności, że mówił serio.

— Nie żartujesz?

— Nie, ani trochę.

Rozważała to przez chwilę.

— Więc to coś w rodzaju łoży masońskiej?

Dunphy potrząsnął głową.

— Nie. Zupełnie nie.

— Zatem co to jest?

Upił trochę szampana.

— Nie wiem — odrzekł. — Nie jestem pewien, kim oni są.

Ale nazywają się Zakonem Magdaleny. To bardzo stare stowarzyszenie.

— Jak stare?

Wzruszył ramionami.

— Francis Bacon był członkiem, według nich.

Clementine uznała to za drwinę.

— Kpisz sobie ze mnie.

— Nic a nic.

Miała minę pełną wątpliwości.

— To by oznaczało, że istnieją od czterystu lat.

Dunphy potrząsnął głową.

— Mowa jest o tym, że był członkiem. Nie mówią, że był pierwszym członkiem. Więc może istnieją jeszcze dłużej. Dużo dłużej. — Popatrzył przez okno na widok, który mógłby być pocztówką ze Szwajcarii: błękitne niebo i góry w kolorze umbrzy z czapami śniegu. Świat był piękny z wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp.

Na ziemi był niebezpieczny.

Zmieniając kąt nachylenia fotela, wsunął się weń głębiej i zamknął oczy. To mnie przerasta, myślał. Cokolwiek to jest, przerasta mnie. Nigdy się z tego nie wydobędziemy. Otworzył oczy i znowu wyjrzał przez okno dalej pogrążony w myślach. To bez znaczenia, ile jeszcze odkryję. Bo co z tym zrobię — pójdę na policję? Pójdę do prasy? Wsadzą mnie do psychiatryka.

— Dałabym wiele, żeby wiedzieć, o czym myślisz.

A on myślał: Ci faceci nas zabijają. Ale nie powiedział tego.

— O niczym wartym uwagi.

Clem podniosła szklanę, upiła z niej łyżeczkę i odstawiła z powrotem na tackę zakrywającą jej kolana.

— Nie wspomniałeś, dlaczego wybieramy się na Teneryfę.

— Mam tam przyjaciela.

Znowu to sceptyczne spojrzenie z jej strony.

— Nie miewa się przyjaciół na Teneryfie — rzekła. — Na takim odludziu.

Dunphy wyszczerzył zęby.

— Tommy jest szczególnym przypadkiem.

— Dlaczego?

— Bo jest wplątany w to samo co my.

Nie odzywali się do siebie przez dłuższy czas. Dunphy obserwował chmury przewijające się wokół szczytów Alp, a Clementine przerzucała strony „Mein Schöner Garten”. W końcu wepchnęła magazyn w kieszeń fotelowego oparcia przed nią.

— Czy to jest towarzystwo religijne? — zapytała.

Dunphy przytaknął.

— Tak myślałam.

— Dlaczego?

— Z powodu nazwy. — Spojrzała na niego z rezerwową miną. — Wiesz — zaczęła — zastanawiałam się zawsze, czy coś między nimi nie było, a ty?

Nie zrozumiał, o czym mówiła.

— O kim mówisz?

— Wiesz... o Nim! I o niej. O Marii Magdalenie!

Dunphy wzdrygnął się nagle.

— Clem, miałem niańki jako dziecko, więc...

— Więc co?

— To, że wygadujesz bzdury, a za chwilę ni z tego, ni z owego się rozbijemy. W samolot uderzy piorun. Takie rzeczy się zdarzają.

— Ja to mówiłam poważnie, Jack!

— Clem...

— Myła mu nogi, to wiadomo.

— I co z tego?

— Nic. Zastanawiam się tylko, czy nie było w tym czegoś więcej. To wszystko.

Dunphy potrząsnął głową, jakby chciał, żeby mu się w niej rozjaśniło.

— Nie chwytam.

— Mówię, że była godna myć mu nogi, Jack. Ja twoich nigdy nie myłam.

— Zabawne.

Ponownie powrócili do własnych myśli. Dunphy próbował doszukać się sensu w tym, co przeczytał rano, a Clem — no tak, Clem — ktoś mógł wiedzieć, o czym ona дума. Po jakiejś chwili pochylał się w jej stronę i rozmyślał dalej, teraz na głos.

— Widziałem figurę w Einsiedeln.

— Miejsce, które zwiedziłeś? W górach?

— No. Jest tam ta figura... jak Maria Dziewica, tylko że... jest czarna. I Jezus też. Jest czarny. A to miejsce, gdzie byłem w Zug? Archiwum Specjalne? Mają taki sam wizerunek na swoich przepustkach. To hologram. I jest kapliczka na parterze, natykasz się na nią zaraz po wejściu.

— Tak się nazywa to miejsce? Archiwum Specjalne?

— Uhm.

— Nieciekawa nazwa.

— To biurokraci.

— Mimo wszystko... Jak ono wygląda? — spytała.

Dunphy nie odpowiedział od razu.

— Shakespeare, patrząc z zewnątrz, science fiction Arthura C. Clarke'a, kiedy dostaniesz się do środka.

— I trzymają tam dokumenty?

— Dokładnie tak.

— A więc? — w głosie Clem słychać było rozdrażnienie.

— A więc co?

— Czytałeś jakies?

— Parę.

— No i?!

Dunphy poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Były listy — powiedział. — I inne dokumenty, których nie zdążyłem przeczytać, ale to nieważne. Wiem, czego dotyczą.

— Skąd?

— Ponieważ przesłuchiwałem faceta, który w nich figuruje.

— Przesłuchiwałeś? Kiedy?

— Parę tygodni temu. Mieszka w Kansas.

— I co mówił?

— Opowiadał, że całą swoją służbę wojskową... dwadzieścia lat... spędził na okaleczaniu bydła.

Clem zrobiła osobliwą minę.

— Ale to tylko część jego opowieści. Były rzeczy dziwniejsze. UFO i kręgi w zbożu... wariactwa, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Clementine zachichotała. Nerwowo.

— Sedno sprawy tkwi w tym, że nic z tego nie jest ważne samo w sobie — kontynuował Dunphy. — W gruncie rzeczy. Bo wszystko jest po prostu...

— Czym jest?

Próbował znaleźć właściwe określenie.

— Aranżacjami świetlnymi.

Jej zdumione spojrzenie zasygnalizowało mu, że nie zrozumiała, co miał na myśli.

— Używają dymu i luster — wyjaśnił. — Robią to wszystko w celu wywołania efektu.

— Kto to robi?

— Zakon Magdaleny.

— Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż człowiek, którego przesłuchiwałeś...

— Służył w wojsku. To prawda. Ale to była przykrywka.

— A ten efekt? — ciągnęła. — Jakiego rodzaju miały to być efekt?

— Psychologiczny.

— Bydło... i ta reszta?

— Ano.

Musiała to przemyśleć.

— Chcesz powiedzieć, że to trochę jak sztuczki Czarnoksiężnika z Krainy Oz.

Dunphy kiwnął głową.

— Właśnie. Jakby to robił on, tylko pracując dla Teda Bundy'ego.

Clementine zmarszczyła czoło.

— Nie wiem, kto to.

Dunphy pokręcił głową.

— Nieważne, kiepski dowcip. Natomiast ciekawe, że twój kumpel Simon miał rację:

Schidlof znalazł listy pisane do Junga. O Zakonie Magdaleny i... no...hm... o nieświadomości zbiorowej.

— A o co w tym chodzi?

— Planowali ją przeprogramować. — Clementine nie odzywała się, więc dodał: — To naprawdę niesamowita sprawa, jak się nad tym zastanowić.

— Niech sobie będzie. Nie chcę się nad tym zastanawiać — powiedziała. — To jakieś wariactwo.

— Wydaje się zwariowane, ale nie jest. Wiele rzeczy wyjaśnia.

— Co na przykład?

— Fakt, że ludzie widzą na niebie rzeczy, których nie potrafią wytłumaczyć; że setki sztuk bytła są okaleczane co roku przez kogoś lub coś, a świadków tych zdarzeń nie ma; i że te rozmaite geometryczne wzory pojawiają się na polach na całym świecie. Teraz wiemy dlaczego.

— Nie, nie wiemy — stwierdziła. — Nawet jeśli to prawda, co mówisz, nie wiemy dlaczego. Wiemy tylko kto... i jak to robi.

Miała oczywiście rację.

— W każdym razie — kontynuował Dunphy — istotne w tym wszystkim są listy, które czytałem, a które zabiły Schidlofa. Nie zgadłabyś, od kogo one są.

W jej wzroku wyczytał: powiedz mi.

— Od Allena Dullesa.

— O! — zdumiała się. Potem zmarszczyła czoło. — Na dobrą sprawę nie wiem, kto to jest.

Dunphy się uśmiechnął.

— Był amerykańskim dyplomata. I szpiegiem. W latach czterdziestych. Nawet już wcześniej.

— No i co?

— No i on oraz Jung okazali się głównymi graczami w tej sprawie. A jedną z rzeczy, które zrobili, było założenie CIA po to, żeby wykorzystywać ją dla kamuflażu.

— Co kamuflowali?

— Zakon Magdaleny. Dulles faktycznie wymyślił Agencję, i to było znakomite z punktu widzenia ich zamierzeń. Ponieważ wszystko, co robi Agencja, jest tajne, ona jest jak czarna dziura: cokolwiek wchodzi w jej orbitę, znika.

— Dobrze, ale co oni robili?

— Psy-ops<sup>1</sup> — odparł Dunphy. [*Psychological Operations — akcje mające na celu wywołanie lub wzmocnienie pożądaných przez inicjatora zachowań (częściej na terytorium obcym niż własnym), podejmowane z reguły przez instytucje wojskowe.*] Aranżacje świetlne, o jakich mówiliśmy.

Zastanawiała się nad tym przez moment, po czym zapytała:

— W jakim celu to robią? Co zamierzają osiągnąć?

Dunphy pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: Kto wie?

— Listy, które miałem w ręku, mówiły o Jerozolimie dla Żydów. I o zjednoczonej Europie.

— To chyba nie tak źle? — spytała Clem. — I już to mamy!

— Tak, tak, wiem. I prawdopodobnie mieli w tym swój duży udział. Lecz to nie wydaje się najważniejsze. Sprawy polityczne były drugorzędne.

— Wobec czego?

Dunphy wzruszył ramionami.

— Tego nie wiem. Ci ludzie działali wszędzie i od zawsze. Inkwizycja to była ich pierwsza karta. I Wojna Dwóch Róż. I niejedno jeszcze... czego nie pamiętam.

— Więc... za czym gonią?

— Nie wiem — rzekł Dunphy. — Ale ja muszę natychmiast zniknąć.



Przylecieli do Madrytu wczesnym wieczorem i natychmiast skierowali się do La Venta Quemada, małego hotelu na Plaza Zubeida. Dunphy zatrzymywał się w nim dwa czy trzy lata wcześniej, gdy załatwiał jakieś interesy z podejrzanym właścicielem stajni torreadorów. To było ulubione miejsce spotkań handlarzy śmiercią-na-arenie — i nie od dziś, lecz co najmniej od dziesięcioleci. Drugi dom dla Manolete'a i Dominguina oraz wielu pomniejszych gwiazd, picadorów i amatorów areny. Dunphy lubił to miejsce, a już w szczególności faceta w recepcji — zdeklarowanego anarchistę, który za niewielkie dopłaty wynajmował pokoje bez wpisywania gości.

Zameldowawszy się w recepcji, Dunphy i Clem niemal natychmiast wyszli i wzięli taksówkę na Gran Via. Znaleźli się na jednym z najsłynniejszych europejskich bulwarów, obecnie podupadłym (ale z pretensjami do minionej świetności), naszpikowanym klubami jazzowymi, teatrzykami rewiowymi, pałacowymi kinami z minionej epoki. Gigantyczne, ręcznie malowane plakaty zakrywały ściany budynków, reklamując mięśnie Stallone'a i usta Bassinger. Na środku ulicy stał bez ruchu performer, najwyraźniej obojętny na ruch samochodowy, jego ubranie i skóra w jednolitym kolorze aluminium. Cynowy Drwal — zastanawiał się Dunphy — czy może po prostu blaszana puszka?

Wszystko jedno. Czyściciele butów w średnim wieku wskazywali oskarżycielsko na buty Dunphy'ego. Cygańskie dzieci kręciły się wokół jak kojoty. Clementine — piękna, zadziwiona, z szeroko otwartymi oczami i zalękniona — obydwoma rękami trzymała się kurczowo jego prawego ramienia, jakby w obawie, że ten chaos jest po to, by ich rozłączyć. Gdzieś z odległości rozbłyskiwał modernistyczny neon banku Bis. A tuż obok podświetlone menu obiecywało owoce morza i steki. Dunphy spojrzał na Clem, wzruszył ramionami i poprowadził ją po schodach w górę do mieszczącej się na piętunku restauracji z przytulnym oświetleniem. Kelnerzy w smokingach, białe obrusy i stara dębowa boazeria wytwarzały klimat męskiego klubu — i to dobrego. Była zbyt wczesna pora na kolację w Madrycie — zaledwie dziesiąta wieczór — więc zadowolili się na razie półmiskiem tapas i butelką czerwonego hiszpańskiego wina.

Siedzieli przy stoliku pod ogromnym oknem z widokiem na Gran Via i Dunphy podzielił się z Clem tym, co wiedział jeszcze o układzie, w jaki się wplątali. Mówił, jak Dulles i CIA obronili

Ezrę Pounda — Sternika zakonu — aranżując skazanie go na pobyt w szpitalu St Elizabeth's. Mówił o ważnej pozycji tajemniczego mężczyzny o nazwisku Gomelez, a także o tym, jak Dulles i Jung spiskowali, by „zamieszać w tyglu”, promując nowe archetypy i ożywiając stare. Gdy zapytała, o czym on, do diabła, opowiada, objaśnił pokrótce, co Simon przekazał mu na temat koncepcji Schidlofa dotyczących mapy archetypów, wspomniał także o mistyfikacji w Roswell. Wreszcie Dunphy zadał jej pytanie. Co znaczy reifikować?

Nadziała kawałek pinchito na wykałaczkę i zaśmiała się, wkładając go do ust.

— Co cię tak śmieszy? — spytał.

— Miałam chłopaka, który był trockistą.

— Nie dosłyszałam.

— Był trockistą. To było dawno temu. I reifikacja to było jego ulubione słowo.

— Jezu Chryste! Byłaś komunistką?

— Nie. Miałam wtedy szesnaście lat. On był komunistą.

— Więc co to znaczy?

— Coo???

— Reifikować!

— A, o to ci chodzi — zaskoczyła. — Dzieje się tak wtedy, kiedy czemuś, co jest skądinąd abstrakcją, nadajesz określoną treść i formę, materializujesz koncept.

— Daj przykład — domagał się Dunphy.

Clem zamyśliła się chwilę.

— Och, no nie wiem... czas. Czas jest abstrakcją. A zegar „reifikuje” tę abstrakcję. Ale jaki to ma związek z tym, o czym mówimy?

— W jednym z listów do Junga Dulles wspomina o „reifikacji wróżb”. Pisze, że trzeba... zacytować teraz, okay?... „zająć aktywną postawę wobec przepowiedni” z tej ich książki.

— Jakiej książki? — zapytała.

— Nie chce mi się wierzyć, że rozmawiam o wróżbach — rozżalił się Dunphy i wezwał kelnera, żeby przyjął od nich zamówienie.

— Jakiej książki? — powtórzyła pytanie Clem.

Dunphy westchnął.

— Chyba nie pamiętam dokładnej nazwy. *Apokryfa*... coś takiego. Jakies szarlatańskie brednie o...

— Nie sądzę.

— Nie sądzisz... Dlaczego?

— Cóż, uważam, że chodzi o *Apokryf*... a ten jest z bardzo dawnych czasów.

Dunphy spojrzał na nią zaskoczony.

— Zdziwiasz mnie.

— Widziałam tę książkę — powiedziała. — W Skoob. Kieszonkowe wydanie. To właściwie nie jest zwyczajna książka. To poemat, ale nazywają to księgą. Wydawnictwo Dover wydało ją jako część antologii z utworami o końcu świata; o ile pamiętam, zatytułowali całość...

*Millenarian Yearnings*.



Rano wybrali się na poszukiwanie anglojęzycznych księgi i nawet znaleźli kilka, ale żadna z nich nie miała publikacji wydawnictwa Dover. Mając kilka godzin do odlotu, wzięli taksówkę do Puerto del Sol, gdzie znaleźli kawiarenkę internetową z szyldem:

**450-MHZ PCS a IMACS**

+

## LOS CHURROS MEJORES EN MADRID!

Temperatura na zewnątrz nie przekraczała dziesięciu stopni, ale w kawiarence przesyconej zapachem tłuszczu od smażących się churros było gorąco. Dunphy zamówił porcje tych hiszpańskich przysmaków dla siebie i Clem, lecz natychmiast zrujnował jej i sobie apetyt, gdy otworzył teczkę, którą ukradł z Archiwum Specjalnego. Rejestr bydła.

Clem spojrzała na jedno zdjęcie i oniemiała.

— Potworne! — krzyknęła. — Po co ludzie robią takie rzeczy?!

Dunphy zastanawiał się głośno nad odpowiedzią.

— Jak to określił Schidlof, a właściwie Simon? Ci ludzie „mieszają w tyglu”. „Ożywiają archetypy”.

— Pierdoły — oburzyła się Clem, a jej oczy nagle zwilgotniały.

— Powtarzam tylko, co mówił. Nie było cię przy tym. Powiedział, że ofiary ze zwierząt są stare jak świat... i miał rację.

— Dość, nie muszę na to patrzeć — rzuciła. — Idę po gazetę. — Mówiąc to, wstała od stolika.

— Kiosk jest niedaleko — poinformował ją Dunphy. — Widziałem stelaż z gazetami.

Podążał za nią oczami, gdy wychodziła. Miała posuwisty chód, jaki daje się czasem zobaczyć w Rio i Mediolanie. Tuż obok przed dwudziestojednocalowym monitorem siedział nieruchomo młody facet z brodą, który śledził ją tak wyglodniałym wzrokiem, że można by go posądzić o długotrwały post.

Chwilę potem pojawiły się churros, a wraz z nimi dwie parujące filiżanki *café con leche*. Ciastka wyglądały na półmisku jak stosik bardzo grubych patyczków, złotych i gorących. Dunphy poproszył ten kopczyk łyżeczką cukru, wyciągnął jeden patyczek i zanurzył go w kawie. Potem spojrzał na leżącą przed nim teczkę i rozpoczął czytanie.

Zaledwie w minutę czy dwie zorientował się, iż nie zawiera nic szczególnie ciekawego. Teczka miała wartość ewidencyjną, dokumentowała operacje na bydło, a Dunphy już wystarczająco znał sprawę. Szczegóły nie były mu potrzebne. Uświadomiwszy to sobie, zdenerwował się. Uzmysłował sobie, że nie wymyślił żadnego planu, żadnej strategii, żeby nie pogрузić się w topieli. Żadna policja na świecie nie dałaby sobie rady z Zakonem Magdaleny. Zaczyna się zresztą od tego, że nikt nie potrak-towałby poważnie jego opowieści. Czarne Madonny i okaleczanie bydła, tajne towarzystwa i CIA? Już się widział, jak siedzi z oficerem śledczym — lub nie, załóżmy, że to będzie raczej sam Mike Wallace. Dunphy zaczyna mówić i kiedy dochodzi dajmy na to do konia Snippy czy Naszej Pani z Ein-siedeln, czerwone światełko w kamerze przestaje mrugać, a Wallace zaczyna rozglądać się za taksówką. „Fabuła” okazała się zbyt bogata, aktorzy zbyt potężni, intryga zbyt zawiła i udziwniona. Jakąkolwiek liczbę dowodów Dunphy by zebrał, nie miałyby to znaczenia. To nie były *newsy*, które mógłbyś wykorzystać. To były *newsy*, które mogły cię zabić.

Wynikało z tego, że Dunphy’emu i Clem pozostawało zaledwie parę dróg wyjścia z sytuacji. Jedna: mogli zostać wyniesieni w plastikowych workach. (Nie do przyjęcia). Druga: mogli znaleźć miejsce do ukrycia się i odtąd chodzić zwróceniem do siebie plecami. (Również nie do przyjęcia, a poza tym prawdopodobnie nieskuteczna). Trzecia: mogli zniszczyć Zakon Magdaleny, zanim sami zostaną zniszczeni. (Dobry pomysł, Jack, ale...?). W ostatecznym podsumowaniu wyszło na to, że najrozsądniej będzie zapaść się pod ziemię. W końcu kula ziemiska jest wielka — choć CIA też jest wielka — i przynajmniej miałoby szansę na to, że

obydwoje przetrwają.

Gdy Dunphy wrócił do raportów, stwierdził, że wszystkie są na jedno kopyto. Podawano datę każdego lotu wraz z godziną startu i powrotu. Wymieniano nazwiska załogi i zapisywano warunki meteorologiczne. Na koniec sporządzano krótką notę o przebiegu akcji.

03-03-99, odlot 5.10, przylot 11.21

143. Eskadra Chirurgii

J. Nesbit (pilot)

R. Kerr E. Pagan

P. Guidry T. Conway

J. Sozio J. MacLeod

Dr S. Amirpashaie (operator)

Temperatura -5°C, wiatr płd.-zach., 4—10 węzłów

Widoczność 18 km

Ciśnienie barometryczne 30,11 i rośnie

Osobnik rasy *Aberdeen Angus* podjęty z rancho należącego do niejakiego Jimmy'ego Re, Platte 66, Parcela 49, 16,3 kilometra na północny zachód od Silverton. Środek znieczulający zaaplikowany przez kapitana Browna. Ekstrakcja oczu i oczodołu, ucha wewnętrznego i zewnętrznego. Sześciopółcentymetrowe nacięcia w pachwinach i usunięcie narządów trawiennych. Odbyt wycięty, jama odessana pompą próżniową. Narządy rozrodcze wycięte. Dwupółcentymetrowe perforacje wykonane w obrębie klatki piersiowej. Kręgosłup przecięty w trzech miejscach piłą laserową. Płyny ustrojowe odessane, zwierzę podrzuczone z powrotem na pastwisko. Nie odnotowano świadków.

Były dziesiątki takich raportów, a czytanie ich z jednoczesnym oglądaniem zdjęć okazało się zaproszeniem w podróż do Rygi. Kiedy wróciła Clem z egzemplarzem „Independenta”, Dunphy zamknął teczkę i odsunął ją na bok.

— Sympatyczna lekturka? — spytała.

— Nie — odrzekł. — To jest absolutnie okropne.

Sięgnawszy przez stół, wzięła teczkę i zaczęła ją przeglądać, wpatrując się w fotografie.

— Co masz zamiar z tym zrobić?

— Nie wiem. Prawdopodobnie nic.

— W takim razie... mogą to dostać?

Pomyślał przez chwilę.

— Dlaczego by nie?

Uśmiechnęła się i wstała z krzesła. Odwróciła się na pięcie i podeszła do kontuaru, zgłaszając facetowi z obsługi, że chce skorzystać z komputera. Podał jej do wypełnienia kartę członkowską, na której wpisała się jako Veroushka Bell. Gdy facet dostał półtora tysiąca peset napiwku, podprowadził ją do jednego z komputerów. Usiadła, zalogowała się do Internetu i w przeglądarce Alta Vista rozpoczęła wyszukiwanie potrzebnego jej adresu w Londynie.

Szukała zaledwie minutę i gdy już go miała, wyciągnęła z torby kopertę ochronną. Nalepiła na nią obfitość znaczków i drukowanymi literami wypisała znaleziony adres. Wróciła do stolika, przy którym siedział Dunphy, dość zdziwiony, i włożyła teczkę do koperty. Na koniec zakleiła kopertę i z uśmiechem pełnym satysfakcji zwróciła się do niego:

— Poszlibyśmy już?

Dunphy przeczytał, co napisała:

Stowarzyszenie na rzecz Etycznego

Traktowania Zwierząt



10 Parkgate House

Broomhill Rd.

London SW 18 4JQ

England

— Jesteś pewna, że to dobry pomysł? — zapytał.

Zaśmiała się.

— Jeszcze jak!

## 24.

Europa i Afryka kurczyły się za nimi, gdy samolot kierował się nad otwarty Atlantyk, a Dunphy widział przez okno zlewające się błękity nieba i morza. Są miejsca, w których można by się zgubić, pomyślał. Takie rzeczy stale się zdarzają. Osiedlasz się tam, gdzie polujący na ciebie ludzie nie mają żadnych wpływów... Kabul. Pyongyang. Bagdad.

Problem w tym, że miejsca takie jak Kabul zazwyczaj nie oferują miłych udogodnień, jakie na co dzień ma się pod ręką. Rzeczy takich jak... dwudziesty wiek. Orzeszki prażone z miodem. Porządna kanalizacja. Lepiej więc szukać szczęścia na Teneryfie, wprowadzie też odległej, ale z obfitością orzeszków prażonych z miodem.

Teneryfa leżąca około stu mil od najdalej na południe wysuniętego krańca Maroka jest największą wyspą w archipelagu Wysp Kanaryjskich. Słynie z malowniczych i zróżnicowanych krajobrazów (od skąpanych w słońcu plaż po najwyższe góry „w Hiszpanii”); gorszą sławę przynoszą jej rozrastające się chaotycznie kurorty i dekadentkie życie nocne, które zwykle zaczyna się zaraz po śniadaniu. Dunphy, który wcześniej był dwa razy na tej wyspie, pokochał ją i zniechęcił jednocześnie.

Lecieli już nad oceanem ponad godziną, gdy stewardesa podeszła do ich miejsc i sięgając przez Clem, wyciągnęła tacę Dunphy’ego z podłokietnika. Przykryła ją białą płócienną serwetką, wręczyła Dunphy’emu menu i zapytała, czy życzy sobie kieliszek szampana. Odmówił, a ona powtórzyła te same czynności przy Clem, która poprosiła o perrier.

— Wiesz, gdzie się zatrzymamy na wyspie? — zapytała Clem.

Dunphy wzruszył ramionami.

— Znajdziemy coś.

— A co potem?

— Potem? Potem chyba będziemy... tańczyć, jak nam zagrają. Kiedy zobaczył, że zmarszczyła czoło, poprawił się: — Najpierw porozmawiam z Tommym, będę lepiej wiedział, co robić.

— A dlaczego po prostu nie pójdziemy do gazet? — zapytała Clem.

Rozbawił go ten pomysł.

— Jak w *Trzech dniach kondora*?

— Tak tylko rzuciłam — powiedziała. — Nie musisz się ze mnie śmiać.

— Wcale się z ciebie nie śmieję. Ale gazety by sprawy nie podjęły.

— Skąd wiesz?

— Zaufaj mi.

— A więc czemu nie umieścić tego w Internecie? — zapytała Clem. — Nikt ci nie może zabronić i cały świat o tym przeczyta.

Dunphy zastanowił się nad tym pomysłem. Przez sekundę. Potem potrząsnął głową i powiedział:

— W Internecie są miliony zwariowanych stron. Latające talerze, chupa cabras, seks z szatanem, yeti... o czymkolwiek pomyślisz, od afrodyzjaków po Zorro, wszystko ma już swoją stronę internetową. Kto zwróci uwagę na wnoszoną przez nas drobną skargę i przejmie się tym, że przedstawiamy jakieś dowody w sprawie. Że mamy teczki. Wszyscy mają teczki.

Stewardesa przyniosła dla Clementine wodę i zapytała, co wolą na obiad: cielęcinę czy linguine. Clem wybrała makaron, a Dunphy zdecydował się na cielęcinę. Kiedy stewardesa się

oddaliła, Clem zwróciła się do Dunphy'ego i zapytała z wyrzutem:

— Jak możesz?

Dunphy nie zrozumiał.

— O co chodzi? — zapytał.

Odwróciła wzrok.

— Jak mogę co?

Sięgnęła do kieszeni w oparciu fotela przed sobą i wyciągnęła mocno podniszczone pisemko linii lotniczych.

— Jeść cielecinę! — rzuciła. — Odwróciła głowę, otworzyła gazetę i zaczęła czytać, podkrecając na palcu kosmyk włosów i całkiem ignorując Dunphy'ego.

Krowie dzieci?

— Idę rozprostować nogi — powiedział Dunphy. Wstał i ruszył powoli między fotelami, czując pod nogami drżenie samolotu. Zatrzymał się przy kuchence, ściągnął na siebie wzrok stewardesy i zmienił zamówienie. — Chyba jednak wezmę linguine — powiedział. — Uśmiechnęła się na potwierdzenie.

Przechodząc z klasy biznes do turystycznej, poczuł zapach papierosów dolatujący z tylnej części samolotu, gdzie grupka ludzi stała pod toaletami. Rozejrzał się i stwierdził, że samolot nie jest zatłoczony, choć myślał, że będzie. Za to pasażerowie byli bardzo różni. Matki z małymi dziećmi, biznesmeni i młodzież studencka, turyści z plecakami i Arabowie. Wycieczkowa grupa około sześćdziesięciu Brytyjczyków doskonale się bawiła, pijąc z wielkim zapałem i grając w karty. Mniej więcej jedna trzecia wycieczkowiczów miała na sobie identyczne czerwone blezery z jakimś herbem na piersi. Gdy koło nich przechodził, zatrzymał na nim oko i tak się dowiedział, że oto leci jednym samolotem z członkami Świętego Zakonu Kolcolistu. Wyczuwając jego zaintrygowanie, jeden z mężczyzn uniósł głowę znad kart i uśmiechnął się znacząco.

— Golfiści — wyjaśnił.

Idąc dalej przejściem, zatrzymał się przy wyjściu ewakuacyjnym, przykucnął i wyjrzał przez małe okienko. Daleko w dole połyskiwał ocean, jego lazuruową powierzchnię urozmaicały białe grzywy fal oraz tu i ówdzie sylwetki frachtowców. Obserwował tę panoramę przez minutę lub dwie, zastanawiając się, czy Clem jest jeszcze zła na niego.

Potem się wyprostował, odwrócił od okna i ruszył z powrotem tą samą drogą. Prawie dotarł już do kotary oddzielającej pierwszą klasę od turystycznej, kiedy poczuł na karku mrowienie — przeniknął go dreszcz pod ciężarem czyjegoś wzroku. Odwrócił się i spojrzał w oczy mężczyzny w średnim wieku z platynowymi włosami i niezdrową cerą.

Blondyn.

A dalej, za oparciem, śpiący na swoim fotelu Jock.

A niech to wszyscy diabli, pomyślał Dunphy. Można mieć dość. Poczuł nagły przyływ adrenaliny, jakby przez serce rwał wiosenny potok, potem odpływ i ponowny przyływ.

Nie bardzo wiedział, co robić. Ani jak go znaleźć. Ani co mogło go czekać na Teneryfie, gdy samolot dotknie ziemi. A potem nagle, ku własnemu zaskoczeniu, ruszył w stronę tego starszego.

— Czy to miejsce jest zajęte? — Nie czekając na odpowiedź, zrobił krok ponad nogami swojego tropiciela i opadł na siedzenie obok niego. — Mówisz po angielsku? — zapytał, podnosząc jednocześnie oddzielający ich podłokietnik.

Mężczyzna skinął głową. Przełknął ślinę.

— Dobrze — powiedział Dunphy — bo to ważne, żebyś wszystko zrozumiał. Jeśli nie powiesz mi prawdy, to skręcę ci kark... tu, nie czekając. Rozumiesz słowo kark, prawda? *Le cou?*

Mężczyzna gorączkowo rozejrzał się wokół, jakby wyglądając pomocy, po czym sięgnął do pasa i zaczął grzebać przy sprzączce, próbując ją rozpiąć.

— Żadnych kłopotów, proszę — ostrzegł, mówiąc z wyraźnym alzackim akcentem. — Albo zawołam *la hôtresse*. — Zostawiając w spokoju pas bezpieczeństwa, sięgnął do przycisku, by wezwać stewardesę, lecz nagle zeszywniał i opadł na oparcie, gdy Dunphy lewą ręką złapał go za jaja. I ścisnął. Mocno.

Oczy mężczyzny wyszły z orbit i groziło, że eksplodują, jako że uścisk Dunphy'ego stawał się coraz dotkliwszy.

— Błagam!

A Dunphy ścisnął jeszcze mocniej.

Mały chłopiec na fotelu po drugiej stronie przejścia szarpał matkę za rękaw i pokazywał na nich. Dunphy uśmiechnął się do niego, jakby to wszystko było dobrym żartem. Wreszcie otworzył dłoń i Alzaczyk odetchnął z ulgą.

— Jak mnie znaleźliście? — zapytał Dunphy.

Mężczyzna zacisnął oczy, zamrugnął powiekami i potrząsnął głową, jak gdyby chciał sobie rozjaśnić myśli. Potem wziął głęboki wdech i powiedział:

— Dziewczyna.

— Jaka dziewczyna?

— Angielka. Przyjeżdża do Zurychu, przypominam ją sobie z Jersey.

— Więc siedzieliście mi na ogonie...

— Od St Helier do Zurychu. Potem zapadasz się pod ziemię w hotelu. Ale... ona tam przyjeżdża, więc ją śledzimy. — Powiedział to w taki sposób, jakby udzielał Dunphy'emu nagany i krytykował jego zawodowstwo.

— Nie wiedziałem, że widzieliście ją na Jersey — wyjaśnił Dunphy.

— Tak. My widzimy ją. Trudno zapomnieć.

— Więc...

— Idziemy za nią do banku. Potem na lotnisko. Potem do Zug.

— I Madrytu.

— Tak, pewne — odpowiedział mężczyzna, odpinając kołnierzyk koszuli. — Do Madrytu też.

— A teraz co? — zapytał Dunphy.

Alzaczyk wzruszył ramionami.

— Ja radzę, lepiej mów z Rogerem. Bo teraz... on chce ciebie zabijać.

— Naprawdę? — Dunphy zadał raczej retoryczne pytanie. —

I czeka na mnie na Teneryfie?

Kiedy mężczyzna nie odpowiedział, Dunphy spojrzał groźnie, ale Alzaczyk podniósł ręce w uspokajającym geście.

— Nie umiem powiedzieć. Zrozum, ma problemy z prawem... w Krakowie. Ty jesteś w St Helier, a Polacy trzymają jego paszport. Inaczej miałbyś z nim do czynienia w Zurychu, to pewne.

— A teraz?

Wydał wargi.

— Myślę, że może dostaje paszport z powrotem.

Dunphy położył dłoń na jego ramieniu.

— Myślisz?

Wyraz czujnej nieufności przemknął przez twarz Alzaczyka.

— Tak, myślę, że teraz go ma.

Dunphy skinął, a potem powiedział po cichu:

— Więc zobaczysz go całkiem niedługo... to dobrze. Bo chcę, żebyś mu coś przekazał.

Powiedz mu, że dostanie ode mnie połowę pieniędzy od razu, a resztę... trochę później. Ale nie dostanie, jeśli wlezie mi w oczy na Teneryfie. Jak zobaczę go na Teneryfie... — zostawił zdanie w zawieszaniu i miał nadzieję, że nawet bez puenty zabrzmiał jak groźba.

Alzatzczyk odwrócił się do niego ze skwaszoną miną niewiniątka; przebiegłość mieszała się w jego oczach ze strachem.

— Tak? — zapytał. — Jak zobaczysz go na Teneryfie, to...? Co mam mu powiedzieć?

Jaja sobie ze mnie robi? — zastanawiał się Dunphy. No, jeśli tak... to absolutnie nic nie mogę na to poradzić. Nie w samolocie. Ostatecznie zasyczał:

— Powiedz mu, że to będzie niespodzianka. — Potem wstał i poszedł z powrotem na swoje miejsce.



Droga z lotniska Reina Softa do Playa de las Americas była jak przejazd przez scenerię znaną mu z gry komputerowej *Bóg wulkanu*.

Krajobraz był w kolorze ochry, kaktusy i skały wyrastały z pustynnej ziemi, której twardą skorupę rozłupywał na dwie części najwyraźniej stały samochodowy korek. Po czterdziestu pięciu minutach, kiedy na zmianę to zatrzymywali się, to ruszali, jałowe pustkowie otworzyło się na swoje miejskie przeciwieństwo — las Americas. Była to rozciągnięta enklawa turystyczna rojąca się od grup wycieczkowych, kiczowatych pubów, dudniących dyskotek oraz sklepów sprzedających T-shirty i pamiątki. Szylid na zewnątrz Banco Santander informował, że temperatura wynosi trzydzieści sześć stopni.

— Witaj w piekle — powiedział Dunphy.

Taksówka zatrzymała się przy klubie nocnym TYLKO DLA DOROSŁYCH! w okolicy Veronicas.

— *Abajo alli* — powiedział kierowca, wskazując na boczną drogę dla pieszych, która wiała się w łagodnie pagórkowatym terenie obok palm i ogrodów kwiatowych, pojawiając się i znikając na swoim szlaku w dół ku morzu.

Dunphy dał mu tysiąc peset.

— Dalej musimy iść piechotą — wyjaśnił Clem.

Zajął im pół godziny znalezienie Broken Tiller, gdzie Dunphy nie był od prawie trzech lat. W tym czasie po obu stronach knajpy Franka Boylana i z tyłu wyrosły budynki, tak że kuliła się teraz pod masywem pobielonego sześciopiętrowego hotelu Miramar. Po jej obu stronach: niemiecka *Bierstube* i dyskoteka (Studio 666). Poza tym niewiele się zmieniło.

Wciśnięta w zbocze tonącego w zieleni, dobrze nawodnionego wzgórza, knajpa Tiller była bezpretensjonalną, niemal elegancką restauracją z barem oferującą owoce morza i widok na plażę dla nudystów oraz dalej na ocean. Zachody słońca, jak Dunphy pamiętał, były tu zazwyczaj widowiskowe, zwłaszcza w porze deszczowej. Ten wieczór nie był wyjątkiem.

Pulchne czerwone słońce zawisło nad horyzontem na skraju pokrytego barankami nieba, oscylując między barwą kremową i brzoskwiiniową. Dunphy i Clem postawili swoje podręczne torby obok błękitnej kanapy i usiedli przy niewielkim stoliku na białych krzesłach z wikliny. Przystojny młody uśmiechnięty mieszkaniec Teneryfy wyszedł zza baru.

— Czym mogę służyć? — zapytał.

— Dla mnie piwo — odpowiedział Dunphy — i... co? — Spojrzał na Clem.

— Ja poproszę gin z tonikiem.

Zanim barman zdążył odejść, Dunphy zgłosił mu sprawę.

— Szukam pewnego znajomego.

— Tak?

— Nazywa się Tommy Davis. Pomyślałem sobie, że może go widziałeś.

Dzieciak — nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat — zamrugał oczami, a potem spektakularnie się zamyślił. Ostatecznie potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

— *Lo siento*.

Głupia odpowiedź, zgał się Dunphy. Tommy nie chce, żeby go znalezione, więc czy chłopak go zna, czy nie, nic na jego temat nie powie.

— A Frank Boylan? Co u niego? To dalej jego lokal?

Szeroki uśmiech.

— Pewnie. On go nigdy nie sprzeda. Zna pan pana Boylana?

Dunphy skinął głową.

— Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Możesz mnie z nim połączyć?

— Myślę, że tak — powiedział chłopak — jeśli nie pije. Bo czasem, kiedy pije...

— Wiem.

— ...wyłącza komórkę. Mówi, że nie chce, by mu przeszkadzano.

— No dobrze... Sprawdź, czy da się go złapać. Powiedz mu, że Merry Kerry jest w barze.

— Mary Kelly?

— Merry... Kerry — poprawił Dunphy. — Tak jak Happy Kerry, tylko trochę inaczej. A jak będziesz dzwonił, rzuć okiem na zaplecze. Powinna być dla mnie przesyłka.



Było wpół do ósmej, kiedy zwinnym krokiem wszedł Tommy z drobniejszym, ale krzepkim Francisem Boylanem u boku.

— To on, on we własnej osobie! — krzyknął Tommy, a jego irlandzki akcent pobrzmiwał jeszcze wyraźniej po wielomiesięcznym pobycie w Hiszpanii. — Raz i drugi próbowałem cię złapać — zaskrzeczał. — Ale jedyną nagrodą za moje wysiłki były dziwne odgłosy w telefonie. Pomyślałem, że na pewno leżysz sztywny.

Padli sobie w ramiona w serdecznym *abrazo*. Po chwili Dunphy uwolnił się z uścisku, żeby podać dłoń Boylanowi.

— Jeszcze młoda godzina — odpowiedział. — Mogę paść trupem w każdej chwili. — Wreszcie przedstawił Clementine.

— Miło cię poznać — powiedział Tommy, obejmując ją z zapalem nieco większym, niżby wymagała okoliczność.

— A to nasz gospodarz — obwieścił Dunphy, biorąc Clem za łokieć i przedstawiając jej „wielkiego Francisa Boylana”.

Irlanczyk uścisnął jej dłoń i odwrócił się do Dunphy’ego z wyrazem aprobaty na twarzy.

— Dobrze się spisujesz.

Wkrótce siedzieli wokół półmiska z tapas i pili, a Tommy skarżył się na „ciężkie życie” na Teneryfie.

— Obu nas zabija — oświadczył. — Francis, ten oto, jest cieniem człowieka, jakim był. Tylko popatrzcie. Zmizerowany, wory pod oczami...

— Według mnie wygląda świetnie — stwierdziła Clem.

— Dziękuję — rzucił Boylan.

— To przez seks, słońce i alkohol — upierał się Tommy. — Bo pomyślcie tylko, dzień w dzień przylatują na wyspę tysiące kobiet, a każda z nich jest napalona na dobrą zabawę. A więc jeśli ktoś mieszka tutaj na stałe i wie, jak się tu obracać... hm, aż dziw bierze, że nikt ze świata medycyny nie prowadzi tu badań naukowych.

W ciągu kolejnych godzin wypróbowali kuchnię w Broken Tiller, stwierdzając, że kucharz

trzyma formę. Pomiedzy kęsami miecznika, młodych ziemniaków, zielonej fasolki i łykami rieslinga Dunphy opowiedział towarzystwu o Blemencie i natknięciu się na jego ludzi w samolocie z Madrytu.

— A więc podwędziłeś pieniądze tego faceta, a on teraz próbuje je odzyskać — podsumował Boylan.

— Nie inaczej — potwierdził Dunphy.

— Dziwicie mu się? — zapytał Tommy. — Ja bym robił to samo.

— Jasne, że tak. I każdy na jego miejscu. Ale spójrzmy na to z innej perspektywy. To bardzo zły człowiek. To nie to samo co obrabowanie biednych klarysek — wyjaśniał Dunphy.

— Jednak...

— On jest antysemitą! — nie dawał za wygraną Dunphy. —

I przede wszystkim to nie były jego pieniądze.

— A więc niech go Żydzi okradną! — zasugerował Tommy.

Zanim Dunphy zdążył odpowiedzieć, Boylan wystąpił z propozycją.

— Mógłbym zamienić z nim słówko, jeśli chcesz. Wysłać kilku chłopców. Poprosić o trochę cierpliwości.

Dunphy zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym pokręcił głową.

— To mój problem. Sam się z nim uporam.

— W takim razie... — Boylan sięgnął ręką do tyłu, pogmerał za pasem i wyciągnął mały lśniący pistolet. Wsunął go między strony lokalnej gazety „Canarias7” i przesunął po stole do Dunphy’ego. — To P siedem — powiedział. — Firmy Heckler & Koch. Magazynek na osiem naboł.

Clem przewróciła oczami, odchyliła się na krześle i odwróciła wzrok.

— Dziękuję, Jezu! — wykrzyknął Dunphy, wciskając broń między pasek a koszulę. — Oddam ci go, zanim wyjedziemy.

Boylan skinął głową.

— Byłbym wdzięczny. Kosztował okrągły tysiąc.

— Gdzie mieszkacie? — zapytał Tommy.

— Nie wiem — odrzekł Dunphy — Przyjechaliśmy parę godzin temu.

— Możecie się zatrzymać u Nicky’ego Slade’a. Pamiętasz Nicky’ego, prawda?

— Ten najemnik — powiedział Dunphy.

— O nim mowa — przytaknął Tommy.

— To miły dom — zauważył Boylan — a Nicky przez jakiś czas nie będzie go potrzebował.

— Dlaczego? — zapytał Dunphy.

Boylan spojrział na Tommy’ego, potem z powrotem na Dunphy’ego.

— Chyba podróżuje, nie?

— Nie wiem. A jest tak?

— Tak — odpowiedział Tommy — Będzie nadal w podróży w przewidywalnej przyszłości.

— A więc to jakaś przeciągająca się wyprawa — zasugerował Dunphy.

— Tak.

— A powód? — dopytywał się Dunphy.

— Cóż — wyjaśnił Boylan — po prostu wokół faceta zrobił się smród.

— Komu źle pachniał?

— Pewnym grupom.

— Jakim?

— NATO — odpowiedział Tommy. — Jesteś mocno dociekliwy, wiesz?

Clem zachichotała, a Dunphy zmarszczył brwi.

— Na miłość boską, co trzeba zrobić, żeby weszło NATO?  
— Był drobny błąd drukarski w dokumentach celnych — powiedział Boylan.  
— Naprawdę? — zapytał Dunphy.  
— Rzeczywiście był — potwierdził Tommy. — I wyobraź sobie, że biurokraci robią z tego federalną aferę.  
— Na czym polegał błąd?  
— Z tego, co słyszałem, to wpisał w jedną z rubryczek formularza słowo *chardonnay*, a gwoli ścisłości stan faktyczny lepiej oddawałby wyraz *granaty*.



Dotarli do Slade'a trochę po północy. Był to jeden z dwunastu szeregowców przy cichej uliczce w Las Galletas, niedaleko od las Americas i nieopodal plaży. Domek po lewej dzierżawiły trzy stewardesy, jak informował Tommy, a po prawej — starsza Szkotka.

— Będzie wam tu dobrze — zapewnił Tommy.

Gdy weszli, powitał ich zapach stęchlizny.

— To na pewno NATO — zażartował Tommy. Rzuciło się w oczy, że mieszkania od tygodni nie używano. Ale łatwo było temu zaradzić. Wystarczyło otworzyć okna i rozsunąć zasłony, by świeży powiew szybko oczyścił atmosferę. Dunphy włączył światła w pokoju dziennym.

— Rano przyniosę ze sobą pearlorder — powiedział Tommy. — Żebyś mógł odsłuchać taśmy. — Miał na myśli nagranie, które Dunphy przesłał na swoje nazwisko na adres Broken Tiller.

— Tylko zadzwoń do mnie przed przyjściem! — zawołał Dunphy. — Nie chcę zastrzelić cię przez drzwi.

— Zadbam o to — obiecał Tommy już w progu i machnął ręką na pożegnanie. — Cześć!

Dunphy zamknął za nim drzwi na klucz i wszedł do kuchni. Otworzył lodówkę i znalazł w niej pół skrzynki budweisera, dwa rodzaje musztardy i niewiele więcej. Przemknęło mu przez głowę, że skrzynka budweisera musiała kosztować majątek na Kanarach, ale otworzył jedną butelkę i wrócił do pokoju dziennego.

— Masz sympatycznych przyjaciół — powiedziała Clem, przeglądając stosiki płyt CD. Chociaż są...

— Jacy?

— Trochę brutalni.

Dunphy skinął głową.

— Hm, pewnie tak — przyznał. — Taką mają pracę. — Wyciągnął zza paska pistolet i położył go na stoliku do kawy obok wazonu z zakurzonymi sztucznymi goździkami z jedwabiu. Potem podszedł do okna i głęboko zaczerpnął ciepłego morskiego powietrza.

— Myślisz, że nas znajdą? — zapytała Clem.

— Nie wiem — odrzekł Dunphy, zastanawiając się, których prześladowców miała na myśli — Blémonta czy Agencję. — Nie wydaje mi się, żeby wlekli się za nami z lotniska, ale przecież nie wyglądało na to, że depczą nam po piętach od Jersey, a tak było. Co ja mogę wiedzieć?

Włożyła płytę CD do odtwarzacza i po chwili smętny głos wypełnił pokój skargą *Easy's getting harder every day*.

— Iris Dement — powiedziała Clem, kołysząc się w rytm melodii.

Dunphy oparł się o parapet i sączył piwo. Sięgał wzrokiem poza niewielki ogród (kto by przypuszczał, że ktoś taki jak Slade może bawić się w ogrodnika) na linię światła na ciemnym horyzoncie. Frachtowce i pasażerskie linowce, żaglowce i tankowce. Była to piękna, nawet romantyczna sceneria, ale nie mógł się wczuć w ten nastrój. Myślał o facetach w samolocie —



Blondynie i Jocku. I o tym, że zniknęli po wylądowaniu na Teneryfie.

Co powinno być pocieszające.

Nie mając żadnych bagaży do odebrania, Dunphy i Clem szybko przeszli przez odprawę celną i port lotniczy, po czym wsiedli w pierwszą taksówkę, jaka się napatoczyła. Śledzących ich mężczyzn nie było nigdzie w pobliżu. Dunphy by się zorientował. Ale ich nie było. Zastanawiał się w związku z tym, czy...

Nie.

Tylko przez chwilę pocieszał się myślą, że jakimś cudem ich odstraszył. Czy to w ogóle było prawdopodobne? Blondyn w gruncie rzeczy nie wyglądał na przestraszonego, potraktował zajście jako pewną niedogodność, to wszystko. Więc...

Ci dwaj musieli wcześniej zadzwonić z Madrytu. Uprzedzić. Ktoś czekał na nich na lotnisku. Co znaczyło...

Z grymasem na twarzy Dunphy zaciągnął zasłony i sprawdził zamki w drzwiach balkonowych prowadzących do ogrodu. Nie były wiele warte. Wystarczyłoby dobrze kopnąć, żeby otworzyć drzwi.

W pokoju dziennym wyciągnął zza paska dziewięćmilimetrowy pistolet, który dostał od Boylana, wsunął go do kieszeni. Clem wciąż poruszała się w rytm muzyki.

— Jack? — zapytała.

— Tak?

— Nic nam nie grozi, prawda?



Tommy pojawił się rano, trochę po dziesiątej. Jako że w apartamencie Slade'a nie było nic dojedzenia, wyszli razem po rogałe na miejscowy bazar, a potem pojechali do las Americas.

— Właściwie moglibyśmy wpaść do Tiller — zasugerował Tommy. — Kawa u Boylana smakuje jak każda inna... a jest dwa razy mocniejsza.

Zostawili czerwonego deux chevauksa na parkingu w pobliżu kina Dumas i przespacerowali się w dół wzgórza do Broken Tiller. Za barem stał i wycierał szklanki ten sam chłopak, który był tutaj poprzedniego wieczoru.

Poza tym nikogo. Było mroczno i chłodno.

— Z ekspresu, Miguelu.

— Dla mnie nie, dziękuję — powiedziała Clem. — Idę popływać.

Dunphy spojrzał na nią sceptycznie.

— Nie zapomniałaś o czymś?

Rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

— O czym?

— O kostiumie kąpielowym — odpowiedział Dunphy, siadając przy stoliku w kącie baru.

Clem pocałowała go w czubek głowy.

— Jesteś uroczy — stwierdziła, odwróciła się na pięcie i wyszła na słońce, trzymając pod pachą ręcznik kąpielowy.

— To muszę zobaczyć! — wykrzyknął Tommy.

— Nie, nie musisz — powiedział Dunphy i ciągnąc go za łokieć, posadził obok siebie. — Przyniosłeś pearlorder?

— Tak. — Tommy sięgnął do kieszeni koszuli i wręczył aparacik Dunphy'emu. — Masz na tej taśmie profesora?

Dunphy skinął i wcisnął mikrokasetę.

— To ostatnia taśma, jaka się nagrała, zanim został poćwiartowany.

— Jeśli ci nie robi różnicy — powiedział Tommy — bo i tak nie możemy obaj naraz tego słuchać, ja wezmą swoją kawą na dół na plażę.

Dunphy podłączył słuchawki do pearlordera i założył je na uszy.

— Nie masz chyba zamiaru podglądać mojej dziewczyny, co?

— Daj spokój — zaprotestował Tommy. — Za kogo ty mnie masz?

— Za zboczeńca.

Cokolwiek Tommy rzucił w odpowiedzi, umknęło to Dunphy'emu, bo wcisnął przycisk *play* i maleńkie rolki już zaczęły się kręcić.

*...Meadow Gold.*

*W kolorze tej orchidei?*

*Tak.*

*Cóż, skoro pan tak mówi, ale... Nie sądzi pan, że to trochę...*

*Co?*

*Żółte?*

*Wiedziałem, że pan tak powie! Ale nie, nie będzie źle. Będzie wspaniale wyglądać z kirmanem.*

*Ano tak, słusznie! Pan ma kirmana!*

Chwilę zajęło Dunphy'emu rozszyfrowanie głosów, po kolejnej minucie domyślił się, o czym mowa — o krzesła, które Schidlof oddał do tapicera.

Druga rozmowa była raczej klarowna — Schidlof umawiał się z lekarzem na wizytę, ponieważ podejrzewał, że ma zapalenie kaletki maziowej. Potem przed Dunphym pojawiła się kawa, nagle i znikąd. Skulony nad pearlorderem, ze słuchawkami przyciśniętymi do uszu, nawet nie zauważył nadchodzącego Miguela.

— Dziękuję — powiedział trochę za głośno. I pociągnął łyk. — *Yowzah!*

Rozmowy trzecia i czwarta były ze studentami, którzy pytali Schidlofa, czy mógłby wyznaczyć im inny termin spotkania. Piątą rozmowę przeprowadził Schidlof i było to połączenie międzynarodowe — Dunphy naliczył piętnaście wyraźnych tonów, zanim telefon po drugiej stronie zaczął dzwonić. A wtedy na linii odezwał się Amerykanin, sądząc po wymowie.

*Gibeglisociates.*

*Halo! Mówi Schidlof!*

*Tak...*

Dunphy zatrzymał taśmą i przewinął ją do tyłu.

*Gibegli Associates.*

Jeszcze jedna próba.

*Gil Beckley Associates.*

*Mówi Schidlof.*

*Tak, doktorze Schidlof. Miło pana słyszeć.*

*Dzwonią w sprawie czeku, który wysłałem.*

*Tak... oczywiście, chcę za niego podziękować.*

*To jest zaliczka.*

*Tak też zrozumiałem*

*I jestem ciekaw, czy miał pan czas, żeby spojrzeć na ten list.*

*Tak.*

*I? Ma pan jakieś zdanie na jego temat?*

*Jest autentyczny. Nie ma wątpliwości.*

Taśma obracała się w ciszy przez jakieś pięć czy dziesięć sekund.

*Profesorze?*

*Tak.*

*Myślałem przez chwilę, że połączenie zostało przerwane.*

*Nie, tylko że...*

*Gdyby pan chciał, mogę skontaktować pana z kimś, hm... kto pracuje dla Sotheby. Wysokiej klasy profesjonalista.*

*Nie...*

*Mógłby prawdopodobnie wyciągnąć dla pana z tysiąc — może nawet więcej. Żeby pan na tym nie stracił.*

Głos Beckleya przypomniał nagle Dunphy'emu, że widział faceta w jednym z programów Dianę Sawyer, gdy mówił o dziennikach Adolfa Hitlera, które nimi nie były.

*Cóż, doceniam to, ale w tej chwili... po prostu chcę tylko potwierdzić autentyczność listów.*

Tym razem Beckley ucichł. A potem:

*Och, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że zachowała się...*

*Tak. Cała korespondencja. Wydawało mi się, że powiedziałem to wyraźnie.*

*Nie.*

*Cóż...*

*I one są... Mówi pan, że one wszystkie są od Allena Dullesa?*

*Tak. Zaczęli korespondować na początku lat trzydziestych. Jung zmarł w 1961. I wtedy to się skończyło.*

*Rozumiem.*

Beckley znowu zamilkł.

*Wie pan, to może być dość delikatna materia.*

*Tak? A to dlaczego?*

*Cóż... Allen Dulles był nie byle kim. Maczał palce w niejednej sprawie.*

*Zdaję sobie z tego sprawę, oczywiście, ale...*

*Gdyby pan chciał, mógłbym rzucić okiem na resztę tej korespondencji.  
To bardzo miło z pana strony, ale...  
Bez honorarium.  
To nie jest ważne, naprawdę.*

Rozmowa ciągnęła się jeszcze przez minutę, może dwie. Beckley próbował nakłonić Schidlofa do wysłania mu pozostałych listów, a ten uprzejmie odmawiał. Wreszcie profesor rozłączył się, mówiąc, że spieszy się na seminarium.

Dunphy przypomniał sobie telegram, który widział w Archiwum Specjalnym — ten od Matty do Curry'ego. „Osobowe źródło informacji... Andromeda... Klauzula najwyższej poufności... Kim jest Schidlof?”

Dobrze, pomyślał Dunphy, przynajmniej wiemy, kto był tym źródłem — nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Biedny Schidlof zgłosił się do całkowicie nieodpowiedniego człowieka. Beckley należał do tych waszyngtońskich typów, którzy nigdy do końca nie potrafili przeboleć faktu rozstania się z certyfikatem bezpieczeństwa i dostępem do tajnych dokumentów. Odchodząc na przymusową emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat, robią wszystko, żeby zademonstrować swoją nieustającą przydatność dla wywiadu, żeby „trzymać rękę na pulsie”, żeby pozostać „graczem”.

I tak Beckley sprzedawał swojego klienta panom z Biura Bezpieczeństwa Agencji w zamian za poklepanie po plecach. Ciekawe zresztą, czy się tego doczekał, pomyślał Dunphy. Być może podobnie jak Schidlof wacha kwiatki od dołu. Dunphy miał nadzieję, że to drugie.

Podniósł wzrok znad pearlordera i zasignalizował Miguełowi, że prosi o kolejną kawę. Rozejrzawszy się, stwierdził ze zdziwieniem, że nie jest już jedynym klientem w barze. Przy stoliku na tarasie siedziała para młodych ludzi, rozmawiając z ożywieniem. A przy barze spokojnie popijał piwo jakiś mężczyzna odwrócony do sali plecami. Niezła robocza koszula, pomyślał Dunphy, podziwiając jej kolor — kobaltowy błękit.

Potem wyrzwał przez okno na plażę w poszukiwaniu Clem, ale nie mógł jej wypatrzeć. Były tam dziesiątki pływaków, wchodzących do wody i wychodzących na brzeg, i przynajmniej setka opalających się ludzi, z czego około połowa nago — spali, czytali, piekli się w upale.

W przeciwieństwie do niego. W barze było chłodno, nawet wilgotno.

Dunphy poprawił słuchawki na uszach, wcisnął przycisk *play* i znowu zaczął słuchać.

Schidlof rezerwujący bilety na mecz Spurs. Schidlof odwołujący wizytę u dentysty. Schidlof użalający się przed innym wykładowcą na nieznośne przeładowanie kursów. Schidlof ulegle słuchający telemarketera. A potem Schidlof wybierający numer i radosny głos:

*Halo, aloo?!*

*Doktor Van Worden?*

*Po prostu Al, z góry dziękuję!*

*Och! Mówi Leo Schidlof... King's College.*

*Tak?*

*Dzwonię z nadzieją, że uda mi się pana zobaczyć.*

*O?!*

*Uhm. Tak naprawdę, jeśli jest pan wolny, moglibyśmy zjeść razem lunch. — Cisza, którą spieszy przerwać Schidlof. — Zainteresowałem się mocno Zakonem Magdaleny.*

*Chichot Van Wordena.*

*Naprawdę?*

*Tak. I jak mniemam, jest pan jedną z niewielu osób, które mogą mi coś na ten temat powiedzieć.*

*Noo tak... myślę, że tak, ale... jest pan historykiem?*

Miguel pojawił się z espresso dla Dunphy'ego i bez słowa postawił filiżankę na stole.

*Ściśle mówiąc, psychologiem.*

*Ach tak... Rozumiem. —Długa pauza. — Tylko że naprawdę... Dlaczego psycholog interesuje się czymś takim. Przecież oni wymarli dwieście lat temu. — Cisza po stronie Schidlofa. — Profesorze?*

*Tak?*

*Zastanawiałem się, dlaczego psycholog...*

*Bo nie jestem pewien, że tak się stało.*

*Co?*

*Że wymarli.*

Z kolei Van Worden zamilkł. Wreszcie powiedział:

*Doskonale! Koniecznie nawet. Zjedźmy razem lunch.*

Dunphy zastanawiał się, kim jest Van Worden. Jakimś profesorem — pewnie historii. W każdym razie kimś, kto musiał wiedzieć niemało o Zakonie Magdaleny, skoro Schidlof szukał z nim kontaktu.

Przewinął taśmę do miejsca tuż przed początkiem rozmowy. Było siedem tonów wybierania, a potem radosny głos Van Wordena: *Halo, aloo?! Co znaczyło, że była to rozmowa miejscowa z domu Schidlofa. A to lokalizowało Van Wordena gdzieś w centralnym Londynie.*

Dunphy zdążył pomyśleć, że prawdopodobnie znajdzie Van Wordena w londyńskiej księżce telefonicznej, gdy usłyszał zdławiony krzyk. Kiedy podniósł głowę, lewym kącikiem oka zarejestrował jakiś cień obok i odwracając się w tę stronę, zamarł nagle, widząc w przelocie, jak mężczyzna przy barze zamierza się na Miguela butelką. A potem kij baseballowy, cegła czy coś takiego — coś uderzyło Dunphy'ego za uchem. I nagle cały świat rozbłysnął białym światłem, Dunphy odpłynął i huknął o kafelkową podłogę, ciężko. Słuchawki spadły mu z uszu, krzyk rozbrzmiewał teraz przeciągłym wyciem, a on usiłował wymacać za pasem pistolet, który dostał od Boylana.

Wyciągnął go już do połowy, gdy czubem buta dostał w nerkę, w ramię i znowu w nerkę. Teraz dwie osoby krzyczały i wyły, i tylko niejasno zdawał sobie sprawę, że tą drugą był on sam. Czyjaś podeszwa wgniotła mu się w żebra, przeturlała go na plecy i wtedy wypalił z pistoletu na oślepi i potem znowu raz za razem. Nie wiedział, do kogo bądź do czego strzela ani ile razy, ale jak zaczął, tak nie przestawał wymachiwać bronią i strzelać, pełzając po podłodze na plecach, byle jak najdalej od buta. Ludzie krzyczeli — on krzyczał.

A potem poczuł uderzenie w tył głowy i film mu się urwał z miękким kliknięciem i rozbłyskiem jaskrawych światełek.

Ból przesywał mu żołądek. Przeszywał głowę. Przeszywał całe ciało. Odniosł wrażenie, że ma przetrącony w krzyżu kręgosłup, a klatkę piersiową w drzazgach.

Siedział gdzieś, nie wiedział gdzie, ze wzrokiem wbitym w kolana, bojąc się spojrzeć w górę. Niemal bał się zaczerpnąć oddechu. Nagle zakręciło mu się w głowie, ogarnęły go mdłości, żołądek podchodził mu do gardła, ale nie zwymiotował. Wreszcie świat przy płynął, znalazł się w zasięgu wzroku.

Dunphy był w jakimś warsztacie. Jarzeniówki migotały i buczały, ostry nieprzyjemny zapach unosił się w powietrzu. Bejca do drewna. Pulsowało mu w głowie, jakby ściskano i rozluźniano na niej obręcz, ściskano i rozluźniano. Niemal wbrew woli spojrzął w górę i zobaczył...

Meble. Mnóstwo mebli. I bele materiału. Druty i sprężyny. Zakład tapicerski. A potem w pomieszczeniu rozległy się powolne i jak mu się początkowo wydawało dalekie oklaski. Dunphy odwrócił się w tę stronę.

Roger Blémont siedział w wyściełanym zielonym fotelu i klaskał w dłonie w tak zwolnionym tempie, że każde klaśnięcie cichło, zanim następne przesywało powietrze. Uśmiechał się i był jak zawsze nienagannie ubrany. Zegarek Breitling, buty marki Cole-Haans, spodnie w kant jak brzytwa i... robocza koszula.

To on siedział w barze, gdy Dunphy odsłuchiwał kasetę Schidlofa. Dunphy widział go, ale tylko od tyłu, dopiero teraz...

— Wyglądasz jak kupa gówna — zauważył Blémont.

Cichy jęk wydobył się z ust Dunphy'ego.

— *Un vrai merdiers.*

Dunphy usłyszał czyjś chichot i odwrócił głowę, żeby zobaczyć, kto się śmieje: to Jock w swoich długich butach i skórzanej kurtce, rozwalony na oparciu kanapy, obserwował Dunphy'ego z nieukrywaną ciekawością. A na pobliskim krześle siedział Alzatczyk z twarzą bez wyrazu.

Dlaczego tutaj? — zastanawiał się Dunphy, rozglądając się wkoło. A potem coś zauważył — nad zagraconym stołem wisiała flaga, biała jak spinka, którą czasami nosił Blémont. A na fladze, w błękitie i złocie, hasło: *Contre le boue*. Wyglądało na to, że Blémont miał przyjaciół również na Wyspach Kanaryjskich.

Uciekaj, powiedział sobie Dunphy. W natychmiastowym odruchu spróbował wstać, zaciskając z bólu zęby — ale nic z tego. Miał związane z tyłu ręce.

— Wiesz, Kerry — zaczął Blémont miękkim głosem.

— Nie nazywam się Kerry — odburknął Dunphy.

Blémont zachichotał.

— Gówno mnie obchodzi, jak się nazywasz.

— A powinno — odparował Dunphy. — Będzie ci to potrzebne, żeby odzyskać pieniądze.

— Aaaa — Korsykanin jakby właśnie coś sobie przypomniał. — Pieniądze. Powiedziałem Marcelowi, a jakże: „Porozmawiamy o pieniądzach, Kerry i ja”. — Popatrz na Jocka. — Zgadza się?

Duży facet przytaknął, zapalając małe cygaro.

Ciągle się uśmiechając, Blémont przeszedł przez pokój, przykucnął przed Dunphym i popatrzł mu w oczy.

— Dlaczego zgarnąłeś moje pieniądze? — zapytał.

— Bo były mi potrzebne — odparł Dunphy. — Miałem duże kłopoty.

— *Was?*

Dunphy odwrócił wzrok. Był cały obolały, a wiedział, że to dopiero początek. Blémont miał zamiar go zajeść. Widać to było w jego oczach.

— Wiesz, to naprawdę kupa pieniędzy — stwierdził Korsykanin. — I nie chodzi tylko o sam wkład. Są jeszcze odsetki. *N'est-ce-pas?*

Dunphy westchnął.

— A poza odsetkami jest jeszcze... — Blémont zmarszczył brwi. — Jak to się nazywa... *le dessou de tablel*

— Łapówka — odpowiedział Jock.

— Właśnie.

— Jaka łapówka? — zapytał Dunphy.

— Dla sekretarki — odrzekł. — W St Helier. A jak twoim zdaniem cię znaleźliśmy?

A więc miał co do niej rację. Mógł sobie pogratulować.

— I są też koszty. Marcel i Luc. Mają swoje pensje, jak się domyślasz. I wydatki. Bardzo dużo wydatków. Statki. Samoloty. Restauracje. Rozumiesz, oni muszą jeść.

Dunphy przeniósł wzrok z Blémonta na Jocka, a potem na Alzacyjnyka.

— Hej — powiedział Blémont lekko karcącym głosem. — Tutaj jestem.

Ale Dunphy nie zareagował. Nie mógł oderwać oczu od Alzacyjnyka, który też gapił się na niego zapadnięty w fotel. Przez krótki moment wydawało się Dunphy'emu, że to wymiana twardych spojrzeń, jakby wrogowie skrzyżowali wzrok przez zatłoczony pokój. Ale potem zobaczył czerwoną wstęgę okalającą faceta w pasie i wiedział, że to nie jest ozdobna szarfa. Alzacyjnyk wykrwawiał się na śmierć — teraz i tutaj, w tym fotelu. A miał wyraz twarzy człowieka, który robi, co może, żeby nie przegrać. Żeby nie stracić panowania nad sobą. Przetrzymać tę sytuację. Przetrzymać wszystko.

Pieprzyć to, pomyślał Dunphy. Mam tego dość.

Blémont podążył za jego wzrokiem i coś zaświtało mu w głowie.

— Aaaaaa, o to ci chodzi! — wykrzyknął. — Kombinujesz, że jeśli Luc będzie *passé*, to nie będzie trzeba mu płacić. — Wydał wargi z lekkim niezadowoleniem. — Dobrze myślisz. Ale Lucowi nic nie będzie, prawda Luc?

Pomruk zwątpienia Alzacyjnyka.

— Co się stało? — zapytał Dunphy.

Korsykanin zrobił komiczną minę.

— Zastrześliś go.

Widać było, że Dunphy jest zaskoczony.

— Upadając — wyjaśnił Jock — kilka razy strześliś. To był przypadek.

— On umiera — stwierdził Dunphy.

Blémontowi nie spodobała się ta uwaga.

— Nic mu nie będzie.

— Wykrwawia się na śmierć.

— Nie, skądże. Wygląda dobrze. — Blémont przyłożył usta do prawego ucha Dunphy'ego i powiedział:

— Przestraszysz go.

To była najzabawniejsza rzecz, jaką Dunphy słyszał tego dnia, ale się nie roześmiał.

— Posłuchaj — powiedział — mogę ci oddać pieniądze.

Blémont skinął głową obojętnie.

— Wiem.

Jock zamamrotał coś pod nosem, rzucił na podłogę nie-dopalone cygaro i rozgniatając je pod butem, zwrócił się do Blémonta.

— *Pourquoi juste ne le détruisons?*

Dunphy nie zrozumiał. Jego francuski był co najwyżej mierny. „Dlaczego nie...” cośtam... cośtam.

— *Soyez patient* — rzucił Blémont. Potem odwrócił się do Dunphy’ego i wyjaśnił: — On chce cię zabić.

Dunphy spojrzał w kierunku Jocka.

— Dlaczego? Nawet go nie znam.

Blémont znowu pochylił się ku niemu i wyszeptał:

— Bo widzi, że zabiłeś jego chłopaka... i wiesz co? Tak między nami? Myślę, że może mieć rację. — Zaśmiał się.

Dunphy pojął dopiero po chwili. Blondyn i Jock byli nie tylko drużyną. Byli parą.

— Posłuchaj — powiedział, chcąc powrócić do konkretów — mogę zwrócić ci pieniądze. Nie tylko to co w banku. Resztę też.

— Resztę? A ile wydałeś? — zapytał Blémont.

Dunphy zawahał się przez chwilę i skłamał.

— Dwadzieścia tysięcy... może dwadzieścia dwa.

— Funtów?

— Dolarów.

Blémont pokręcił głową, przeżuując to. Potem powiedział:

— Wyjaśnij mi coś.

— Co?

— Dlaczego zajęło ci to tyle czasu?

Dunphy nie wiedział, o co mu chodzi.

— Co masz na myśli?

— Dorwanie się do tych pieniędzy. Zniknąłeś na wiele miesięcy.

Dunphy zastanowił się nad odpowiedzią. Wreszcie wzruszył ramionami.

— Byłem w Stanach. Nie mogłem wyjechać.

Blémont pogroził mu palcem.

— Nie wciskaj mi kitu.

— Nie wciskam.

— Uciekasz przed czymś — rzekł Blémont. — Nie tylko przede mną.

Dunphy nie odezwał się na to słowem.

— Byliśmy w twoim biurze — kontynuował Blémont — pustka. I w twoim mieszkaniu... to samo. Więc pomyślałem sobie, że mój stary, drogi przyjaciel Kerry zabrał pieniądze wszystkim klientom. Ale nie, idę do Krolla. Znasz Krolla?

Dunphy skinął głową.

— Detektywi.

— Tak. Idę do nich... dwieście dolców za godzinę i... zgadnij? Mówią, że to tylko ja. Nikt inny się nie skarży. Nikt inny nie sparzył się na tobie. A więc dlaczego?

— Wziąłem, tylko tyle, ile potrzebowałem — odpowiedział Dunphy.

— Potrzebowałeś pół miliona dolarów?

— Tak.

Blémont przez chwilę patrzył mu w oczy, po czym potrząsnął głową, jakby to miało mu pomóc zrozumieć.

— No dobra, potrzebowałeś grubej forsy. Dlaczego padło na mnie?



Bo... jesteś świnia, pomyślał Dunphy.

— Bo twoje pieniądze były dostępne — odparł. — Leżały na koncie. To było proste, tylko tyle.

— Chcesz powiedzieć, to wydawało się proste — zauważył Blémont, a Dunphy przytaknął.

— A teraz wyjaśnij mi, przed kim uciekasz wtedy, kiedy nie uciekasz przede mną?

Dunphy potrząsnął tylko głową.

— Nie przed policją — deliberował Blémont. — W każdym razie nie przed londyńską. Więc przed kim?

— A co za różnica. Nie rozmawiamy o mnie. Mowa o pieniądzach, które zgarnąłem.

— Nie. Nie tylko o pieniądze chodzi — odpowiedział Blémont.

Dunphy popatrzył na niego podejrzliwie.

— Tu chodzi o przyjaźń — rzekł z naciskiem Korsykanin, tonem tak naszpikowanym pozorami szczerości, że mógłby wystartować w kampanii telemarketingowej Hezbollahu.

Dunphy był bliski śmiechu.

— Jesteś popieprzonym... — zaczął.

Blémont uderzył go tak mocno, jak jeszcze nikt nigdy dotąd, *potężnym sierpowym łamiąc mu nos, aż słycać było ostry trzask, a na przód koszuli bryzgnęła krew. Dunphy charknął, opadła mu głowa, a pod zaciśniętymi odruchowo powiekami*

zobaczył wszystkie gwiazdy. Po chwili Blémont uniósł otwartą dłońią jego brodę.

— *Pardon?*

Krew spływała Dunphy'emu z zatok do gardła i wyplucie jej trochę trwało. Wreszcie powiedział:

— Przejęczyłem się.

Blémont uśmiechnął się kpiąco.

Dunphy odchyłał głowę do tyłu, na próżno usiłując powstrzymać krwawienie.

— *Eh, bien* — rzucił Blémont, wyciągając paczkę papierosów z kieszeni koszuli. Zapalił jednego płomieniem srebrnej zapalniczki marki Zippo, zaciągnął się głęboko, a potem dmuchnął dymem w twarz Amerykanina.

— Takie rzeczy się zdarzają — powiedział. — Ale doprawdy, Kerry, te nasze wspólne obiady... Boże, ileśmy się nieraz ubawili, co nie?

— Kilka obiadów — Dunphy na to. — Nie byliśmy ze sobą aż tak blisko.

— Co się stało? — Blémont zapytał płaczącym głosem, jakby mówił do kochanka, który go porzucił.

Dunphy potrząsnął głową. Powoli i delikatnie. Zrobił głęboki wdech.

— To bardzo skomplikowane — stwierdził.

Korsykanin prychnął nieukontentowany odpowiedzią.

— Mamy czas. Mamy cały dzień dla siebie. Opowiedz mi o wszystkim.

Dunphy westchnął. Był świadom, że Blémont bawi się z nim w kotka i myszkę. Z drugiej strony im dłużej będą rozmawiać, tym lepiej. Tommy i Boylan rozpoczną poszukiwania. W barze była strzelanina. Na podłodze była krew.

— Nazywam się Jack Dunphy — powiedział głosem nasiąkniętym krwią i bólem. — Nie Thornley. Nie jestem Irlandczykiem. Jestem Amerykaninem. — Czy mam mu wyłożyć wszystko? Zawahał się i odpowiedział sam sobie: Tak. Czemu nie? Co za różnica?

Blémont przekrzywił głowę, umiarkowanie zaciekawiony, słuchał nieuważnie, napełniając zapalniczkę płynnym gazem z małego opakowania Ronsona.

— Praca w Londynie... ta moja firma... — złamany nos utrudniał mu oddychanie.

Blémont wpuścił cienki strumień gazu w bawełnianą wyściółkę na spodzie zapalniczki.

— Tak?

— To była przykrywka.

To natychmiast zaintrygowało Blémonta.

— Przykrywka... Chcesz powiedzieć...

— Fasada.

— Dla kogo pracowałeś?

— Dla CIA.

Jock wybuchnął śmiechem — krótki, głośny, ostry sygnał niedowierzania.

Blémont w dalszym ciągu napełniał zapalniczkę. Wreszcie złożył zippo z powrotem, zapalił ją i zgasił, zapalił i zgasił... i popatrzył Dunphy'emu w oczy.

— Myślisz, że jestem głupi?

Dunphy potrząsnął głową.

— Myślisz, że jestem tu, żeby cię zabawiać?

— Nie.

— Bo jeśli tak...

— Nie.

— ...możemy to skończyć. Natychmiast! Okay? Czy właśnie tego chcesz? — Głos Korsykanina wzbijał się na coraz wyższe tony wraz z narastającą w nim wściekłością. — Tego? Dobrze!

— Posłuchaj — powiedział Dunphy i urwał, bo Blémont zaczął mu spryskiwać pierś paliwem z zapalniczki, robiąc na jego koszuli wymyślne zawijasy, jak gdyby on, Blémont, był Jacksonem Pollockiem, a Dunphy jego płótnem.

— Ou, Chryste, Roger...

To się stało w mgnieniu oka. Blémont pochylił się z zapalniczką w rękę. Trzask, błysk i puuuuuf — zasłona niebiesko--żółtych płomieni buchnęła Dunphy'emu w twarz. Oślepiiony blaskiem, zbyt zaszokowany, żeby krzyknąć, gwałtownie wciągnął powietrze. Gorące... A potem równie nagle jak się pojawiły, płomienie zniknęły.

Blémont i Jock zanosili się śmiechem.

— Patrz tylko, on dymi! — Korsykanin poklepał palcami koszulę Dunphy'ego. Wciągnął w nozdrza powietrze, spojrzał na Jocka i zachichotał.

— *Peux-tu sentir les cheveux?*

Odpowiedzią był rechot.

— Jezus Maria! — wycedził Dunphy przez zaciśnięte zęby. — Czego ty chcesz?

Powstrzymując śmiech, Blémont przybrał wyraz powagi na twarzy, odchrząknął i zmarszczył brwi. Odezwał się cichym głosem, odgrywając parodię szczerości i konfidencko-nalności.

— Cóż, Jack, to jasne, chcę cię torturować. — Po czym zarechotał przy wtórze Jocka.

Serce Dunphy'ego waliło jak orkiestra dęta. Nie wiedział, czy Blémont go skopie, obłoży pięściami, podpali... co jeszcze może zrobić. Najlepszy byłby teraz atak serca, pomyślał. Skonałbym na miejscu. Ale to się nie stanie, dobrze wiedział. Szarpnął więzy na nadgarstkach i ku swemu zdziwieniu wyczuł trochę luzu — odrobinę.

— To była tylko... — Blémont pstryknął palcami, szukając dobrego określenia, potem zachichotał szyderczo. — Tylko rozgrzewka. — Teraz rechotał na całe gardło.

To wariat, pomyślał Dunphy.

— Popatrz na to ! — Blémont podniósł elektryczną wiertarkę czy coś podobnego. Długi pomarańczowy sznur ciągnął się od niej do maszyny stojącej na podłodze i podłączonej przewodem do prądu.

Korsykanin pochylił się, wcisnął włącznik z boku maszyny i warsztat natychmiast wypełnił

się wibrującym terkotem sprężarki.

— Mój dziadek byt stolarzem! — krzyknął. — W Ajaccio!

Dunphy wykręcał ręce w pętach i patrzył w bok. Wolał nie wiedzieć, co Blémont zamierza zrobić, bo cokolwiek by to było, on miał być ofiarą.

— Przyglądałem się jego pracy! To jest... — Sprężarka wyłączyła się równie nagle, jak się włączyła. — To jest niezłe. — W pokoju zaległa nagle głucha cisza. — Wtedy nie mieli pistoletów na gwoździe. Wszystko robiło się ręcznie. Ale z tym... — Blémont skierował narzędzie w stronę Dunphy'ego i z sadystycznym grymasem nacisnął spust.

Szzzzunkk!

Dał się słyszeć dźwięk jak przy odbijaniu karty zegarowej i gwóźdź wbił się w gipsową ścianę za Dunphym. Ku jego przerażeniu nie było rykoszetu.

— Tym mógłbym wbijać gwoździe cały dzień i wcale bym się nie zmęczył. Każdy gwóźdź... pouuu!... jak wbity młotem kowalskim. Z siłą stu funtów na cal. — Przerwał na chwilę i zmarszczył brwi. — Oczywiście są różne rodzaje gwoździ. Długie, krótkie, konstrukcyjne, dekarskie. — Trzymał teraz w górze długi na stopę bandolet dwucalowych gwoździ. — To są gwoździe wykończeniowe — wyjaśnił, wkładając ładunek do pistoletu. — Równo sto sztuk.

Dunphy siedział bez ruchu, ale jego palce majstrowały przy węzłach za plecami. Gdy Blémont znowu uniósł pistolet na gwoździe, tym razem celując niżej, Dunphy poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Kciukiem i palcem wskazującym rozszarpywał węzeł.

A Blémont nadawał jak szalony:

— Takie z dużymi głowami to gwoździe konstrukcyjne. Ale te prawie wcale nie mają łebków. Tylko patrz. — To mówiąc, pociągnął za spust.

Dunphy mimowolnie złożył się jak scyzoryk, gdy gwóźdź trafił go w nogę, przebijając ciało obok piszczele, by utknąć w łydce. Ból był nieprawdopodobny, na wskroś przeszywający, rwało go w nodze, tak jakby ktoś wbił mu w nią igłę do zastrzyków i przebijał się na wylot. Ryk bólu wypełnił pokój. Ów ryk wydobywał się z jego piersi.

— Ouou — udał współczucie Blémont.

Dunphy dygotał, zrobiło mu się nagle zimno i słabo. Wyciągnawszy szyję, dostrzegł kształtną dziurkę w nogawce spodni. I plamkę krwi. Za plecami palce wściekle walczyły ze sznurem, który go krępował.

Była nadzieja. Ktokolwiek go związał, nie był żeglarzem. Zamiast zrobić jeden porządny węzeł, wielokrotnie owijał sznur wokół dłoni i nadgarstków, robiąc po drodze kilka węzłów, najwyraźniej prostych. Jeden puścił od ciągłego szarpania i więzy trochę poluzowały. Cokolwiek to miało dać, Dunphy mógł przynajmniej wyobrazić sobie, że będzie wolny.

Blémont wziął pistolet w dwie ręce, trzymał go przez chwilę w górze jak gliniarz z wydziału zabójstw w nocnym filmie sensacyjnym, potem powoli zaczął go opuszczać, celując coraz niżej.

— *Les bijoux de famille...* to dobry cel.

Szzzzunkk! Gwóźdź wbił się w udo, tuż poniżej biodra; z gardła Dunphy'ego wyrwał się zdławiony krzyk. Blémont piał z uciechy, a Jock szczyrzył zęby.

— *Roger, laissez moi essayer* — poprosił Jock.

— Czemu nie? — Blémont rzucił mu pistolet. Potem odwrócił się, żeby przejrzeć narzędzia na warsztacie w poszukiwaniu innych zabawek.

Jock niespiesznie zbliżał się do Dunphy'ego z uśmiechem w kąciку ust.

— Co by ci się spodobało? — zapytał.

Dunphy wziął głęboki wdech i spojrzał w bok. Cokolwiek powie i tak go ukrzyżują. Nie miało sensu błaganie i nic nie mógł wygrać, mówiąc żabojadowi, żeby się odpierdolił. Cokolwiek powie, czekają go męki. A więc zachował spokój, ale ręce zawzięcie pracowały za plecami,

szarpiąc węzły.

Jock przyglądał się w skupieniu broni, którą trzymał w rękach, następnie zwrócił się do Blémonta.

— A jakbym tak przygwoździł jego *couilles* do krzesła? — zapytał.

Blémont zarżał.

— Jeśli o mnie chodzi, możesz go całego przygwoździć do sufitu, pod warunkiem że go nie zabijesz.

— *Eh, bieti* — mruknął Jock i powrócił do Dunphy'ego.

W tym momencie sprężarka włączyła się z gwałtownością alarmu przeciwpożarowego, rozdzierając ciszę grzechotem pneumatycznego silnika. Zaskoczony Szkot odwrócił się, a wtedy Dunphy wierzgnął nogą do przodu, wymierzając facetowi silnego kopa w kolano.

Dunphy był równie zaskoczony jak Jock. Nie zaplanował tego. To był odruch albo coś w tym rodzaju — może krok samobójczy. W każdym razie Szkot zachwiał się, zawył, zatoczył się do tyłu, po czym zaczął strzelać raz za razem.

Szzzzunk! Szzzzunk! Szzzzunk!

Pierwsze trzy gwoździe trafiły w ścianę za Dunphym, ale czwarty wbił mu się w prawy bok, a ból był tak nagły i intensywny, że aż Dunphy się skulił na krześle i rąbnął wraz z nim na podłogę. Następny gwóźdź przeleciał koło jego twarzy, a kolejne dwa rozerwały mu poduszkę palucha i łokieć. Blémont wrzeszczał na Szkota, żeby przestał — co ten zrobił w momencie, kiedy wyłączyła się sprężarka.

Francuz pocierał kolano i klął, a Korsykanin podnosił Dunphy'ego z krzesłem do pionu.

— Mogłeś go zabić — rzekł z wyrzutem.

Dunphy natychmiast walczył z własnym ciałem, które było chętne się poddać. Miał wrażenie, że jego system nerwowy się wyłącza, ręce i stopy lodowacieją, a ból dociera z coraz większej dali. Przemknęło mu przez głowę, w przebłysku resztek świadomości, że wchodzi w stan wstrząsu i jeśli się temu podda, umrze, nawet nie wiedząc kiedy.

Z cichym jękiem szukał bólu, wykrzeszając go gwóźdź po gwóźdź — dał o sobie znać najpierw w stopie, potem w łokciu, boku i nodze. W końcu Dunphy zwątpił, czy jest jakaś część ciała, która go nie boli, i zadrżał na myśl, że jeśli tak, to ta będzie następnym celem.

Blémont przykucnął przed nim.

— Ubijmy interes — powiedział.

Dunphy znowu umknął wzrokiem w bok.

— Jest pewien bankier w Santa Cruz — kontynuował Korsykanin. — Człowiek, którego znam. On może zorganizować transfer pieniędzy. Zrobimy to i możesz odejść.

Jasne, pomyślał Dunphy. Nic prostszego. Potrząsnął głową.

Uśmiech zniknął z twarzy Blémonta.

— To moje pieniądze, Jack.

— Wiem — powiedział Dunphy. — Ale w ten sposób ich nie dostaniesz. Tobie ich nie dadzą.

Korsykanin wlepił w niego wzrok.

— Bo są w sejfie — wyjaśnił Dunphy.

— A więc dasz nam klucz — powiedział Blémont.

Dunphy znowu potrząsnął głową.

— Mogę dać klucz, ale to niczego nie załatwi. Nie jesteście na liście właścicieli sejfów, więc klucz nic nie da. Musielibyście pokazać im nakaz sądowy.

— A skąd będą wiedzieć, że...

— Zajrzą do paszportu.

Blémont się zastanawiał.

— Moglibyśmy pójść razem — zasugerował Dunphy.

Blémont potrząsnął głową.

— Ciężko będzie poradzić sobie z tobą w miejscu publicznym.

— To jedyne wyjście — stwierdził Dunphy.

— Naprawdę? A dziewczyna? — zapytał Blémont.

Dunphy udawał, że nie słyszy.

— Nie będę sprawiał żadnych kłopotów — ciągnął.

— A co z dziewczyną? — powtórzył Blémont.

— Jaką dziewczyną?

Tym razem zauważył zagrażającą pięść i zdążył się uchylić, tak że cios poszedł tylko ślizgiem z boku głowy.

— Nie wkurwiał mnie! — ostrzegł Blémont z oczami wychodzącymi z orbit. — Mówię o tej twojej suce... Veroushce.

— A... — powiedział Dunphy, potrząsając głową dla rozjaśnienia myśli. — O niej.

Blémont rozprostował palce prawej dłoni, starając się opanować.

— Poszła zamiast ciebie do banku w Zurychu — odezwał się już spokojnie — a ty urwałś się wtedy moim kumplom w hotelu.

— Na Bahnhofstrasse — wtrącił Jock. — La Credit Suisse.

— Zatem sejf jest też na jej nazwisko — stwierdził Blémont.

Dunphy skinął głową.

— Tak — powiedział — zapomniałem.

— A więc ona może wziąć pieniądze.

— Mógłbym do niej zadzwonić — zasugerował Dunphy. — Jest w Broken Tiller, czeka na wiadomość ode mnie.

Blémont uśmiechnął się blado.

— Nie odpowiada mi to.

— Jeśli boisz się policji... — zaczął Dunphy.

Blémont potrząsnął głową.

— Zawsze lepiej załatwiać interesy osobiście.



W ciągu kolejnej godziny zdarzyły się trzy rzeczy: Jock wyszedł kupić magnetofon. Dunphy rozluźnił ostatni z trzech węzłów krępujących jego nadgarstki. Luc wyzionął ducha.

To ostatnie wydarzenie przeszło bez fanfar. Siedzący na fotelu pomagier Blémonta drgnął jak w zrywie mioklonicznym, po czym osunął się bezwładnie z cichym charkotem w gardle. Słyszając to gulgotanie, Dunphy odwrócił się i zdążył zobaczyć, jak twarz umierającego wiotczeje, a oczy się wywracają białkami do góry.

Blémont pozostał przy warsztacie plecami do tej sceny.

Dunphy chrząknął.

— Słyszałem — rzucił Korsykanin, nie odwracając się. — *C'est triste.*

Jock wrócił jakieś dziesięć minut później, niosąc niedrogie radio Sony z wbudowanym mikrofonem. Widząc Alzaczyka w fotelu, podszedł do niego i delikatnie zamknął mu oczy. Następnie odwrócił się z groźnym pomrukiem i ruszył na Dunphy'ego, ale Blémont złapał go za ramię i odciągnął, szepcząc coś po francusku. W końcu Jock skinął głową, wciągnął powietrze w płuca i odetchnął głęboko.

— *Eh, bien* — mruknął i oparł się plecami o warsztat.

Blémont podszedł do Dunphy'ego z magnetofonem w ręku.

— A więc — odezwał się — oto co zrobimy. Każesz swojej dziewczynie pojechać z Marcelem do Zurychu. Kiedy wezmą pieniądze, puszcze cię. Do tego czasu oczywiście zostaniesz tu ze mną.

Dunphy rozważył tę propozycję gruntownie.

— A co będzie, jeśli Marcel ucieknie?

Blémont energicznie pokręcił głową, wykluczając taką ewentualność.

— Nie zrobi tego — powiedział. — Wiem, gdzie mieszka. I on wie, że ja wiem. Jest tak, Marcel?

Chrząknięcie od strony warsztatu.

— A gdy już nagram taśmę — mówił dalej Dunphy — nie zabijesz mnie, bo... co cię powstrzyma? Umknęła mi ta część planu.

Blémont wykonał rękami niecierpliwy gest, jakby odpowiedź była oczywista. Kiedy Dunphy nie zareagował, Korsykanin powiedział:

— Forsa!

— Jaka forsa? — zapytał zdezorientowany Dunphy.

— Reszta pieniędzy... jesteś mi winien więcej pieniędzy. Sam mówiłeś, że wydałeś dwadzieścia kawałków. Założę się, że dwadzieścia dwa. I jak rzekłem: to dopiero początek. Są jeszcze procenty i wydatki. Kiedy odkryjemy, ile zostało w Zurychu, będziemy wiedzieć, ile jeszcze musisz dopłacić.

To ma sens, pomyślał Dunphy. Jeśli Blémont ma kiedykolwiek odzyskać wszystkie swoje pieniądze, to tylko od Dun-phy'ego — co nie znaczy, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Dunphy ich nie miał. Ale Blémont o tym nie wiedział.

— W porządku — zdecydował się. — Zrobię to. Co mam mówić?

— Że nic ci nie jest. Żeby cię nie szukała. Że ma jechać z Marcelem do Zurychu. Kiedy da mu pieniądze... na tym koniec. — Blémont spojrzał wyczekująco na Dunphy'ego. — Okay?

Dunphy zastanowił się nad tym. W końcu skinął głową i Blémont zbliżył mu do ust mały magnetofon. Wcisnął przycisk *record* i rzucił:

— Mów.

Dunphy zebrał się w sobie i odchrząknął. Wreszcie zaczął:

— Veroushka... tu Jack. Nic mi nie jest, ale chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła...

Po skończeniu nagrania Blémont przewinął taśmę i odłożył ją na bok. Odwrócił się do Jocka i pstryknął nań palcami.

— Teraz przejdziemy do rzeczy — powiedział. Zmiana nastroju Blémonta zaskoczyła Dunphy'ego, ale natychmiast wszystko stało się jasne.

— Nie masz żadnych swoich pieniędzy, Jack. — Gdybyś miał, Kroll by je znalazł. Do tego założę się, że z moich brakuje więcej niż dwadzieścia kawałków. Mam rację?

Palce Dunphy'ego rozplotywały węzeł.

— Więc będziemy musieli powetować sobie straty na tobie — kontynuował Blémont — a że to więcej niż jesteś wart, to przypuszczam, że będziemy musieli powetować sobie na całego. Co ty na to, Marcel?

Jock wyszczerzył zęby.

Blémont z wolna podszedł do warsztatu, na którym leżał długi kawałek przewodu elektrycznego.

— Powieszenie... byłoby interesujące — powiedział, po czym zrobił pauzę i upuścił sznur.

— Skądinąd... — Podniósł grubą na cal rurę, która miała na oko ze trzy stopy długości. Dunphy pomyślał, że zatłuka go tym na śmierć, dopóki nie zaważył na rurze dwóch ruchomych zacisków, jeden w odległości około stopy od drugiego. Nie od razu odgadł, do czego to narzędzie służy. Po

chwili się domyślił. Rura była przenośnym imadłem, jakiego używają stolarze, by ścisnąć dwa kawałki drewna, dopóki nie wyschnie klej.

Blémont przypatrywał się Dunphy'emu dziwnie, jakby oceniał jego wymiary — i o to dokładnie chodziło, jak się natychmiast przekonał Dunphy.

— Mógłbym zgnieść ci czaszkę za pomocą tego — rzekł Blémont, ustawiając zaciski tak, by odpowiadały rozmiarowi głowy Dunphy'ego. — Ile masz w obwodzie — jakieś sześć i pół?

Sznur krępujący nadgarstki był praktycznie rozsoplany, niestety tak splątany, że Dunphy nie mógł całkiem uwolnić rąk. Gorączkowo, ale ze staraniem o ekonomię ruchów, wybierał i pociągał za kolejne zapętlenia, aż pot spływał mu po policzkach i skroniach.

Z grymasem zniechęcenia na twarzy Blémont cisnął rurę na stół warsztatowy i podniósł pistolet na gwoździe.

— Za dużo roboty — powiedział — Ale, hej, za pomocą tego mogę cię zmienić w prawdziwą *pelote d'épingles*. Co ty na to? — Korsykanin wymachiwał w jego stronę pistoletem i Dunphy bezwiednie wzdrygnął się cały.

Nigdy nie słyszał tego wyrażenia, ale z uwagi na okoliczności nietrudno było się domyślić, co to jest *pelote d'épingles*.

— Sto strzałów — kontynuował Blémont — mniej więcej. Nie, zdecydowanie mniej. — Uderzał pistoletem o wnętrze dłoni lewej ręki. — Jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim wykrwawisz się na śmierć... jak siedzący tam Luc?

Palce Dunphy'ego owinęły się wokół sznura na plecach. Poluzował go już na tyle, że mógł wcisnąć palce prawej dłoni w ostatnią pętlę, co zrobił. Chwilę to potrwało, ale szarpnął i był wolny. Trzymał sznur za plecami, usiłując zachować możliwie obojętny wyraz twarzy.

I co teraz? — zastanawiał się, gdy opadła euforia. Nawet gdyby był w najlepszej formie, z Blémontem nie poszłoby mu łatwo. A był daleki od szczytowej formy. Miał złamany nos i stracił sporo krwi. Tam gdzie dostał kopniaka, miał pęknięte żebra, a plecy tak obolałe, że wydawało mu się, iż krwawi z nerek. I jeszcze te gwoździe. Były jak odpryski szkła w ciele, wywołując ból przy najdrobniejszym poruszeniu. Więc Blémont będzie problemem, gdy i jeśli przyjdzie pora (a przyjdzie).

Jeśli zaś chodzi o Jocka... Jezu, był jak parowiec z mięśni i testosteronu. Trzeba by do niego strzelać z karabinu do polowań na słońce.

Blémont zwrócił się do swojego współnika.

— *Dites-moi... que pensez-vous?* — spytał. — *Le pistolet ou la corde?*

Jock zaśmiał się i odpowiedział cicho w tym samym języku. Dunphy nie zrozumiał, ale Blémont pospieszył z wyjaśnieniem.

— Mówi, żeby cię nie zabijać. — Wzruszył ramionami i odłożył pistolet na kanapę w kolorze dyni, a potem skrzyżował ramiona w oczekiwaniu.

Postawa Blémonta zaniepokoiła Dunphy'ego jeszcze bardziej niż pistolet na gwoździe, a niepokój zamienił się w strach, gdy Jock wziął w ręce koziołek do piłowania drewna i się zbliżył. W dalszym ciągu uśmiechnięty powiedział coś do Blémonta po francusku, a potem ustawił koziołek w odległości trzech stóp od Dunphy'ego.

— Twój angielski nie jest gorszy od mojego — zwrócił się Blémont do Jocka. — Sam mu powiedz, co mi mówiłeś.

Jock roześmiał się i potrząsnął głową.

Blémont wyrócił oczami.

— Powiedział, że potrafi przetrząść ci na koziołku kręgosłup.

Dunphy poczuł, jak opada mu szczęka.

— I co ty na to? — zapytał Blémont.

Dunphy'emu ze strachu przewróciły się wnętrzności.

— Myślę, że jesteś chorym sukinsynem— odrzekł, zbierając się na odwagę, by się ruszyć. Gdyby był dość szybki, dopadłby drzwi, a gdyby dopisało mu szczęście, znalazłby się za nimi.

— Już to kiedyś zrobiłem — wyjaśnił Jock — na Cyprze. Założyłem się. Zostawiłem drania kłapiącego jak ryba bez wody. — Obrazowo pomajtał dłonią.

Blémont wzdrygnął się.

— To się dzieje w okamgnieniu, jak strzał! Pif-paf! — Jock klasnął w ręce gwoli zilustrowania. Znowu włączyła się sprężarka, więc Blémont rozdarł się, żeby go było słychać.

— Tysiąc franków — krzychał — jeśli zrobisz to za jednym razem! — Popatrzył na Dunphy'ego. — Lubisz się zakładać? — Dunphy odpowiedział na jego spojrzenie szklanym wzrokiem. — Nie! Cóż, nie mam ci tego za złe — mruknął pod nosem Blémont.

— Zobaczysz! — wrzasnął Jock, robiąc krok w stronę Dunphy'ego. — Zasadniczo to jest podrzut, *la clean-and-jerk*. Zmierzył wzrokiem swojego więźnia od stóp do głów. — Ile ważysz? — Sprężarka się wyłączyła.

— Pieprz się — zaklął Dunphy wbrew intencji zbyt cicho.

— Myślę, że może... sto sześćdziesiąt funtów. — Jock zwrócił się do Blémonta. — Nie ma problemu! Poradzę sobie. Wszystko zależy od chwytu. — Popatrzył Dunphy'emu prosto w oczy i ściszył głos do szeptu. — Nie będzie ci się to podobało — przyznał — ale będziesz miał potem dużo czasu na przemyślenia. — Wyciągnął prawą rękę i mocno chwycił Dunphy'ego za pasek od spodni. Lewą złapał go za kołnierz, wziął trzy szybkie i płytkie oddechy, ugiął kolana i się pochylił.

Gdyby Dunphy czekał jeszcze sekundę, byłoby za późno: Jock trzymałby go w górze nad głową. Musiałby wykonać tylko powolny obrót i cisnąć ciężar na koziółek. Kręgosłup Dunphy'ego złamałby się jak ołówek.

Jednakże Dunphy nie czekał. Rzucił się głową do przodu i czołem walnął Jocka w nasadę nosa, miażdżąc przegrodę, następnie zamaszystym kopniakiem i ciosem z backhandu w skroń zwałił go z nóg. Widząc, jak Jock z hukiem ląduje na podłodze i leży tam rozciągnięty jak długi, Blémont zastygł z otwartymi ustami i trwał w bezruchu, choć Dunphy z wykrzywioną z bólu twarzą zerwał się na nogi i zbliżał, wymachując dziko pięściami.

Na oślep, tak że żaden z ciosów nie trafił, mimo że Korsykanin się nie bronił, zdrętwiały ze zdumienia i przerażony furją atakującego Dunphy'ego. Razem zwałili się z łoskotem na warsztatowy stół. Przez moment Dunphy był górą, ale ten moment nie trwał długo. Gwoździe rozrywały mu ciało, a Korsykanin był świeży i silny. Dunphy czuł, że siły go opuszczają, a tymczasem Jock już zaczynał pojękiwać i gramolić się z podłogi.

Nie dam rady, myślał Dunphy. Nie wytrzymam długo.

Ścisnął Blémonta za gardło, ale Korsykanin młócił pięściami i niektóre ciosy były celne — Dunphy dostawał w zęby i po uszach, a jeden cios trafił w miękką miazgę, która została mu z nosa. Nagle Korsykanin nogą zgiętą w kolanie z całej siły rąbnął go w krocze. Z okrzykiem bólu Dunphy skulił się, a następny cios Blémonta odrzucił go przez całą długość stołu. Udało mu się zamortyzować upadek lewym barkiem, ale już widział, że Blémont znów na niego rusza. Odruchowo złapał pierwsze narzędzie, jakie wymacał. W jego ręku znalazł się młotek, cisnął nim zamaszystym łukiem i ku swemu zdziwieniu zobaczył, że pazury młotka uwięzły w skroni Korsykanina.

Z wyrazem zdziwienia na twarzy, z młotkiem zwisającym z boku głowy, Blémont zatrzymał się i wyprostował. Jak byk, który jeszcze nie wie, że jest martwy, i stoi na środku areny z mieczem w sercu. W jednej chwili zatoczył się, nogi się pod nim ugięły i runął na podłogę. Wstrząsnął nim skurcz, wprawiając w drgawki ciało od czubka głowy do stóp, a potem



Korsykanin znieruchomiał.

Na Dunphy'ego ruszył teraz Jock, szarżując szybko i nisko jak rugbista, by powalić Amerykanina chwytem za kolana. Dunphy umykał w prawo i okrążając stół, daremnie szukał rękami jakiejś broni — nie natrafił na nic. A Jock, który z rozpędu huknął ramieniem w stół, pchnawszy go na Dunphy'ego, niczym worek treningowy, już był na nogach i warcząc wściekle, pokonał róg stołu tak szybko, że Dunphy nie zdążył się pozbierać. Na chwilę ich oczy się spotkały: Jock oceniał liczbę kroków dzielących go od przeciwnika — na oko trzy — a Dunphy przymierzał się do rozstania z życiem.

Chciał skoczyć do drzwi, ale Jock dopadł go, zanim zdążył oderwać stopę od podłogi. Francuz był w furii i zamiast złapać Dunphy'ego za gardło i ukręcić mu kark — przy osłabieniu przeciwnika mógł to zrobić bez trudu — zaczął go okładać pięściami. Ciosy były ciężkie, rzucało Dunphym od stołu do ściany. Wreszcie Jock chwycił go i pchał przez pokój jak wózek na zakupy, by z całą siłą cisnąć go na kanapę w kolorze dyni. Dunphy przeleciał przez nią i gruchnął na drewnianą podłogę plecami, aż odebrało mu dech. A wtedy Szkot wykonał skok nurka przez oparcie kanapy, rozplaszczając pozbawionego powietrza Dunphy'ego.

Po mnie, pomyślał Dunphy, młóćąc bezładnie rękami. Nagle jego ręka otarła się o coś ciężkiego i twardego, co się przesunęło dalej. Pistolet na gwoździe. Ale gdzie?

Kciuki Szkota zaciskały się na tchawicy Dunphy'ego z taką siłą, że ten miał wrażenie, iż w wolno wirującym mu przed oczami pokoju robi się coraz ciemniej. Gałki wylazły mu z orbit, jakby za chwilę miały wystrzelić. I wtedy jego dłoń natrafiła po raz drugi na pistolet na gwoździe. Uniósł go i zataczając łuk ręką, przycisnął wylot lufy do złamanej nasady nosa Jocka i...

Szzzzzunkk! Szzzzzunkk! Szzzzzunkk!

Rozciągnięty jak kłoda na podłodze Dunphy chciał już tak pozostać, aż wydobrzeje lub umrze. Wydawało mu się, że ma wszystkie członki pogruhotane i najbezpieczniej będzie leżeć dalej bez ruchu. Po chwili jednak jego oczy spoczęły na słowach *Contre la boue* na fladze nad warsztatem i przypomniał sobie, że znajduje się na wrogim terytorium.

Na tyłach.

Zepchnął z siebie martwe ciało Jocka, dźwignął się na czworaki, wreszcie wstał i chwiał się na nogach w półmroku.

Musiał być nieprzytomny przez dobre parę godzin. Zrobiło się prawie ciemno, jego cień biegł przez podłogę aż do połowy ściany. Podpierając się o sprzęty, przeszedł obok trupa Blémonta do telefonu widocznego na stojącym w kącie biurku. Podniósł słuchawkę i wybrał numer Broken Tiller.

— Boylan, słucham. — Głos był cichy i bez wyrazu, prawie szept, jakby jego właściciel spodziewał się złych wiadomości.

— To ja — powiedział Dunphy.

Kilka sekund ciszy, a potem:

— Gdzie ty jesteś?

Dunphy zastanowił się. Rozejrzał wokół.

— Gdzie jesteś? — powtórzył pytanie Boylan.

— Nie wiem — odparł Dunphy. I znowu ogarnął wzrokiem wnętrze. — U tapicera.

— Gdzie?

— Poczekaj. — Dunphy wyciągał jedną szufladę po drugiej, aż znalazł plik faktur z powtarzającą się nazwą firmy i adresem. — Wydaje mi się, że to jest... nazywa się to Casa Tapizada. Na ulicy Saragossa. Miejscowość Candelaria.

— Wydaje ci się?

— Pewny nie jestem.

— To zapytaj kogoś!

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo już nie żyją. Sam też nie czuję się najlepiej.

Droga zajęła Boylanowi, Davisowi i Clem pół godziny, a gdy już byli na miejscu, nogi załamały się pod Clem na widok scenerii. Alzacyjny z purpurową wstęgą. Blémont z młotkiem wbitym w głowę. Jock.

I Dunphy. Stał na nogach, lecz wyglądał tak, jakby wykonał skok na głowę do suchego basenu.

— Jeezuu Chryste! — krzyknął Tommy i zrobił się biały jak ściana, nim rzucił się przyjacielowi na pomoc. — Co ci się stało?

— Przewróciłem się — wyjaśnił Dunphy.



Zabrali go do wioski w górach, gdzie Boylan miał znajomego ginekologa emeryta, Szkota, który dorabiał sobie, wykonując od czasu do czasu zabieg aborcji. Wstrzyknął Dunphy'emu końską porcję kodeiny i powyciągał z niego gwoździe, jeden po drugim.

Tak naprawdę nic nie można było zrobić ze złamanym nosem i żebrami.

— Nos sam się wykuruje — uspokoił ich doktor — a jeśli chodzi o żebra, to... no cóż, nie wydaje się, żeby przebiły jakiś organ wart zainteresowania, bo w takim wypadku w ogóle nie mielibyśmy o czym mówić. Ogólnie rzecz biorąc, mimo że nie ma czego panu zazdrościć, śmierć nie grozi. W każdym razie takie jest moje rokowanie i przy tym obstatę.

Główną troską było zagrożenie zainfekowaniem ran. Żeby chronić Dunphy'ego przed tym, doktor zlecił mu potężną dawkę antybiotyków i umieścił pod opieką Clementine w apartamencie na piętrze willi.

Żadna z tych rzeczy nie była za darmo. W rekompensacie za profesjonalną usługę, gościnnie i milczenie poczciwy doktor zażądał pięciu tysięcy funtów i je dostał. Wprawdzie Clem zdecydowanie wolałaby umieścić Dunphy'ego w szpitalu w Santa Cruz, ale to w ogóle nie wchodziło w rachubę. „Masakra w Candelarii” była sensacją z pierwszych stron gazet i w każdym tytule prasowym z Wysp Kanaryjskich obsesyjnie roztrząsano fakt zabójstwa francuskich gangsterów, z których jeden poniósł „śmierć od pistoletu na gwoździe”, a drugi od młotka. Zgłoszenie się na ostry dyżur, gdy Dunphy wyglądał jak krawiecka poduszeczka nadziana szpilkami, nie było dobrym pomysłem.

Pozostawał więc dom doktora w Masca, gdzie godzinami przesiadywali na tarasie, czytając i grając w szachy. Okaleczenia Dunphy'ego goiły się ładnie, nie wdawało się żadne zakażenie, tylko nos jeszcze bardziej upodobił się do ptasiego dzioba. Zrobili także drobny krok naprzód we wspólnym poszukiwaniu wyjaśnienia mordu Leo Schidlofa.

Któregoś wieczoru, gdy siedzieli na tarasie wśród bugenwilli i sączyli sangrię, Dunphy zaczął narzekać.

— Po całym tym gównie, przez jakie przeszliśmy, dalej jesteśmy ściganą zwierzyną. A nie znaleźliśmy się ani trochę bliżej prawdy, niż byliśmy miesiąc temu.

— Nie zgadzam się — powiedziała Clem. — Jak sam mówiłeś, w Zug dużo się dowiedziałeś o Dullesie i Jungu...

— I Poundzie — dodał Dunphy. — Jak również, że istnieje coś takiego jak Zakon Magdaleny. Ale to prowadzi nas donikąd. W rzeczywistości podwoiłem jedynie liczbę pytań, z którymi zaczynałem. Bo kim jest lub był Gomelez? Miałby teraz dziewięćdziesiąt lub sto lat. A *Apokryf*... co ma wspólnego z tym wszystkim, choćby z Schidlofem? Wygląda na to, że zadaję pytania nie takie jak trzeba, i jeśli chcesz wiedzieć, to w gruncie rzeczy wolałbym... powinienem wrócić do punktu, w którym byłem sześć miesięcy temu.

— Nie powinieneś.

— Nie?

— Nie. Bo nie możesz wrócić... nie da się wrócić.

— A niby dlaczego?

— Pomyśl tylko na początek, co stało się z twoim przyjacielem... tym Roscoe?

Oczywiście miała rację. Nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki, zwłaszcza gdy w jej nurtach uduszono kogoś, na kim ci zależało. Dunphy westchnął ciężko.

— Więc czy to ma sens?

Clem potrząsnęła głową.

— Nie mówimy o sensie. Ty po prostu... nie masz wyboru. Żadne z nas nie ma.

W przeddzień wyjazdu z Masca do Londynu, gdzie Dunphy miał nadzieję odnaleźć Van Wordena, Clem przyszła do niego z listem, który znalazła podczas pakowania.

— Był w twoich spodniach — rzekła, wręczając go. — Podejrzewam, że musiałeś zabrać go z Zug.

Dunphy spojrzał na charakter pisma i kiwnął głową. Prawie o nim zapomniał. List był z

dziewiętnastego kwietnia 1946. „Drogi Carlu” — zaczynał się...

Przepraszam, że spóźniam się z odpowiedzią na ostatni komunikat od Ciebie. Mój brat i ja pracowaliśmy non stop nad zbudowaniem powojennej infrastruktury, która umożliwiłaby osiągnięcie geopolitycznych celów, jakie los nam wyznaczył. Oddanie Jerozolimy Żydom wpasowuje się, myślę, w kierunek polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych w sposób w pełni zasadny i łatwy do obrony — mimo że będzie to w mniejszym lub większym stopniu destabilizować wkrótce sytuację w tamtym regionie. My w każdym razie jesteśmy postrzegani jako ci, dla których ważny jest porządek moralny, a to jest oczywiście zawsze dużym udogodnieniem.

Zjednoczenie Europy to inna para kaloszy. Sowieci zrobią wszystko, żeby się temu przeciwstawić, więc szykuje się rozgrywka, która stanie się z pewnością kolejną wielką konfrontacją. Że wyjdziemy z niej zwycięzcy, nie mam wątpliwości. To tylko sprawa dyplomacji i wojny.

Trudniejszym zadaniem będzie bezpośrednie oddziaływanie na nieświadomość zbiorową, czyli promowanie archetypów opisanych w *Apokryfie*. Stworzenie Syjonu się uda — jest, a raczej będzie narodem jak każdy inny naród. W jaki jednak sposób mamy stworzyć świat, w którym bestie leżą zarżnięte na polach, zboże samo układa się w szyfr szalonych wzorów, a nieba rozświetlają się cudownymi zjawiskami.

To wielkie wyzwanie, przyznaję, ale w zakresie naszych możliwości. W OSS wypracowaliśmy technologię aranżacji świetlnych o nazwie psy-ops. (Proponuję, byś pozostawił to mnie).

Allen

Dunphy czytał słowo za słowem po raz drugi, a potem trzeci: bestie leżą zarżnięte na polach — i leżały. I przypomniał sobie, co Gene Brading mówił: „Pod koniec mojej służby zaczęliśmy robić te wzory... Agencja nazywała je agrohieroglifami...”. Zboże samo układa się w szyfr... I jeszcze coś, Brading mówił również o Optical Magick: „Oni zrobili też Medjugorie. Roswell. Tremonton. Gulf Breeze”.

To by miało oznaczać, że rozumiem prawidłowo, pomyślał Dunphy. Wiek dwudziesty był widowiskiem świetlnym — konglomeratem efektów specjalnych podszywających się najpierw pod rzeczywistość, a potem pod historię. A wszystko aranżowane przez grupę wpływowych ludzi z bardzo specyficznymi poglądami. Ale dlaczego? — zastanawiał się, kierując wzrok ponad górami w stronę Afryki. W jakim celu?



Przylecieli do Londynu pierwszego czerwca, posługując się podrobionymi dokumentami, które mieli od Maksa Se-tyaeva z Pragi. Dunphy był przyzwyczajony do podróżowania z fałszywym dowodem tożsamości, ale Clem — która nawet nie przekroczyłaby jezdnii poza pasami — denerwowała się. A kolejka do kontroli paszportowej była długa i ciągnęła się serpentynami, tak że zanim znaleźli się z przodu, Clem zaczęła używać swojego nowego paszportu jako wachlarza.

— Numer osiem, Miss.

Starszawy oficer urzędu imigracyjnego, Sikh, wskazał jej ręką jedno z kilkunastu stanowisk, przy którym siedział znacznie młodszy mężczyzna, bawiąc się pieczętkami. Dunphy podziwiał transformację, jakiej uległ facet, gdy zmateriałizowała się przed nim Clem, wciskając mu paszport do ręki. Dunphy nie słyszał wymiany zdań, ale to nie miało znaczenia. Już po sekundzie byli kumplami, on rozpromieniony, ona rozchichotana — perskie oczko, Życzę powodzenia! Po

chwili jechała w dół schodami ruchomymi do karuzeli bagażowej w strefie celnej. Nadeszła kolej na Dunphy'ego.

Funkcjonariusz był szczupłym, młodym człowiekiem z zimnymi niebieskimi oczami i czarną brodą, która jak tarcza okalała jego usta i pnąc się w górę linią szczęki, stykała się z bokobrodami. Obrzuciwszy znudzonym spojrzeniem złamany nos Dunphy'ego, kartkował nieskazitelnie czyste strony paszportu, szukając jakiejś pieczątki.

— Pan Pitt — odezwał się, wymawiając to słowo, jakby wypluwał pestkę.

— Tak.

— Przylatuje pan z...?

— Teneryfy — odparł Dunphy.

— Na wakacje czy w interesach?

— Jedno i drugie po trochu.

— A jakiego rodzaju interesy?

Nie można wymienić nic interesującego, pomyślał Dunphy.

— Jestem księgowym.

Oficer spojrzął ponad jego ramieniem.

— Jest pan sam? — spytał powątpiewającym tonem.

Dunphy przytaknął.

— Na razie. Spotykam się z przyjaciółmi w Londynie.

— Rozumiem. — Zmarszczył czoło i wskazał na nos Dunphy'ego. — Bójka?

Dunphy nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

— Nie. To był napad.

Funkcjonariusz wykrzywił twarz.

— W Las Americas?

Dunphy kiwnął głową, potwierdzając domysł faceta.

— Hiszpańskie kanale — mruknął ten, kręcąc głową. — Energicznie przybił pieczętkę i z uśmiechem oddał paszport Dunphy'emu.

— Witamy na Wyspach Brytyjskich, panie Pitt!



Odnalezienie Van Wordena nie było trudne. Nagrane na taśmie wybieranie numeru wskazywało na to, że rozmowa była miejscowa. Dunphy i Clem mieli więc proste zadanie. Wstąpili do kawiarenki internetowej przy ulicy Strand i odszukali adres w sieci. Ku zdziwieniu Dunphy'ego profesor mieszkał na Cheyne Walk w Chelsea. Biegając, Dunphy musiał mijać to miejsce ze sto razy.

— Idziesz ze mną? — spytał.

— Oczywiście — odparła Clem. — Tylko czy nie powinniśmy wcześniej zadzwonić?

— Nie.

— Dlaczego nie?

Dobre pytanie. Dunphy nie mógł wprawdzie wiedzieć, czy doszło do spotkania Schidlofa z Van Wordenem, ale jedno było pewne: musiała dotrzeć do niego wieść o śmierci Schidlofa, a ta nastąpiła wkrótce po ich rozmowie. Z tego powodu profesor mógł być ostrożny, jeśli chodzi o spotkanie się z nieznajomymi.

— Zaskoczmy go i tyle — oświadczył Dunphy.

Jak się okazało, Van Worden był jedynym lokatorem *Faery Queen*, pordzewiałej barki mieszkalnej zacumowanej przy brzegu w pobliżu mostu Battersea. Niepewny, co przewiduje protokół zaokrętowania się na statek w środku miasta i niechętny wydobyć z siebie głośnego

Ahoj!, Dunphy poprowadził Clem po trapie i na pokład. Gdy napotkali drzwi, zapukał nieśmiało i czekali. Nikt nie odpowiadał, więc zapukał znowu — tym razem głośniej.

— Chwilę!

Za moment drzwi się otworzyły pod gwałtownym szarpnięciem i stanął w nich dystyngowany wyglądający mężczyzna pod pięćdziesiątkę, z kieliszkiem czerwonego wina i goździkową cygaretką.

— Państwo...? — obracał głową, popatrując to na Dun-phy'ego, to na Clem.

— Szukamy pana Ala Van Wordena.

— Taaak?

— Nazywam się Jack Dunphy. Czy pan jest...

— Taaak?

— Nie wiem, czy byłoby możliwe... żebyśmy porozmawiali. Nie zajęlibyśmy wiele czasu. Van Worden zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów.

— Nie jesteście przypadkiem świadkami Jehowy?

Clem zachichotała.

— Nie, nic z tych rzeczy — powiedział Dunphy. — Byliśmy zaprzyjaźnieni z profesorem Schidlofem.

— Van Worden zamrugnął oczami. Pociągnął łyk wina.

— Tym, który zginął.

— Właśnie.

— Mówicie, że przyjaźniliście się z nim?

— W pewnym sensie tylko. Kontynuujemy badania, które prowadził.

Van Worden pokiwał głową... do własnych myśli raczej niż do Dunphy'ego i Clem.

— Obawiam się, że nie mogę pomóc. — Mówiąc to, zaczął zamykać drzwi.

— Mógłby pan, myślę — przekonywał Dunphy, wciskając czubek buta pod drzwi. — Schidlof też tak sądził.

Van Worden spojrział na nogę Dunphy'ego i skrzywił usta.

— Nie chcę się w to mieszać, naprawdę.

— Rozumiem pana, ale...

— Szkoda waszego czasu.

— Ale dlaczego? — nalegał Dunphy.

— Rozmawiałem z człowiekiem tylko jeden raz. Nigdy się nie spotkaliśmy.

— Wiem to.

Van Worden wydawał się zaskoczony.

— Czyżby? Jakim sposobem?

Dunphy wahał się, ale po zastanowieniu powiedział prawdę.

— Podśluchiwałem go.

Van Worden zaciągnął się głęboko papierosem i z wolna wypuszczał z nozdrzy smugi dymu. Wypił łyk wina.

— Ale nie jesteście z policji — upewnił się.

— Nie, nie jesteśmy — odparł Dunphy.

Van Worden pokiwał głową ujęty szczerością Dunphy'ego. Potem jednak zmarszczył czoło.

— Jeden dobry powód, dla którego miałbym chcieć z wami rozmawiać — powiedział.

Dunphy szukał w myślach odpowiedzi, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Wtedy Clem zrobiła krok w stronę drzwi i wyczarowała powłóczyście spojrzenie.

— Byłoby bardzo miło z pańskiej strony.

Van Worden chrząknął.

Zgoda — oświadczył i przytrzymał drzwi, by weszli.



Szli za nim wzdłuż wąskiego korytarza obwieszonego czarno-białymi fotografiami średniowiecznych kościołów i katedr. Minęli kambuz, z którego doleciał zapach piekącego się chleba, dalej przeszli przez rodzaj salonu zawałonego książkami i wyszli wreszcie na pokład, gdzie otoczony pierścieniem krzeseł stał stół z kutego żelaza ze szklanym blatem.

— Porto?

— Bardzo proszę — rzekł Dunphy. — Chętnie się napiję.

— Clocktower. Nieźle. Najlepsze, co mogę zaproponować. — Van Worden nalał im po szklance i wskazał zachęcająco na talerz z serami. — Za to diabelnie dobry ser, stilton. Częstujcie się.

Clem stanęła przy barierze, patrząc w górę rzeki na most Battersea.

— Cudowne miejsce — głośno wyraziła zachwyt, gdy fala od przepływającego obok stateczku chlupnęła w kadłub.

— Chcecie ją kupić?

Dunphy się zaśmiał.

— Nie jesteśmy zainteresowani kupnem...

— Dam niską cenę.

— Przykro mi.

Van Worden wzruszył ramionami.

— Nie dziwię się. Cholerne z nią utrapienie, serio.

— To znaczy... nie podoba się panu tutaj? — zapytała Clem.

— Nie.

— Dlaczego?

— Po pierwsze — zaczął Van Worden — jestem kibicem Arsenalu. A weekendowy wypad do pubu ma tu cenę życia.

— To... dlaczego pan ją kupił?

— Albert Hofmann — rzucił Van Worden.

Dunphy zaśmiał się, ale Clem potrząsnęła głową i zmarszczyła brwi.

— To gość, który odkrył LSD — wyjaśnił Van Worden. I zwrócił się do Dunphy'ego. — Zna się pan trochę na silnikach? — zapytał.

— Nie — odparł Dunphy.

— Ani ja... myślę więc, że zostaniemy, gdzie jesteśmy. — Starszy pan padł na fotel ogrodowy w kolorze limonki i wskazując na siedzenia naprzeciwko, zachęcił Dunphy'ego i Clem do zajęcia miejsc. — A teraz — odezwał się po chwili — oco w tym wszystkim chodzi?

Dunphy nie był pewien, ile może mu powiedzieć, więc od razu przystąpił do sedna.

— Jak mówił Schidlof. Interesuje nas Zakon Magdaleny.

— Z powodu...?

— Cóż, po pierwsze z tego powodu, że nie jesteśmy pewni, czy on należy już do historii.

Van Worden chrząknął.

— Tak, macie rację. To nie historia.

Takiej odpowiedzi Dunphy nie oczekiwał i na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Próbował przypomnieć sobie rozmowę z taśmą, którą odsłuchiwał.

— Kiedy rozmawiał pan z Schidlofem — powiedział — wydawał się pan zdziwiony jego sugestią, że zakon może jeszcze działać.

— Byłem zdziwiony.

— Ale teraz pan nie jest.

Van Worden potrząsnął głową.

— Do czasu śmierci Schidlofa uważałem to za pogłoski.

— A jego śmierć to zmieniła?

— Oczywiście!

— Dlaczego? — zapytała Clem.

— Z uwagi na sposób, w jaki zginął.

— Co pan przez to rozumie?

Van Worden poruszył się na fotelu i wydawało się, że chce zmienić temat.

— Ile wiecie o Zakonie Magdaleny? — zapytał ich.

— Niewiele — odrzekł Dunphy.

— Zapewne jednak coś tam wiecie.

— No tak.

— Wobec tego niech od was usłyszę coś, o czym ja nie wiem—nalegał Van Worden.—

Uwiarygodnicie się w ten sposób.

Dunphy pomyślał chwilę. W końcu powiedział:

— Na czele stoi człowiek zwany Sternikiem.

— To żadna tajemnica.

— W latach trzydziestych i czterdziestych Sternikiem był Ezra Pound.

Van Worden otworzył szeroko usta.

— Ten poeta?

Dunphy potaknął.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Van Worden. I nagle sobie przypomniał. — Czy Pound nie był tym, który...

Dunphy dokończył:

— Został zapuszkowany? Tak, to fakt. Ale to niczemu nie przeszkadzało. Przyjmował hołdy w domu dla obłąkanych... Widywał, kogo chciał, i robił, co chciał.

— Naprawdę?! Właściwie wcale nie jestem zdziwiony — zauważył Van Worden. — Mieli wielu *Nawigatorów*, którzy byli poetami. Szaleńcami także, jeśli o to chodzi.

Rozgorączkowany coraz bardziej tematem Van Worden powiedział im, że po raz pierwszy zainteresował się Lożą Mun-salvaesche (jak nazywał się poprzednio Zakon Magdaleny), gdy pisał wstęp do antologii literatury gnostycznej.

— Poczekajcie! — zawołał. — Mam ją tutaj pod ręką. — Wstał i zniknął im z oczu, a po chwili wrócił z egzemplarzem książki zatytułowanej *Gnostica*. Była tak gruba jak ramię Dunphy'ego. — Najbardziej interesujące dokumenty — wyjaśniał Van Worden — to pseudoepigrafy. A wśród nich najciekawszy jest *Apokryf Magdaleny*.

Dunphy był zaintrygowany.

— Mógłby pan powtórzyć słowo, jakiego pan użył?

— O które panu chodzi?

— Pseudo...coś tam.

— Pseudoepigrafy? — spytał Van Worden.

Dunphy kiwnął głową.

— To są ewangelie domniemanego autorstwa postaci biblijnych — objaśniał Van Worden. Ta, o którą nam chodzi, czyli *Apokryf Magdaleny*, została znaleziona w ruinach irlandzkiego klasztoru jakieś tysiąc lat temu. — Otworzył książkę na właściwej stronie i wręczył ją Dunphy'emu.

Dunphy przeczytał kilka wierszy i spojrzał na niego.



— Czy oryginał został napisany przez Marię Magdalenę?

— Rzekomo tak. — I ciągnąc dalej wątek, Van Worden wyjaśnił im, że istnieje wprawdzie wiele luk w narracji, ale *Apokryf* stanowi rodzaj pamiętnika i zarazem zbioru prorocत्व i objawień. Jako pamiętnik ma być świadectwem domniemanych sekretnych zaślubin Chrystusa i Marii Magdaleny.

Mina i chrząknięcie Dunphy'ego miały wyrazić jego sceptycyzm.

— To nie takie dziwne, jakby się wydawało — przekonywał Van Worden. — W niejednej ewangelii mówi się o Jezusie jako o Rabbim czy Nauczycielu, a skoro tak, daje to wiele do myślenia o jego stanie cywilnym.

— Sądziłem, że był po prostu cieślą—odezwał się Dunphy.

Van Worden pokręcił przecząco głową.

— To powszechne, lecz błędne przekonanie. Słowo używane w stosunku do niego de facto oznacza uczonego. Osobę wykształconą... jak każdy rabbi. I jest w tym logika. Wiadomo, że Chrystus był Żydem i wykładał prawdy religijne. Mniej znany jest fakt, że zgodnie z kodeksem Miszny rabbi powinien mieć żonę, ponieważ „nieżonaty mężczyzna nie może być nauczycielem”. Stąd mniemanie, że Chrystus mógł poślubić niewiastę... i jako jej mąż spłodzić potomstwo... nie jest tak kontrowersyjne, jakby się zdawało.

— Ale jak to jest z jego żoną? — pytała Clem. — Czy w Biblii nie byłoby wspomniane, że miał żonę?

Van Worden pokręcił głową w jedną i w drugą stronę.

— Gdyby nauczał religii, nie będąc żonaty, wywołałby to w owych czasach skandal... wiadomo byłoby o tym. A tak temat w ogóle nie musiał wypływać. Pamiętajmy, że mówimy o Bliskim Wschodzie tysiąc lat temu. Żony nie odgrywały żadnych ról w życiu publicznym. Czy słyszeliśmy cokolwiek o żonach apostołów, sami powiedzcie? A przecież wydaje się nieprawdopodobne, żeby żaden z nich nie był w związku małżeńskim... Co wy na to?

Dunphy nigdy tego nie rozważał, ale teraz...

— Po śmierci Chrystusa na krzyżu — kontynuował Van Worden — Magdalenę noszącą w łonie jego dziecko wysłano na morze w łodzi bez żagli i wiosł. Wedle różnych relacji... a zachowała się niejedna... towarzyszyli jej Marta, Łazarz i Józef z Arymatei. Przez jakiś czas miała rzekomo szaleć burza wywołana w domyśle walką aniołów z demonami, które ściagały Magdalenę. Ostatecznie wylądowała szczęśliwie w Marsylii. I tam wydała na świat Meroweusza. Syna. — Van Worden zaśmiał się i napełnił znowu wszystkie trzy szkła. — Interesująca opowieść, czy nie tak?

Clem miała ogromne oczy.

— I co dalej? — spytała.

— Cóż, dalej mamy głównie mnóstwo prorocत्व... Jeśli czytaliście Apokalipsę świętego Jana, to wiecie, o jakich rzeczach mówię.

— Ale pytam o Meroweusza — nalegała Clem. — Co się z nim stało?

— On? Bardzo dobrze dawał sobie radę. Założył dynastię Merowingów. — Van Worden zakrzywił palce wskazujące, imitując cudzysłów. — Dynastię Długowłosych Królów.

— Dlaczego zostali tak nazwani? — spytała Clem.

— Widocznie dlatego, że w ogóle nie obcinali włosów.

— Z powodu? — zaciekawiał się Dunphy.

— Magicznej mocy, jaką miały... przenikała ich włosy, oddech, krew. — Van Worden zrobił pauzę. — Zważcie na to — rzekł po chwili — iż mówimy o legendach. To była epoka króla Artura... epoka Świętego Graala, który był, zaleźnie od tego, z kim rozmawiacie, albo kielichem... albo linią krwi.

— Liniją krwi? Co pan ma na myśli? — dopytywał Dunphy.

— Dokładnie to, co mówię: linię krwi. Konkretnie linię krwi biegnącą do Chrystusa. *Sang réel*. Opowieści o Merowin-gach sugerują, że mieli oni i czarodziejską, i królewską władzę. Cudotwórcy.

— To znaczy? — dociekała Clem.

Van Worden roześmiał się i zapalił papierosa.

— Jak głosi legenda, potrafili uleczyć chorego, kładąc ręce na jego głowie. I potrafili wskrzesić umarłego przez pocałunek. Rozmawiali z ptakami, fruwali z pszczołami, polowali z wilkami i niedźwiedziami. Słońce i deszcz były powolne ich rozkazom i... co więcej chcecie? — Przerwał. — Niektórzy mówią, że to czasy nie bez powodu tak tajemnicze.

— Co pan sugeruje? — zapytał Dunphy.

Van Worden wydawał się nieco zakłopotany pytaniem.

— Hmm... są tacy... nie nazwałbym ich historykami... ale są tacy, dla których wczesne średniowiecze w ogóle nie było okresem mrocznym. Mówią, że to była złota epoka, a nam dzisiaj kojarzy się ponuro, ponieważ naszą wiedzę o niej zaciemniono. Epokę okrywa czarna zasłona, ponieważ... hmm, pewne instytucje chciały, żeby tak było.

Dunphy przypomniał sobie, że czytał coś o tym w „Ar-chaeusie”.

— O kim pan mówi?

— O Rzymie. Rzym był strażnikiem zachodniej historii. Ojcowie Kościoła ją spisywali, przechowywali... a gdy odpowiadało to ich tajnym zamiarom, wymazywali ją całkowicie.

Clementine nie odrywała od niego oczu.

— Chce pan powiedzieć, że w taki sposób, jak robią to Sowieci? Że ludzie znikają z fotografii?

Van Worden tylko wzruszył ramionami.

— Wmawia mi pan, że Kościół zepchnął w niepamięć trzy stulecia europejskiej historii? — naciskał Dunphy.

Van Worden potrząsnął głową.

— To teoria spiskowa, nic więcej. Powtarzam tylko, co głoszą inni. Skądinąd nie jest to aż tak zdumiewające. Pomyślcie tylko, co jezuici zrobili z historią Majów.

— Co ma do tego historia Majów? — pytał Dunphy.

— To tylko mój argument.

— Dobrze, ale dlaczego Kościół miałby to robić? — dociekała Clem.

— Wedle tej teorii?

— Tak.

— Żeby zatrzeć pamięć o złotej epoce, bo w ogóle nie wiązała się z Kościołem, oraz żeby nie ujawnić prawdy o „brudnej wojnie”, która przyniosła tej epoce koniec. — Widząc oszołomienie Dunphy’ego, Van Worden rozwinął wątek. — Merowingowie byli żywą herezją, jej wyznawcami i zarazem głosicielami. Powołując się na to, że są dziećmi Boga... w sensie dosłownym Jego synami i córkami, podważali istotność i prawowitość każdego innego tronu i władzy świeckiej. Komu potrzebny papież w Rzymie, jeśli syn (czy wnuk) samego Boga zasiada na frankijskim tronie? To była najbardziej niebezpieczna herezja w dziejach. I ponieważ taką była, Merowingowie byli porywani, mordowani i zdradzani, póki ostatecznie prawie wszystkie ślady ich panowania nie zostały wymazane. W rezultacie zniknęli z kart historii...

— Póki nie wypłynął *Apokryf*— dopowiedział Dunphy.

— Właśnie tak. I, oczywiście, kiedy ta herezja wyszła ponownie na światło dzienne za pośrednictwem *Apokryfu*, znowu trzeba było zepchnąć ją w mrok... i tak się stało. Kult był bezlitośnie tępiący, tak że w końcu ostał się tylko jako tajne stowarzyszenie, konspiracja

działająca z ukrycia.

— Co miałoby ono robić? — zapytał Dunphy.

— Doprowadzić nas do millennium — odparł Van Worden. — Cóż by innego?

— A w jaki sposób zamierza to uczynić?

— Gdy spełnią się wszystkie prorocтва, wówczas wszystko się dokona. Będzie *fait accompli*.

— A te prorocтва są...

— W *Apokryfie* — dokończył Van Worden.

— Mówi pan o zbożach układających się we wzory — doprecyzował Dunphy. — I znakach na niebie...

— Więc pan to wszystko zna! — wykrzyknął Van Worden.

Dunphy wzruszył ramionami.

— Pośrednio, z drugiej ręki.

— Oczywiście nie wszystkie prorocтва są taką... poezją. Niektóre są bardzo konkretne.

— Na przykład?

Van Worden zacytował po chwili:

— Te ziemie będą jedną...

— To jest konkretne?

— O tyle, o ile prorocтва w ogóle operują językiem konkretnym. To odnosi się do czasów, kiedy zjednoczą się narody Europy... powstanie jedno państwo, jak niegdyś. I jeszcze kwestia Izraela: „Syjon odrodzony z popiołu pieców”. Dość niesamowite, przyzna pan?

Dunphy pokiwał głową.

— Nie tylko prorocтва, lecz również środki do osiągnięcia celu — dodał Van Worden. — Na przykład Zakon Magdaleny, który wydaje się jedną z pierwszych syjonistycznych organizacji w Europie. Być może nawet pierwszą.

Dunphy skubnął kawałek sera stilton i przepłukał go clock-towerem.

— Co się z nimi stało?

— Do czasu kiedy dowiedziałem się o śmierci Schidlöfa, myślałem, że po zakonie pozostały jedynie Czarne Dziewice, jakie można zobaczyć w kościołach, na przykład w Montserrat.

Dunphy i Clem popatrzyli na siebie.

— O czym pan mówi? — spytała Clem.

Van Worden wzruszył ramionami.

— O figurach Czarnej Madonny, czasami z dzieckiem... również czarnym. Kościół nie lubi o nich mówić, ale są wszędzie w Europie.

— Ciekawe, dlaczego jest czarna? — rzucił Dunphy.

Van Worden się zaśmiał.

— Ten jej czarny kolor miał być szyfrem. Ponieważ to nie jest Najświętsza Maria Panna trzymająca Jezusa... To jest Magdalena i trzyma w ramionach Meroweusza. To ostatnie świadectwa istnienia tajnego Kościoła — merowińskiego Kościoła, którego niszczeniem zajmował się Watykan.

Dunphy wstał z krzesła i podszedł do poręczy. Po prawej stronie zachodziło słońce, kryjąc się za kłębami dymu wydobywającymi się z kominów fabryki na północnym brzegu Tamizy.

— Nawiązał pan do śmierci Schidlöfa, sposobu, w jaki zginął. O czym chciał pan powiedzieć? — zapytał Dunphy.

— Chodziło mi o to, że kiedy Schidlöf dzwonił do mnie, pytając o Zakon Magdaleny, powiedziałem mu, że od dawna już nie istnieje. On zaś sugerował, że tak nie jest. Zgodziłem się z nim spotkać, co traktowałem jako grzeczność wobec innego akademika. Byłem przekonany, że

jest w błędzie. Gdy jednak przeczytałem, jaką miał śmierć i gdzie go znaleziono... w obrębie Inner Temple... doszedłem do wniosku, że to ja się myliłem.

— Dlaczego? Co takiego wiąże się z tą śmiercią, że zmienił pan zdanie?

— To był mord rytualny. W ten sposób loża rozprawiała się ze swoimi wrogami. Mógłbym wymienić dziesiątki ludzi, począwszy od czternastego wieku, którzy tak zginęli, a każdy z nich stanowił zagrożenie dla Zakonu Magdaleny, jak go nazywacie.

— Ale dlaczego? — pytała Clem. — Do czego zmierzają? Czego mieliby chcieć dzisiaj?

— Europejskiego tronu dla potomków Merowingów.

— Potomków?! — wykrzyknął Dunphy. — Czy jest możliwe, żeby wiedzieć, kto...

— Są genealogie — wyjaśnił im Van Worden. — Sporządzenie jednej zlecił Napoleon. Z tego, co wiem, mogą być też inne.

— Napoleon?!

— Obalał Burbonów i, jak sędzę, było mu przydatne, żeby odmalować ich jako uzurpatorów, którzy przywłaszczyli sobie prawa do tronu należnego starszej dynastii. Z pewnością mu to pasowało: druga żona Bonapartego pochodziła z linii Merowingów.

— Było to jednak dwieście lat temu — stwierdził Dunphy. — Czy żyje jeszcze ktoś z rodu Merowingów?

Van Worden zmarszczył czoło.

— Czy ja wiem — odrzekł. — W tej sprawie powinniście przepytac Watkina.

— Watkina? Kim on jest, do diabła?

— Genealogiem. Mieszka w Paryżu. Wie, kto jest kim.

— Niech to! — wyrwało się Dunphy'emu.

— Hmm... poczekajcie. Będę miał coś dla was. — Van Worden poderwał się i oddalił.

Dunphy i Clem słyszeli, że grzebie w jakiejś szafie z papierami. Wreszcie wynurzył się znowu na pokład, trzymając w ręku czasopismo otwarte na jakimś artykule. — To ten gość — powiedział, wręczając im magazyn.

Dunphy spojrział na nazwisko autora — *George Watkin* — a potem przeczytał tytuł: *Szczep Magdaleny: Stare wino z Palestyny*.

— Piekło i szatani! — krzyknął. — To przecież „Archaeus”.

Van Worden wydawał się mocno zdziwiony.

— Czyżby pan to już widział?

— Miałem w ręku egzemplarz, krótko — wyjaśnił mu Dunphy. — Niestety, zgubiłem go.

— Stary Watkin jest być może dla was szansą — powiedział Van Worden — jednak o ile go znam, prawdopodobnie modli się do zupełnie innego boga niż wy. Jeśli pojedziecie go odwiedzić, radzę zachować ostrożność...

Wieczór spędzili w wagonie pociągu Eurostar na trasie z londyńskiego dworca Waterloo do paryskiego Gard du Nord. Dojechali po godzinie dziewiątej, pojechali taksówką do Dzielnicy Łacińskiej, a potem przeszli kilka przecznic na Ile St Louis. Na wyspie znaleźli elegancki hotelik przy Quai de Bethune. Recepcjonista nieufnym okiem obrzucił Dunphy'ego z jego złamanym nosem sugerującym kłopoty, okazał się jednak przynajmniej w tym samym stopniu zauroczony Clem, co podejrzliwy wobec jej partnera. Przy akompaniamencie gderliwego mamrotania konsjerżki, wychudzonej kobiety, której czerwone od różu policzki przywołały Dunphy'emu na myśl cyrk, znaleziono im apartament na trzecim piętrze.

Dlaczego miałyby się nie znaleźć? Kosztował pięćset dolarów za dobę.

— Bierzemy go — rzekł Dunphy i zapłacił z góry gotówką.

Jak na Paryż był to wyjątkowo duży apartament. Beżowa wykładzina podłogowa, ściany w kolorze ochry zawieszono czarno-białymi fotografiami muzyków jazzowych. Clem szykowała sobie kąpiel, a Dunphy stał przy otwartym oknie z butelką francuskiego piwa 33, patrząc na lewy brzeg Sekwany. Wydawało mu się, że ma na wysokości wzroku niemal połowę dachów Paryża.

Niezdługo kłęby pary buchnęły przez drzwi do łazienki i powietrze przeniknęła woń płynu do kąpieli marki Badedas. W tle słychać było strumień lejącej się do wanny wody i przebijający się przezeń głos Clem, która nuciła starą melodię zespołu Steelers Wheel. Dunphy pamiętał słowa z filmu:

*Clowns to the left of me,*

*Jokers to the right.*

Przeszedł przez pokój i stanął w drzwiach do łazienki, opierając się o framugę. Clem leżała rozciągnięta w wannie, manipulując palcami stóp przy kurkach z ciepłą i zimną wodą.

Wniebowzięta.

— Clem, kochanie — odezwał się Dunphy.

— Hmm?

— Muszę wyjść na chwilę.

W jednej sekundzie wytrzeszczyła oczy.

— Co?!

Stopy chlupnęły w wodę i Clem już nie leżała, a siedziała wśród piany.

— Muszę zadzwonić do Maksa. A nie chcę telefonować stąd.

— Ale...

— To może trochę potrwać, więc... nie czekaj, idź spać.

Nie dając jej okazji do polemiki, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

◆◆◆

Niemal godzinę zajęło mu znalezienie kiosku, w którym sprzedają karty na połączenia międzynarodowe. Kupił jedną za sto franków i dopiero przy następnej przecznicy napotkał budkę telefoniczną stojącą obok *boulangerie* z zamkniętymi na głucho okiennicami. Było piętnaście po jedenastej, kiedy uzyskał połączenie.

— Max!

— Aaa, tak... — Rosjanin miał zaspany głos. — Kto mówi?

— Tu Harrison Pitt, Max! — odezwał się Dunphy. — Twój stary kumpel.

Zapadła krótka cisza, Dunphy niemal słyszał, jak ruszyły trybiki w głowie Rosjanina. Potem:

— No przecież, Harry! Co u ciebie słyhać?  
— U mnie w porządku...  
— Wszystko gra?  
— Tak, ale... nie chcę za długo rozmawiać, okay?  
— Jasne, oczywiście... wiem, jak bardzo jesteś zajęty!  
— Właśnie. A czy ktoś przychodził do ciebie pytać o mnie?  
— Tylko ten jeden raz. Mówiłem ci...  
— Nie chodzi mi o tamto — powiedział Dunphy. — Czy był ktoś po naszym ostatnim spotkaniu w interesach, o to pytam.

Odpowiedź Rosjanina była natychmiastowa.

— Nie. Nikt.

Gdyby Max zawahał się choć przez sekundę, Dunphy odwiesiłby słuchawkę. Zamiast tego powiedział:

— To dobrze.

— Czego potrzebujesz?

Mówić o tym przez telefon było wbrew zasadom, ale...

— Chcę nabyć broń.

— Nie mam broni. Mogę wystawić licencję na broń... z dowolnego kraju... nawet z Watykanu... żaden problem.

— To wiem, Max. Mnie teraz chodzi tylko o nazwisko. Czy znasz kogoś w Paryżu, kto...

— Poczekaj chwilę. — Dał się słyszeć głuchy brzęk, gdy Max odkładał słuchawkę na twarde blat. Potem odgłosy wysuwanych i zamykanych szuflad. Stłumione przekleństwo. Znowu ten brzęk. I wreszcie:

— Okay, mam dobrego faceta. Ukrainiec jak ja. Ale świr.

— Co?!

— Jest świrem!

— Mówisz, że jest wariatem?

— Nie. Gejem. Czy to jakiś problem?

Dunphy potrząsnął głową, zapominając na moment, że rozmawia przez telefon.

— Nie, żaden problem. Jak się nazywa?

— Azamov. Sergej Azamov. Kąpielowy.

— Co?

— Kąpielowy — powtórzył Max swoje. — Znajdziesz go w łaźni Chaud le Thermos. Znasz to miejsce?

— Nie — odparł Dunphy. — Tego miejsca nie znam.

Max zachichotał.

— Tak tylko pytam — powiedział. — To jest na rue Poissonnière, przy stacji metra, tuż za rogiem. Zdaje się, że to przystanek Bonne Nouvelle.

— A ten facet... to co? Pracuje nocami?

Max się zaśmiał.

— A jak myślisz? Takie miejsce czynne jest tylko w nocy.

Jakiś czas Dunphy rozglądał się za taksówką, a gdy ją złapał, nie mógł się zmusić do powiedzenia, gdzie dokładnie chce jechać. Poprosił taksówkarza, żeby go zawiózł pod stację metra przy Bonne Nouvelle.

Była prawie północ, gdy odjeżdżała jego taksówka, ale do łaźni trafił natychmiast szlakiem wytyczonym przez porzucone rękawiczki z lateksu. Mieściła się w kamienicy z podniszczoną elewacją z piaskowca i betonowym gankiem, którego kruszące się stopnie prowadziły z chodnika

do ordynarnych żelaznych drzwi. Obok nich była tabliczka — widuje się takie na zewnątrz wiejskich kościołów, informują białymi literami na czarnym tle o porządku dziennym nabożeństw. Ta miała napis:

CHAUD LE THERMOS

SAUNAS ET BAINS

CLUB PRIVÉ

Na zewnątrz siedział mężczyzna w średnim wieku, z gęstwiną włosów na głowie, ubrany w trzewiki, dżinsy i drelichową kamizelkę, palił papierosa i rozmawiał z Algierczykiem, który z uwagi na wiek nie mógłby jeszcze prowadzić samochodu. Zmierzyli Dunphy'ego wzrokiem, ale się nie odezwali.

Gdy wszedł do budynku, owionęło go wilgotne powietrze o zapachu niekoniecznie nieprzyjemnym. Tuż za drzwiami, przy wysłużonym biurku, siedział starszy mężczyzna, czytając w tłumaczeniu na francuski powieść W.H. Hudsona.

— *C'est privé* — rzucił.

— Szukam tu kogoś — oświadczył Dunphy.

Starszy facet błysnął sztuczną szczęką.

— Znaczą kogokolwiek?

Dunphy skwitował żart uśmiechem.

— Sergeja Azamova.

Facet kiwnął głową.

— Pan nie jest z policji? — zapytał.

— Nie.

— Bo i pan nie wygląda na glinę.

— Dziękuję.

— Jest na dole, ale najpierw musi pan wpisać się na członka. — Podsunął Dunphy'emu książkę. — Sto franków.

Dunphy odliczył banknoty i wpisał się do książki.

Eddie Piper, Great Falls — USA

Mężczyzna zsunął pieniądze do szuflady biurka, wyjął plik kart członkowskich i długopisem wypełnił jedną z nich. Gdy skończył, wręczył ją Dunphy'emu i podał mu też dwa złożone białe ręczniki.

— Szafki są za dopłatą — poinformował. — Powinien pan wziąć.

— Po co?

— Na ubranie.

— Tak jest w porządku — odrzekł Dunphy. — Spróbuję nie rozstawać się ze spodniami. — Odwrócił się i zaczął powoli schodzić w dół. Powietrze zrobiło się jeszcze gęstsze, przyprawiając go o klaustrofobię, zwłaszcza że niżej było goręcej i mało światła. Po niecałej minucie pot zlewał

mu czoło. Dotarłszy do sutereny, zatrzymał się na ostatnich stopniach i mrużąc oczy, patrzył w półmrok.

Upłynęła chwila, nim się oczy przystosowały, a wtedy stwierdził, że stoi w niedużej szatni. Parędziesiąt szafek zajmowało jedną ścianę, były poza tym jakieś ławy oraz rząd kabin prysznicowych z ohydnyymi plastikowymi zasłonkami. Dalej była sauna, a za nią wielka łaźnia parowa.

Z łaźni wychynał niski mężczyzna o pięknie wyrzeźbionej sylwetce, z ręcznikiem na ramionach, i miękkim krokiem przeszedł do sauny. Minął się z dwoma facetami — starszy, około pięćdziesiątki, z okazałym brzuchem, obejmował za szyję wierną kopię Clarka Kenta, w stroju Adama, noszącego okulary w szylkretowej oprawie.

Co teraz? — zastanawiał się Dunphy, czując się przesadnie ubrany. Z tyłu doszło go przeciągłe, głośnie westchnienie, a gdy się odwrócił, ujrzał mężczyznę leżącego na brzuchu na drewnianej ławie z ręcznikiem pod głową jako jedynym ekwipunkiem. Na podłodze obok stała puszka crisco i leżał egzemplarz pornosa „Blue Boy”.

— Hej, Sergej! — Dunphy rozdarł się na całe gardło. — Sergej Azamov! Szukam Sergeja „Ukraińca” Azamova. Czy ktoś...

Nie minęły trzy sekundy do pojawienia się Azamova. Wynurzył się z jakiegoś pomieszczenia gdzieś z tyłu, a minę miał taką, jakby Dunphy obsikał mu buty.

— *Qu'est-ce que tu fous?* — zabrzmiał ostro, maszerując w kierunku Dunphy'ego niczym rozszoszczony wykidajło... Skądinąd był zły.

Dunphy pokojowo podniósł ręce.

— Przyjaciel Maks — przedstawił się.

Azamov zatrzymał się jakieś kilka cali przed nosem Dunphy'ego. Miał długie włosy, w strąkach, ruchliwe niebieskie oczy, brylantowy kolczyk.

— Jaki Max?

— Setyaev. Wiem, że jesteście kumplami.

Azamov zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

— Co z pańskim nosem? — zapytał.

Dunphy wzruszył ramionami.

— Taki jeden mi przyłożył.

Azamov się zaśmiał.

— Powinien pan pójść na kurs karate. Nauczyć się samoobrony.

— Dobry pomysł — powiedział Dunphy. — Zrobię to.

— Max jest mi winien sporo pieniędzy, wie pan? — rzekł Azamov.

Dunphy otworzył dłonie w zachęcającym geście.

— Może mógłbym w tym pomóc.

Azamov cofnął się o krok, odwrócił tyłem do niego, pochylił się i plasnął mężczyznę na ławie w pośladek.

— *Degagez!* — rozkazał.

Z grymasem irytacji facet wstał, podniósł puszkę i poczłapał do sali obok.

— Za czym się pan rozgląda? — spytał cicho Azamov.

— Potrzebna mi broń — odpowiedział Dunphy.

Ukraińiec się skrzywił.

— Przez broń można się wpakować w kłopoty. Nie lepiej zalać się w trupa?

— Zapłacę za broń i ryzyko — zapewnił Dunphy.

Azamov pokręcił głową to w jedną, to w drugą stronę.

— Jaki rodzaj broni? — zapytał.



— Coś, co mogę przy sobie nosić — objaśniał Dunphy — ale też nie za małe, żebyś powalił gościa jednym uderzeniem kolby.

Azamov kiwał ze zrozumieniem głową.

— Znajdzie się coś takiego? — dopytywał się Dunphy.

— Być może. Na kiedy pan tego potrzebuje?

— Natychmiast.

Azamov wzruszył ramionami.

— Jasne dla pana, że będę dzwonił do Maksa?

— Jeżeli o mnie chodzi, nie widzę problemu — odparł Dunphy. — Chce pan jego numer?

Azamov potrząsnął głową.

— Gdzie się pan zatrzymał?

Dunphy powiedział mu.

— Okay. Jeśli uda mi się coś zdobyć, zjawię się jutro. Wczesnym popołudniem.



Ukrainiec okazał się słowny. Przyszedł do hotelu o godzinie pierwszej, niosąc ze sobą nowiutką skórzaną teczkę. Clem nie było, zwiedzała wystawę malarstwa Matissa w Centrum Pompidou. Azamov rozsunął zamek błyskawiczny w teczce, wyjął trzy owinięte w materiał pakunki, jeden większy niż dwa pozostałe, i położył je przed Dunphyem na stoliku do kawy.

— Należy mi się za to dwa tysiące — powiedział. — W tym za teczkę.

— Franków? — spytał Dunphy.

Azamov się roześmiał.

— Chyba pan żartuje?

— Nie wiem — odrzekł Dunphy. — Zależy od tego, co jest w środku. Może być pistolet startowy.

— Nie jest — obruszył się Azamov.

Dunphy wziął do ręki największy pakunek, zaskakująco lekki, i powoli zaczął go odwijać. W środku było przeciwieństwo pistoletu używanego przez startera: glock-71 z cztero-calową lufą. Przeładował, wycelował w podobiznę Dizzy Gil-lespie i trzykrotnie raz po razie nacisnął spust. Klik! Klik! Klik!

— Co jest z tym spustem? — zapytał.

— Jest ustawiony na nacisk o sile trzech funtów — wyjaśnił Azamov. — Miała go kobieta. Nie siłaczka. Czy mam wyregulować?

— Nie, jest okay — odparł Dunphy i rozwinął pozostałe pakunki. W każdym był magazynek z piętnastoma dziewięć-milimetrowymi nabojami.

— Wiem, że jest drogi, ale sam pan widzi, że to nie złom. To dobre narzędzie.

Dunphy kiwnął głową i wstał. Podszedł do komody, wyciągnął plik pieniędzy z górnej szuflady i odliczył dwa tysiące w stufuntowych banknotach. Wręczył je Azamowi.

Ukrainiec wziął pieniądze bez przeliczania i wsunął je do kieszeni skórzanej kurtki, jakby były opakowaniem chusteczek higienicznych. Wstał, żeby się pożegnać.

— Rozmawiał pan z Maksem? — zapytał Dunphy.

Azamov kiwnął głową.

— Tak. Obudziłem go. Był wkurzony.

— Co powiedział?

— Kazał panu powtórzyć: „Obchodź się z tym delikatnie”.



Wieczorem Clem leżała w łóżku i rozwiązywała krzyżówkę w „Herald Tribune”, a Dunphy stał w oknie i przypatrywał się światłom na rzece.

— O czym myślisz? — zapytała Clem, wpisując wyraz w prawy górny róg krzyżówki. Dunphy tylko pokręcił głową. — Ejże — nalegała — nie można nie myśleć.

Spojrzał na nią, potem powrócił wzrokiem na wodę.

— Myślałem... że mieliśmy dużo szczęścia.

Clem utkwiała w nim z ukosa badawcze spojrzenie, nie podnosząc głowy znad krzyżówki.

— Czy to ma być żart?

— Nie.

— Bo mnie się wydawało, że dali ci się we znaki. Przecież de facto ponabijali cię gwoździami.

— Ohhho...

— Przepraszam, nie wytrzymałam.

— Liczy się, że tu jesteśmy. Agencja nas nie znalazła.

— Mnie znaleźli.

— No tak, ale na tym koniec. Urwaliśmy się im. Nie znaleźli nas ponownie.

— To dlatego, że jesteśmy bardzo ostrożni.

— Albo mamy szczęście — powiedział Dunphy. — Oni mają możliwości... nawet sobie nie wyobrażasz jakie.

— No jakie?

— Nie wiem... dajmy na to Echelon.

— Co to jest Echelon? — zapytała.

Dunphy zawahał się. Echelon był jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic wywiadu. To nie było coś, o czym się głośno mówiło poza gmachem centrali. Zaraz jednak zaśmiał się w duchu. Próbują mnie zabić, a ja się martwię o ich tajemnice operacyjne?

— To system zbierania danych — wyjaśnił. — Agencja sporządza listę słów dla NSA...

— Też nie wiem, co to jest.

— National Security Agency. To największa na świecie sieć wywiadu. A zajmuje się przechwytywaniem każdego elektronicznego przekazu, który idzie w świat... każdego. Nie zmyślam.

— To niemożliwe.

— A jednak — kontynuował Dunphy. — Każdy telefon, faks i e-mail jest fdtrowany przez system. Każdy przekaz telegraficzny i rezerwacja lotnicza, każdy sygnał komunikacji satelitarnej i radiowej. Wszystko jest wychwytywane i przepuszczane przez ten gigantyczny filtr... Echelon.

— Jak on działa?

— Opiera się na liście słów i wyrazów aktywujących czujność systemu oraz na wykorzystaniu boolowskich operatorów logicznych, jak *i*, *lub*, *nie*. Kiedy słowa z tej listy pojawiają się...

— Jakie słowa? Skąd je biorą?

— Nadchodzą z bardzo wielu miejsc. Z dyrektoriatu operacji CIA, z embargo w Departamencie Handlu, nadzoru bankowego w DEA, antyterrorystycznego ośrodka w FBI. To u nas. Ale są też nasi sprzymierzeńcy. Brytyjczycy, Francuzi, Turcy... też sporządzają własne wykazy. Dzięki temu złapano Ocalana... i Carlosa.

— I przypuszczasz...

— Myślę, że znajdujemy się na liście. I Zakon Magdaleny także. Kiedy pojawiają się słowa z listy, Echelon wyrzuca taką informację, a wtedy jest ona powielana i wysyłana w pierwszej kolejności do tego, kto zamieścił dane słowa w wykazie. Ale to nie wszystko. Echelon to tylko

jeden z systemów. Są też inne. Biorąc to wszystko pod uwagę, jestem zdumiony, że jeszcze chodzimy po świecie.

Clem podciągnęła kołdrę pod sam nos.

— Przeróżające — wymamrotała.

— Mówię całkiem serio.

— Ja też! Czasami myślę, że wołałam cię w wydaniu irlandzkiego księgowego... czy kimkolwiek wtedy byłeś.

Dunphy odwrócił się od okna. Przeszedł przez pokój do minibaru, otworzył butelkę *trois monts* i usiadł obok Clem na łóżku.

— Tak sobie myślę, że być może to już nie ma sensu. Jeśli będziemy zadawać kolejne pytania, wreszcie nas odnajdą. A jeśli tak się stanie, to koniec. Więc może powinniśmy raczej... zniknąć.

— Gdzie?

— Nie wiem. Gdzieś za słońca zachodem.

— Za zachodem słońca?

— Okay. Nie podoba ci się zachód słońca. Co myślisz o Brazylii?

— Brazylia?!

Ton jej głosu skłonił go do szukania argumentów.

— Moglibyśmy się pobrać.

Pomysł wydawał się ją zaalarmować.

— Czy to oświadczyły?

Dunphy sam nie był pewien.

— No nie wiem. Chyba tak. To znaczy... w każdym razie to taka propozycja.

— Czy w rodzaju „Masz teraz ochotę obejrzeć *Cats*?”

— Nie, nie taka...

— Oczywiście — zaczęła — jeśli się pobierzemy, będziemy panem i panią Pitt! —

Rozważała to przez chwilę, po czym postanowiła przetestować, jak to brzmi. — *Hola! Yo soy sefiora Piiiitt!*

— W Brazylii nie mówią po hiszpańsku — rzekł Dunphy.

— Wiem, ale ja nie mówię po portugalsku, więc hiszpański musi wystarczyć. — Na jej ustach zaigrał głupawy uśmieszek, a głos nabrał jedwabistego, zmysłowego tembru. — Halo, nazywam się Veroushka Pitt i za wszystko płacę gotówką. — Popatrzyła Dunphy'emu prosto w oczy i jej głos zmiekkł jeszcze bardziej. — Jestem Veroushka Bell-Pitt, ukrywam się we Florianópolis! — Zmarszczyła nos.

— Rozumiem, że mówisz mi nie.

Potrząsnęła głową.

— Mówię ci raczej, że nasz kłopot polega na tym, iż ani na chwilę nie ustają próby, żeby cię zabić, więc powinniśmy, tak uważam, rozwiązać najpierw ten problem, zanim ruszę do sklepów po suknię ślubną.

— A jeśli nie ma dobrego rozwiązania? — zapytał Dunphy. — Czasami trzeba po prostu się usunąć. I wydaje się, że taką właśnie mamy sytuację. Ci ludzie mieszkają od tysiąca lat. A teraz opanowali CIA. Wygląda na to, że choćbyśmy nie wiem co jeszcze odkryli, nie będziemy mogli nic z tym zrobić. Nie możemy iść na policję...

— Dlaczego nie?

— Ponieważ to nie jest sprawa, z którą potrafiliby sobie poradzić. Wypisują mandaty. Szukają złodziei samochodowych. Czasami udaje im się wytropić mordercę. Ale nigdy, przenigdy, nie zdarza im się uznać za motyw przestępstwa nieświadomości zbiorowej.

Clem przewróciła oczami.

— Moglibyśmy pójść do prasy.

Dunphy potrząsnął przecząco głową.

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Tłumaczyłem ci to podczas lotu na Teneryfę. Cokolwiek to jest, „nie nadaje się do druku”.

Nie mamy ciemnego typu... konkretnego zabójcy. Naszym przeciwnikiem jest tajne stowarzyszenie, na miłość boską! I im więcej się o nim dowiemy, tym trudniej będzie nam żywić nadzieję, że w ogóle istnieje dla nas jakieś wyjście. A więc powiedz sama. W jakim punkcie jesteśmy?

— W Paryżu — odparła Clem i poklepała poduszkę. — Chodź teraz do matki.

Dunphy zmarszczył brwi.

— Mówi się mamuśki.

— Co?

— Mówi się chodź do mamuśki. Nigdy chodź do matki. Tylko Angol mógłby tak powiedzieć w tym znaczeniu.

— Niech ci będzie — oświadczyła i znowu poklepała poduszkę.



George Watkin zajmował apartament na pierwszym piętrze secesyjnej willi dwurodzinnej w okręgu dziewiątym. Ostrzeżenie Van Wordena, że Watkin „prawdopodobnie modli się do zupełnie innego boga”, wzmogło czujność Dunphy’ego. Obmyślił pretekst i gdy zadzwonił do Francuza, powiedział, że przybył do Paryża jako wysłannik Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego rzekomo zainteresowanego zaangażowaniem Watkina jako konsultanta w sprawach genealogii. Czy ta oferta interesuje Watkina? Czy mogą się spotkać?

*Eh, bien!* Ależ tak, jak najbardziej! Watkin miał czas tegoż popołudnia. Nie zdziwiło to Dunphy’ego. Kościół mormoński jest dla genealogii tym, czym Hollywood dla filmu. Nawet gdyby Watkin cieszył się materialną niezależnością, było mało prawdopodobne, że odrzuci propozycję takiego spotkania.

A Watkin nie był zamożny. Zgodnie z tym, co mówił Van Worden, był podrzędnym pismakiem z arystokratycznymi pretensjami. Pisywał artykuły o członkach rodów królewskich — każdy sięgał króla — do tabloidów we Francji i w Anglii.

Autorytet w historii Windsorów, Habsburgów i Grimaldich, dorabiał sobie też badaniami linii genealogicznych na zlecenia prywatnych klientów.

Dunphy pojawił się u Watkina w towarzystwie Clem i z glockiem spoczywającym na dnie nowej teczki. Wpuszczeni za pomocą domofonu weszli schodami na piętro, gdzie w drzwiach do swego mieszkania stał promieniejący Watkin.

Niskiego wzrostu, z nadwagą, miał dziecianną twarz. Ubrany był w podniszczony, ale przyzwoity czarny garnitur wyświecony na ramionach od długiego noszenia. Pod marynarką biała koszula i obowiązkowy krawat, którego paski zdradzały upodobanie genealoga do zupy. Pomarszczona skóra na butach i lekka woń potu pasowały do pierwszego wrażenia, jakie zrobił na Dunphym.

— Raymond Shaw — przedstawił się Dunphy — wymyślając nazwisko przy uścisku rąk. — A to moja asystentka, Veronica... Flexx.

Spóźniona reakcja Clem pozostała jakoś niezauważona.

Samo biuro, przestronne i wygodne, choć przegrzane, miało ściany zabudowane regałami, zapchanymi książkami do granic możliwości. Na bibliotecznych stołach w czterech rogach

pokoju piętrzyły się sterty dokumentów i pergaminowych zwojów. Wzdłuż północnej ściany brudne okna szarzały światłem popołudnia, które niecierpliwie czekało na deszcz.

— Armaniaku? — zapytał Watkin, nalewając sobie kieliszek.

— Dziękujemy — odparł Dunphy, opadając na wysłużony klubowy fotel pokryty skórą. — Nie pijemy, z zasady.

Watkin zacisnął zęby i westchnął.

— Oczywiście! Nietakt z mojej strony. Ja... — Genealog zawiesił głos, jakby zgubił wątek i nie wiedział, co powiedzieć, a jego uśmiech wyparło zdziwienie... a może strach. Cokolwiek to było, nie trwało dłużej niż sekundę i Watkin natychmiast odzyskał głos i znowu się uśmiechał.

— Strasznie mi przykro — powiedział.

— Nie ma pan powodu przeproszać — odparł Dunphy, zastanawiając się jednocześnie, czy doznał halucynacji. — Proszę nie odmawiać sobie drinka, a ja wyjaśnię, o co nam chodzi.

Francuz usiadł na krześle za swoim biurkiem, zerknął w jakieś papiery i kiwnął głową w stronę gości, by zaczęli.

Dunphy spędził rano w kawiarence internetowej niedaleko Sorbony. Przejrzał pobieżnie strony o mormonizmie, porobił notatki i obmyślił sobie chytrą mowę wstępną, która powinna, taką miał nadzieję, być przychylnie przyjęta.

— Piotr nas tu przywiódł — zaczął. — Nie wiem, czy jest pan wierzący, ale Piotr rzekł nam, że „i umarłym głoszona była ewangelia, aby w ciele osądzeni zostali na sposób ludzki, ale w duchu żyli na sposób Boży”. W Kościele Świętych Dnia Ostatniego wierzymy, że Chrystus cierpiał i umarł nie tylko za grzechy żywych, ale także tych, którzy odeszli. Wyobraża pan sobie, jak bardzo poważne zobowiązanie nakłada to na nas: ratowanie dusz tych, którzy zmarli... naszych przodków w zaświatach. I wie pan, jak sędzę, że czynimy to poprzez sakrament znany powszechnie jako chrzest *per procura*. Oczywiście, zanim do tego dojdzie, musimy najpierw ustalić naszych przodków, co robimy tradycyjnymi metodami genealogii.

Uśmiezek samozadowolenia na ustach Dunphy’ego. Ujmujący uśmiech Clem. Uprzejmy, choć trochę niespokojny wyraz twarzy potakującego głową Watkina.

— Pracujemy nad tym już jakiś czas — kontynuował Dunphy — w taki sposób, że każda rodzina sięga w przeszłość, do coraz starszego pokolenia. Szczycimy się tym, że uratowaliśmy miliony dusz. Lecz, jak pan może sobie wyobrazić...

— Im dalej wstecz — podsunął Watkin — tym trudniej.

— Dokładnie. A zwłaszcza w wypadku Amerykanów, których korzenie... i rejestry ich dotyczące... są na ogół po drugiej stronie Atlantyku.

Watkin pokiwał współczująco głową.

— I dlatego pani Flexx i ja jesteśmy tutaj. Zlecono nam założenie w Paryżu instytutu badawczego w celu ułatwienia pracy nad poznaniem genealogii członków naszego Kościoła w Stanach Zjednoczonych.

— Rozumiem — rzekł Watkin. — I sądzicie...

— Uznaliśmy, że mógłby pan w tym pomóc. Tak.

Watkin wolno kiwał głową, i nieco z żalem, jak się wydało Dunphy’emu, a takiej reakcji nie oczekiwał. Po chwili Francuz zapytał:

— Skąd mieliście moje nazwisko?

Dunphy przewidział takie pytanie. Sięgnąwszy do kieszeni marynarki, wyciągnął fotokopię artykułu *Szczep Magdaleny*, który ukazał się w „*Archaeusie*”.

— Byliśmy pod wrażeniem artykułu, który pan napisał — powiedział, podając go Watkinowi.

Francuz wyjął okulary do czytania z kieszeni marynarki i umocował je na nosie.

Odczrząknawszy, wpatrzył się w strony trzymane w rękę. Nie było wyraźnej reakcji. Jeśli już, to wydawało się, że zaniemówił. Jego twarz wydłużyła się, gdy wpatrywał się w historię przez siebie napisaną, poruszając wargami przy odczytywaniu słów pierwszego akapitu. W końcu podniósł wzrok.

— Gdzie to zdobyliście? — zapytał.

Takiego pytania Dunphy również się spodziewał.

— Nadesłano to jednemu z naszych genealogów w Salt Lake City, a on przekazał dalej. Nie jestem pewien, z jakiego czasopisma pochodzi...

— Wszyscy są zgodni co do tego, że praca jest pierwszorzędna — wtrąciła Clem, wyczuwając konsternację Watkina.

— Bez wątpienia — dodał Dunphy.

Watkin obrzucił ich wzrokiem.

— To nie było szeroko rozpowszechniane — wymamrotał.

— Och?

— Nie było. Wydrukowano znikomą liczbę egzemplarzy. To... specjalistyczna publikacja. Przeznaczona dla bardzo specyficznego odbiorcy. Nie dla powszechnego. Więc... była praktycznie niedostępna.

— Skoro tak, musimy uważać się za szczęśliwców, że się z nią zapoznaliśmy! — oznajmił Dunphy. — Tym bardziej że dotarliśmy do człowieka, który to napisał!

Watkin kiwał głową dalej wyraźnie strapiiony.

— I zostało to tak inteligentnie obmyślane.

— Co obmyślane?

— Artykuł — odparł Dunphy.

— I tak pomysłowo — dodała Clem, krzyżując nogi z poświstem nylonu. — Mówię o sposobie, w jaki pan opisał linię Merowingów...

— Jak gdyby to było opracowanie na temat uprawy winorośli! — dokończył Dunphy. — Skąd pan zaczerpnął tę koncepcję?

Niepokój Watkina ustępował. Jego wzrok padał na zmianę to na Dunphy'ego, to na Clem. Wyglądało na to, że się rozluźnia i zaczyna wychodzić im naprzeciw.

— Nie wiem — rzekł. Koncepcja jak każda inna. Napisałem to dla zabawy. — Przerwał na chwilę i nabrał energii. — Do rzeczy! Jesteście zainteresowani Merowingami?

— Zdecydowanie — odrzekł Dunphy.

— A któż by nie był?! — wykrzyknęła Clem.

— Ciekawe, czy jeszcze jacyś żyją — głośno zastanawiał się Dunphy.

— Nie jesteście odosobnieni w swojej ciekawości — powiedział z uśmiechem Watkin. — Czy chcecie zobaczyć genealogie sporządzone na zlecenie Napoleona? To oczywiście nie są oryginały, ale...

— Do diabła, jasne! — zawołał Dunphy i natychmiast się zreflektował. — Przepraszam. Czasami za bardzo... się podniecam.

Watkin wzruszył ramionami.

— Trzymam je w sąsiednim pokoju — rzekł. — Pójdę tam po nie.

Kiedy wyszedł, Dunphy skrzywił się niezadowolony z siebie, a Clem go dobiła:

— Uważam, że spieprzyłeś sprawę, wasza świątobliwość.

Przyznał jej rację, lecz nic nie mógł zrobić. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Popadywał drobny deszcz, ulica połyskiwała śliską nawierzchnią.

— Pada — zakomunikował i zaczął spacerować wokół pokoju, studiując półki z książkami w poszukiwaniu klucza do osobliwego zachowania Watkina.

*Biuletyn Międzynarodowego Stowarzyszenia Badaczy Brytyjskiej Genealogii i Historii Rodów.*

*Katalog manuskryptów z archiwów frankijsko-judejskich.*

*Dokumenty dotyczące historii i ludności miast nad brzegami rzek Dadou i Agout (z wyjątkiem Realmontu), lata 1330—1382.*

*UFO nad Biarritz!*

— Uuh — zamruczał Dunphy i kontynuował wędrówkę po pokoju, aż znalazł się przy biurku Watkina. Dwie rzeczy przyciągnęły jego wzrok. Jedna to migotanie czerwonej diody na telefonie, co oznaczało, że ktoś (z pewnością sam Watkin) jest na linii w sąsiednim pokoju. Druga rzecz, która przykuła jego uwagę, to jego własne zdjęcie.

Wielkości paszportowego, przychepione do noty obiegowej od dyrektora Security Research Staff Harolda Matty. Przerażony Dunphy czytał notę, w której identyfikowano mężczyznę na fotografii jako człowieka o personaliach John Dunphy *alias* Kerry Thornley *vel* Jack. Ostrzegano, że Dunphy/Thornley jest

uzbrojony i wyjątkowo niebezpieczny. Przypuszcza się, że Jack Dunphy podróżuje w towarzystwie kobiety, używając fałszywych dokumentów. Rzeczony podawał się w Kansas za funkcjonariusza federalnego, zranił agenta federalnego w Londynie i zagroził bezpieczeństwu SAP w Szwajcarii, gdzie dokonał brutalnej napaści na dwóch urzędników archiwum, po czym skradł chronione przez Andromedę dokumenty projektu MK-IMAGE. Grupy safari z SRS zostały skierowane z misją specjalną do naszych ambasad w Londynie, Paryżu i Zurychu.

Cholera, psiakrew! — pomyślał Dunphy. Co to jest, do diabła, grupa safari? I sam sobie odpowiedział: to jest dokładnie to, co myślisz. Odczepił fotografią od pisma i wrócił z nią na swój fotel. Siadając, mignął zdjęciem przed oczami Clem i wyszeptał:

— Jesteśmy udupieni.

— Co mówisz?!

— Być może pozostało nam jeszcze wszystkiego dziesięć minut — rzekł, chowając zdjęcie do kieszeni. — Potem musimy się stąd wydostać... On już telefonuje.

Za moment pojawił się wyraźnie zdenerwowany Watkin ze zwojem map pod pachą. Rozkładał je na jednym z bibliotecznych stołów, przygniatając w rogach książkami. Dunphy i Clem stanęli przy nim.

— Patrzycie na tablice genealogiczne Merowingów sporządzone przez badaczy dla Napoleona w pierwszych trzech latach dziewiętnastego stulecia.

— Dynastia Długowłosych Królów — zamruczał Dunphy pod nosem.

Watkin, niezbyt zadowolony, wydał wargi.

— Byli również nazywani Królami Świętego Graala.

— Są iluminowane jak stare rękopisy — dorzuciła swoje spostrzeżenie Clem, pokazując palcem delikatną pajęczynę wzorków pokrywającą marginesy map. Były tam lwy i cherubiny, kwiaty i Trzej Mędrcy ze Wschodu. A środek wypełniał schemat przedstawiający stosunki pokrewieństwa w rodzie, którego historia badana w czasach Napoleona sięga wypraw krzyżowych i dalej od krucjat do wczesnego średniowiecza i aż po samego Meroweusza.

— Są piękne — zauważył Dunphy.

— Niewyobrażalnie — skomentował Watkin.

Dunphy przebiegał oczami imiona i ku swemu rozczarowaniu stwierdził, iż żadne z nich nie mu nie mówiło. *Dagobert II. Sigibert IV.* Te dwa były co prawda uwzględnione w wykazie materiałów Andromedy, nie miał jednak pojęcia, kim są lub byli kryjący się pod nimi ludzie.

— Kto to jest Dagobert? — zapytał.

Watkin aż się wzdrygnął.

— Dah-gou-beer. Jego ojciec był królem Austrazji...

— A to była?

— Obecnie północna Francja i część Niemiec. To bardzo interesująca historia — oznajmił Watkin. — Jak z bajki. Kiedy ojciec Dagoberta został zamordowany, chłopca porwał majordom nadzorujący dwór i ukrył go przed światem w klasztorze w Irlandii. Najwidoczniej nie mieli serca go zabić. Po iluś latach syn tegoż majordoma został królem, a w tym czasie Dagobert osiągnął pełnoletność.

— Kiedy to było? — spytała Clem.

— W sześćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Przejął tron, gdy miał dwadzieścia trzy lata.

— Co potem? — dociekał Dunphy, myśląc jednocześnie, że nie zostało im więcej niż pięć minut.

Watkin wzruszył ramionami.

— Potem zmarł.

— Jak? — zainteresowała się Clem.

— Zadźgali go, gdy spał... wbili mu lancę w oko.

— Kto? — zapytał Dunphy.

— Według historyków? Giermek Pepina Grubego.

— A w rzeczywistości?

Watkin prychnął pobłaźliwie.

— Watykan, oczywiście.

— A co wiadomo o tym tu? — zaciekała się Clem. — Kto to był?

— Sigibert — odrzekł Watkin. — Jego potomkowie zapewnili kontynuację linii

Merowingów.

— Jak długo? — spytał Dunphy, naprowadzając rozmowę na powód ich wizyty u Watkina.

Genealog wyglądał na zaniepokojonego.

— Co pan ma na myśli?

— Gdzie oni teraz są? Czy jacyś żyją?

Watkin wzruszył ramionami.

— Ejże — przypierał go do muru Dunphy. — Nie powie mi pan, że od czasów Napoleona nikt tego nie tropił.

Watkin uśmiechnął się blado.

— No cóż — powiedział. — To nie ma znaczenia. Ostatni z rodu żył tutaj, jeśli o to chodzi.

W Paryżu.

— Coś podobnego — rzekł Dunphy. — Kim był?

— Bankierem — odparł Watkin. — Bemard-jakiś-tam.

Dunphy ocenił, że nie ma nic do stracenia.

— Gomelez? — rzucił.

Genealog wybałuszył na niego oczy.

— Mam rację, czyż nie?! — wykrzyknął Dunphy. Spojrzał na Clem. — Wiedziałem, że mam rację.

— Skąd pan zna jego nazwisko? — spytał Watkin.

Dunphy wzruszył lekko ramionami.

— Z Internetu. Dużo surfuję.

— Co się z nim stało? — dociekała Clem.

— Z kim?



— Z panem Gomelezem — dopowiedziała i w tym momencie dały się słyszeć przez okno odgłosy strzelającego gaźnika samochodu. Watkin podskoczył jak potraktowany elektrowstrząsem. Odwracając wzrok od swoich gości, zaczął zwiijać mapy.

— Wydaje mi się, że był ranny podczas wojny — poinformował.

— Jakiej wojny? — pytał Dunphy.

— W Hiszpanii. Był ochotnikiem.

Clem podeszła do okna, odsłoniła kotarę i wyjrzała na ulicę.

— Musi być teraz bardzo stary — powiedziała.

Watkin potrząsnął głową i skłamał:

— Uważam, że nie żyje. — Był bardzo chorym człowiekiem. Nie tylko z powodu ran odniesionych na wojnie. Miał... jak się to nazywa? *Pernicieuse anémie*?

— Niedokrwistość złośliwa — podsunęła Clem.

— Właśnie! A podczas drugiej wojny światowej, kiedy wkroczyli Niemcy, w jego domu... rezydencji przy rue de Modagor... zrobili szpital. Nikt go od tego czasu nie widział.

— Nawet po wojnie? — dociekał Dunphy.

— Jak mówiłem, zniknął.

— A jego dom...

Watkin zbył pytanie.

— Zmieniał właścicieli. Myślę, że jest tam teraz muzeum. Siedziba archeologów.

Dunphy bacznie obserwował Watkina. Wydawał się bardzo spięty. Gdyby był psem, strzygłby uszami. Nagle Clem odskoczyła od okna.

— Ooch! — krzyknęła.

Dunhy podeszedł do niej, stanął obok i wyjrzał na ulicę. Zobaczył pięciu mężczyzn w czarnych garniturach i kowbojskich krawatach, wyskakujących przez tylne drzwi z szarego vana zaparkowanego przednimi kołami na chodniku. Zmierzali spieszonym krokiem w stronę domu Watkina, jeden z nich wciskał guziczki telefonu komórkowego.

Na biurku zadzwonił aparat. Watkin poruszył się, żeby odebrać telefon.

— Stać! — wrzasnął Dunphy, jakby miał przed sobą nie genealoga, lecz wielkiego i podnieconego psa. Następnie zrobił kilka kroków, sięgnął po teczkę i otworzywszy ją, wyciągnął glocka.

— Teraz słuchaj! — rozkazał. — Powiesz im, że właśnie wyszliśmy, że jesteśmy w drodze do Biblioteki Narodowej, że jedziemy starym deau chevaux. Powiedz im, co ci przyjdzie do głowy, Georges, ale pamiętaj, żebyś brzmiał przekonywająco... w przeciwnym razie skończy się linia Watkinów. Wiesz, o czym mówię.

Przerażony genealog pokiwał głową i wolno podniósł słuchawkę. Mówił za szybko, by Dunphy był w stanie dokładnie go zrozumieć, ale usłyszał wyrazy deau chevaux i biblioteka, więc wykoncypował, że Watkin potraktował jego instrukcję dosłownie.

Wróciwszy do okna, Dunphy znowu wyjrzał. Zobaczył, że trzech mężczyzn wskakują do vana i zatrząskują drzwiami auta.

Z piskiem opon samochód się cofnął, wykonał półobrót, zatrzymał się i wystrzelił do przodu, zmierzając, jak się Dunphy domyślał, w kierunku biblioteki. Dwaj pozostali mężczyźni podbiegali chodnikiem pod dom. Jeden wyraźnie kulał i przez moment Dunphy uznał, że to może być Jesse Curry — ale nie, Curry był potężniejszy, a poza tym za mało czasu upłynęło, by mógł już chodzić.

— Czy odjechali? — zapytała Clem głosem łamiącym się jak u mutującego nastolatka.

— Niektórzy — odparł Dunphy.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Powtórnie.

Dunphy zwrócił się do Watkina.

— Wpuść ich.

Watkin podszedł do domofonu i wcisnął przycisk. Następnie odwrócił się do Dunphy'ego.

— Co pan zamierza zrobić?

Dunphy'emu przemknęło przez głowę, że pytanie Watkina byłoby stosowniejsze, gdyby zadał je przed wciśnięciem guziczka domofonu. Nic jednak nie powiedział. Potrząsnął tylko głową. Prawda była taka, że sam nie wiedział, co robi.

— Jack?

Dunphy się odwrócił.

— Co się stanie? — spytała Clem.

Pokręcił głową.

— Nie wiem. Spróbuję z nimi porozmawiać — powiedział.

Dwaj mężczyźni wchodzili po schodach — słyszał, jak idą — żeby z radością zabić jego i ją, jeśli tylko dostaną taką szansę. Ale tej szansy, oczywiście, nie będą mieli. Dunphy weźmie ich na celownik, zanim zorientują się, że jest w pokoju, a nie w drodze do biblioteki.

Nie może jednak ich tak po prostu zabić. Nie w ten sposób. Nie może strzelać do nich z zimną krwią gdy tylko ukażą się w drzwiach. To ludzie. Jednakże...

Są grupą safari. To musi być terminologia Agencji i choć Dunphy nie zetknął się przedtem z tym określeniem, sugerowało ono, że grupa poluje na biedną, zaskoczoną, niebezpieczną zwierzynę — był nią on sam. Bambi z glockiem.

Z drugiej strony...

Głośnie pukanie w drzwi. Bum, bum, bum, bum! Jakby dobijali się komornicy przychodzący po telewizor.

Dunphy gestem nakazał Clem przejść do sąsiedniego pokoju, następnie stanął przy drzwiach i kiwnął na Watkina, żeby otworzył. Genealog nabrał powietrza w płuca, jak gdyby wychodził na scenę, przekręcił gałkę i...

Dunphy obiema rękami ścisnął glocka z lufą skierowaną ku podłodze, kiedy mężczyźni wpadli do pokoju, jakby dom stawał w ogniu. Otworzył usta — być może chciał krzyknąć: „Stać!” — gdy zobaczył... najpierw koślawą stopę, potem pistolety.

Co za bezczelność wtargnąć w taki sposób, tym bardziej że Dunphy'ego miało tu nie być. Tak są chyba szkoleni — bądź zawsze przygotowani na najgorsze, coś takiego. W każdym razie nie wyjdzie im to na dobre. Na pewno nie.

Stać, które wyrwało się z jego gardła, nie było słowem, lecz wściekłym rykiem — bo oto odwracał się do niego twarzą zabójca Roscoe z automatem w ręku. A mężczyzna u jego boku, który też się odwrócił, z nieco opóźnionym refleksem, to był Garnitur z worami pod oczami jeszcze większymi niż tam, w McLean.

Pierwszy strzał Dunphy'ego przeszedł przez okno, omijając ich, ale dwa następne trafiły kulawego w ramię, wyrzucając go w powietrze, gdzie jego ciało zrobiło obrót, nim padło na podłogę. Kolejny strzał posłał Garnitur, ale chybił, a za moment już nie stał na nogach, bo kula wydrążyła w nim tunel od pępka w głąb. Dunphy oparty o ścianę strzelał jak szalenciec, raz za razem pociągał za spust, nie myślał o celowaniu, zasypywał pokój gradem ołowiu z szybkością, z jaką tylko glock był w stanie go wyrzucać — póki nagle pistolet nie zrobił klik, klik, klik. Dunphy pomyślał: Teraz jestem martwy. Ooch, Clem...

Przez moment wydawało się, że pokój zamarł w ciszy wsysającej każdy dźwięk. Smugi niebieskiego dymu wisiały w powietrzu i czuło się dziwny swąd, jakby naładowany elektrycznością. Po chwili Dunphy usłyszał kwilenie, jakie wydawał z siebie Garnitur, który skulony na podłodze, z bebechami w rękach, kołysał się z boku na bok, lamentując nad sobą.

Kilka kroków dalej zawodził przerażony Watkin; przywarł do chińskiego dywanu, obejmując rękami głowę, jakby oczekiwał ataku atomowego. Blżej Dunphy'ego leżał kulawiec z zastygłą w gniewie twarzą, a krew ciurkała mu pulsacyjnie z otworu w łuku brwiowym.

Dunphy wziął głęboki oddech — w ciągu ostatnich trzydziestu sekund w ogóle nie oddychał — i pozbył się z glocka pustego magazynku, upuszczając go na podłogę. Włożywszy nowy, przeładował broń, a następnie wsunął ją za pasek pod marynarką.

Przełknął ślinę.

— Clem? Clem?!

Wyszła z sąsiedniego pokoju z czarnymi kołami pod oczami od rozmazanego tuszu do rzęs, co upodobało ją do szopa pracza. Ogarnęła wzrokiem zadymiony pokój z trupem jednego mężczyzny, łkającym Watkinem i wijącym się z bólu drugim mężczyzną. Zobaczyła krew i się zachwiała. W końcu na palcach stóp zaczęła przesuwać się ku drzwiom, starając się nie zabrudzić krwią butów.

— Clem. — Dunphy podszedł do niej i objął ją ramieniem.

— Była straszna strzelanina — wymamrotała cała we łzach. — Straszna!

— Nie pozwól mu pozabijać nas! — błagał Watkin.

— Nie zabieraj głosu! — przykazał mu Dunphy i znowu zwrócił się do Clem. — Wpadli tu jak DEA — wyjaśnił. — Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

— Nie rób im więcej krzywdy, okay? — poprosiła.

— Nie zrobię. I nie zrobiłem. Chcę powiedzieć, że sami sobie to zrobili. Ja tylko do nich strzelałem!

Nie wiedział, czy mu uwierzyła, czy nie. Poza tym dotarło do niego, że to, co mówił, i tak nie trzymało się kupy. Zatem wziął się do tego, co musiał jeszcze wykonać.

Złapał Watkina za kołnierz i pchnął go w stronę kanapy.

— Siedź tu!

Potem podszedł do biurka i wyrwał ze ściany telefon. Przypomniał sobie o telefonie komórkowym i rozejrzawszy się, zobaczył go na podłodze. Podniósł komórkę, położył na biurku i roztrzaskał kolbą glocka. Zebrał broń napastników, wrzucił ją do swojej teczki i zatrzasnął obydwie zamki. Był gotów do wyjścia.

— Do mnie trzeba wezwać karetkę — wychrypiał Garnitur.

Dunphy kiwnął głową.

— Jasne, widzę to. — Ruszył do drzwi.

— Na Chrystusa, człowieku, spójrz na mnie! Jestem Amerykaninem! — Garnitur odjął ręce od kłębowa trzewi i gdy to zrobił, Dunphy zobaczył pulsowanie tętna, jakby część faceta wibrowała. Garnitur ucisnął ręką drgające wnętrze i powiedział jeszcze: — Wydaje mi się, że umieram. — W jego głosie nie było słyhać wyrzutu. Jeśli cokolwiek, to ogarniające go zdumienie.

Dunphy pokiwał głową. Wrócił myślą do McLean. Garnitur stojący tam z dziwnym półśmieszkiem na ustach. Światła policyjne migające na zewnątrz. Martwy Roscoe w pończochach kabaretkach, które Garnitur mu założył.

— Tak to bywa — rzekł — i zdarza się najlepszym.

Złapali taksówkę kilka przecznic dalej i podjechali pod kościół Sainte Clothilde — pierwsze miejsce, jakie przyszło Dunphy’emu do głowy. Ledwie spojrzawszy na wieże kościoła, odszukali po przejściu kilku skrzyżowań stację metra, które ich wchłonęło. Pół godziny później wyłonili się w deszczu na Mutualite i przeszli na drugą stronę rzeki do swojego hotelu.

Clem była zaskakująco spokojna. Otworzyła gazowane campari i opadła na kanapę koło telefonu.

— Clem... — zaczął Dunphy.

Potrząsnęła głową.

— Nie musisz wyjaśniać.

— Weszli przez drzwi...

— Wiem. Mówiłeś. Jak DNA.

— Nie. Nie jak DNA.

— To nie ma znaczenia — powiedziała. — I tak cię kocham. Po prostu muszę przyzwyczać się do faktu, że sypiam z Ponurym Kosiarzem.

Nie odciał się chyba dlatego, że wiedział, iż go nie winiła — nie po Teneryfie. Otworzył butelkę piwa 33 i klapnął na krzesło.

— Co teraz? — zapytała Clem.

Dunphy potrząsnął głową.

— Nie wiem. — Pociągnął łyk piwa i pomyślał chwilę. —

Wydaje mi się, że nie dowiemy się więcej, a i tak wiemy za mało. Za mało, żeby wydostać się z impasu. Na razie grzęzniemy coraz głębiej. Więc...

Patrzyła na niego wyczekująco, a gdy nie dokończył zdania, spytała:

— Więc co?

— Myślę, że powinniśmy o tym zapomnieć. Po prostu odwrócić się na pięcie i iść w swoją stronę. Mamy trochę pieniędzy, dobre dokumenty. Wszystko będzie dobrze.

— Ale jeśli tak zrobimy... — zaczęła Clem.

— Wiem. Oni wygrają. I co z tego?

Przez moment nic nie mówiła, z zamkniętymi oczami popijała campari. Wreszcie popatrzyła na niego.

— To nie byłoby w porządku. Nie zrobimy tego — powiedziała.



Wyszukała adres w książce telefonicznej w spisie muzeów paryskiego Cité. Watkin powiedział, że Gomelez mieszkał w rezydencji na Boulevard des Capucines i że po wojnie jego dom stał się siedzibą muzeum archeologicznego.

Było tylko jedno takie muzeum na rue de Mogador i figurowało pod nazwą Musée de l’Archeologie du Roi Childeric Ier.

Pojechali taksówką pod ten adres. Było to tuż za rogiem od Place de l’Opéra. Muzeum mieściło się w czteropiętrowym budynku w stylu belle époque. Masywne żelazne drzwi były otwarte, przytrzymywane z obu stron przez duże mosiężne pierścienie zakotwiczone w granitowych ścianach. Okna od podłogi do sufitu biegły przez całą długość budynku w obie strony, zalane deszczem szyby zdawały się falować. Gargulce łypały złowrogo. Rynny bulgotały.

U wejścia mała wywieszka informowała o godzinach otwarcia muzeum. Dunphy spojrzął na zegarek. Mieli około godziny.

Szpakowaty emeryt ze zwisającymi wąsami siedział za rzeźbionym drewnianym stołem tuż za drzwiami. Miał na sobie wyblakły niebieski uniform i czytał Simenona w broszurowym wydaniu. Książka miała popękany grzbiet i rozpadała się. Dunphy dał mu dwadzieścia franków i czekał, ale mężczyzna oderwał dwa odcinki biletów i ceremonialnie z uśmiechem wręczył je Clem.

Nie byli jedynymi zwiedzającymi. Grupa uczennic przemieszczała się z sali do sali; chichoczący tłumek w ogóle nie-słuchający komentarza nauczycielki.

Muzeum było rzeczywiście niezwykle, ze specyficznymi zbiorami, coraz starszymi, w miarę jak przechodziło się od najniższego do najwyższego piętra. Parter zajmowało malarstwo piętnasto-, szesnasto- i siedemnastowieczne oraz obiekty heraldyczne, herby i herbarze z kilku krajów. Płótna, w większości pastoralne, przedstawiały zafrasowanych pasterzy u grobu Jezusa i rycerzy pogrążonych w modlitwie.

Pierwsze piętro było prawie w całości poświęcone budowlom sakralnym, a w szczególności tym, które mieściły posągi i wizerunki Czarnej Madonny. Obok architektonicznego szkicu wielkiego kościoła w Glastonbury wisiała na ścianie przezroczyta gabłota. Zapępiały ją tandetnie wydrukowane ulotki informujące w sześciu językach, że posągi i obrazy Czarnej Madonny można spotkać w Europie i Ameryce Południowej, przy czym w samej Francji jest ich ponad trzysta.

— Cyganom znana jest jako Sara-la-Kali — przeczytała Clem — a innym jako Kybele, Diana, Izyda oraz Magdalena.

Dunphy przyglądał się rysunkom i fotografiom. Oprócz Glastonbury prezentowano zdjęcia klasztoru na Jasnej Górze w Polsce, katedry w Chartres, opactwa Einsiedeln oraz innych świątyń i sanktuariów — w Clermont-Ferrand, Limoux i Marsylii. Również obiekty kultu religijnego: kamienne relikwiarze, marmurowe płaskorzeźby, tkaniny i szaty.

— Chodźmy na górę — powiedziała Clem — mamy tylko dwadzieścia minut.

Drugie piętro było w całości poświęcone krucjatom i templariuszom. Były tu czternastowieczne drzeworyty przedstawiające Jerozolimę, skrzynia z regaliaми, lancami i mieczami, imi templariuszy, gnostyczne stele nagrobne, tryptyk i diorama. Pierwsza część tryptyku pokazywała Gotfryda z Bouillon wyruszającego na pierwszą krucjatę w 1098 roku, druga przedstawiała krzyżowców triumfujących w Jerozolimie rok później. Trzecia — tych samych rycerzy pod świątynią Salomona.

Diorama była mniej rozbudowana. Ukazywała Jakuba de Molaya, wielkiego mistrza zakonu templariuszy, powoli konającego na stosie na île de la Cité w 1314 roku.

— To tam, gdzie jest nasz hotel! — wykrzyknęła Clem.

Chciała przeczytać więcej o de Molayu i zakonie templariuszy, ale nie było czasu. Muzeum wkrótce zamykano.

Zaczęli się więc wspinać od razu na czwarte piętro i jeszcze na schodach zostali zaskoczeni nagłym widokiem unoszącej się w przestrzeni ponad nimi głowy niedźwiedzia całej w złocie. Owa metaloplastyka czy cokolwiek to było wyglądała na kunsztowną robotę: jak pomyślał sobie Dunphy, można byłoby policzyć włoski na szyi zwierzęcia.

— Jak oni to robią? — zachwyciła się Clem.

— To hologram — zgadywał Dunphy — może jakieś lustrzane odbicie. Nie wiem. — Doszedłszy do podestu, machnął ręką przez „obraz”, który jakby zafalował, a wtedy na lewo od nich uchyliły się drzwi.

Dunphy odwrócił się do Clem. Do ekspozycji prowadziły w muzeum wejścia na prawo i

galerie zdawały się biec wokół całego budynku. A teraz czekał na nich pokój po lewej stronie, niewątpliwie specjalny.

— Idź — powiedział Dunphy, szturchnąwszy Clem, by szła w stronę drzwi. — Ty pierwsza.

— Nie, tak nie będzie — odpowiedziała. — Nie mówiąc o tym, że to ty masz broń. Śmiało.

Przerazony jak mały chłopczyk w domu, w którym straszy, Dunphy wkroczył do pomieszczenia, podczas gdy Clem stała w progu gotowa rzucić się do ucieczki, gdyby skrócono go o głowę czy opadły go jakieś skrzydlate stwory. Po chwili Dunphy zawołał:

— Właż! Ładnie tu.

Tak naprawdę to aż dech zapierało. Centrum sali zajmował kamienny sarkofag teatralnie podświetlony. Trumna z piaskowca obłożona była baryłkami z winem i snopkami zbóż, a ustawione wokół niej postumenty różnej wielkości przywodziły Dun-phy'emu na pamięć kamienne kręgi, znane mu z angielskiego pejzażu.

Na każdym postumencie znajdowała się oświetlona szklana gablotka. W każdej z nich eksponowane były stare monety oraz srebrna i złota biżuteria.

Zwykła ulotka, leżąca luzem w plastikowym pudełku przy jednej z gablotek, zawierała krótki opis ekspozycji. Zgodnie z nim sarkofag należał do Chilperyka I, króla z dynastii Merowingów, którego grób odnaleziono w Pirenejach w 1789 — w roku wybuchu Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Sarkofag odkryto w jaskini, a przy nim odcięta końską głowę i łeb niedźwiedzia wykuty w złocie. Szczątki orlich skrzydeł leżały wśród nietkniętych od ponad tysiąca lat ludzkich kości.

Oprócz tych wszystkich rzeczy w sali znajdowało się coś jeszcze. Umieszczona w szklanej gablocie kryształowa kula o średnicy ponad dziesięciu cali powleczone patyną i spoczywająca na złotej podstawie. Podstawka miała kształt dłoni, a kryształ balansował na czubkach jej palców. Ekspонат zaintrygował Dunphy'ego i Clem, podeszli i zrobili to, do czego kryształowa kula zachęca każdego: utkwili w niej wzrok, by odczytać wróżbę. Drżący obraz starego człowieka ustabilizował się w szkłe, ale do góry nogami, więc w pierwszej chwili był nierozpoznawalny. Dunphy przekrzywił głowę. Stary człowiek odchrząknął. Clem krzyknęła.

— Proszę się pospieszyć, zamykamy! — powiedział mężczyzna głosem miękkim, perswadującym.

Clem wbiła paznokcie w ramię Dunphy'ego, ale szybko zorientowali się kto to. Staruszek dozorujący budynek wytropił ich i przeganiał. Z uśmiechem i zadyszką po wspinaczkę na czwarte piętro.

Clem rozluźniła palce. Odetchnęła głęboko i obdarzyła stróża najśłodszy z swoich uśmiechów.

— Naprawdę jest już piąta? — zapytała.

Wzruszył ramionami.

— Prawie, *mademoiselle*.

— Ale jest jeszcze tyle do obejrzenia — błagała.

Stróż pokiwał współczująco głową.

— I zapewne nie widzieliście jeszcze pszczół, co?

— Jakich pszczół? — spytała Clem.

Mężczyzna ponownie pokiwał głową, niezmiennie kurtuazyjny, i skinął, by podeszli do niego.

— *Ici*. — Stał obok starej szafy. — *Regardez*. — Wyciągnął pęk kluczy, wybrał jeden z większych i przekręcił w zamku szafy. Niespiesznie otworzył drzwi — w środku się rozjarzyło. Wtedy cofnął się o krok.

Ich oczom ukazała się długa do ziemi szata koronacyjna, która mieniła się światłem

załamującym się na skrzydełkach tysiąca pszczoł wypracowanych ręcznie w złocie.

— Strój Napoleona. Na koronację na cesarza.

— Pszczoły...

— Tak! Oczywiście pszczoły! Niedźwiedź! Są święte, prawda? Dla Merowingów!

Dunphy i Clem skinęli.

— Więc Napoleon wybiera je na swoją szatę, a ludzie myślą: „Och, on jest Merowingiem”.

Staruszek przerwał i uśmiechnął się. — Ale nie, nie jest. Wiem, co myślicie... jedną małą pszczółkę? Kto zauważy? Nikt! A ona jest warta więcej niż moja emerytura, taka jedna mała pszczółka. Więc słyszę głos...

— Jaki głos? — zapytała Clem.

Stary człowiek popukał się palcem w skroń.

— I ona mówi: „Luc, jesteś biednym człowiekiem, dlaczego nie weźmiesz jednego małego owada dla swojej rodziny”?

A jeśli bym to zrobił? — Potrząsnął głową i zaśmiał się do siebie. — Luc nie jest głupi.

— Od jak dawna pan tu pracuje? — zapytał Dunphy.

Stróż wyciągnął otwartą dłoń w kierunku podłogi i zatrzymał ją na wysokości dwóch stóp od niej.

— Od dziecka. Wtedy nie było tu jeszcze muzeum.

— To znaczy...

— To był dom — powiedział mu strażnik. — I wszystkie te rzeczy były... *privé*.

— Czyj dom? — zapytała Clem, znając odpowiedź.

— *Monsieur Gomeleza*. To jego fundacja utrzymuje ten bydynek. Instytut Meroweusza.

— I pan znał Gomeleza? — dociekał Dunphy.

— Oczywiście — odpowiedział stróż. — Mój ojciec był jego lokajem.

— Co się z nim stało? — ciągnął przepytanie Dunphy.

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Przyszła wojna. On nie czuje się dobrze. Zabierają go w bezpieczne miejsce. Ale... nie wraca. — Uśmiechając się do Clem, zamknął drzwi do szafy na klucz. Razem wyszli z pokoju i zaczęli schodzić po schodach.

— Mówi pan, że zabrano go w bezpieczne miejsce... co to znaczy?

— Miał przyjaciół. Potężnych przyjaciół.

— Ale dokąd się udał? — zapytała Clem.

Stróż zatrzymał się na schodach i pomyślał chwilę.

— Do Szwajcarii oczywiście. Do jakiegoś miejsca w Szwajcarii.



Lot odpadał. Pociągi też. Po tym, co się stało w apartamencie Watkina, francuska policja będzie szukać Dunphy'ego, będą powiadomione straże graniczne. Więc znaleźli się w trudnym położeniu. Nie mogą zostać i nie mogą wyjechać.

Pili espresso pod markizą ulokowanej na Champs-Elysees pułapki na turystów i Dunphy zastanawiał się, jakie mają możliwości. Problemem była granica. Clem mogła wynająć samochód i dowieźć ich tam, ale nie byłiby w stanie przekroczyć granicy. Zdjęcie Dunphy'ego będzie wisiało na bramie każdego punktu granicznego we Francji. Przez chwilę rozważał przebranie, ale odrzucił ten pomysł. Przebranie, bez względu na okoliczności, wprawia w poczucie winy i to niezależnie od tego, z jakiego powodu ktoś się ukrywa. I zawsze trzeba być przygotowanym na wszystko. Gdyby komuś udało się go zabić, Dunphy nie chciał umierać w źle dopasowanej peruce lub, co gorsza, przebrany za muzułmankę.

To była długa jazda, prawie trzysta sześćdziesiąt mil na południe autostradą A6 do Macon, a potem na wschód w stronę Annecy. Wyjechali tuż po północy wypożyczonym audi, jechali nocą i przybyli do Haute-Savoie tuż po świcie. Niebo miało barwę płomieni i nie musieli patrzeć na góry, żeby wiedzieć, że są w Alpach: każdy oddech im to mówił. Powietrze było rześkie, zimne i przezroczyste, a jego działanie wzmocnione mocną kawą i croissantami w robotniczej kafejce na obrzeżach Annecy wydawało się niemal równie regenerujące jak dobry nocny sen.

Po śniadaniu pojechali przez góry do Evian-les-Bains, legendarnego kurortu z gorącymi źródłami na południowym brzegu Jeziora Genewskiego. Tam Dunphy wynajął niewielki apartament z tarasem wychodzącym na rozległy trawnik schodzący do jeziora, na którego dalekim drugim brzegu widoczna była Lozanna.

Zatrzymali się w Hotel Royal (za drogim jak na to, czego nie oferował) i Dunphy zasugerował, żeby Clem „skorzystała przynajmniej z zabiegów wodnych czy innych świadczonych tu usług”, podczas gdy on wyjdzie na miasto. Przystała na to entuzjastycznie i wkrótce leżała naga na brzuchu pokryta od stóp do głów grudkami błota z Morza Martwego.

Tymczasem Dunphy znalazł się w porcie i szukał łodzi do wynajęcia. Chciał coś z kabiną na wypadek załamania się pogody, a na to się zanosiło. Już teraz cumulusy zbierały się za szczytami Alp niczym gęstwa bawełnianych kulek.

Trudność polegała na tym, że szukał łodzi, która byłaby czymś więcej niż spacerową żaglówką. Jednocześnie potrzebował stabilnego sprzętu, w którym sam radziłby sobie za sterem. Jak wyjaśnił sprzedawcy w porcie, nie jest Vasco da Gama i nie przetrwałby długo w J-24. Z drugiej strony nie chciał żadnej z cztemastopowych motorówek, jakie były do wynajęcia w przystani. Potrzebował większej łodzi, która oparłaby się wiatrowi.

W końcu sprzedawca zadzwonił w kilka miejsc i zdobył dla Dunphy'ego pozwolenie na wynajęcie dwudziestotrzy-stopowego jachtu wystawianego na sprzedaż przez właściciela. Opłata była wygórowana — tysiąc franków dziennie plus pięć tysięcy franków depozytu gwarancyjnego, ale łódź okazała się idealna. Odpowiedniej wielkości, z przytulną kabiną z dwoma kojami, pełnym zestawem żagli i automatycznie opróżniającym się z wody kokpitem. Sprzedawca zapytał, kiedy będzie potrzebna, a Dunphy odpowiedział, że już.

Facet miał sceptyczną minę. Była czwarta po południu, na horyzoncie zbierały się chmury i za kilka godzin zachodziło słońce.

— Chcemy ją zabrać do Thonon — Dunphy wymienił nazwę miasta odległego o jakieś dziesięć mil. — Znajomi mają dom nad jeziorem. Moja żona uważa, że będzie zabawnie, jak pojawimy się u nich w ten sposób. Zgadzam się z nią. Nie widzieliśmy się z nimi od kilku lat.

Wróciwszy spieszenie do hotelu, znalazł Clementine w centrum odnowy biologicznej zawiniętą w podgrzewaną płachtę folii — do złudzenia przypominała parówkę w cieście polaną czekoladą. Dunphy przekonał pracownika centrum, by obmył Clem wodą z węża, która okazała się lodowata, po czym udali się do pokoju.

— Dokąd idziemy? Po co ten pośpiech? — dopytywała się Clem. — Miałam właśnie mieć robiony pedikiur. Już kazałam tę usługę włączyć do rachunku za pokój!

— Idziemy pożeglować.

— Co?

— Wynająłem żaglówkę.

Popatrzyła na niego jak na wariata.

— Ale ja nie chcę żeglować.

— Musimy.

— Już prawie noc — narzekała. — A kiedy było oczywiste, że Dunphy nie ustąpi, zapytała: — Czy ty chociaż wiesz coś o żeglowaniu?



— Oczywiście — zapewnił ją. — Jestem wspaniałym żeglarzem. Cóż...



To w zasadzie nie był deszcz. Po prostu krople wody padające jedna za drugą na powierzchnię jeziora — szarą i upstrzoną koncentrycznymi kołami, które coraz bardziej na siebie zachodziły. Dunphy wybrał szot fokmasztu i go zaknagował. Następnie odepchnął od siebie rumpel i poluzował szoty grotu.

Clem przyglądała mu się sceptycznie.

— Będzie lało — rzekła.

— Dlatego mamy kajutę — powiedział Dunphy. — Nie mówiąc o chlebie, serze, butelce wina. Damy sobie radę. Będzie fajnie.

— Będzie lało.

— Już to mówiłaś.

— Tak, ale w moim przekonaniu powinieneś wiedzieć, że będzie również wiało. —

Przerwała i dodała: — Jak diabli.

Siedząc rozparty w kokpicie, Dunphy miał nadzieję, że się myliła. On czuł się całkiem komfortowo.

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał.

— „Kiedy słońce krwawo wschodzi...”.

— Taak? I co to niby ma znaczyć?

Clem potrząsnęła głową z niedowierzaniem i wyższością.

— „...w marynarzu bojaźń rodzi”.

Dunphy niechętnie przyjął przysłowie do wiadomości, ale wiedział, o czym mowa. Myślała o wspaniałym wschodzie słońca, który widzieli przed Annecy.

— Nie koniec na tym — kontynuowała Clem.

— Jezu — burknął Dunphy.

— „Gdy wiatr z północy nadchodzi, rybak nie wypływa w łodzi”. — Hmm — zamruczała i polizawszy palec, wystawiła go w górę, choć w zasadzie było to zbędne. Wiatr właśnie zaczął dać i nie było wątpliwości, z jakiego kierunku. Wiał od przeciwległego brzegu, prosto od Lozanny.

— Gdzie jest północ? — zapytała z miną niewiniątka.

— Bardzo śmieszne — odciął się Dunphy, a łódź zaczęła nabierać prędkości i się przechylać... tak troszeczkę. — Uuu — wyrwało mu się.

Clem zachichotała.

— Przyniosę kapoki — powiedziała, gramoląc się do kajuty. — Powinniśmy je założyć. To duże jezioro.

Wyłoniła się z kajuty jakąś minutę później w pomarańczowej kamizelce i z taką samą w ręku. Rzuciła ją Dunphy’emu.

Zmarszczył brwi. Nie chciał wyglądać na mięczaka, ale — uuuuu — łódź dostała turbodoładowania i prula wodę, aż spienione grzywy przelewały się przez burty. Czuli pod stopami, jak łódź wpada w drżenie. Może kapoki to nie taki zły pomysł, przyszło Dunphy’emu do głowy. Przecież nie gryzą. Przekazał ster Clem i zaczął się wciskać w przyciasną kamizelkę.

— Dokąd płyniemy? — spytała Clem, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć wiatr, który w porywach osiągał już od dziesięciu do dwudziestu węzłów.

— Na drugą stronę — odpowiedział Dunphy.

— Czego?

— Jeziora. Nie chcę przechodzić przez kontrolę celną. Prawdopodobnie mają moje zdjęcie.

— Więc masz zamiar płynąć tam nocą?

Dunphy skinął głową.

— Tak. Taki mam zamysł.

— To długa trasa — stwierdziła. — Gdzie chcesz dobić do brzegu?

— Niedaleko Lozanny — odpowiedział Dunphy. — To znaczy dokładnie tam...

— Skąd wieje wiatr.

— Właśnie.

— To znaczy, że będzie jeszcze gorzej.

Zrobiło się ciemno. Temperatura obniżała się, a deszcz ciał wodę długimi, ostrymi strugami. Widzieli światła Lozanny na drugim brzegu, ale dostać się tam to już zupełnie inna sprawa. Wydawało się, że dmie wprost od ratusza, tak że musieli ostrzyć na wiatr i stając od czasu do czasu w łopocie, byli niezdolni do wykonywania jakichkolwiek manewrów.

Początkowo było to denerwujące, a potem zaczęło wydawać się groźne. Czarne dotąd jezioro pokryło się przy rosnącej fali białymi bałwanami. Coraz trudniej przychodziło Dunphy'emu utrzymać pożądany kurs, a kiedy mu się udawało, przypominało to jazdę kolejką górską, łagodne wspinanie się w górę ku niebu, a potem ostry zjazd w dół. Kiedy indziej — gdy popełniał błąd przy halsowaniu — całkiem tracił wiatr w żaglach i łódź ustawiała się burtą do fal. Wtedy przypominało to jazdę w wirujących fdżankach w Disney World — z tą różnicą, że znajdowali się na ciemnym i lodowatym jeziorze, jazda nie miała końca i w każdej chwili mogli utonąć.

— Robi się niebezpiecznie — powiedziała Clem głosem tak spokojnym, że zaskoczyła Dunphy'ego. Siedziała w kucki naprzeciwko niego, uśmiechając się nawet wtedy, kiedy woda przelewała się przez kokpit. Dunphy siedział wysoko na burcie, balastując ciałem, aby zrównoważyć przechył łodzi.

Nie był pewien, gdzie są. Niewiele widział. Deszcz zalewał mu twarz, a nie mógł przetrzeć oczu, gdyż jedną ręką trzymał ster, a drugą szot foka. Tymczasem łódź kiwała się na boki oraz zbaczała z kursu z wyjątkiem tych chwil, kiedy zaczynała się kręcić w kółko.

Clem dygotała.

— Woda jest lodowata! — stwierdziła.

Dunphy smętnie pokiwał głową.

— To z gór — powiedział. — Topniejący śnieg.

— Nie sądzę, żebyśmy długo w niej wytrzymali — zauważyła i zaczęła wybierać wodę plastikową butelką po chloroksie, której dno zostało odcięte.

— Łódź ma automatyczną pompę zenzową... sprawdzałem.

— Temu urządzeniu trzeba pomóc — odrzekła Clem. Po kilku minutach spojrzała w górę na żagle, które wyglądały, jakby się miały z trzaskiem rozerwać i zwróciła się do Dunphy'ego.

— Czy mogę coś zasugerować?! — krzyknęła, wylewając ze dwa litry wody za burtę i czerpiąc kolejne z dna. — Zanim stracimy takielunek?

— Co? — Wiatr był teraz jeszcze silniejszy i wył jednym tonem z wibrującym olinowaniem.

— Zrefuj główny żagiel, poluzuj fok i w prawo, na sterburtę! — rozkazała.

Wgapił się w nią.

— Co mówisz? — Wiatr wyrwał mu słowa z ust.

— Powiedziałam, zrefuj główny żagiel...

— Już! Okay! Usłyszałem za pierwszym razem. — Przytrzymując szot fokmasztu w zębach, odknagował fał grota i go opuścił. Gdy główny żagiel leżał jak zwinięta płachta, zrefował go. Wreszcie poluzował fok i wtedy odwrócił się do niej z zawstydzoną miną. Łódź odzyskała stabilność.

— Z której strony jest sterburta? — zapytał, wiedząc, że ona nigdy nie pozwoli mu o tym

zapomnieć.

Promienny uśmiech Clementine.

— Z tej — powiedziała, zajęta wylewaniem wody, z włosami chlastanymi przez wiatr.

Gdy przyciągnął do siebie rumpel, fok wypełnił się wiatrem. Łódź z gracją odchyliła się z kierunku na Lozannę i zaczęła płynąć bardziej gładko z wiatrem. Wydawało się nawet, że deszcz także zelżał.

Po chwili, kiedy miał już tętno zbliżone do normy, Dunphy zapytał:

— Gdzie się nauczyłaś tyle o żeglarstwie?

Clem uśmiechnęła się i odłożyła butelkę po chloroksie.

— Moi rodzice mieli domek w Kinsale — wyjaśniła. Jeździliśmy tam każdego lata. Dużo pływałam jako załogant.

— Jako co?

— Załogant — powiedziała — Tak jak ty.

— Tylko pytam.

— Nieźle się wprawiłam — dodała.

— Nie wątpię.

— Gdybyś jeszcze trochę popuścił kliwer — zasugerowała — to moglibyśmy pościgać się z wiatrem... prawie. Masz mapę?

— Nie.

— Mądry chłopczyk. Po co komu mapy? — Zmarszczyła brwi. — Myślę, że tam na wprost jest Rolle. W każdym razie Szwajcaria. Według mnie powinniśmy płynąć w tamtym kierunku...

Dunphy oddał jej ster.



Było trochę po dziesiątej, gdy wyciągnęli łódź na brzeg, na trawnik dużego zaciemnionego domu, około piętnastu mil na południowy zachód od Rolle, tuż za Coppet. Kierowca ciężarówki podwiózł ich do Genewy, gdzie zameldowali się w pierwszym hotelu, jaki znaleźli, mówiąc recepcjoniście, że zepsuł im się samochód.

Rano Dunphy dotarł do Handelsregister na Starym Mieście i z pomocą przyjaźnie nastrojonego urzędnika wyszukał informacje o Instytucie Meroweusza. Nie było ich tam wiele.

Zgodnie z dokumentacją instytut został założony w 1936 roku dzięki darowi Bernardina Gomeleza, mieszkańca Paryża. Cele miał „charytatywne, edukacyjne i religijne”. W 1999 roku instytut zadeklarował aktywa w wysokości „>1 miliard fr. s”. Jak wynika z szybkiej kalkulacji, to >700 milionów dolarów. Ale ile więcej? Co naprawdę znaczy tu symbol >? Więcej niż. Cóż, pomyślał Dunphy, dwa miliardy franków szwajcarskich to więcej niż jeden miliard franków szwajcarskich. A dziesięć miliardów to jeszcze więcej. I tak dalej, i tak dalej.

Inaczej mówiąc, nie można było wiedzieć, jak bogaty jest instytut — choć z całą pewnością bardzo, bardzo bogaty. Jego przewodniczący to najprawdopodobniej syn lub wnuk Bernardina Gomeleza. W każdym razie nosi to samo imię i nazwisko: Bemardin Gomelez. Adresem zarówno instytutu, jak i jego przewodniczącego jest Villa Munsalvaesche w mieście Zemez.

Dunhy zapytał urzędniczkę, mniej więcej sześćdziesięcioletnią blondynkę z głębokimi zmarszczkami mimicznymi wokół oczu i kolczykami w kształcie misiów, gdzie jest Zemez. Roześmiała się.

— To w Graubiinden! — wykrzyknęła, jak gdyby ten kanton był gdzieś na wybrzeżu Fidzi.

— To miasto na odludziu. Wydaje mi się, że posługują się tam głównie językiem retoromańskim — nie niemieckim. I nie włoskim.

— Ale gdzie to jest? — zapytał Dunphy.

Przewróciła oczami.

— Na wschodzie. Poniżej Austrii. Za Sankt Moritz. — Zastanawiała się przez chwilę. — Ależ — zawołała zdecydowana wyjaśnić dokładnie — to jest tam, gdzie mieszkała Heidi!



Nie można było samolotem dolecieć do samego Zemez ani w pobliże, więc wynajęli samochód na lotnisku w Zurychu i następnego dnia wyruszyli własnym transportem. Mieli do przejechania dwieście mil, w zasadzie całą Szwajcarię z zachodu na wschód, i liczyli, że pokonają ten dystans w siedem lub osiem godzin. W trakcie jazdy stracili jednak poczucie czasu, tak było pięknie. Droga wiała się od jednego zapierającego dech widoku do następnego, to przywierając do zboczy górskich, to spiesząc przez doliny wzdłuż spienionych rzek w kolorze kości słoniowej. Najwyraźniej znaleźliśmy się w raj, pomyślał Dunphy. Zielone zbocza gór, usiane cętkami dzikich kwiatów, wyglądały jak przykryte donegalem. Nie było miast, które by wytrącały z nastroju — tylko lodowce, jeziora i dzwonki na szczytach krów.

W Chur — znanym jako Gotham Alp i mającym trzydzieści dwa tysiące ludności — skręcili na południe do Zuoz, a następnie pojechali wąską boczną drogą przez Inn Valley do Zemez, gdzie dotarli, gdy słońce chowało się za górami.

Zemez, miasteczko bardzo małe, ale pełne życia, stanowi punkt wypadowy turystów zwiedzających pobliski Szwajcarski Park Narodowy. To jedyny w Szwajcarii państwowy rezerwat przyrody, blisko siedemnaście hektarów lasu iglastego zamieszkanego jedynie przez stada koziorożców alpejskich, kozic i jeleni. W odróżnieniu od amerykańskich rezerwatów Szwajcarski Park Narodowy jest zupełnie niezagospodarowany turystycznie wyjątkiem jest jedna restauracja i oznakowane szlaki turystyczne, wszechobecne w Szwajcarii.

W samym Zemez sklepy spożywcze były obleżone przez japońskich turystów i amatorów trekingu ubranych w stylu określonym przez Clem jako „Graubünden Chic”: buty wspinaczkowe, wełniane skarpety, szorty i sportowe koszule. Zestawu dopełniały drogie okulary przeciwsłoneczne, plecaki i torby na ramię. Panowała atmosfera wesołego jarmarku, trochę gorączkowa, gdyż klienci miotali się w desperackich wysiłkach, aby przed zamknięciem sklepów o szóstej zrobić ważne zakupy. Piwo, butelkowana woda, sucha kiełbasa, pieczywo i sery. Idealna laska do podpierania się i silniejsza emulsja przeciwsłoneczna.

Znalezienie pokoju okazało się trudniejsze, niż się Dunphy spodziewał. Hotele, których kilka znajdowało się w mieście, były zapełnione. Szczęśliwie zeszli z głównego szlaku i zauważyli tradycyjną chatę alpejską z wywieszką w oknie reklamującą pokoje do wynajęcia. Za pięćdziesiąt dolarów dostali klucze do dwupokojowego apartamentu. W sypialni były dwa pojedyncze łóżka, a w pokoju dziennym serwantka z bibelotami, dziewięć-stopowy róg alpejski i największy zegar z kukułką, jaki kiedykolwiek on czy ona w życiu widzieli. Poza tym meble były prosto z katalogu IKEA.

Zjedli obiad w restauracji, gdzie w wystroju współgrało ciepło sosny z bielą stiuku; specjalnością kuchni było raclette i serowe fondue. Na stołach nie brakowało świec i kwiatów, a jedzenie było wspaniałe. Po posiłku poszli do najbliższego Stiibli na kieliszek wina i usiedli przy stoliku koło kominka.

Był to kameralny bar i Dunphy zaczął rozmowę z kelnerką, żartując z jej tradycyjnego stroju. Potem zwierzył się:

— Szukam domu tutaj w Zemez.

— Domu? — zapytała. — Do wynajęcia?

— Nie — odparł Dunphy. — Szukamy konkretnego domu.

— Aha. A jaki to adres?

Dunphy wzruszył ramionami.

— Nie znam numeru ani ulicy. Wiem jedynie, że nazywa się Villa Munsalvaesche. Słyszała pani o takim miejscu?

— Nie.

— Mieszka tam niejaki Gomelez.

— To Hiszpan?

Dunphy potrząsnął głową.

— Francuz.

— Nie sędzę, żeby tu mieszkał — powiedziała kelnerka. — Nie w Zemez, bo bym wiedziała. Urodziłam się tutaj. — Na prośbę Dunphy'ego zapytała barmana, czy nie zna faceta o nazwisku Gomelez albo domu o nazwie Munsalvaesche. Potrząsnął głową i poszedł zapytać maitre d'hotel, który był również burmistrzem. Wrócił po dwóch minutach z gotową sugestią.

— Zapytajcie rano na poczcie. Oni muszą wiedzieć.

I tak zrobili.

Byli na poczcie w godzinie otwarcia i zapytali o pana Gomeleza oraz Villę Munsalvaesche. Urzędnik z okienka od razu wiedział, o kogo chodzi.

— Tak, oczywiście... Gomelez. Odbiera tu pocztę, odkąd byłem dzieckiem. Głównie czasopisma.

— A więc zna go pan?

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Nie.

— Ale...

— Ma ludzi, którzy dla niego pracują. Przyjeżdżają dwa razy w tygodniu. Zawsze ten sam samochód. Lubi pan samochody?

Dunphy wzruszył ramionami.

— Jasne.

— A więc ten się panu spodoba. To klasyka. Kabriolet C... taki, jakim jeździł Hitler. — Wie pan, gdzie jest ten dom? Ta Villa... Mun-sal-vaesche! — dokończył urzędnik, śmiejąc się. Potem spoważniał. — Nigdy nie widziałem tego miejsca, ale jeden ze strażników leśnych mówił mi, że otacza willę park... a więc jest w parku, ale nie należy do parku. Kaprys bogacza...

Dunphy skinął głową.

— Kiedy odbierają pocztę? — zapytał. — Może mógłbym z nimi porozmawiać.

Urzędnik wzruszył ramionami.

— We wtorki i piątki.

— Dzisiaj?

Urzędnik skinął głową.

— Jeśli będzie pan ich wypatrywał dzisiaj po południu... może ich pan zobaczy.



Po przeciwnej stronie ulicy była mała kafejka ze stolikami i krzesłami na tarasie. Popijali kawę i czytali „Herald Tribune”, mając oko na pocztę. Powietrze było rześkie i ostre, a słońce grzało mocno, więc kiedy skrywała je przepływająca nad głowami chmura, wydawało się, że temperatura spada o prawie dwadzieścia stopni. W południe zamówili kanapki i piwo, które podano im w wysokich, oszronionych, firmowych szklankach pilznera. O pierwszej Clem poszła na spacer, zostawiając Dunphy'ego nad krzyżówką w „Herald Tribune”. Obiecał, że na widok mercedesa wskoczy do wypożyczonego przez nich auta i zatrąbi — co będzie zupełnie nie w szwajcarskim stylu, ale ona usłyszy. Tyle tylko, że mercedes się nie pojawił.

Clem wróciła do stolika około pół godziny później z mapą topograficzną parku. Rozłożyli ją i razem szukali polany, na której Gomelez mógłby mieć swój dom, ale niczego nie znaleźli.

Tuż przed zamknięciem poczty Dunphy zauważył reflektory auta robiącego zakręt i natychmiast wyskoczył na ulicę, tak że zdążył zobaczyć antycznego mercedesa benza prowadzonego przez ciemnowłosego mężczyznę w czarnym garniturze i kowbojskim krawacie. Chwyciwszy Clem za rękę, Dunphy rzucił stufrankowy banknot na stolik i pobiegł w stronę wynajętego samochodu. Stał przecnicę dalej i zanim do niego dotarli, mercedes już wyjeżdżał z miasteczka, kierując się na wschód.

Jechali za nim w dyskretnej odległości, Clementine trzymała na kolanach rozłożoną mapę.

— Nie ma żadnych dróg prowadzących do parku — powiedziała — tylko szlaki konne i piesze. Jestem ciekawa, dokąd on tak jedzie. — Szara, bystra rzeka płynęła obok drogi, huczała woda niosąca żwir.

Byli teraz w głębokiej polodowcowej dolinie, mieli słońce za plecami, a cienie stawały się coraz dłuższe. Rzeka zaczęła się wić i kręcić, a razem z nią droga naśladowująca jej szlak. Sto jardów przed nimi mercedes pokonywał stuosiem-dziesięciostopniowy zakręt. Dunphy nacisnął hamulec. Następnie, śladem tamtego samochodu, również wziął zakręt i znalazł się na prostej. Znak na poboczu informował: IL FUORN 8 KM.

Dunphy przyspieszył.

— Gdzie jest mercedes? — zapytała Clem.

Dunphy zamrugał. Przed nimi nie widział niczego ani nikogo. Zahamował, zjechał z drogi i wyłączył silnik.

— Dokąd on pojechał? — zapytał. Wyglądało na to, że podążali za fantasmagorią.

Clem odwróciła się na swoim fotelu do tyłu, wyciągając szyję.

— Spójrz — powiedziała po chwili i wskazała na drogę, skąd przyjechali.

Łagodny łuk kamiennego mostu, nie szerszego niż samochód i o niewiadomej wytrzymałości, spinał rzekę tuż za miejscem, w którym droga wychodziła na prostą z ostatniego zakrętu. Most był za pagórkem, od strony pasażera, więc nadjeżdżając z północy, nie mogli go widzieć, póki go nie minęli — a i wtedy tylko we wstecznym lusterku. Żeby przejechać przez most, kierowca mercedesa musiał zjechać trochę z drogi i na most podjechać tyłem. Co niewątpliwie uczynił.

Dunphy zmrużył oczy. Obok mostu był mały znak: PRIVE.

— Nie ma go na mapie — powiedziała Clem, wskazując miejsce, w którym powinien być oznaczony most. — Wszystko inne jest. Wieże przeciwpożarowe, szlaki turystyczne, stoły piknikowe, miejsca na odpoczynek, szalasy strażników... I mosty. Mnóstwo mostów. Ale nie ten.

— I nie ta droga — dopowiedział Dunphy, wskazując na drogę gruntową biegnącą po drugiej stronie mostu i niknącą w lesie. — Poczekaj tutaj — rzekł, otwierając drzwi auta. — Zaraz wrócę.

— Nie będę nigdzie czekać — oświadczyła, wysiadając i wkładając płaszcz. — A już na pewno nie przy drodze. Nie przy tej drodze.

Razem przeszli przez most, trzymając się za ręce. Wiedząc, że ma glocka, Dunphy czuł się dość pewnie, może nawet zbyt pewnie, biorąc pod uwagę ich sytuację — widocznych jednak powodów do obaw nie było. W miarę jak wchodzili coraz głębiej w las, droga się poprawiała. Po około pół mili gołą ziemię zastąpił żwir, a jeszcze kawałek dalej asfalt. Idąc teraz szybciej, zauważyli migoczące w oddali światło i ku niemu zmierzali.

Okazało się, że jest to latarnia gazowa zwisająca ze słupa przed kutą żelazną bramą. Była szeroko otwarta, miała przynajmniej dwadzieścia stóp wysokości i szerokość drogi. Dunphy zerknął na dzieło sztuki kowalskiej pokryte mchem i porostem.

Popatrzył na Clem, której oczy w kształcie migdałów były teraz okrągłe jak kule bilardowe.

— Chcesz? — wyszeptał. Skinęła głową i razem przeszli przez bramę. Zrobiło się już ciemno i niewiele było widać, ale z przodu między drzewami migotały latarnie. Dobrze ponad pół mili szli drogą, aż nagle znaleźli się na skraju rozległego trawnika.

W głębi wznosiła się na tle wybrzuszzonego wzgórza przypominająca zamek Villa Munsalvaesche. Nad głowami niebo nakrapiane gwiazdami, i...

— Patrz — powiedziała Clem, ciągnąc Dunphy'ego za rękaw.

Stary człowiek siedział na wózku inwalidzkim, jego sylwetka ostro rysowała się na tle czarnego stawu połyskującego w świetle księżyca. Na kolanach miał koc i karmił łabędzie okruchami chleba. Nie widzieli rysów jego twarzy, a jedynie grzywę białych włosów sięgających ramion.

— To Gomelez — rzucił Dunphy i zrobił krok w jego stronę, lecz natychmiast zamarł na dźwięk cichego, ale katerycznego warknięcia. Odwracając się powoli, Dunphy i Clem znaleźli się twarzą w twarz z psami rasy rhodesian ridgebacks.

Mniejszy z nich, muskularny, o jasnej sierści, sięgał Dunphy'emu do pasa; nie wiadomo dlaczego, ale Dunphy nabrał pewności, że psy szły za nimi, odkąd przekroczyli bramę...

Stary człowiek rzucił do stawu garść okruchów i nie odwracając się, powiedział:

— Witam w Villa Munsalvaesche, panie Dunphy. „Może się pan wymeldować w dowolnym momencie, ale ciężko będzie panu opuścić to miejsce”.





## 29.

— Jest pan fanem The Eagles? — zapytał Dunphy.

— Tylko jednej ich piosenki — odpowiedział Gomelez, spryskując orchideę z kryształowego rozpylacza.

W oranżerii Villa Munsalvaesche Dunphy i Clem przesadzali do większych doniczek storczyki *Dendrobium*. Kwiaty miały truskawkowo-cytrynowy zapach, delikatny i kuszący. Gomelez powiedział, że hoduje je od blisko pięćdziesięciu lat.

— Wciągnąłem się w to po wojnie — wyjaśnił. — To jedno z moich hobby. Mam mnóstwo zainteresowań.

Najwyraźniej była wśród nich nauka języków, bo jak utrzymywał (chyba półzartem, uznał Dunphy), włada każdym. Przesadzał, to jasne, ale do jakiego stopnia, tego ani Clem, ani Dunphy nie byliby w stanie ocenić.

Jednym z największych pokoi w willi była biblioteka, cała w drewnie, pod łukowym sklepieniem, wypełniona od podłogi po sufit książkami dostępnymi w większości jedynie z drabinek na rolkach. Dominowały języki europejskie, ale całe sekcje biblioteki były poświęcone też bardziej tajemniczemu językom, które Dunphy identyfikował raczej przez zgadywanie: hebrajski, chiński, japoński, sanskryt, urdu, hindi, arabski i... euzkadi?

Przyszło mu do głowy, że Gomelez jest być może bardziej bibliofilem niż lingwistą — ale nie był pewny. Widział jego pocztę, która składała się głównie z subskrybowanych czasopism naukowych i medycznych w oryginalnych językach krajów tak od siebie odległych, jak Dania i Indonezja.

W każdym razie biblioteka była wspaniałym miejscem pod każdym względem. Miała około trzydziestu jardów długości i poza książkami mieściła inne zbiory. Były tam antyczne teleskopy, starożytne astrolaby, chronometry i kolekcja skrzypiec. Etruskie monety i naczynia z terakoty walczyły o miejsce z kartą baseballową Honusa Wagnera oraz kolekcją bizantyjskich i rzymskich lamp oliwnych.

Ale to nie biblioteka cieszyła Gomeleza najbardziej, lecz mała pracownia, do której wchodziło się z wnęki między regałem z książkami o tematyce japońskiej i regałem z judaikami. W pomieszczeniu znajdowało się średniej wielkości biurko, a na nim cały zestaw urządzeń elektronicznych. Na ścianie za biurkiem wisiał plakat ze słowami: *La vérité est dehors là!*

Gomelez był zdziwiony i jakby zażenowany, gdy Dunphy i Clem przyglądali się z uwagą aparaturze na biurku. Dwie maszyny były równocześnie podłączone do drukarki, która nawet w tym momencie nie przerywała podawania papieru, na którym instrument podobny do pióra zapisywał krzywe skoków i oscylacji.

— Co to jest? — zapytał Dunphy, zerkając na podświetlone tarcze i przyciski.

— To analizator widma — odparł Gomelez — podłączony do przetwornika cyfrowo-analogowego. I drukarka

— Do czego to służy? — głośno dziwiła się Clem.

— Cóż — zaczął starszy pan — to urządzenie odbiera... i odbiera w tej chwili... sygnały z kosmosu, a uwzględnia zwłaszcza częstotliwości w „dziurze wodnej” między wodorem a rodnikiem wodorotlenowym.

— Aha — rzekła Clem. Po chwili dodała: — A po co to robi?

— Otóż — Gomelez tłumił śmiech — robi to, ponieważ uczestniczę w amatorskim projekcie,

który wspomaga profesjonalnych astronomów w poszukiwaniu w kosmosie sygnałów pochodzących od istot inteligentnych.

— To znaczy...

— Na dachu jest radioteleskop. Mały, ale działa.

— I to pana interesuje? — zapytał Dunphy.

— Gomelez wzruszył ramionami.

— Niespecjalnie.

Dunphy zaczął formułować następne pytanie.

— A więc dlaczego...

Gomelez przyłożył palec do ust.

— Zrozumiecie później.



Dunphy nie lubił przebywać w cudzych domach (choćby to były pałace). Był zagorzałym entuzjastą hoteli. Ale Gomelez znał odpowiedzi, których on szukał, więc choć Dunphy zadał mu już swoje pytania (Czy znał pan Dullesa i Junga? O co chodzi zakonowi?), stary człowiek odkrywał tajemnice według własnego rozkładu i było jasne, że nie da się popędzać. Więc Dunphy był cierpliwy. Tak cierpliwy, jak tylko potrafił.

Po tygodniu w Munsalvaesche poznali Gomeleza dość dobrze. Staruszek — naprawdę był staruszkim, bo tydzień wcześniej świętował swoje dziewięćdziesiąte drugie urodziny — okazał się doskonałym, uprzejmym gospodarzem zaspokajającym wszelkie potrzeby swoich gości, do tego inteligentnym i dobronudszym człowiekiem. Było w nim coś szczególnego, takie połączenie powagi i uroku, że Dunphy żałował, iż nie miał podobnego ojca.

Jeśli chodzi o Clem, zakochała się w starcu po uszy, spędzała z nim każdy ranek w oranżerii, a późnym popołudniem wiozła go w wózku na dwór na karmienie łabędzi.

Nie dlatego, że Gomelez mieszkał sam. W willi było ponad tuzin osób personelu, część pracowała na zewnątrz, część w domu. Byli dwaj ogrodnicy, szofer, pielęgniarzka, cztery pokojówki, sekretarz pełniący też funkcję lokaja, dwie kucharki i paru rzadko widywanych strażników, którzy patrolowali granice posiadłości, jeżdżąc wózkami golfowymi.

— Nie jestem w stanie z nikim z nich rozmawiać — stwierdził Gomelez. — To idioci.

Dunphy zadrwił sobie.

— Jest jeszcze gorzej — powiedział. — To obiboki. Nie wiem, gdzie byli poprzedniej nocy, ale nie pilnowali bramy. Weszliśmy sobie... drogą... w świetle księżyca. Mogliśmy być armią rosyjską.

— Oczywiście, że weszliście! — wykrzyknął Gomelez. — Takie było założenie.

— Co pan ma na myśli? — zapytała Clem.

— Chcieli, żebyście tu weszli. Zresztą ja też.

— Ale dlaczego?

— Bo nie mogli was wytropić. Wydaje się, że to wy szliście ich tropem. Najpierw w Londynie, potem w Zug. A potem jeszcze w Paryżu. Więc myślę, że pański przyjaciel Matta zrobił burzę mózgow. I postanowili pozwolić gorze przyjść do Mahometa.

— A więc jesteśmy w pułapce — zauważył Dunphy.

Gomelez wzruszył ramionami.

— Nigdy nie było żadnej przemocy w mojej willi, panie Dunphy. I nigdy nie będzie.

— A jeśli... co się stanie, kiedy spróbujemy ją opuścić? — zapytał Dunphy.

— Zabiją was, jak tylko wyjdziecie poza teren.

Dunphy miał się nad czym zastanowić.

— Przed chwilą... powiedział pan: „Chcieli, żebyście tu weszli. Zresztą ja też”. Co pan miał na myśli?

— Ach tak. Teraz zadał pan dobre pytanie. Chodzi mi o to, że jestem tu tak samo więźniem jak pan. Wprawdzie mogę się swobodnie poruszać, ale daleko nie odejdę. Jestem stary, zdany na wózek z motorkiem. Więc byłoby mi trudno, jak możecie sobie wyobrazić, samemu opuścić...

Dunphy natychmiast zrozumiał, o co mu chodziło.

— Ale czy zastanawiał się pan jak...

Gomelez skinął głową.

— Nie zastanawiałem się nad niczym innym, odkąd zostałem pięćdziesięcioletnim dzieckiem. — Następnie ocenił Dunphy’ego wzrokiem od stóp do głów. — Ma pan siłę w barkach? — zapytał.

Dunphy wzruszył ramionami.

— Dość znaczną, jak sędzę. Czemu pan pyta?

— Tak się tylko zastanawiałem. — Iz tymi słowy staruszek zrobił efektowny obrót na wózku, podrywając przednie koła, po czym skinął głową, żeby szli za nim. — Coś wam pokażę — powiedział i wcisnąwszy przycisk na poręczy swego pojazdu, ruszył naprzód.

Przeszli przez bibliotekę do wielkiego holu, gdzie czekała na nich winda z przełomu wieków. Wykute z żelaza drzwi przedstawiały scenę upadku Lucyfera i jego aniołów, jak rozpoznał Dunphy. Przytrzymał drzwi dla Gomeleza i Clem, po czym sam wszedł do środka. Drzwi się zatrzasnęły, gdy Gomelez włożył klucz w panel sterowania. Winda powoli zaczęła zjeżdżać w dół.

Trwało długą chwilę — jak im się wydawało — zanim znaleźli się dwa piętra pod ziemią. To, co tam ujrzeli, zaskoczyło Dunphy’ego. Spodziewał się piwniczki z winami albo starych lochów, a zobaczył lśniący korytarz w supernowoczesnym biurze. Telefony dzwoniły. Klawiatury stuknęły. Kopiarki szumiały. Mężczyźni i kobiety w ciemnych garniturach zajmowali się swoimi sprawami, ukradkowo tylko zerkając w stronę Gomeleza.

— Jakby się bali na pana patrzeć — zauważyła Clem.

Gomelez wzruszył ramionami.

— Uważają mnie za Boga — powiedział. — To komplikuje nasze wzajemne relacje. — Następnie przejechał jeszcze dalej korytarzem, a gdy się zatrzymał, wskazał głową na przeszkloną ścianę. — Patrzcie tam.

Wewnątrz słabo oświetlonego pokoju widać było mężczyzn w ciemnych garniturach siedzących przed ciągiem połyskujących zielenią monitorów i manipulujących przełącznikami na aluminiowym panelu sterowania. Na ścianie wisiała mapa otaczającej rezydencję puszczy poprzecinanej włóknami światłowodów.

— Co oznaczają niebieskie światełka? — zapytała Clem.

— Szlaki przez park — odpowiedział Gomelez.

— A te czerwone? — zaciekawił się Dunphy.

— To granice posiadłości. Jest cały czas monitorowana przez kamery.

— Nawet w nocy? — zdziwiła się Clem.

Gomelez skinął głową.

— Zsynchronizowali wzmacniacze obrazu ze sprzętem termograficznym — wyjaśnił. — Więc mają wszystko, co najlepsze z obu dziedzin. Światło z góry i światło od środka.

Clem nie pojmowała, zmarszczyła brwi.

— Światło gwiazd i temperatura ciała — półgłosem dopowiedział Dunphy.

— Tak też można to określić — zgodził się Gomelez.

— A skąd pan tyle wie na ten temat? — dopytywał się Dunphy.

— Miałem na to mnóstwo czasu — odpowiedział Gomelez. Właściwie całe moje życie.

Gomelez ruszył dalej korytarzem, pokazując wzniesioną ponad ramieniem dłońią, by za nim podążali. Po zaledwie sześciu jardach zatrzymał się na zewnątrz przyciemnionego pokoju, który dzieliła od korytarza ściana prawie w całości przeszklona. Przepierzenie ze szkła nasunęło Clem skojarzenie z oddziałem dla noworodków i zaglądając do wewnątrz, niemal spodziewała się zobaczyć rząd inkubatorów. Zamiast nich był w środku jeden człowiek, który siedział przed ekranem monitora i czytał książkę. Na ekranie dreptała w miejscu postać z kreskówki z błogim uśmiechem na twarzy.

— Kto to ma niby być? — zapytał Dunphy? — Mister Natural?

Gomelez potrząsnął głową.

— Nie — odparł — to ja. — Zastukał w okno i człowiek na krześle podniósł wzrok.

Gomelez pomachał i uśmiechnął się do niego. Mężczyzna skinął głową z wyrazem głębokiego szacunku, po czym powrócił do swojej książki.

— Nie rozumiem — powiedział Dunphy. — O co w tym chodzi?

Gomelez sięgnął w dół i podciągnął prawą nogawkę spodni.

— O to. — Nogę staruszka otaczał w kostce czarny pasek, do którego było przymocowane niewielkie plastikowe pudełeczko.

Clem nie odrywała oczu.

— Co to jest?

Dunphy potrząsał z niedowierzaniem głową.

— Bransoleta monitorująca.

— Bardzo dobrze! — pochwalił go Gomelez.

— Wysyła słabe sygnały radiowe. Są odbierane przez trans-ponder znajdujący się gdzieś tu na terenie posiadłości. Trans-ponder przesyła je dalej do stacji odbiorczej. Dobrze mówię?

Gomelez skinął głową wyraźnie pod wrażeniem.

— Dokładnie tak jest.

— Dopóki pozostaje w zasięgu transpondera, czyli na obszarze monitorowanym przez tego gościa, wszystko jest w porządku — Dunphy zwrócił się do Clem. — Ale gdyby wyruszył poza teren... — Odwrócił się do Gomeleza. — Jak daleko może pan odejść?

— Około stu jardów od domu. Dookoła stawu, jeśli zechcę.

— A dlaczego pan po prostu tego nie zdejmie?

— Bo musiałbym to odciąć — odparł Gomelez — i wtedy przerwałbym obwód. Nie ma obwodu, nie ma sygnału. Nie ma sygnału, jest poważny problem. — Zaśmiał się nieoczekiwanie. — Chodźcie — powiedział. — Pokażę wam coś jeszcze.

Pojechał na swoim wózku dalej korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami kolejnego pokoju. Otworzył je i włączył światło. Dunphy i Clem zajrzeli do środka.

Była to nowoczesna sala operacyjna wyposażona w aparat rentgenowski i inne urządzenia diagnostyczne oraz stanowisko reanimacyjne z aparaturą do podtrzymywania życia. Gomelez zgasił światło, pstrykając w wyłącznik. Dygotał.

— Chciałem, żebyście to zobaczyli — powiedział.

Wieczorem jedli na tackach telewizyjnych w zbrojowni, oglądając powtórkę *Seinfeld*a pod czujnymi oczami Eminy i Zubeidy, rhodesian ridgebacks staruszka. Psy nie odstępowały Gomeleza, gdziekolwiek się ruszył, cicho sunąc za nim do domu i na zewnątrz. Od czasu do czasu Gomelez machinalnie wyciągał rękę, a wtedy jeden z psów podchodził do niego, nadstawiając ucho do podrapania.

Kiedy program się skończył, Gomelez zaprowadził ich do niewielkiego gabinetu z oknem wychodzącym na jezioro. W kominku palił się ogień, a nad nim wisiał obraz tak wspaniały, że aż

im dech zaparło. Clem przeczytała napis na mosiężnej tabliczce przymocowanej do złotej ramy:  
DE MOLAY NA STOSIE

TYCJAN (1576?)

— Nie znam tego obrazu — oświadczyła. — Co jest dziwne, bo zaliczyłam historię sztuki na bardzo dobry.

Gomelez wzruszył ramionami i nalał wszystkim po kieliszku calvadosu.

— Dlatego że tylko plotki o nim krążą — rzekł. — Nigdy nie był sfotografowany ani wypożyczony.

— To znaczy...

— To znaczy, że był tu od zawsze.

Przez chwilę stali w milczeniu, po czym Dunphy powiedział:

— W przeciwieństwie do pana.

Gomelez posłał mu spojrzenie pełne zdziwienia.

— Odwiedziliśmy muzeum na rue de Mogador — wyjaśniła Clem.

Gomelez zamknął oczy i i skinął głową w zamyśleniu.

— Co się stało? — zapytał Dunphy.

— Stało? — odpowiedział pytaniem starszek.

— Z panem. Kiedy przyszli Niemcy...

Gomelez z rozgoryczeniem potrząsnął głową.

— Wszystko, co się miało zdarzyć, zdarzyło się, zanim przyszli Niemcy.

Clem usadowiła się obok niego.

— O czym pan mówi?

Gomelez popatrzył w ogień i zaczął opowiadać.

— Kiedy byłem chłopcem, w Paryżu, ojciec zabrał mnie na spotkanie z grupą mężczyzn, którzy, jak mi powiedziano, byli potęgami w świecie biznesu, polityki i sztuki. Na tym spotkaniu wyjaśnili mi, że moja rodzina jest „inna”... że ja jestem inny... i że wiąże się z tym szczególna odpowiedzialność. Powiedziano mi, że pewnego dnia dowiem się więcej, co się rzeczywiście stało, i że składali przysięgę na wierność mojej sprawie.

Gomelez pociągnął łyk calvadosu.

— Mojej sprawie? Możecie sobie wyobrazić moją reakcję. Miałem dziesięć lat! — wykrzyknął. — „Co to za sprawa”?... zapytałem ojca. A on mi wyjaśnił, że ja jestem tą sprawą. Ale dlaczego?... pytałem. Bo w moich żyłach oprócz krwi płynie zbawienie. Powiedzieli, że jestem księciem, który musi zostać królem... a jeśli nie ja, to mój syn. A jeśli nie on, to jego syn. — Gomelez potrząsnął głową. — Wyobraźcie sobie, jak się poczułem. Byłem dzieckiem. Więc oczywiście to, co powiedzieli, było zaledwie niespodzianką. Jak każde dziecko zawsze wierzyłem... a przynajmniej podejrzewałem... że w pewnym sensie jestem magiczną istotą. I prawdę mówiąc, wydało mi się naturalne i słuszne, że jestem centrum tajemniczego wszechświata, ja... ciemne słońce otoczone chmurą wiernych zwolenników. Dopiero kiedy byłem starszy, dotarło do mnie, że to ma swoją cenę i że ta cena jest straszna: nie mogę przeżyć życia po swojemu. Muszę je po prostu przeczekać.

Gomelez podrapał Zubeidę za uchem i dołał sobie calvadosu. Dunphy sięgnął po pogrzebacz i poruszył żar w kominku.

— Więc uciekłem... w trzydziestym szóstym. Wyszedłem z domu po paczkę papierosów i szedłem przed siebie, szukałem przygody, wiernych przyjaciół, sprawiedliwej wojny... i tak dalej. Żyłem polityką... jak wszyscy w latach trzydziestych. Zatem nie potrzebowałem wiele czasu,

żeby znaleźć dowództwo Franco-Belgian Commune de Paris. Dwa dni później byłem w pociągu do Albacete, na front hiszpańskiej wojny domowej. Tydzień później leżałem w szpitalu polowym trafiony szrapnelem w brzuch.

Dunphy zamrugał oczami.

— Kiedy to było?

— Czwartego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku.

— A więc to miał na myśli — rzekł Dunphy.

— Kto?

— Allen Dulles. W liście do Junga napisał, że doszło do katastrofy. Myślę, że o to mu chodziło.

Gomelez skinął głową.

— Katastrofa to właściwe słowo. Przyjaciele ojca znaleźli mnie i zabrali do Paryża. Ale zło już się dokonało. W wyniku odniesionych ran nie mogłem zostać ojcem... a przynajmniej nie bezpośrednio. Najstraszniejsze było to, że jako ostatni z linii stałem się jeszcze cenniejszy dla ludzi, którzy oddali się mojej sprawie. Efektem było... zamknięcie mnie tutaj, w grobowcu.

Ani Dunphy, ani Clem nie wiedzieli, co powiedzieć.

— I co dziwne, wydaje się, że ta rana pobudziła do działania przyjaciół mojego ojca, ponieważ dopatrzyli się w niej spełnienia wyroczeni.

— „Jego królestwo przychodzi i odchodzi — wyrecytował Dunphy — potem przychodzi znowu”. — Nie pamiętał, co było dalej, ale Gomelez znał to jak pacierz.

— „Potem przychodzi znowu, kiedy zraniony po korzenie, on jest ostatni, a jednak nie ostatni, naznaczony i samotny. Wtedy te wszystkie ziemie staną się jedną, a on będzie ich królem, aż spłodzi synów po wszystkie dni, choć wciąż śmiertelny i w celibacie”. Zna pan *Apokryf!*

Dunphy skinął głową.

— Ten fragment tak. Ale wydaje mi się, że pod koniec coś się nie zgadza.

— Co pan ma na myśli?

— Tę część o spłodzeniu dzieci i celibacie. Jak ma pan to pogodzić?

Gomelez zmarszczył brwi.

— To proste — powiedział.

— Jakim cudem?

— Oddałem spermę do Eugenics Institute w Kusnacht. To było sześćdziesiąt lat temu. Od tamtej pory jest tam zamrożona.

— Jest pan pewien?

Gomelez się uśmiechnął.

— Proszę mi wierzyć. Oni nigdy niczego nie wyrzucają.

— A więc do czego jest pan im potrzebny? Myślę o zakonie. Dlaczego nie mogą po prostu...

— Przepowiednia jest wyraźna. Królestwo może być przywrócone jedynie potomkowi w linii prostej, który jest zraniony i naznaczony.

— Naznaczony? — zapytała Clem.

Gomelez poprawił się w wózku.

— Mam znamię na piersi — wyjaśnił. — Restauracja monarchii musi nastąpić za życia tego, który jest ostatni...

— „...a jednak nie ostatni” — dodał Dunphy.

— Właśnie — powiedział Gomelez. — Wobec czego możecie sobie wyobrazić ich entuzjazm dla mojej kandydatury.

Dunphy uśmiechnął się mimowolnie.

— Martwi mnie to — kontynuował Gomelez — że będę żył wiecznie. Nie śmiejcie się.

Widzieliście szpital. Jest w pełni wyposażony. Mogą podtrzymywać oddychanie w nieskończoność. I mają zamiar to robić. — Gomelez przerwał i spojrzał w górę. — Teraz czas na tajemnicę związaną z waszym przybyciem tutaj. — Dlaczego to zrobiliście?

Dunphy spojrzał na Clem i wzruszył ramionami.

— Nie było innego wyjścia. Przyjechałem z Langley. Byliśmy w Zug. Miałem wrażenie, że śledzą nas, gdziekolwiek się ruszymy. Więc pomyślałem, że udam się do źródła.

Gomelez skinął głową.

— I przyszło ci do głowy, że mógłbyś mnie zabić?

Clem zaprotestowała, ale Dunphy poruszył się na swoim krześle z nietęgą miną.

— Przeszło mi to przez głowę — przyznał.

Gomelez uśmiechnął się lekko.

— W takim razie mam propozycję.

Dunphy i Clem znowu wymienili spojrzenia.

— Posłuchaj, Bernardzie, nie jestem doktorem Kevorkianem, nie podejmę się eutanazji — oświadczył Dunphy. — A poza tym nie wyglądasz aż tak źle.

Gomelez roześmiał się głośno.

— Nie to miałem na myśli — rzekł. — Ale gdybym powiedział, że jestem zmęczony Londynem, zrozumielibyście?

Clem skinęła głową.

— To znaczy, że jest pan zmęczony życiem.

Starzec przytaknął.

— Choć w zasadzie nigdy nie byłem w Londynie. — Przerwał i zastanawiał się chwilę. — Pomimo wszystko chciałbym pozwolić działać naturze. Mam więc, krótko mówiąc, następującą propozycję: ja pokażę wam drogę ucieczki, a wy zabierzecie mnie ze sobą, zgoda?

— Oczywiście — powiedziała Clem.

— Ale co dobrego z tego wyniknie? — głośno myślał Dunphy. — W końcu nas znajdą, a wtedy co?

Gomelez potrząsnął głową.

— Będziecie bezpieczni, kiedy umrę — oznajmił. — Kiedy odejdę, wszystko się skończy.

— Co się skończy? — zapytał Dunphy.

— Zakon — wyjaśnił Gomelez. — Jestem jedyną racją ich bytu.

Dunphy zastanowił się przez chwilę.

— Wiem, o co panu chodzi — powiedział — ale... proszę nie zrozumieć mnie źle... nie chcę być nietaktowny, ale... hmm... to może chwilę potrwać.

— Jack!

Gomelez roześmiał się szczerze.

— Nie — rzekł — gdy opuścimy to miejsce, nie pociągnę długo. Chyba wiecie, iż cierpię na anemię. Bez zastrzyków z witaminy B dwanaście...

— A co na razie? — drążył Dunphy. — Dokąd pójdziemy? Będą nas szukać w każdym miejscu na ziemi, w każdym kraju.

— Jasne, że będą — odrzekł mu Gomelez. — Ale my w żadnym nie będziemy.

— Słucham?!

— Powiedziałem, że nie będziemy w żadnym kraju świata.



Była druga nad ranem, gdy starzec pojawił się w ich sypialni, a w ślad za nim psy.

— Czas wyruszać — wyszeptał. Razem udali się do holu i zeszli krętą klatką schodową do

biblioteki. Skręcili w lewo przy judaikach i weszli do małego pokoju, w którym Gomelez monitorował sygnały z przestrzeni kosmicznej. Pstryknął światło, podjechał do biurka i wyłączył drukarkę. Następnie nacisnął kilka przełączników i powoli zaczął kręcić tarczami analizatora widm. Zielone światło oscyloskopu przed nim zaczęło migotać i rozbłyskać.

— Czego pan szuka? — zapytał Dunphy.

— Częstotliwości i amplitudy drgań bransolety — odrzekł. — Myślę, że około ośmiuset pięćdziesięciu kiloherców, ale zmieniają to często i byłoby... byłoby po nas, gdybym się pomylił.

Dunphy i Clem obserwowali, jak starszek przeszukuje zakres. Co i rusz widać było skoki na wykresie oscyloskopu i Dunphy już myślał: To jest to! — ale nie było.

— W Zouz jest piracka stacja radiowa — powiedział Gomelez. — Strażnicy łośni mają radio. Jest też w okolicy kilku radioamatorów i kilka nadajników wojskowych. — O! Wreszcie! Mam go! — Potem wyjął mały notatnik z górnej szuflady biurka i porównał częstotliwość z odczytem maszyny. — Taki sam jak w zeszłym tygodniu — powiedział, sięgając do dolnej szuflady biurka.

Kiedy jego dłoń wynurzyła się, zobaczyli w niej pudełko na cygara. Wewnątrz był jakiś przedmiot owinięty w chusteczkę higieniczną. Gomelez rozwinął ją.

— Co to jest? — zapytała Clem.

— Nadajnik — wyjaśnił Dunphy. — Myślę, że nasz gospodarz chce powielić sygnał z gadżetu monitorującego, tego, który nosi. I zastąpi go tym nadajnikiem. Będzie wyglądało na to, że siedzi tutaj, a wcale go tu nie będzie.

— Doskonale — zauważył Gomelez — tylko że najważniejsze już zrobiłem. Zidentyfikowanie nośnika nie było tak trudne jak jego demodulacja. Ma wbudowany zakodowany sygnał...

— I dlatego był panu potrzebny konwerter?

— Właśnie — odparł Gomelez.

— A więc cała zabawa z teleskopem...

— ...służyła tylko temu, żeby zbudować analizator widma — dopowiedział Gomelez.

Następnie wziął dwie baterie. — Wystarczą na jakieś sześć, siedem godzin — powiedział. — Do tego czasu będziemy na drugim krańcu świata.

Dunphy i Clem popatrzyli na niego.

— To żart — powiedział, podłączając nadajnik do baterii. A potem wyjął nożyczki z górnej szuflady, schylił się, rozciął bransoletę na pół i pozwolił jej spaść na podłogę.



Gomelez pokazał im podziemne przejście, do którego weszli przez zamaskowane drzwi z parteru wieżyczki w zachodnim skrzydle rezydencji. Przejście zaprowadziło ich na niższy poziom, gdzie stał sobie czteroosobowy wagonik kolejki wąskotorowej. Starszek dał im znak, by zignorowali pojazd i skierowali się wzdłuż torów w głąb słabo oświetlonego tunelu.

— Wiecie coś o podziemnych obiektach architektury wojskowej? — zapytał.

Dunphy potrząsnął głową.

— Kolejne hobby?

— Szwajcarzy mają na tym punkcie bzika — wyjaśnił Gomelez, zmniejszając prędkość wózka, żeby Dunphy i Clem mogli za nim nadążyć. — Cały kraj jest poprzecinany wydrążonymi pod ziemią tajnymi tunelami. Góry zostały podziurawione, żeby pomieścić czołgi, rakiety i samoloty bojowe. Ten tunel zbudowały siły powietrzne. Gdyby kiedykolwiek doszło do inwazji, Villa Munsalvaesche stałaby się tymczasową kwaterą szwajcarskiego sztabu generalnego.

— A dokąd prowadzi? — zapytał Dunphy.

Gomelez wzruszył ramionami.



— Jest taki dom w II Fuom. Wygląda jak zwyczajny budynek w stylu alpejskim. Tam jest wylot tunelu.

Dunphy skrzywił się na tę wiadomość.

— Będą na nas czekać — rzekł. — Nie zostawiliby czegoś takiego bez straży.

— Oczywiście, że nie zostawiliby — zgodził się Gomelez. — Tyle że nie tam zmierzamy, więc to nie ma znaczenia.

Posuwali się dalej jeszcze około dwudziestu minut, aż wreszcie Gomelez włączył w swoim wózku hamulec.

— Tam — rzekł, wskazując palcem żelazną drabinę, która pięła się w górę wzdłuż gładkich betonowych ścian szybu wentylacyjnego. — Jeśli zdołasz mnie unieść, wydostaniemy się tędy. Nie pilnują wylotów szybów wentylacyjnych, bo jest ich za wiele i nie zdarzały się żadne kłopoty, w każdym razie jak dotąd.

Dunphy dźwignął Gomeleza i z nim na plecach zaczął się wspinać po drabinie, szczebel po szczeblu. Słyszał za sobą wzdychania i pomruki Clem.

— Jakiś problem? — spytał szeptem.

— Za wysoko — wysapała. — Mam lęk wysokości.

Faktycznie szyb był znacznie dłuższy, niż Dunphy przypuszczał. Zapytał o to Gomeleza:

— Ile miało być w górę?

— Trzydzieści stóp — odparł starzec. A potem już nieco ciszej dodał: — Może to miały być metry.

Zgadzało się to drugie.

Kiedy dotarli na szczyt drabiny, Dunphy dygotał z wysiłku, mięśnie już odmawiały mu posłuszeństwa, a lękał się, że krata okaże się nie do ruszenia. Ale nie było powodu do obaw w związku z kratą. Jak wkrótce odkrył, wykonano ją z typowo szwajcarską precyzją.

Przytrzymały ją jedynie trzy zaciski, które bez trudu dały się podważyć kciukami.

Odepchnąwszy kratę na bok, Dunphy, całkiem wyczerpany, wyczołgał się z otworu. Clem wynurzyła się minutę później biała jak papier.

Dunphy rozejrzał się wokół. Była trzecia nad ranem i ciemno choć oko wykol.

— Gdzie jesteśmy?

— Przy szlaku turystycznym — wyjaśnił Gomelez. — Możemy nim dojść do drogi i złapać okazję do miasta. A jeśli nie, to II Fuom jest w odległości zaledwie kilku mil stąd. Moglibyście załatwić tam jakiś samochód i wrócić po mnie.

Zatem ruszyli. Dunphy z Gomelezem na plecach miał do pokonania ponad dwieście jardów. Gdy dotarli do drogi, słońce jeszcze kryło się za górami, rozjaśniając nieco ciemność, ale nie rozpraszając jej całkowicie. Dunphy stanął przy drodze z walizką w jednym ręku, a kciuk drugiej wysunął w górę, mając nadzieję, że uda mu się zatrzymać jakiś samochód, choć o tak wczesnej porze nie było ich wiele. Dawało mu się we znaki zimno i zmęczenie, ponadto obawiał się, że może przejeżdżać ktoś z personelu rezydencji i rozpoznać go, a w takim wypadku doszłoby do strzelaniny. W końcu Clem zasugerowała, by to on posiedział z wspartym plecami o drzewo Gomelezem.

— Ja spróbuję — rzekła i stając z wysuniętym biodrem, podniosła kciuk do góry.

Nie minęła minuta, gdy zazgrzytały hamulce i jakieś pięćdziesiąt jardów dalej zatrzymała się ciężarówka. Kierowca był wyraźnie rozczarowany tym, że Clem jest jedną z trzech osób, ale sto franków od Dunphy'ego go zmiękczyło.

— *Benvenuto al bordo!* — wykrzyknął i wrzuciwszy bieg, wyrwał pełnym gazem w kierunku na Włochy. Obawy Dunphy'ego, że Gomelez nie będzie mógł przekroczyć granicy, okazały się bezpodstawne. To, że miał dziewięćdziesiąt dwa lata i jego paszport stracił ważność

pięćdziesiąt siedem lat temu zaniepokoiło wprawdzie samotnego funkcjonariusza celnego w Glarence, ale w miejsce niepokojów pojawiło się rozbawienie, w czym pomógł stufrankowy banknot od Dunphy'ego. Chwilę potem byli na trasie do Bolzano.

W Bolzano kupili parę walizek i jakieś ubrania, po czym wsiedli do pierwszego pociągu, jakim mogli dotrzeć do Triestu. Ze swego miejsca w dzielonym z Clem i Gomelezem przedziale wagonu sypialnego pierwszej klasy Dunphy snuł głośno rozważania na temat tego, o co naprawdę chodzi Zakonowi Magdaleny.

Gomelez wyglądał przez okno na bezkresne, jak się wydawało, pole słoneczników.

— Zmienili się — powiedział. — Swego czasu ich cele były...

— Szlachetne? — zasugerowała Clem.

Gomelez przytaknął.

— Tak sądzę. Tak. Przeciwwstawiali się inkwizycji. Walczyli z terrorem. Potem coś się stało i początkowa walka na tle religijnym przekształciła się w walkę o władzę. I nic dziwnego. Środki, jakimi dysponuje Zakon Magdaleny, są niebywałe.

— Nie rozumiem jednak — odezwała się Clem — ich nadziei na utworzenie monarchii. Monarchii w sensie dosłownym? To trochę *passee*, nie mam racji?

Gomelez zaśmiał się sardonicznie, potrząsając głową.

— Nie jestem tego pewien, czy to jest anachronizm i czy kiedykolwiek nim będzie. To pociągająca idea. Pomyślcie, co się działo, kiedy zginęła Diana. Cała Europa zamarła. Tak więc nie uważam, żeby to miało być tak bardzo trudne... w każdym razie znacznie łatwiejsze niż zjednoczenie Europy. Kilkakrotnie, gdy z nimi o tym rozmawiałem, twierdzili z przekonaniem, że czy dziś, czy jutro jest to jedynie kwestia odpowiedniej kampanii wyborczej. Uruchomi się reklamę, zaangażuje lobbystów, zapewni godną rekomendację. A na samym końcu odbędzie się referendum w każdym państwie Unii Europejskiej. To w większości kontynent chrześcijański i monarchię będzie się promować w charakterze symbolu... „konstytucyjną monarchię”, która stanie się elementem cementującym Unię.

— Czy uważa pan, że są już na dobrej drodze do osiągnięcia celu? — spytała Clem.

Gomelez wzruszył ramionami.

— Mają przeogromne możliwości i użyli wszystkich, łącznie z tymi, które uwiarygodniały prorocтва.

— Dobrze, ale co im przyświeca? — dopytywał się Dunphy. — Czego chcą naprawdę?

Gomelez spojrział na niego.

— Wyobrażają sobie, iż wraz ze spełnieniem się prorocтва nastanie biblijne millennium. Większość zainteresowanych nie poświęca cienia uwagi temu, co ma być dalej... tak jak nikt nie zastanawia się nad tym, co będzie się z nim działo, gdy już dostanie się do nieba. Tam się trwa wiecznie. Podobna świadomość im wystarcza. Jednakże, jeśli nie nastąpi powtórne przyjście Chrystusa lub tego typu wydarzenie, wówczas stowarzyszenie magdalenowe narzuci Europie teokrację — pątniczą wersję państwa Chomeiniego, jeśli wiecie, co mam na myśli. Sądzę, że zakon postawi sobie następnie za cel rozszerzenie swego władztwa na obydwie Ameryki, a potem zapragnie zrobić czystkę w tym merowińskim dominium grzeszników. Słyszałem nawet ich dyskusje na ten temat. Nazywają to kauteryzacją. Nikogo nie oszczędzą.

Pociąg dotarł do Triestu godzinę później. I dopiero tam, w nadmorskim hoteliku, Dunphy dowiedział się, co Gomelez miał na myśli, kiedy mówił im, że nie będą na obszarze żadnego państwa świata.



*Stencil* był pięćdziesięciopięciostopowym keczem, którego czerwone maszty budziły

zastrzeżenia, a kadłub aż prosił się o malowanie. Zbudowany w Chile w późnych latach siedemdziesiątych miał kabiny o ściętych ścianach zewnętrznych i epatował salonem wyłożonym mahoniem i tęczyną. Dwumasztowiec miał wiele wad, lecz także dwie zalety: był z drewna i był na sprzedaż. Kupili go za sześćdziesiąt tysięcy funtów w gotówce przy akompaniamencie narzekań Clem, która uważała, iż kadłub z włókna szklanego byłby praktyczniejszy. Z tym nie zgadzał się Gomelez: nalegał na drewno.

Wyłynęli tej samej nocy na szerokie wody Zatoki Weneckiej i dotarli do krańca półwyspu Istria. Zmienili kierunek na południowoschodni, obierając kurs na wybrzeże dalmatyńskie, gdzie wśród setek wysepek i tysiąca zatoczek chcieli szukać schronienia.

Dunphy nie miał cienia wątpliwości co do tego, że Agencja ich znajdzie. Przepytają pogranicznika w Glorenzie, w Trieście dotrą do nich pogłoski o pojawieniu się starca w towarzystwie młodej pary i nabyciu przez nich za żywą gotówkę dwumasztowca o nazwie *Stencil*. I zaczną ich wypatrywać, wykorzystując satelity szpiegowskie do prowadzenia intensywnej penetracji rejonu Adriatyku.

Z tego powodu płynęli głównie w nocy, zatrzymując się na postoje w zatłoczonych przystaniach i osłoniętych zatoczkach. Tymczasem działo się coś dziwnego.

Gomelez odnajdywał szczęście.

Być może po raz pierwszy w życiu starszek doświadczał uczucia radości, czystej radości, niczym pies, który się wyrwie na swobodę.

— Ostatni raz — zwierzał się Clem — czułem się tak w trzydziestym szóstym... i wtedy mnie dopadła bomba!

Z Clem w roli kapitana płynęli zygzakiem między setkami wysp i wysepek o dziwnie brzmiących nazwach: Krk, Pag, Vis, Brać. W rybackiej wiosce na wyspie Hvar przemalowali kadłub na czarno, ale Dunphy wiedział, że to nie wystarczy. Kecz miał wyróżniającą się sylwetkę i takielunek, nie mówiąc o żaglach. Było tylko kwestią czasu, kiedy ktoś w waszyngtońskiej centrali marynarki wojennej wypatrzy łódź na zdjęciu satelitarnym. Dunphy już to widział oczami wyobraźni: siedzi taki głupkowaty analityk przy długim stole przed ekranem Fresnela, w pomieszczeniu z przyciemnionymi oknami, i wgapia się w zdjęcia, bo poinformowano go, że Agencja szuka terrorysty.

I nagle jest: oto zdjęcie przystani w Splicie, woda niewidoczna spod bieli żagli, a gdzieś tam — w dolnym prawym rogu — kecz, którego czerwony żagiel główny, zwinięty, rysuje się wzdłuż łodzi linią nie grubszą niż włoskowate naczynie krwionośne. Bingo! Medal dla analityka wywiadu, czarne helikoptery wysłane po Dunphy'ego i jego przyjaciół.

W żaden sposób jednak nie mogli temu przeciwdziałać. Morze zapewniało im tylko tyle bezpieczeństwa, ile znaleźliby gdzie indziej, choć możliwe, że więcej. Jediną rzeczą, jaką mogli jeszcze zrobić, to się rozdzielić. Lecz Dunphy nie miał zamiaru proponować tego. Gomelez ich potrzebował, a Clem nawet nie chciałaby o czymś takim słyszeć.

Pokochała starszka jak ojca. I trudno było nie żywić w stosunku do niego takich uczuć. Miał wyrafinowane poczucie humoru, a jak na człowieka, który całe życie spędził w więzieniu, zdumiewający repertuar opowieści. Noc po nocy, gdy *Stencil* ślizgał się po falach, słuchali zauroczeni jakiejś opowieści z życia Gomeleza, jakby każda osoba i każde zdarzenie wносиły ze sobą lekką zmianę kursu.

Mogliby tak żeglować jeszcze długo. Dunphy stał się żeglarzem z prawdziwego zdarzenia. Niestety, starszka zaczynała powalać anemia. Clem co i rusz nalegała, by zawinęli do jakiegoś większego portu, gdzie mogłaby nabyć dla niego zastrzyki z B12, których bardzo potrzebował.

Gomelez odrzucał ten pomysł.

— Przyznaję, iż znowu polubiłem Londyn... dzięki tobie, kochanie. Ale to wywrotowa

działalność z twojej strony. Nie po to tu jesteśmy.

Dunphy podjął ten wątek, gdy pomagał starszszkowi zejść do kabiny.

— Nie podobna, żeby pan był ostatnim z nich — perorował. — Linia krwi... muszą być dziesiątki osób pretendujących do pochodzenia od Merowingów. Nawet przy dalszym stopniu pokrewieństwa ciągle są...

Gomelez potrząsnął głową.

— Liczy się tylko jedna linia — tłumaczył, zdejmując koszulę przed pójściem do łóżka. Naznaczona stygmatem, który zaraz ujrzysz. — Powoli odwrócił się do Dunphy'ego, by ten mógł zobaczyć znak na jego piersi... czerwoną plamę wielkości dłoni w kształcie krzyża maltańskiego. — Moje znamię uro-dzeniowe — wyjaśnił Gomelez. — Każdy z nas miał takie, sięgając do... do samych początków. Widzisz więc, że to nie jest kwestia papierów. Ale skoro o tym mówimy, Jack, mam do ciebie sprawę. Moim życzeniem jest, żebyś zrobił coś dla mnie, kiedy już odejdziesz. Musisz to dla mnie zrobić.

W kolejnych dniach Gomelez słabł coraz bardziej, a jednocześnie zmieniała się pogoda. Wilgotny, niezwyčajny w tym sezonie chłód nadciągnął na wybrzeże. Niebo się zachmurzyło. Zaczęło padać.

Dunphy ucieszył się na tę zmianę. Chmury udaremniały inwigilację z powietrza i dawały im szansę na popłynięcie dalej na południe. Wbrew niezachęcającym prognozom pogody zdecydowali, że wypłyną na otwarte wody, jak tylko zapadnie noc. I tak zrobili, sunąc teraz po morzu równolegle do górzystych brzegów.

*Stencil* płynął szybciej niż dotąd, zgrabnie przechylony na lewą burtę, chwytając w żagle zachodni wiatr. Dunphy przy sterze trzymał kurs na Dubrownik. Gomelez spał na dole. Clem poruszała się po pokładzie i poprawiała takielunek z taką pewnością siebie, jakby wychowywała się na łodzi.

Fale były wysokie, ale nie aż tak, żeby wydawały się groźne. Większym zmartwieniem okazał się brak widoczności z powodu ciemności i deszczu. Nie było wprawdzie na ich drodze ani skał, ani staw nawigacyjnych, ale zdawali sobie sprawę z tego, że nie są jedynym statkiem na morzu, a kolizja byłaby tragiczna w skutkach.

Obserwowali więc czujnie czarny bezkres, wyteżali oczy, aż robiły się z nich szparki, wściekle otrząsali powieki smagane deszczem. Naraz ukazała się błyskawica, potem przyszły następne, wyczarowując obrazy, które pozostawały im w oczach, choć jasność była już tylko wspomnieniem. Raz po raz przed ich oczami jawiły się w świetle błyskawicy wyniosłe zarysy dalmatyńskiego wybrzeża, aż nagle rozległ się krzyk Clementine i Dunphy ujrzał ją, jak wskazywała na coś wyciągniętą przed siebie ręką.

Zmrużył oczy zalewane deszczem, ale nic nie widział, póki smuga błyskawicy nie rozdarła nieba na pół. Dopiero wtedy, wdychając powietrze nasycone ozonem, zobaczył to — czarna trąba wodna sunęła na nich jak kula do gry w kręgle wielkości Manhattanu. Nic więcej nie mogli zrobić, jak tylko starać się utrzymać łódź dziobem do wiatru. Ale trąba niosła przed sobą taką falę, jaka nie miała prawa pojawić się na Adriatyku. Widząc, jak się zbliża, coraz wyższa i czarniejsza na tle nocy, urastająca do rozmiarów apokaliptycznych, Dunphy krzyknął do Clem, żeby się przywiązała — lecz było już za późno. Morze wyciągnęło po nich swe ramiona i wyluskawszy ich z dna wodnej kotliny, zasysało w górę wyżej i wyżej, aż znaleźli się na grzbiecie najwyższej z wyobraźalnych fal. Przez długą chwilę balansowali, a dziób *Stencila* wymierzony był prosto w niebo jak lanca. Potem fala przewaliła pod nimi, a łupina łodzi, wykonując salto, zsunęła się na powrót w głębinę.

Wydawało się, że wszystko zdarzyło się w ciągu sekundy: dopiero co Dunphy wyteżał wzrok, by zobaczyć, co ma przed sobą, po chwili uniosło go wraz z łodzią ku niebu, wreszcie

rzuciło w dół, w topiel. Woda była tak lodowata, że odebrało mu dech, a gdy przykryła go fala, zaczął się topić z nogami zaplątanymi w linach takielunku. Ciął wodę ramionami na wszystkie strony — szukając Clem... chcąc ratować siebie — ale nie wiedział, gdzie góra, gdzie dół, jak wypłynąć. Tonął. Umierał.

A wtedy *Stencil*, równie nagle jak obrócił się dnem do góry, odzyskał równowagę i znów unosił się na fali. Natychmiast z kabiny wygramolił się Gomelez, kaszląc i pomrukując, wystawiając na wiatr nagą pierś ze stygmatem. Przypadł do Dunphy'ego, pomógł mu podciągnąć się na pokład i uwolnił ze zdewastowanego takielunku.

— Gdzie jest Clementine?! — krzyknął Gomelez.

Dunphy zerwał się na równe nogi, rozglądając się wokół dzikim wzrokiem. Wiatr i morze walczyły ze sobą, maszt łodzi był w drzazgach, a główny żagiel zwisał przez burtę. Dunphy jednym rzutem oka ogarnął tę scenę i zaczął biegać z jednej strony łodzi na drugą, rozpaczliwie wypatrując w wodzie swojej Clem. Na falach nie było widać nic ani nikogo. Tylko noc, wściekłe uderzenia wiatru i bezkres Adriatyku. Ona zniknęła.

I nagle ją zobaczył, w odległości może dwudziestu jardów, z twarzą w wodzie, unoszącą się i opadającą na falach. Nie zdążył nawet pomyśleć. Nie zrzucił butów. Skoczył do wody i zaczął młócić rękami fale, jakby były żołnierzami wrogiej armii oddzielającej go od kobiety, którą kochał.

Żaglowiec stracił sterowność, liny omasztowania cięły powietrze, ale łódź kołysała się na wodzie dziobem do wiatru, tkwiąc w miejscu. Mimo to Dunphy'emu zajęło nie mniej niż pięć minut, by na wzburzonym morzu dotrzeć do Clem i dopłynąć z nią z powrotem.

Już nie oddychała. Gomelez wciągnął ją na pokład, a za nią wdrapał się Dunphy. Od razu zauważył, że została uderzona w głowę, bomem lub dziobem łodzi, i krwawiła. Na ranę nie mógł jednak zaradzić.

Padł przy niej na kolana, ręką otarł jej krew z czoła i usiłował sobie przypomnieć, jak przywraca się topielców do życia. Ułożywszy ją na plecach, jedną ręką unióśł jej podbródek do góry, a drugą odchyłał czoło do tyłu, żeby udroźnić drogi oddechowe. Potem palcami zatkał jej nos i przytknąwszy szczelnie usta do jej warg, wykonał dwa wolne wdechy. Wyczuł wzniesienie się i opadnięcie klatki piersiowej. Nie było jednak kolejnego poruszenia. I wydawało się jeszcze, że przestało bić serce.

Więc próbował znowu i znowu, wykonując na zmianę sztuczne oddychanie i zewnętrzny masaż serca. Uciskał dłońmi mostek, mocno i rytmicznie, w rozpaczliwych wysiłkach pobudzenia serca do akcji. Jednocześnie oddychał za nią i tak walczył przez dwadzieścia minut, aż wyczerpany odturlał się w bok niezdolny już do niczego.

Odeszła. A wraz z nią ostoja jego świata.

— Pozwól, że ja spróbuję — odezwał się Gomelez i osunąwszy się na starcze kolana, zbliżył twarz do jej twarzy i wdmuchnął w nią powietrze, potem sam je nabrał... i raz jeszcze, i znowu, a jego długie kosmyki spletały się z jej włosami i muskały jej policzki.

Dunphy siedział na roztrzaskanym dachu kabiny skamieniały z rozpaczą, gdy nagle usłyszał kasznięcie Clem i po sekundzie jeszcze raz. A potem jej głos, oszołomiony, pytający:

— Co się stało? Gdzie ja byłam?



Rankiem Gomeleza nie było wśród żywych. Jego wątłe ciało spoczywało w koi, oczy miał zamknięte, jakby spał. Ale oddech już zamarł w jego piersi. Clementine naciągnęła prześcieradło na twarz starego Merowinga cała we łzach lejących się strumieniem po policzkach.

Każde z nich wiedziało, że ten moment nadejdzie, i byli na to przygotowani. Z łodzi zrobił

się wrak, ale to nie miało teraz znaczenia.

Pozostali jeszcze przez kilka godzin na morzu, w pewnej odległości od brzegu, wyzywająco eksponując pozycję *Stencila*, w czasie kiedy penetracja z satelitów szpiegowskich była najbardziej intensywna. Potem wpłynęli do najbliższej zatoczki i podczas gdy Clem zbierała na brzegu sosnowe gałęzie, Dunphy ułożył Gomeleza na pokładzie i przystąpił do wypełnienia złożonej obietnicy.

Dysponując jedynie młotkiem i śrubokrętem, wykonał drastyczny zabieg trepanacji czaszki starca, wyzwalając jego ducha zgodnie z merowińskim rytuałem, tak starym jak sam ród.

— Nareszcie wolny — wyszeptał.

Gdy wróciła Clem, razem obłożyli ciało starca sosnowymi gałęziami, które polali benzyną. Zmajstrowali wolnopalny lont, używając do tego wosku ze świec i sznurka, i zapalili go.

— Do tej pory już nas namierzili — powiedział Dunphy. — Całe wybrzeże jest pod obserwacją, więc już są w drodze. A kiedy tu dotrą i zobaczą, co się stało, zrozumieją, że dla nich wszystko się skończyło.

Ruszył w stronę dziobu, podniósł mały żagiel przedni i go umocował. Gdy włączył samoster i ustawił jacht na kursie do Jerozolimy, razem z Clem ześlizgnęli się do wody. Płynęli obok siebie do brzegu, a za nimi z pływającego stosu pogrzebowego zaczął się unosić dym. Po minucie czy dwóch stali na brzegu i obserwowali łódź, na której ogniem zajął się już takielunek i w jednej chwili poszarpany żagiel główny wybuchnął płomieniem. Mimo to kecz płynął dalej w morze... a tymczasem, z nagłą, ciemny cień przesunął się przez plażę i gdy Dunphy i Clem zadarli w górę głowy, dostrzegli czarny helikopter, nieoznakowany, przelatujący bezgłośnie nad nimi w stronę palącej się żaglówki, by smętnie zawisnąć nad nią w chmurze dymu.

— Skończyło się — powiedział Dunphy i wzięwszy Clem za rękę, ruszył plażą w kierunku rybackiej wioski.

Clementine potrzaskała głową.

— Ja nie uważam, że to koniec.

Dunphy spojrzał na nią.

— Uważam, że to dopiero początek — orzekła.

Nie wiedział, co ona przez to rozumie. Ale był taki ulotny moment — spotkały się ich spojrzenia — w którym, mógłby przysiąc, dostrzegł w jej oczach coś, czego w nich być nie powinno. Jakby mignął czerwony żagiel *Stencila*, a może plamka krwi z rozcięcia po wczorajszym uderzeniu. Cokolwiek to było, pomyślał, ta drobinka miała kształt, i natychmiast pojął, był święcie przekonany, że to nie żadna z tych dwóch rzeczy, lecz coś innego. Coś, czego tam przedtem nigdy nie widział. Coś z Gomeleza.

KONIEC

